



głosy

HUMANISTYKI



O sensie nauk humanistycznych
i społecznych



Karina Stasiuk-Krajewska

Tomasz Wołodźko

Justyna Rogula

GŁOSY HUMANISTYKI

GŁOSY HUMANISTYKI
O SENSIE NAUK
HUMANISTYCZNYCH I SPOŁECZNYCH

**Karina Stasiuk-Krajewska, Tomasz Wołodźko,
Justyna Rogula (red.)**

Wrocław 2025

© Copyright for this edition by Authors and Wydawnictwo Libron
Kraków 2025
ISBN 978-83-68637-13-7

Projekt okładki oraz stron rozdziałowych: Justyna Rogula
Redakcja: Marta Maślowska
Korekta wydawnicza: Libron
Skład: Dariusz Piskulak
Projekt okładki: LibronDTP



Publikacja sfinansowana przez Uniwersytet SWPS

Publikacja powstała w ramach projektu „Głosy humanistyki. Seria podcastów o użyteczności nauk społecznych i humanistycznych”, realizowanego przez Uniwersytet SWPS.

Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna odpowiedzialność Nauki II”



Wydawnictwo LIBRON – Filip Lohner
al. Daszyńskiego 21/13
31-537 Kraków
tel. 12 628 05 12
e-mail: office@libron.pl
www.libron.pl

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie od redaktorek i redaktora / 7

LESZEK KOCZANOWICZ

Jeżeli coś rozumiemy, to nawołujemy do zmiany | odc. 1 / 13

ADAM PAWŁOWSKI

*Nie ma prostej odpowiedzi na pytanie,
czy wiedza zmienia świat na lepsze* | odc.2 / 21

ANDRZEJ LEDER

Spółeczeństwo bez humanistów stanowi zagrożenie samo dla siebie | odc. 3 / 35

KAROLINA SAFARZYŃSKA

Próbujemy zmienić świat tu i teraz | odc. 4 / 45

MAŁGORZATA LISOWSKA-MAGDZIARZ

Czy w kościele, czy w barze, wszędzie jest się semiologiem | odc. 5 / 55

RYSZARD BALICKI

Nikt nie lubi ekspertów | odc. 6 / 67

AGNIESZKA SKALA-GOSK

Lepsze od jednorożców będzie stado słoni | odc. 7 / 77

MIKOŁAJ CZEŚNIK

Ja, wyjątkowo, wiem, po co my to robimy | odc. 8 / 87

WOJCIECH KULESA

W nauce powinno się być beczelnym | odc. 9 / 99

EWA DOMAŃSKA

*Nie mam takich totalitarnych ambicji,
by stworzyć teorię, która zmieni świat* | odc. 10 / 111

KRZYSZTOF SKARBEK

Staram się cały czas badać rzeczywistość w sposób twórczy | odc. 11 / 125

KRZYSZTOF ABRISZEWSKI

Nie wiemy lepiej, ale za to wiemy inaczej | odc. 12 / 133

MAREK JEZIŃSKI

*Dokumentujemy to, co jest tu i teraz,
bo nikt inny za nas tego nie zrobi* | odc.13 / 147

ARKADIUSZ BAGŁAJEWSKI

Moje pisanie o dawnych twórcach

trafi do garstki osób, nie mam tu żadnych złudzeń | odc. 14 / 157

TOMASZ ALEKSANDROWICZ

W naukach społecznych dwa razy dwa nie zawsze wynosi cztery | odc. 15 / 169

LIDIA FIEJDASZ-BUCZEK

Nadal możemy swoim przykładem zmieniać świat na lepsze | odc. 16 / 179

AGNIESZKA TURSKA-KAWA

Satysfakcję czerpię z procesu poszukiwania | odc. 17 / 189

GRAŻYNA PIECHOTA

Nauka staje się dzisiaj dużo bardziej zglobalizowana | odc. 18 / 199

PAWEŁ KONCZEWSKI

Humanistyka to za mało | odc. 19 / 211

ARLETA GALANT

Zazwyczaj kończy się na zdumieniach i zachwytach | odc. 20 / 223

MAŁGORZATA BIEŃKOWSKA

Metod jakościowych jest tyle, ile w ludziach kreatywności | odc. 21 / 233

MARIA MENDEL

Jako badaczka nie mam pojęcia, co z tego wyniknie | odc. 22 / 243

BARTOSZ BARTOSIEWICZ

Jestem w miejscu, w którym chcę być, i robię to, co chcę robić | odc. 23 / 255

PAULINA POLKO

Państwo nie może być w permanentnym stanie nadzwyczajnym | odc. 24 / 267

WPROWADZENIE OD REDAKTOREK I REDAKTORA

Przywołując Karola Marksa, który podobno wyraził rozczarowanie (a nawet panikę) powołaniem Komuny Paryskiej, zanim on dokończył *Kapitał*, Slavoj Žižek z absolutnym entuzjazmem skonkludował (tłumaczenie nie jest dosłowne, ale oddaje sens wypowiedzi): „Jeśli chcemy, żeby intelektualiści byli w ogóle do czegoś potrzebni, powinniśmy się przy tym stanowisku upierać. To, wbrew pozorom, nie jest narcystyczne, bo nie chodzi o nas, tylko o teorię. Chodzi o taką postawę: teoria ma znaczenie i ostatecznie jest jedyną rzeczą, która je posiada – w tym właśnie tkwi totalny teoretyczny narcyzm”.

Czy to prawda albo przynajmniej część prawdy o naukach społecznych bądź humanistycznych? Czy ich sensem jest teoria, bo tylko ona ostatecznie ma znaczenie? A co z punktami, wdrożeniami, badaniami empirycznymi i zmienia-
niem świata? A może zmieniać świat ma szansę właśnie tylko i wyłącznie teoria?

Szukając odpowiedzi na te pytania:

- odbyliśmy kilkanaście podróży do różnych miast Polski, różnymi środkami lokomocji;
- odwiedziliśmy różnorodne miejsca: prywatne mieszkania, uczelniane gabinety, biura, lasy i kawiarnie;
- spotkaliśmy 24 wybitnych gości: przedstawicielki i przedstawicieli nauk społecznych oraz humanistycznych;
- nagraliśmy niemal 40 godzin materiału dźwiękowego;
- stworzyliśmy 24 podcasty i 24 artykuły o naszych bohaterkach i bohaterach.

Ale odpowiedzi nie znaleźliśmy. Zyskaliśmy za to coś znacznie bardziej cennego: 24 Osoby, które – może nieco patetycznie – nazwaliśmy bohaterkami i bohaterami humanistyki (oraz nauk społecznych). Badaczki i badacze, gotowych poświęcić nam czas i podzielić się nie tylko (zawsze fascynującą) opowieścią o swojej aktualnej pracy, ale także przemyśleniami, jak postrzegają sens tego, co robią, jakie rzeczy są dla nich źródłem satysfakcji, a co ich frustruje i zniechęca. No i w ogóle – po co to wszystko?

Zapraszamy do przeczytania (i odsłuchania) 24 fascynujących rozmów, powstałych w ramach projektu *Głosy Humanistyki*. Rozmów, które prezentują nie tylko różne podejścia teoretyczne czy metodologiczne obecne w naukach społecznych i humanistycznych, nie tylko bogactwo tematyki, którą w ramach tych dziedzin można się zajmować, ale też Osoby, które „za tym stoją”, wraz

z ich pasjami, wątpliwościami, stylami pracy i – co wspólne chyba wszystkim bohaterkom i bohaterom – trudnościami z odpoczynkiem, oderwaniem się od naukowej analizy rzeczywistości, byciem tu i teraz.

Tezy, które padają podczas naszych rozmów są inspirujące, zaskakujące, czasami kontrowersyjne. Zawsze jednak warte poświęcenia im czasu i chwili namysłu.

Dziękuję 24 rozmówcom i zespołowi *Głosów Humanistyki* (Tomek Wołodźko, Justyna Roguła, Kamil Wardęga) za ich czas, otwartość i cierpliwość w czasami nieoczywistych sytuacjach i wobec często niełatwych pytań. Było warto!

Karina Stasiuk-Krajewska

Od samych początków mojej edukacji było dla mnie oczywiste, że w jakiś sposób związę swoją przyszłość z humanistyką. Jednak niezwykle dziwiły mnie reakcje znajomych, którzy, słuchając o moim zamiłowaniu do tematów skupiających się wokół człowieka i jego działalności, komentowali: „tylko nie kontynuuj humanistyki, bo skończysz w gastronomii za najniższą krajową”. Podobne sugestie pojawiały się również ze strony niektórych członków mojej rodziny oraz nauczycieli, którzy przekonywali mnie, że tytuł inżynierki zapewni mi lepsze życie niż tytuł magistry. Pomijając już kwestię tego, że w życiu nie chodzi wyłącznie o pieniądze, a praca w gastronomii jest jak najbardziej szanowaną profesją, tak jednoznacznie negatywne nastawienie do humanistyki wydało mi się nad wyraz przesadzone.

Po pięciu latach studiów humanistycznych i z planami na rozpoczęcie doktoratu mogłam już z pełnym przekonaniem stwierdzić, że rzeczywistość wygląda inaczej, niż malowali ją ludzie z mojego otoczenia.

Poznając świat nauk humanistycznych i społecznych nieco bliżej, coraz częściej zadawałam sobie pytanie, którego waga rosla z każdym dniem: „dlaczego humanistyka ma tak złą renomę?”. Próby samodzielnego znalezienia odpowiedzi zazwyczaj kończyły się kolejnym pytaniem: „a co ty właściwie robisz i jaki to ma sens?”. Odpowiedź przychodziła mi z trudem – gubiłam się pomiędzy brzmieniem zbyt fachowym a nadmiernie banalnym. Doskonale wiedziałam, czym się zajmuję, jednak przekazanie tego innym i przekonanie ich, że jest to równie sensowne i „ważne” jak matematyka, okazywało się ogromnym wyzwaniem.

Właśnie dlatego, gdy w moim życiu pojawiła się możliwość pracy nad projektem *Głosy Humanistyki*, nie wahałam się długo. Chciałam nie tylko dowiedzieć się, czym zajmują się humaniści, jaki jest cel ich pracy i dlaczego jest ona istotna, lecz przede wszystkim nauczyć się od nich, jak o tym mówić.

Jednym z moich zadań w ramach projektu było poszukiwanie informacji na temat osób występujących w podcaście oraz przygotowywanie pytań pomocniczych. Korzystałam z wielu źródeł internetowych – przeczytałam setki artykułów, odwiedziłam najbardziej ukryte zakamarki stron uczelnianych i przejrzałam dziesiątki profili w mediach społecznościowych, które mogły mieć jakiegokolwiek znaczenie dla historii naszych gości.

To, co wówczas odkryłam, ponownie sprowadzało się do niezrozumienia. Mimo że wszyscy funkcjonujemy w obrębie humanistyki, w większości

przypadków nie byłam w stanie jasno określić, czym dana osoba tak naprawdę się zajmuje. Co drugie pojęcie okazywało się obce i skomplikowane – także w miejscach, które wcale nie miały charakteru specjalistycznego. Opisy poszczególnych specjalizacji pełne były długich, wieloznacznych sformułowań, które zamiast wyjaśniać, potęgowały trudność odbioru. Oczywiście dzięki tym poszukiwaniom wiele się nauczyłam – zgłębiłam niewielkie fragmenty żargonu między innymi z zakresu ekonomii, nauk o bezpieczeństwie czy humanistyki cyfrowej – jednak to właśnie wtedy na własnej skórze doświadczyłam, dlaczego próg wejścia do akademii bywa postrzegany jako tak wysoki, a dla dużej części społeczeństwa wręcz nieosiągalny.

Zauważyłam również, że informacje, których potrzebowałam, często były bardzo trudno dostępne. Niektóre z nich można było uzyskać dopiero po dołączeniu do wewnętrznych struktur uczelni, inne w ogóle nie funkcjonowały w przestrzeni internetowej, a kolejne okazywały się błędne – mimo że pochodziły z oficjalnych źródeł. Z każdym kolejnym krokiem humanistyka stawała się więc dla mnie coraz bardziej hermetyczna.

Najtrudniejsze okazało się jednak odnalezienie informacji o bardziej prywatnym charakterze – dotyczących rodziny, zainteresowań czy choćby ulubionych filmów naszych rozmówców. Były one niezwykle istotnym elementem projektu, a jednocześnie często pozostawały poza zasięgiem bez bezpośredniego kontaktu z bohaterami. Czy to źle? Oczywiście, że nie. Potrzeba prywatności jest fundamentalna, a badacze rzadko funkcjonują jako osoby publiczne. Jednocześnie współczesna rzeczywistość pokazuje, że skuteczna popularyzacja badań wśród szerokiego grona odbiorców wymaga pełnienia wielu ról jednocześnie – naukowca, mówcy, influencera, osobowości medialnej, menedżera mediów społecznościowych, a nierzadko także reżysera, scenarzysty, operatora kamery czy montażysty. W tym kontekście marka osobista staje się elementem niemal nieodzownym.

Umawiając spotkania, mieliśmy świadomość, że będziemy tę prywatność naruszać jeszcze bardziej, prosząc naszych rozmówców o zaproszenie nas do miejsc, w których najczęściej rodzą się ich idee. Zdecydowana większość wybierała swoje gabinety uniwersyteckie – przestrzenie stosunkowo neutralne, a jednocześnie zawierające osobiste elementy, sprzyjające nagraniom.

Do domów i mieszkań zapraszano nas znacznie rzadziej. Zdarzało się jednak, że mieliśmy okazję poznać członków rodzin: dzieci, wnuki, małżonków czy zwierzęta. Każda z tych wypraw była wyjątkowa. Odwiedziliśmy miasta rozsiadane po całej Polsce – od południa po północ, od wschodu po zachód.

Spotykaliśmy się w bardzo różnych miejscach – raz w kawiarni, innym razem w lesie. Podróżowaliśmy autobusami, pociągami, samochodami lub pieszo. Nie zawsze było łatwo: oprócz korków, wczesnych godzin wyjazdów czy niejasnych tras zdarzały się również sytuacje zupełnie nieprzewidywalne, jak podróż pociągiem, w trakcie której zaczęły płonąć dwa ostatnie wagony.

W ramach projektu udało nam się zgromadzić 24 bezsprzecznie kompetentne bohaterki i bohaterów humanistyki oraz nauk społecznych. Spędziliśmy dziesiątki godzin, słuchając ich opowieści. A jednak dziś, po zakończeniu projektu, mogę z pełną szczerością przyznać, że wciąż nie wiem, jak to robić – jak opowiadać o humanistyce w taki sposób, aby rzeczywiście miała ona sens.

Justyna Rogula

Bohaterki i bohaterowie *Głosów Humanistyki* nie zawsze mówią pięknie. To zaskoczenie. Spodziewałem się kwiecistej polszczyzny i dźwiękowego braku wątpliwości.

Byłem gotowy na spotkania z 24 osobami, które wygłoszą teksty z biegłością funkcjonariuszy PR w akademickiej akcji „nabór”.

Skrycie marzyłem jednak o językowych chropowatościach, kilkunastosekundowych pauzach, nagłych zwrotach i powrotach do wątków sprzed kilkunastu minut, a także pozornych niekonsekwencji i intelektualnych odkryciach, które brutalnie burzą pięknie ułożone frazy ciągów przyczynowo-skutkowych.

Czyli zupełnie nieracjonalnie pragnąłem dodatkowych godzin pracy w programie służącym do wycinania fragmentów wypowiedzi lub przedstawiania ich kolejności oraz scalania myśli, rozrzuconych przez naszych bohaterów na początku, w środku i na końcu rozmowy. I jeszcze to najgorsze: wycinanie momentów zamyślenia, które dźwiękowo przybierają postać pauzy lub kilkukrotnego powtarzania tej samej kwestii albo wręcz bełkotliwego mruczenia. Wyciąć bezdźwięczne myślenie tak, aby pozostało. To było wyzwanie, którego chciałem.

Bardzo dziękuję Superbohaterom, że zaprosili nas do swojego uniwersum, w którym naukowy aparat badawczy nigdy nie przestaje przyglądać się ludziom i światu, a myślenie nie przestaje się dziać.

Wielkie też podziękowania dla zespołu *Głosów Humanistyki*, w którym udało się zgromadzić tyle niezbędnych różnorodności, kompetencji, perspektyw, doświadczeń, dystynkcji i spojrzeń.

Głosy Humanistyki zmieniły mnie.

Zapraszam do słuchania, czytania i wspólnej refleksji.

Tomasz Wołodźko

Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach programu „Społeczna odpowiedzialność nauki II”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

Leszek Koczanowicz

JEŻELI COŚ ROZUMIEMY, TO NAWOŁUJEMY DO ZMIANY
| ODC. 1



Istnieją pewne perspektywy, pewne sposoby rozumienia świata i w związku z tym też jego zmieniania. Zawsze, jeżeli coś zrozumiemy, myślimy też o tym, jak to zmienić. Jeżeli coś interpretujemy, jeżeli uważamy, że coś zrozumieliśmy, to za tym już kryje się *implicite* nawoływanie do zmiany tego stanu rzeczy albo jego udoskonalenia.

Profesor doktor habilitowany Leszek Koczanowicz

Niedaleko wrocławskiego centrum, w jednym z nowoczesnych, designerskich budynków znajduje się mieszkanie pierwszego bohatera naszego podcastu. Wysokie drzwi otwierają się automatycznie, ukazując przestronny, jasny korytarz.

W wypolerowanych kafelkach można się niemal przejrzeć. Wita nas recepcjonista, który uprzejmie wskazuje nam odpowiednie piętro. Wsiadamy do średniej

wielkości windy i wciskamy przycisk z numerem sześć. Jedziemy na najwyższe piętro budynku.

Apartament, w którym mieszka nasz rozmówca, ma modernistyczny, ale jednocześnie przytulny klimat. Białe ściany, jasne, drewniane podłogi i coś, co od razu rzuca się w oczy – liczne obrazy. Wszystko wydaje się mieć tu swoje miejsce.

Nawet względnie przypadkowo rozrzucone książki wyglądają tak, jakby były stworzone do tego, żeby leżeć dokładnie tam, gdzie je zostawiono. Długa, szara kanapa to miejsce pracy naszego bohatera. Ustawiona jest pod jedną z biblioteczek, którą po brzegi wypełniają książki.

Publikacje autora oraz jego żony są częściowo wyeksponowane na małym drewnianym stoliku. Leżą zaraz obok miski pełnej owoców, naturalnie wpasowując się w przestrzeń, jakby były jednym z nieodłącznych elementów wystroju. Jednak to, co przyciąga uwagę najbardziej, to dwa wysokie okna, przez które wpada jesienne światło.

Widok z najwyższego piętra zapiera dech. Deszczowy Wrocław w takich warunkach prezentuje się jeszcze piękniej.

Na pewno zdefiniowałbym się poprzez naukę, bo to jest mój zawód, a nawet powołanie, jak w tym słynnym eseju Webera o polityce: cały czas, całe życie robię to w takiej czy innej formie. Ale intelektualnie zdefiniowałbym się jednak poprzez czytanie. Czytanie poezji jest moją pasją. Powieści trochę też, ale ostatnio literatury czytam już coraz mniej, bo nie mam po prostu na to czasu. A emocjonalnie zdefiniowałbym się poprzez relację z Dorotą i synem, który teraz jest w Stanach Zjednoczonych, ale codziennie rozmawiamy dość długo.

„Jestem zawodowym humanistą”, a więc myślę jak humanista, a świat staram się postrzegać i postrzegam w taki sposób, w jaki nauczili mnie wielcy mistrzowie humanistyki, jeżeli tak to można górnolotnie powiedzieć – pewnie nawet w tych wymiarach, w których nie jestem tego świadomy.

Irytuje mnie tendencja do oddzielania zawodu od życia. To jest bardzo modne, szczególnie w różnych popularnych podręcznikach psychologii. Oderwij się, bądź w pracy te osiem godzin, ale potem o niej nie myśl, i tak dalej. Jestem zwolennikiem tezy głoszonej przez wielu filozofów, w tym Karola Marksa, według której praca jest istotą człowieka, wymiarem egzystencjalnym. Oczywiście

wiemy, że dla wielu ludzi praca rzeczywiście może być czymś, co traktują jako konieczność. Tym, co właśnie w filozofii lewicowej było nazywane alienacją pracy. Ale myślę, że to też niebezpieczna tendencja, bo jest przekonaniem, że można tak oddzielać różne sfery życia. A moim zdaniem – nie chcę znowu popadać w górnolotne słowa – w końcu to praca jest tym, w czym się realizujemy. I jeżeli ją się oddziela, to wtedy zachodzi potworne niebezpieczeństwo rozpadu osobowości.

Myślę, że odczuwam i partycypuję jako humanista. Jeżeli spotykam się z jakimś zjawiskiem (czy w życiu zawodowym, czy prywatnym), to ta maszyna, taka humanistyczna maszyna interpretacji, zawsze pracuje, czy chcę tego, czy nie chcę. Jeżeli uczestniczę na przykład w jakimś wydarzeniu kulturalnym czy politycznym, to natychmiast myślę, jakie odbywają się tam interakcje, jak ludzie konstruują sobie to wydarzenie, ten świat, co dla nich znaczy udział w tym wydarzeniu, co to znaczy, że oni tam w ogóle są.

W życiu prywatnym przynajmniej nie robię tego świadomie. Powiedzmy: siedzę z Dorotą i ze znajomymi przy winie. Oczywiście w takiej sytuacji też bardzo łatwo jest się zastanawiać nad tym współczynnikiem humanistycznym (jak to się czasem mówi za Znanieckim), który się tam pojawia. Staram się tego nie robić, ale myślę, że podświadomie ta maszyna interpretacyjna wciąż działa.

Jeżeli chodzi o wydarzenia kulturalne czy polityczne, czuję, że zawsze, nawet mniej lub bardziej świadomie, odnoszę się do literatury. Myślenie w kategoriach na przykład eseju, który można by napisać, na podstawie danego wydarzenia. Ale, jak powiedziałem, w życiu prywatnym nie chcę tego robić, choć obawiam się, że podświadomie i tak to jakoś tak działa.

Jeżeli chodzi o „mistrzów książkowych”, czyli takich, którymi byłem zafascynowany, moim podstawowym kryterium uznania za mistrza kogoś, czyją książkę czytam, jest zdanie sobie sprawy, że sam bym tego nie wymyślił. To jest coś, co mnie czasami uderza – taki bardzo ciekawy ruch myśli.

Przez wiele lat zajmowałem się pragmatyzmem. To była moja specjalność naukowa, między innymi George Herbert-Mead, ale też inni pragmatyści. Więc w tym siedziałem i bardzo wiele się nauczyłem, ale myślę, że zawsze miałem do tego jakiś rodzaj dystansu.

Na przykład mój doktorat był o Herbercie Meadzie, ale też radzieckim (czy rosyjskim) psychologu Lwie Wygotskim i klasycznym behawioryzmie. Czyli

omówiłem trzy różne koncepcje, które starałem się połączyć, dzięki czemu miałem jakby różne perspektywy. To jest to, co uważam za najważniejsze – że taką osnovą humanistyki jest zdolność przesuwania się od jednej perspektywy do innej, czyli umiejętność wykorzystywania różnych perspektyw, patrzenia na świat z różnych pozycji, pod różnymi kątami.

Ale oczywiście cena jest taka, że nie ma się tego jednego mistrza. Ja wiem, że nie wszyscy tak uprawiają humanistykę, bo obecne w są niej oczywiście bardzo znaczące szkoły, ale osobiście właśnie tak bym to widział.

Czy w pracy naukowej można się stać dojrzałym? Bałbym się tak powiedzieć, raczej powiedziałbym, że dojrzały się stawałem. Im bardziej wrastałem w tę pracę naukową, tym bardziej starałem się zestawiać odmienne, bardzo odległe od siebie perspektywy, co zresztą spotykało się i spotyka z różnymi, że tak powiem, ocenami.

Ostatnia książka, a właściwie przedostatnia, *Lęk i olśnienie*, zawiera co najmniej trzy eseje, które są po prostu autobiograficzne. Jest esej o moim dzieciństwie w Legnicy, jest esej o starości, jest esej o kartce, którą dostałem od mojej mamy tuż przed jej śmiercią. I te trzy eseje to właśnie jest może taka najbardziej radykalna próba połączenia nawet osobistego doświadczenia z narracją naukową czy humanistyczno-naukową, czyli interpretacyjną. I wydaje mi się, że będę starał się iść w tym kierunku. Chociaż zawsze w pracy w Akademii człowiek jest trochę rozdarty, bo podejmuje się różnych zadań... Ja na przykład jestem w grancie europejskim, w ramach którego badamy demokrację, rzeczy, które mnie bardzo interesują. To duży grant, więc jest taką maszyną – i muszę się dostosować. Ale nagrodą za to dostosowanie jest dostęp do różnych perspektyw. Z drugiej strony, w tych pracach grantowych już nie mogę ot tak sobie odwoływać się do, powiedzmy, indywidualnego doświadczenia, bo obowiązują tam pewne wymogi formalne i metodologiczne. Ale jak mówiłem, mam za to wgląd w różne perspektywy, spotykając się z ludźmi, dyskutując z nimi, wspólnie pracując i czytając badania.

A oprócz tego mam zamiar kontynuować tę ścieżkę, powiedzmy, nadawania sensu własnemu doświadczeniu. Jest kilka tematów, które mnie fascynują i które mam zamiar podjąć. Jak wyjdzie? Nigdy nie wiadomo.

Jak piszę, to raczej koncentruję się na jednym temacie, który jest związany z tym, nad czym aktualnie pracuję. Natomiast w tym samym czasie zbieram materiały, refleksje, przemyślenia do innych rzeczy. Czasem zapisuję, a czasem pamiętam.

Więc to jest jakby praca równoległa – kończę albo przerywam pisanie jednej rzeczy i przystępuję do drugiej. Czasami to jest wymuszone przez zmożenie współczesnego życia akademickiego, czyli *deadline*. Po prostu drżymy, jak to słyszymy, a w nocy budzimy się z krzykiem, bo zapomnieliśmy na przykład, że kolejnego dnia jest termin (albo był już o północy...).

Ale takie są wymogi i z tym się muszę pogodzić, więc czasami przerywam, wracam... Co nie sprawia mi zresztą specjalnego kłopotu. Niektórzy na to narzekają, ale ja tak pracuję. Czytam na przykład literaturę potrzebną do opracowania innych tematów niż te, o których piszę w danym momencie – piszę o jednym, a czytam co innego.

Jeżeli chodzi o pracę we wspomnianym grancie (czy inne podobne), taką czysto akademicką, to są w nim inne wymogi formalne. W takiej sytuacji po prostu myślę i zbieram pomysły co do układu treści, co do idei. Tylko problem polega na tym, że one się zmieniają. Kiedy czyta się różne książki, zawsze jest przygoda. Powiedzmy, że mam jakiś temat w głowie i czytam, a wtedy oczywiście różne rzeczy pojawiają się w myślach. Wchodzę w dialog z książką i moje podejście zaczyna się zmieniać.

A po drugie – sam proces pisania. Ktoś ładnie powiedział, że ołówek jest mądrzejszy ode mnie. Teraz oczywiście nie piszę ołówkiem, ale doktorat tak jeszcze powstawał. Studenci nie chcą wierzyć, kiedy im opowiadam, że taka była praca, że pisało się ołówkiem, ścierało gumką, poprawiało, potem się przepisywało, robiło własny maszynopis, a na końcu oddawało do przepisania na czysto maszynistce zawodowej. Jest anegdota, która krążyła po Instytucie Filozofii, o genialnej maszynistce, której żadne te kategorie, ta metafizyka i trudne nazwiska nigdy się nie myliły. Ale miała taką przypadłość, że dodawała. Na przykład, jak ktoś napisał „średniowiecze”, to ona dodawała „czasy mroku i upadku”. I to była cena za jej usługę.

To, co powstaje w głowie, to są pomysły, idee. Potem się je rozpisuje i one wracają do głowy. I widzi się, że wyszło coś innego, może równie ciekawego, może mniej ciekawego. I znowu się do tego wraca, to jest taki ciągły proces: tam i z powrotem. Osobiście uważam się za filozofa dialogu, choć nie wiem, czy można powiedzieć o dialogu głowy z komputerem – to pewnie trochę ryzykowne, ale coś takiego właśnie się dokonuje.

Piszę małymi fragmentami, nie celebruję tego tak bardzo. Są ludzie (mam takich kolegów), którzy się zamykają, bo nie chcą nikogo widzieć, i wtedy piszą.

Ja staram się pracować, że tak powiem, w otoczeniu naturalnym, którym jest dla mnie ten pokój i obecność Doroty, ale właśnie takimi małymi porcjami. Czasami mam do siebie pretensje, że nie potrafię tak sięść, zacisnąć zębów i sprawnie napisać dużego tekstu.

Profesor Dorota Koczanowicz, kulturoznawczyni: Leszek pracuje zupełnie inaczej niż ja. Dokładnie o tym wiem, bo mu zazdroszczę, że jest w stanie skoncentrować się w bardzo krótkim czasie i może pracować tak jakby z doskoku. Ja potrzebuję bardzo dużo czasu na to, żeby włączyć się w proces pracy, natomiast Leszek może po prostu z jakiejś aktywności natychmiast przejść właśnie do takiej wymagającej bardzo dużego skupienia i zacząć pracować. Nawet jak nie ma takiej totalnej ciszy, nawet jak jest bałagan.

Uważam, że współczesne czasy to już nie są czasy na pisanie grubych książek. Zresztą ostatnie moje książki to właściwie zbiory esejów. *Polityka dialogu* jest może ostatnią książką napisaną „w całości”.

Teraz wychodzi moja kolejna książka, wydana po angielsku przez Palgrave, dotycząca polityki i ciała (*Polityki oporu. Nieposłuszne ciała i nisze emancypacji*). Jest dość krótka, bo Palgrave uruchomiło bardzo dobrą serię i wyczuło trendy, o których mówiłem. Ta książka to coś między długim artykułem a krótką monografią. Od dwudziestu do pięćdziesięciu tysięcy słów. Czyli więcej niż artykuł, ale mniej niż taka standardowa monografia, która ma zwykle od osiemdziesięciu do stu tysięcy słów.

Mam raczej problem nawet z takim, powiedziałbym, nadmiarem pomysłów i ich selekcją. Czyli jestem, no właśnie, humanistą. Jest taka słynna anegdota o spotkaniu André Bretona z Albertem Einsteinem. Breton pyta Einsteina, jak zapamiętuje swoje idee, bo – mówi – „ja mam tyle pomysłów i jak ich nie zapiszę, to one giną”. A Einstein na to: „ja nie mam z tym żadnych problemów. Kiedy człowiek ma w życiu jedną nową ideę, no, góra dwie (to już jest bardzo dużo), nie musi niczego zapisywać”. No więc ja jestem po stronie André Bretona. Nie powiedziałbym, że miałem w życiu jedną wielką ideę. Mam różne idee, chociaż gdybym tak patrzył wstecz, to myślę, że one obracają się wokół kilku osiowych tematów, ale to widać dopiero z perspektywy czasu.

Myślę, że głównym zadaniem humanistyki jest próba zrozumienia siebie i świata, w którym się żyje. To jest takie klasyczne podejście, od Sokratesa. A drugim, ale może wynika ono z tego pierwszego, jest pokazywanie pewnych perspektyw.

I sędzę, że to ważne dla każdego, kto podejmuje ten niewdzięczny trud bycia uczonym. Bo to jest, uważam, pod wieloma względami bardzo niewdzięczna, trudna praca. Nie mówię nawet o warunkach materialnych. Chodzi o coś innego. Zmagamy się, odkrywamy, udaje nam się, nie udaje, ponosimy porażki i tak dalej, ale wydaje mi się, że myślimy, że zawsze w tle jest coś takiego, że te wyniki coś zmieniają. W fizyce, w naukach ścisłych to jest oczywiste, że odkrycie lekarstwa czy teorii względności zmieni nasze postrzeganie świata, niezależnie od tego, czy ktoś je rozumie, czy nie.

Natomiast w humanistyce i w jakimś sensie w naukach społecznych – chociaż te chyba coraz bardziej uciekają w taką mimikrę wobec nauk przyrodniczych (co jest oczywiste, bo to daje im większe bezpieczeństwo), istnieją pewne perspektywy, pewne sposoby rozumienia świata i w związku z tym też jego zmieniania. Zawsze, jeżeli coś rozumiemy, myślimy też o tym, jak to zmienić.

Jeżeli coś interpretujemy, jeżeli uważamy, że coś zrozumieliśmy, to za tym już kryje się *implicite* nawoływanie do zmiany tego stanu rzeczy albo jego udoskonalenia. My proponujemy pewne sposoby rozumienia świata, ale tak na dobrą sprawę nie wiemy, czy one zadziałają. Jedynym kryterium jest to, czy ludzie je zaakceptują, czy uznają, że są dla nich ciekawe.

To jest szczególnie widoczne w humanistyce, bo w naukach społecznych mogą powstawać pewne konkretne rozwiązania. Na przykład w socjologii medycznej, w politologii czy w prawie może się to bezpośrednio przekładać na sposoby organizacji pracy i społeczeństwa, ale w humanistyce chodzi o dostarczanie pewnych perspektyw. Właściwie każda nauka czy dziedzina humanistyczna (może lepiej unikać słowa „nauka”), musi mieć taką ambicję – to jest po prostu wbudowane w sens humanistyki.

Humanistyka jest ciągle otwarta i – paradoksalnie – zmiany technologiczne w jakiś sposób wymuszają w niej nowe tematy, nowe odkrycia, perspektywy humanistyczne. Na przykład w konfrontacjach ze sztuczną inteligencją w pewnym sensie wracają te klasyczne pytania: kim jest człowiek, czy człowiek jest tylko myśleniem, czy człowiek jest mechanizmem do racjonalnego rozwiązywania problemów, czy człowiek jest tylko językiem, czy jest w nim coś więcej i czy to coś więcej jest istotne czy nie?

Ja na przykład w książce o ciele tylko dotknąłem tego problemu. Odwołałem się w niej się zresztą do eseju, w którym słynny Harari (jeden ze współautorów) pisał właśnie o zagrożeniach sztucznej inteligencji, mogącej zhakować, jak to ładnie określił, kod ludzkości. Ale jesteśmy też ciałami, więc nasze życie jest zupełnie odmienne. Być może kiedyś sztuczna inteligencja będzie mogła je naśladować (to podejrzane prorokowanie), ale mnie się wydaje, że to ponownie wymusi zmianę perspektywy na naturę człowieka. Te wielkie pytania po prostu wracają.

Pisanie jest zawsze bolesne, ale jest też bardzo ciekawe. Moim ulubionym sposobem jest wpadanie na pomysł i układanie kręgu czy sieci różnych idei wokół tej głównej. To jest przyjemność: zestawianie różnych pomysłów i myślenie, jaka by z nich wyszła całość, jaki esej by się zbudowało.

Moim najmniej ulubionym elementem jest oczywiście sam proces pisania, choć może najbardziej go doceniam. Czyli: lubię początkowe etapy pracy, ale najbardziej doceniam sam proces pisania, bo bez niego te pierwsze etapy znikają, te idee tylko krążą. Ja sobie coś tam układam, myślę, czasem nawet notuję (coraz częściej, bo kiedyś pamiętałem wszystko, ale teraz coraz z tym gorzej), ale potem dopiero ten proces ubierania w słowa, konstruowania tekstu nadaje temu ciało. Ale to jest bolesne i dlatego tego nie lubię. Za każdym razem, kiedy mam usiąść i zacząć pisać, po prostu czuję coś takiego w środku, że to będzie coś bolesnego. Teraz zresztą piszę wstęp do redagowanej przeze mnie książki, właśnie o ciele i jego historii, o tej somaestetyce (i polityce), który musiałem bardzo skrócić. Dlaczego ciało dopiero stosunkowo niedawno „przebiło się” jako samodzielny podmiot działania? Wcześniej oczywiście też się pojawiało, ale w innych kontekstach, na ogół jako przedmiot podporządkowania.

To, co piszę w tym wstępie, jest powiązane z moją koncepcją, którą ja z kolei wzięłem od Shustermana, ale przełożyłem na politykę, z czego uzyskałem ciało jako aktywny podmiot emancypacji. I w tym wstępie wracam do tego, bo niby już jakiś problem miałem rozwiązany, książki się napisały, ale trzeba było jeszcze napisać krótki wstęp, ukazany z innej perspektywy i z innymi odwołaniami. Gotowy fragment, który napisałem, ma w tej chwili jakieś dwie i pół strony, a powinno być ich co najmniej dziesięć, dwanaście. Tak właśnie myślimy zawsze – jedna rzecz to są idee, pomysły, a druga to jest ten *deadline*: że trzeba jakiś rozdział napisać, że ktoś musi to jeszcze sprawdzić.

Adam Pawłowski

*NIE MA PROSTEJ ODPOWIEDZI NA PYTANIE, CZY WIEDZA
ZMIENIA ŚWIAT NA LEPSZE | ODC.2*



Coraz wyraźniej widać, że humanistyka cyfrowa wytwarza nowy typ naukowca. Należę do tej społeczności i wraz z resztą środowiska zadaję sobie czasem pytanie, czy w stosunku do głównego nurtu humanistyki, do rzeszy polonistów, neofilologów, historyków, antropologów, medioznawców... jesteśmy marginesem czy może awangardą? Otóż uważam, że odróżnia nas holistyczne, transdyscyplinarne i kompleksowe myślenie, które jest wsparte kompetencją w zakresie nowych technologii.

Profesor doktor habilitowany Adam Pawłowski

Tym razem poszukiwania bohatera humanistyki zaprowadziły nas na ruchliwe wrocławskie osiedle.

W nieco oddalonym od centrum, wielopiętrowym bloku mamy spotkać się z naszym kolejnym rozmówcą. O ustalonej wcześniej godzinie profesor wygląda przez okno i macha nam na powitanie. Od razu po przekroczeniu progu czujemy ciepło i komfort. Witają nas drewniane podłogi, zadbane roślinki i ciepłe barwy.

Wszędzie dookoła znajdują się oprawione w ramki rodzinne zdjęcia. W środku panuje przyjemna, naturalna cisza. Przerywa ją dopiero odgłos zegara, który wybi-ja rozpoczęcie nowej godziny, a następnie powraca do rytmicznego tykania.

Mieszkanie ma dwa poziomy. Zostaliśmy zaproszeni do kuchni z salonem, znajdującej się zaraz obok wejścia. Profesor zdradził nam, że nie ma miejsca, które wią-załaby bezpośrednio z tworzeniem naukowych idei. Pomysły mogą do niego przyjść w każdym miejscu i okolicznościach.

Gospodarz zaproponował i wskazał nam miejsce przy stole. Przez uchylone okno wpada chłodne, wieczorne powietrze. Towarzyszą nam odgłosy dużego mia-sta. Kawa została podana w pięknych, kwiatowych filiżankach. Pijemy kilka tyków, rozkładamy sprzęt i zaczynamy nagrywać.

Tym, co uruchamia kreatywne myślenie, co wprowadza mnie na jego nowe ścieżki, jest najczęściej relaks i „odbodźcowanie”. Stan taki można oczywiście osiągnąć w różnych miejscach, ale bardzo dobrze działa na mnie Polana Jakuszycka i Góry Izerskie, szczególnie zimą, gdy biegam na nartach.

Właśnie tam, w górach, daleko od zgiełku miasta, zdarza mi się wpadać na różne dziwne pomysły. Ale to tylko połowa sukcesu, ponieważ pomysł trzeba później skonkretyzować, rozwinąć, co wymaga czegoś zupełnie innego, a mianowicie rozmowy i interakcji. To akurat łatwo osiągam w ruchu, chodząc. Nie wiem, czy to normalne czy wyjątkowe, ale dość trudno jest mi myśleć w sposób proceduralny, konstruktywny w pozycji nieruchomej. Jeżeli więc miałbym wskazać na jakieś okoliczności, które sprawiają, że pojawiają się u mnie ciekawe pomysły, to jest to na pewno kombinacja tych czynników, czyli z jednej strony odbodźcowania i samotności, a z drugiej stymulacji rozmową z innymi ludźmi, najlepiej bezpośrednio, a nie za pośrednictwem komunikatora czy telefonu. Podsumowując, żeby dobrze myśleć, muszę być najpierw sam, a później mieć towarzystwo ludzi i się ruszać. A ponieważ lubię ser feta, szaszłyki i retsinę, myślę czasem, że w jakimś dawnym wcieleniu byłem greckim perypatetykiem¹.

¹ Ci kontynuatorzy myśli Arystotelesa swoje dysputy wiedli, spacerując (gr. περιπατητικός – spacerujący).

Zdefiniować humanistykę cyfrową nie jest łatwo, ponieważ próbujemy zamknąć w statycznej formule coś, co zmienia się na naszych oczach. Gdyby cofnąć się o kilkanaście lat, znaleźlibyśmy określenie „*computational humanities*” albo „*computational linguistics*”, a w wersji polskiej „literaturoznawstwo komputerowe”. Nazwa „*digital humanities*” dopiero niedawno zyskała tak wielką popularność, że wyparła dawne nazwy.

W polszczyźnie, podobnie jak w innych językach, używamy zamiennie nazwy angielskiej i tłumaczenia. Czym zatem jest owa humanistyka cyfrowa? Moim zdaniem jest ona efektem przeniesienia do świata cyfrowego, a następnie rozwinięcia praktyk poznawczych, które zostały wypracowane w erze druku lub w jakiś sposób wywodzą się z dawnej kultury komunikacji.

Ale procesy społeczne są powolne i cechuje je daleko idąca zachowawczość. Nie jest więc tak, że danego dnia kończy się świat druku i zaczyna cyfrowość. Etapem pośrednim jest coś, co nazwałbym „czasem replik cyfrowych” dziedzictwa druku. W sposób naturalny myślimy jeszcze kategorią książki kodeksowej, strony drukowanej – i w świecie cyfrowym zostaje to odtworzone, na przykład jako „książka elektroniczna”. Tak, język, a de facto ludzka kultura, są takim konserwatywnym repozytorium pamięci. No bo plik z jakimś kieszonkowym nośnikiem to nie książka. Czytnik lub dowolne inne urządzenie nie należy już do świata Gutenberga. Swoistym symbolem tego przejściowego okresu jest format PDF – już cyfrowy, ale jeszcze głęboko gutenberkowski, statyczny w układzie i nie w pełni dostosowany do urządzeń mobilnych.

Żyjemy więc w momencie przejściowym i postrzegam to jako przywilej mojego pokolenia. Pamiętam świat bez komputera, pamiętam kolejne wersje starych maszyn liczących, ich przemiany i kolejne przyspieszenia technologiczne. Mam poczucie, że w ciągu jednego życia przemierzyłem, w sensie cywilizacyjnym, dwie epoki – końcówkę świata Gutenberga i narodziny cyfrowości, wirtualności, sztucznej inteligencji. A wracając do humanistyki cyfrowej, jej stan sprzed dwóch, trzech lat, a także zachodzące zmiany opisuje zespół autorów w książce zatytułowanej *Od Gutenberga do Zuckerberga. Wstęp do Humanistyki cyfrowej*, którą miałem przyjemność redagować.

Jak rozumieć humanistykę cyfrową? Pewne jej założenia są bardzo istotne, inne nieco mniej. Na przykład istotna jest praca na wielkich wolumenach danych. W epoce druku takie dane istniały, ale ludzie na nich nie pracowali. Fizycznie nie da się ręcznie przetworzyć setek tysięcy tomów, które zalegają półki

magazynowe. Człowiek jest w stanie pracować tylko na ograniczonym zbiorze tekstów – takim, który może przyswoić i zapamiętać. Natomiast w przypadku humanistyki cyfrowej nie ma tych ograniczeń, można efektywnie pracować na dowolnych pod względem objętości zbiorach. Właśnie ta cecha, w połączeniu z algorytmizacją powtarzalnych czynności, jest jednym z wyróżników humanistyki cyfrowej na tle czasów minionych.

No dobrze, ale nauka to nie tylko traktowana łopatologicznie ilość, ale także jakość, złożoność i wieloaspektowość. Cechą, która w praktyce badawczej cechuje dzisiejsze podejście humanistów cyfrowych jest łączenie danych, czyli (znowu z angielskiego) „*linked open data*”. Co się kryje za tą nazwą? Chodzi o wiązanie ze sobą w jednym środowisku różnych zbiorów danych pod względem formatu i reprezentowanego wymiaru rzeczywistości, ale zależnych semantycznie. Wyobraźmy sobie chociażby tradycyjny biogram, który można znaleźć w dowolnym słowniku biograficznym. Będzie on zawierał imię i nazwisko, zdjęcie, dane o miejscu urodzenia i śmierci, opis drogi życiowej i zawodowej konkretnej osoby, jej osiągnięcia, dane innych osób, nazwy organizacji czy instytucji i tak dalej. Może też pojawić się grafika, a nawet nagranie głosu. W świecie papierowym te dane można łączyć na przykład skorowidzem, ale faktycznie funkcjonują one w oderwaniu, zachowując swoją autonomię. W świecie cyfrowym jesteśmy w stanie wiązać ze sobą całe hipertekstowe sieci zależności.

Taką dynamiczną strukturą jest oczywiście cały Internet, tyle że jego dynamizm raczej kojarzy nam się z chaosem, a nie porządkiem. Gdy jednak wyobrazimy sobie nowoczesną bazę biograficzną, będzie ona w istocie dynamiczną strukturą, złożoną z nazw, map, grafiki. Wybrane terminy (przede wszystkim „*named entities*”, czyli byty nazwane) z jednej bazy będą rzutowane na inne zasoby, w tym mapy, oraz oś czasu. W efekcie powstanie spójna i wygodna w użyciu sieć obiektów i kategorii, powiązanych różnymi relacjami.

Osoba myśląca kategoriami jednego biogramu, zapyta: „no i co z tego wynika? Przeczytałem, a jeśli będę potrzebował czegoś więcej, sprawdzę w innym źródle, sięgnę po mapę – po prostu nic nadzwyczajnego”. Ale spróbujmy zastąpić jeden biogram wielkim zbiorem dziesiątek lub setek tysięcy takich obiektów. Na przykład polskich uczonych, nauczycieli, robotników albo sybiraków. Narzędzia cyfrowe pozwolą nam rzutować miejsca urodzin lub śmierci tych osób na mapę. Stworzymy tym sposobem chmury punktów, które ujawnią nam nowe prawidłowości, których normalnie byśmy nie zauważyli. W tradycyjnym, gutenbergowskim świecie postępowanie takie było trudne, kosztowne, a w wielkiej skali praktycznie niewykonalne.

Ale humanistyka cyfrowa to także nowe metody pracy. Mało kto potrafi tutaj osiągać znaczące wyniki w pojedynkę, dlatego pracujemy zespołowo. Ubiegamy się o projekty, tworzymy konsorcja. W tej chwili w Polsce działają dwa takie konsorcja, skupiające różne uczelnie i instytuty Polskiej Akademii Nauk. Jest to CLARIN-PL z siedzibą we Wrocławiu (Politechnika Wrocławska) i DARIA-H-PL, którego liderem jest Uniwersytet Warszawski.

Konsorcja ubiegają się o środki wspólnie i tak też rozwijają infrastruktury cyfrowe dla szeroko pojętej humanistyki i nauk społecznych. Znany z historii wzór samotnego naukowca, który zaszył się w bibliotece albo uciekł na wieś i tam tworzył wielkie dzieła, ale w humanistyce cyfrowej nie działa.

Owszem, jest faza pracy koncepcyjnej, którą można (a często trzeba!) wykonywać samotnie podczas spaceru w lesie (na nartach, na basenie i tak dalej), ale nadanie jej materialnego kształtu, stworzenie aplikacji czy narzędzia, które będzie działać i efektywnie służyć odbiorcom, wykracza poza możliwości pojedynczego badacza.

Jednym z nowych rozróżnień terminologicznych humanistyki cyfrowej, ponieważ definiujących jej istotę, było określenie dwóch sposobów czytania: „*close reading*” i „*distant reading*”.

Jeśli przetłumaczymy te angielskie terminy wprost, otrzymamy „czytanie bliskie” i „czytanie dalekie”. Czytanie określane jako bliskie jest po prostu staranne, dokładne, wnikliwe, ale też i powolne. Kojarzymy je z tradycyjnym studioowaniem ksiąg uczonych albo literatury pięknej. Natomiast to, co twórca tych terminów, amerykański profesor Franco Moretti, określił jako czytanie odległe, jest w istocie automatyczną analizą danych i wydobywaniem z nich różnych relewantnych treści, które użytkownika interesują. Z tradycyjną interpretacją dzieła literackiego nie ma to więc nic wspólnego.

Oczywiście nie mogę się wypowiadać w imieniu dyscyplin, których nie uprawiam, ale czuję, że w środowisku intelektualistów wyczuwa się niepokój, dotyczący tego, czy ta nowa humanistyka podważy wartości i metodykę pracy wypracowane przez pokolenia – tym bardziej, że teraz w sukurs „nowocześnikom” przyszła sztuczna inteligencja. Otóż zmiany przynajmniej w pewnych sferach są już nieodwracalne. Wystarczy zresztą porównać świat sprzed dwudziestu, trzydziestu lat z dzisiejszym. Nowy warsztat, inne narzędzia, inna dostępność do

źródeł. To wszystko sprawia, że humanistyka ograniczona do świata druku staje się rodzajem rzemiosła tradycyjnego, takim kowalstwem artystycznym nauki.

Ten niepokój daje się więc łatwo wytłumaczyć. Człowiek jest w sumie istotą bardzo konserwatywną, żyje inercją, a przy tym docenia wygodę i oszczędność wysiłku. Dobrym tego przykładem jest przemysł filmowy lub dominująca ilościowo, niezbyt ambitna literatura. Jeśli chce się nakręcić popularny film lub napisać poczytny kryminał, to dzieło takie powinno opowiadać te same, stare i znane od wieków historie. Trzeba tylko zmienić dekoracje i stworzyć nowe warianty królowej, kopcuszką, syna marnotrawnego, nawróconego łotra i tak dalej. Praktycznie większość produkcji filmowej i piśmienniczej opiera się na powielaniu w kółko tych samych motywów, ale w innych konfiguracjach. Od czasu do czasu zdarzają się zmiany, pojawia się nowy element, który – jeżeli został zaakceptowany przez widzów – zaczyna być powielany. Widz lub czytelnik musi jednak mieć za każdym razem subiektywne odczucie obcowania z czymś nowym, chociaż w istocie przemysł rozrywki oferuje mu wciąż to samo.

Czy w ten schemat behawioralny wpisuje się też humanistyka cyfrowa. Zapewne naukowcy powiedzą, że ich to nie dotyczy, bo są grupą kreatywną, innowacyjną i otwartą na zmiany. Nic bardziej mylnego, to tylko pozory. Naukowcy są w myśleniu tak samo inercyjni jak inni ludzie. Dlatego wiele osób oczekuje od humanistyki cyfrowej tego, co wcześniej dawała humanistyka druku; a jeżeli pojawia się coś nowego, na przykład infrastruktura cyfrowa jako generator wyników o nieograniczonych możliwościach zamiast jednego konkretnego wyniku, ze strony środowiska napotykamy nieufność, niezrozumienie i opór. Wypadamy na margines głównego nurtu naszych dyscyplin. Przekonanie, że chcemy robić rewolucję, że wprowadzamy jakieś nowinki, wytwarza w stosunku do nas dystans.

Aby nie być gołosłownym, chciałbym podać przykład webserwisu, który akurat mam przyjemność tworzyć. Chodzi o ChronoPress, rozwijany w ramach konsorcjum CLARIN-PL. Widać tam jak na dłoni cechy humanistyki cyfrowej, o których wspominałem.

Po pierwsze odczuwalny jest tutaj ciężar finansowy przedsięwzięcia. Koszty stworzenia i administrowania serwisu są wysokie nawet przy ostrożnym gospodarowaniu. Serwis tworzymy nie na podstawie całych czasopism czy gazet, ale metodą reprezentatywną. Czyli w sposób systematyczny wybieramy fragmenty z periodyków, które ukazywały się w kolejnych latach. Można to uzasadnić w ten sposób, że jeżeli jakieś zjawisko pojawiło się chociaż na krótko

w dyskursie publicznym, to nawet praca na fragmentach pozwoli je wychwycić. Serwis taki nie pozwala na czytanie całych gazet, ale za to oferuje automatyczny przegląd zjawisk w długim okresie.

Moją intencją jest pokrycie tym korpusem stu lat polskiej niepodległości. Obecnie udostępniamy dane z lat 1945–1971, ale przyrost trwa cały czas. Jednocześnie pracujemy nad prasą dla Polaków wydawaną w latach 1939–1945 przez okupanta niemieckiego i sowieckiego („prasa gadzinowa”).

Korpus zawiera w tej chwili około 45 milionów wyrazów, co jest niezłym rezultatem, plasującym ChronoPress w kategorii korpusów średniej wielkości. Dane te ujęte są w około 150 tysiącach anotowanych ręcznie próbek. Każda próbka jest oznaczona nazwiskiem autora, tytułem artykułu i czasopisma, do tego dochodzi data. W większości staraliśmy się umieszczać też obieg (na przykład oficjalny, czyli pierwszy) i ekspozycję, a więc rozróżniać artykuły ze stron tytułowych i środka numeru.

Korpus jest też anotowany na poziomie pojedynczych wyrazów i zdań. Dzięki temu, szukając konkretnego wyrazu, możemy posługiwać się jego formą podstawową, a system znajdzie wszystkie użycia w postaci odmienionej. Rozwiązanie to działa w większości przypadków, ale formy homograficzne (identyczna forma i różne znaczenia) może pomylić. Czy „studia” to liczba mnoga od typu pomieszczenia czy etap szkolnictwa wyższego? My wiemy to jedynie dzięki kontekstowi, a automatyczne rozpoznanie właściwej kategorii jest ma razie trudne.

Serwis ChronoPress pozwala między innymi na wyświetlenie szeregu czasowego, czyli pokazanie, jak frekwencje wyrazów zmieniały się w czasie. Brzmi to może technicznie mało zachęcająco, ale proszę sobie na przykład wyobrazić, że sprawdzamy wyraz „wigilia” w latach 1945–1970. Okazuje się, że „wigilia” z dyskursu publicznego znika w roku 1949. Przez kilka lat wyrazu tego nie ma w prasie oficjalnej albo jest go bardzo niewiele. Gdybyśmy wygenerowali szereg czasowy takiego wyrazu jak „Katowice”, zauważylibyśmy, że również ta nazwa znika w 1953 roku i przez około cztery lata niemal nie istnieje w obiegu oficjalnym. Występuje tylko jako nazwa historyczna, na przykład czyjeś miejsce urodzenia w czasach przedwojennych, natomiast pojawia się Stalinogród. To działa na wyobraźnię, ukazując mechanizmy propagandy komunistycznej. Na dodatek można sobie takie dane dowolnie generować. Wysoka cena „wejścia”, czyli stworzenia infrastruktury, zwraca się więc dzięki nieograniczonym możliwościom generowania wiedzy. A teraz wystarczy sprawdzić, jak nisko system nauki instytucjonalnej ewaluuje tworzenie tego typu aplikacji sieciowych, które służą środowisku, przyczyniając się do powstania dziesiątek artykułów

naukowych, w porównaniu nierzadko przeciętnymi publikacjami, których status nie jest jednak kwestionowany.

Czy wiedza zmienia świat na lepsze? Wbrew pozorom jest to trudne pytanie, czego dowodzi długa lista prac na ten temat, powstających od okresu oświecenia. Wtedy bowiem zaczyna się stopniowe przesuwanie ośrodka autorytetu publicznego z religii na naukę. W społecznym odbiorze to uczoney, a nie osoba duchowna, staje się przewodnikiem, rodzajem „świeckiego kapłana”. Dziś mamy za sobą doświadczenie komunizmu i faszyzmu – czasy okropne, które pokazały, że osoby wykształcone, a niekiedy uczeni wysokiej klasy, w odpowiednich okolicznościach mogą stać się zbrodniarzami. No bo to przecież nie było tak, że tylko ludzie prości w cywilu stawali się w mundurach SS czy NKWD oprawcami. Niektórzy mieli ukończone studia i dyplomy, a mimo to wspierali aparat przemocy bez żadnych hamulców. Wiedza ich przed tym nie uchroniła.

Gdyby jednak spróbować zbilansować dobre i złe efekty rozwoju wiedzy, należałoby powiedzieć, że ogólna kondycja ludzkości zmieniła się na lepsze. Pokazuje to wiele parametrów, takich jak długość życia, śmiertelność niemowląt, sprawiedliwość społeczna. Jednak relacja wiedza – dobrobyt nie jest tak oczywista, jak to się filozofom wieku XVIII wydawało. Czy relacja ta jest także widoczna w humanistyce cyfrowej, czyli dyscyplinie, o której mogę wypowiadać się jako specjalista? Plusem jest zmniejszenie nakładów na zdobywanie danych. Raz opracowane korpusy służą naukowcom wielokrotnie, odciażając ich od żmudnej pracy materiałowej. Ale jest też minus: naukowiec, który te dane ma, nie zawsze chce i potrafi je wnikliwie analizować. Mówiąc bardziej obrazowo: sprawnie i naukowo badamy wielkie korpusy dzieł, utworów literackich, prasy itd., których nigdy nie czytaliśmy i raczej nie przeczytamy.

Czy humanistykę warto uprawiać? Mamy tutaj poważny dylemat egzystencjalny: na uczelniach zarabiamy mało, brakuje środków na badania, często musimy więc pozyskiwać je sami. Ich dysponentem są agencje państwowe oraz firmy, ale to pociąga za sobą konieczność sprostania wymogom, które do sfery nauki nie zawsze pasują. Dotacja na budowę mostu kończy się zbudowanym mostem. Na infrastrukturę cyfrową w zasadzie także, ale z praktycznymi zastosowaniami takiej infrastruktury, z jej odbiorem przez środowisko bywa różnie. Problem z humanistyką polega na tym, że nigdy nie działa ona w krótkim okresie, nie

na krótkiego horyzontu i prostych do przewidzenia zastosowań, które da się zmierzyć liczbą kliknięć.

Gdy prowadzi się badania nad odkryciem lekarstwa na jakąś chorobę, to wszystko jest jasne: laboratoria, testy, laboratoria, kolejne testy, przechodzenie od fazy do fazy, w końcu produkt, który powinien działać. Cykl trwa kilka lub kilkanaście lat, a po nim sprawa jest dla nauki zakończona. Dla badacza języka, historii literatury albo doktryn politycznych wygląda to inaczej. Ktoś taki inwestuje swoją wiedzę długoterminowo. Tworzy „produkt”, ale tym produktem jest w istocie student, czytelnik prasy, wychowanek, doktorant. Ktoś, kto później korzysta z tej wiedzy przez całe życie i potrafi ją sobie przyswoić. A więc produktem jest swego rodzaju kapitał wiedzy, zwracający się powoli, przez dziesięciolecia. Na pewno nie przez „okres trwałości” projektu. Jest więc problem z udowadnianiem przydatności badań humanistycznych. Produktami humanistyki są nie tylko monografie, artykuły i infrastruktury, te bowiem bez użytkownika są martwe. Produktem końcowym są ludzie, którzy dzięki naszym publikacjom bądź infrastrukturze ukształtowali swój sposób widzenia świata, zapewniając dobre funkcjonowanie społeczeństwa i jego rozwój. To jednak dzieje się w długiej perspektywie, przez co w okresie kilku lat jest trudno mierzalne.

Wiele razy wspominałem o cyfryzacji albo digitalizacji. Nie mam wątpliwości, że proces ten będzie postępować. Nie ma od niego odwrotu. Ludzie wytworzyli przez wieki ogrom wiedzy utrwalonej w formie dokumentów lub przedmiotów materialnych. To wszystko jest stopniowo transferowane do świata cyfrowego. Oczywiście równolegle powstają nowe wytwory wiedzy, coraz częściej od razu osadzone w cyberprzestrzeni i lepiej pasujące do nowej rzeczywistości. Generacja pamiętająca epokę druku bez Internetu mówi o nich „*born-digital*”. Dla młodszych generacji nazwa ta nie ma sensu, ponieważ w zasadzie wszystko jest już „*born-digital*”. Ale w każdym momencie akademicy i użytkownicy powinni być świadomi tego, jakie jest w cyfrowości miejsce dawnej kultury z całym jej dziedzictwem. No bo stare pytania i dylematy nie zniknęły. AI i cyfrowy świat nie powiedzą nam, czym jest piękno, dobro, dlaczego ludzie cenią poezję i sztukę, jak odróżnić dobro od zła. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że cyfrowość nie polega na zastąpieniu czymś nowym tego, co było, lecz na ciągłej adaptacji dawnych treści i sposobów myślenia do nowego środowiska – a tam, gdzie trzeba, także na odrzuceniu części owego dziedzictwa bez żalu i obaw.

Może o tym nie wspominałem, ale zanim trafiłem na Uniwersytet Wrocławski, studiowałem na Politechnice Wrocławskiej. Obie uczelnie ukończyłem i mam dwa dyplomy. Brzmi to trochę jak oksymoron, ale stałem się humanistą-inżynierem. Kwestie relacji nauk ścisłych, przyrodniczych, humanistycznych, społecznych i tak dalej są mi więc szczególnie bliskie. Uważam, że rywalizacja różnych dyscyplin i związane z tym napięcia zostały sztucznie sprowokowane przez naukę instytucjonalną, która ceni sobie porządek mało przejmując się rzeczywistością. Na przykład, że medioznawca badający prasę uprawia nauki społeczne, a robiący praktycznie to samo lingwista – humanistyczne. Kiedy wspólnie ze współpracownikami z Politechniki piszemy artykuł o automatycznej klasyfikacji tekstów, to oni uprawiają informatykę stosowaną, a ja nauki społeczne, chociaż kilka lat temu byłaby to jeszcze dziedzina humanistyki. Nie dajmy się zwieść tym sztucznym podziałom: nauka nie lubi granic, a drogi prowadzące do rozwiązania problemu biegną przez różne terytoria.

Inną kwestią są predyspozycje człowieka i ich wpływ na takie podziały. Czy jest coś takiego jak umysł humanisty, poety, umysł inżyniera, matematyka? Z tym też jest problem. Wydaje mi się, że nie ma umysłów jednorodnych, jednowymiarowych. Filozof Tadeusz Kotarbiński pisał wiersze, matematyk Hugo Steinhaus aforyzmy, wielu uczonych gra na instrumentach bądź realizuje się na innych polach. Jeśli o mnie chodzi, to rozpocząłem studia na Politechnice Wrocławskiej w czasach, kiedy na te studia trzeba było zdawać egzaminy wstępne z matematyki i fizyki. I gdzieś w okolicach trzeciego, czwartego roku studiów politechnicznych trafiłem na drugie studia na Uniwersytecie Wrocławskim, a konkretnie na filologię romańską. Przyznaję, że musiałem pewne rzeczy poukładać sobie w głowie na nowo. Uczelnia techniczna uczy poprawności terminologicznej, precyzji i jasności, wiele nie tłumaczy, raczej trenuje studentów, by rozwiązywali problemy. Uczelnia humanistyczna otwiera inne neuronalne ścieżki, uczy refleksji, zasiewa wątpliwości, stawia pytanie „po co?”, a nie tylko „jak” coś zrobić? Ogólnie uniwersytet dał mi spojrzenie holistyczne, a nie zadaniowe. Dzięki humanistyce cyfrowej okazało się, że obie te kompetencje świetnie ze sobą współistnieją. Jak Paweł i Gawęł w jednym domku, tylko że nikt nikogo nie zalewa i nie stroi figli. Najwyżej to i owo kwestionuje.

Uważam, że humanistyka cyfrowa powiązała ze sobą różne dyscypliny i dziedziny, tworząc nowy-stary typ naukowca. Nowy, ponieważ jest kombinacją humanistyki i informatyki, co jest przecież sprzeczne z wymogiem wąskich

specjalizacji, a stary, ponieważ takie szerokie spojrzenie znamy z czasów renesansu. Należę do tej społeczności i wraz z resztą środowiska zadaję sobie czasem pytanie, czy w stosunku do głównego nurtu, do całej rzeszy polonistów, neofilologów, historyków, antropologów, medioznawców i innych jesteśmy marginesem czy może awangardą? Otóż uważam, że odróżnia nas holistyczne, transdyscyplinarne i kompleksowe myślenie, które jest wsparte kompetencją w zakresie nowych technologii.

Badania humanistyki cyfrowej prowadzone są zespołowo i wymagają dużych nakładów. Konieczne jest w tym celu zatrudnianie dodatkowych pracowników, finansowanych z projektów, funkcjonujących poza systemem stałych etatów na uczelni. W pierwszej kolejności zespół definiuje swoje cele, a następnie szuka programów wsparcia, aby aplikować o środki. Napisanie wniosku jest zwykle męczące, ponieważ bizantyjska administracja nauki instytucjonalnej stawia mnóstwo wymagań. Jeżeli środki się znajdują, ruszamy do pracy. Nasze działania przypominają wtedy linię produkcyjną, trochę jak w fabryce. W slangu mówimy na to *workflow* albo *pipeline*. Proszę sobie wyobrazić, jaką drogę, etap po etapie, przechodzą dane od stanu surowego do gotowego webserwisu, oferującego złożone usługi, atrakcyjny dostęp do różnych treści i narzędzia analityczne.

W mojej dotychczasowej pracy projektem oryginalnym, ciekawym, zaskakującym dla samych autorów był tezaurus sportu. Tezaurus to słownik hierarchiczny jakiejś dyscypliny. Zawiera terminy powiązane w pionowe drzewka zależności, od ogólnych do szczegółowych. Istnieją tezaursy terminologii handlowej, ekonomicznej, technicznej i tak dalej. Ze zdziwieniem odkryłem, że nie ma tezaursu, który zawierałby nazwy dyscyplin i dziedzin sportu i wzbogacał go jeszcze o pewne dodatki, czyli atrybuty aktywności sportowych.

A zatem postanowiliśmy stworzyć tezaurus sportu. Znaleźliśmy oprogramowanie (Simple Knowledge Organization System, w skrócie SKOS) i udało się zbudować taki tezaurus, na razie w wersji polskiej, ale rozpoczęliśmy testowanie wersji angielskiej. Tezaurus ma ponad półtora tysiąca terminów. Tak, trudno sobie wyobrazić półtora tysiąca dyscyplin sportu, nawet wytrawni znawcy tej tematyki byli zaskoczeni. Skąd aż tyle? Weźmy jako przykład strzelectwo. Liczba dyscyplin jest tam kombinacją takich kategorii jak dystans, typ broni, postawa i płeć. Jak się to wszystko przemnoży, wychodzi poważna liczba!

Dzięki kompetentnym współpracownikom udało się zbudować bardzo dobre narzędzie, właśnie w ramach humanistyki cyfrowej. Mogę tylko dodać, że

było to zaskoczenie dla wielu znajomych z uczelni, którzy na sport patrzą po-błażliwie i z wyższością, jak na plebejską rozrywkę niegodną umysłu uczonego. A nie kto inny jak Kazimierz Wierzyński napisał kiedyś, że sport to wielki teatr świata. I miał rację. Uznaliśmy, że udział w tym przedstawieniu jest godny akademickich umysłów.

Wspomnę o jeszcze jednym projekcie, który uważam za ciekawy i perspektywiczny. Chodzi o stosowanie narzędzi humanistyki cyfrowej do analizy wielkich bibliografii. Potocznie bibliografia to taka prosta pomoc, kilka pozycji umieszczonych pod koniec jakiegoś tekstu lub w przypisach. Niewiele tam informacji, w dodatku jest to zawsze dodatek do czegoś większego i ważniejszego. Ale proszę sobie wyobrazić wielkie bibliografie, liczące miliony rekordów, obejmujące całe dziedziny aktywności ludzkiej lub dotyczące całokształtu intelektualnego życia narodu. Istnieją przecież bibliografie ogólne lub narodowe, a więc spisy wszystkich publikacji, które stworzył konkretny naród. Zawierają one miliony pozycji, które nie są objęte prawami autorskimi, a w dodatku niektóre z nich można legalnie pozyskiwać z sieci. Dane takie udało nam się wraz ze współpracownikiem z Politechniki Wrocławskiej (doktor inżynier Tomasz Wąłkowiak) zdobyć z Biblioteki Narodowej. Przetworzyliśmy je, rozpoznając nazwy własne, które następnie spróbowaliśmy rzutować na mapę. Powstała w ten sposób aplikacja, która pozwala wyświetlać rozkład publikacji z katalogów Biblioteki Narodowej w czasie. W jakim czasie? Staraliśmy się pokryć lata od 1800 do 2020. Niestety dane za okres przed rokiem 1918 są niepełne. Polska jako państwo nie istniała w tamtym czasie, nie było instytucji monitorującej narodowy dorobek piśmienniczy. Zasoby są więc niepełne. Mimo to rzutowanie miejsc publikacji i nazw miast w tytułach pozwoliło nam na przykład wyrysować granice Polski w różnych okresach historycznych.

Do 1945 roku nie widać ziem zachodnich, sporadycznie pojawia się Wrocław, ponieważ w historycznej stolicy Śląska zawsze wychodziły książki w języku polskim, a za wyjątkiem okresu Trzeciej Rzeszy jakaś część populacji mówiła w tym języku. Webserwis jest bardzo wygodny: w każdy punkt można kliknąć i wyświetlić wykres, który pokazuje dynamikę publikowania w konkretnej miejscowości. Można sobie na przykład porównać dynamikę publikowania największych miast: Warszawy, Krakowa, Łodzi, Poznania i Wrocławia. Wtedy okaże się, że Warszawa w całej produkcji publikacyjnej osiągnęła maksimum na początku lat pięćdziesiątych, czyli w apogeum stalinizmu centralizującego w sposób skrajny aktywność polityczną i kulturalną. Wtedy właśnie aż około 85% książek drukowanych w Polsce przynajmniej formalnie wychodziło

w Warszawie, a regiony jako podmioty samodzielne nie istniały. I co ciekawe, udział procentowy Warszawy od roku 1952 maleje praktycznie bez przerwy do dziś. Projekt jest perspektywiczny, ponieważ planujemy zrobić to samo na danych z Niemiec, Czech i krajów skandynawskich.

Przyznaję, nasze plany naukowe są ambitne, ale taka jest cała humanistyka cyfrowa. Poza tym w nauce, jak w życiu, bez bardzo ambitnych celów, często przekraczających nasze możliwości, nie osiągniemy wiele. Według tych zasad starałem się zawsze pracować i jak na razie tego nie żałuję.

[Maja Pawłowska wchodzi z wnukami]: *Dzień dobry.*

Czy może Pani powiedzieć, co się dzieje, jak Pani mąż wpada na jakiś pomysł?

[Śmiech]

Cały czas wpada na jakieś pomysły. Jest osobą, która jest cały czas kreatywna. Ma tysiąc pomysłów na minutę, ciągle.

A czy dziadek dużo pracuje?

[Wnuki]: *Trochę pracuje rano. Na górze ma pracę.*

Epilog

Lektura i korekta zapisu nagrania naszej rozmowy skłoniły mnie do postawienia ostatniego pytania, które dotyczy istoty pracy akademickiej, i które dzięki uprzejmości redaktorów tutaj umieszczam. Uprawiamy naukę, ale czy stosując procedury, opisując rzeczywistość, testując hipotezy, wyciągając wnioski, zastanawiamy się, czym owa nauka jest? Nie chodzi o definicje słownikowe, ale o swoiste DNA tej aktywności. Po wielu latach pracy wydaje mi się, że nauka wyrasta z paradoksu. Układa nam świat, porządkuje doświadczenia zmysłowe, dostarcza narzędzi, a nawet nadaje sens działalności wspólnotowej. Aby to określić jednym adekwatnym określeniem, powiedziałbym, że nauka jest PORZĄDKIEM, którego emanacją są prawa. Tylko że te prawa i prawidłowości wyrastają z kwestionowania porządku zastanego, z negowania praw istniejących, z podważania tego, co chce uchodzić za niepodważalne. Metoda tworzenia owego uporządkowanego obrazu rzeczywistości jest zatem zaprzeczeniem celu, któremu służy. Dlatego pozostaje nauka fascynującą przygodą, której doświadczyć może wyłącznie osoba z duszą buntownika i anarchisty, mającego odwagę i kompetencje, by łamać zasady, przekraczać granice, kwestionować poglądy mistrzów, a czasem nawet swoich kolegów i koleżanek po fachu.

Andrzej Leder

*SPOŁECZEŃSTWO BEZ HUMANISTÓW STANOWI
ZAGROŻENIE SAMO DLA SIEBIE | ODC. 3*



Czasami zdarza się komuś, kto zajmuje się teorią, teorią w humanistyce czy filozofii, wpłynąć na sposób funkcjonowania społeczeństwa. W Polsce w zasadzie ten wpływ jest możliwy tylko wtedy, kiedy pisze się o Polsce, ponieważ jest ona głównym obiektem zainteresowania polskiego społeczeństwa. Ale jednak to się czasem udaje.

Profesor doktor habilitowany Andrzej Leder

Wchodzimy przez furtkę do ogrodu, pukamy do drzwi domu, które otwiera Andrzej Leder.

Zostajemy zaproszeni do kuchennego stołu, na którym leży stos należących do żony profesora książek. Każdy z nas dostaje szklankę wody i przy wpadających przez tarasowe drzwi promieniach słońca zaczynamy rozmowę.

Uważam, że jestem kimś, kto ma to niezwykle szczęście, bowiem moim zawodem stało się to, co jest dla mnie czymś w rodzaju oddychania. I na dodatek społeczeństwo mnie za to wynagradza. To znaczy, że jak długo pamiętam, po prostu zastanawiałem się nad różnymi sprawami. Taki dość refleksyjny stosunek do świata. Moi bliscy się ze mnie trochę śmieją, bo na przykład, jeśli zamyślę się w czasie prowadzenia samochodu, potrafię pojechać zupełnie gdzie indziej; albo wyjść na spacer z psem – bez psa. Faktem jest, że od kiedy pamiętam po prostu cały czas zastanawiam się nad różnymi sprawami. No i udało mi się uczynić to moim zawodem. Uznaję to za wielkie szczęście.

Oczywiście zdarzają mi się przerwy. Zwykle kiedy robię coś, co mnie bardzo absorbuje. Kiedyś to były różne intensywne sporty, teraz jednak mogę je uprawiać trochę mniej. Czasem jest to kontakt z ludźmi, rozmowa, gotowanie. Bardzo to lubię. Spędzam też czas w ogrodzie, aczkolwiek tam już zaczynam sporo myśleć... Czasami jest tak, że gotuję i nagle zaczyna mnie coś intrygować, więc przestaję się zajmować gotowaniem, a zaczynam nad czymś rozmyślać. Najgorzej jest, jeżeli to zdarza się pod prysznicem, bo wtedy nie mogę zapisać i jest pewien kłopot. A nie nauczyłem się dyktować – muszę zapisywać.

Przeżyłem coś ważnego, jeżeli chodzi o sens i recepcję książek, co zdarza się tylko niektórym humanistom, a w szczególności filozofom. Mianowicie, że książka, którą napisałem jako książkę typowo akademicką, ni z tego, ni z owego stała się po prostu popularna.

To znaczy, że sprzedawała się w bardzo dużej liczbie egzemplarzy i uzyskała bardzo silną recepcję, stając się punktem odniesienia dla wielu dyskusji. Wydaje mi się też, że pewne nowe nurty myślowe w polskiej dyskusji wiążą się z tą książką. Oczywiście nie tylko z tą jedną książką, tylko z całą serią książek – chodzi o tak zwany zwrot ludowy w refleksji o polskiej historii. Pewnie dołożyłem swoją cegiełkę do zapoczątkowania tego nurtu.

Moim zdaniem pierwszy w tym temacie był Jan Sowa ze swoim *Fantomowym ciałem króla*, ale potem była moja książka, a następnie pojawiły się inne: Adama Leszczyńskiego, Kacpra Pobłockiego i tak dalej, aż do książki Joanny Kuciel-Frydryszak o chłopkach, z kobietą perspektywą.

Wydaje mi się, że to jest wydarzenie, które mnie samemu pokazuje sensowność tej pracy. To znaczy, że czasami zdarza się komuś, kto zajmuje się teorią, teorią w humanistyce czy filozofii, wpłynąć na sposób funkcjonowania społeczeństwa. W Polsce w zasadzie ten wpływ jest możliwy tylko wtedy, kiedy pisze

się o Polsce, ponieważ jest ona głównym obiektem zainteresowania polskiego społeczeństwa. Ale jednak to się czasem udaje.

I to się wiąże w ogóle z moim głębokim przekonaniem, że tak naprawdę społeczeństwo, w którym żyjemy, jest społeczeństwem zaprojektowanym i skonstruowanym, opartym na pewnych ideach i przez nie rządzonym. Większość rozwiązań społecznych, określających nasze życie, jest efektem pewnego rodzaju refleksji, teorii społecznej, projektu społecznego, który potem jakoś się zrealizował już na poziomie instytucjonalnym. To jest zresztą bardzo ciekawy spór, który toczył się w drugiej połowie XX wieku pomiędzy Richardem Rortym a Ágnes Heller. Rorty, który był pod silnym i złym wrażeniem potęgi totalitaryzmów, uważał, że każdej teorii trzeba nałożyć kaganiec. To znaczy, że jeżeli teoria krytycznie podchodzi do demokracji, to won z taką teorią (chodziło mu szczególnie o teorie filozoficzne, takie jak z jednej strony marksizm, a z drugiej nietzscheanizm, czyli teorie związane z wielkimi politycznymi projektami pierwszej połowy XX wieku). Ágnes Heller odpowiedziała na to, że właściwie to sama nowoczesna demokracja jest projektem filozoficznym, co znaczy, że najpierw wymyślono teoretyczne przesłanki, które pozwoliły w ogóle ten rodzaj społeczeństwa zorganizować. Że naturalny i zgodny z instynktownym, spontanicznym odruchem ludzkim jest ustrój hierarchiczny, bo ludzie rodzą się z ogromnymi różnicami między sobą i bardzo chętnie je utrwalają, przede wszystkim jako różnice statusu. Jest to wręcz jedna z ulubionych „gier” ludzkich. Więc po to, żeby w ogóle wymyślić równość praw i z niej wynikającą całą instytucjonalną konstrukcję, jaką jest demokracja, potrzeba było głębokiego namysłu filozoficznego. Po prostu nie byłoby czegoś takiego jak demokracja bez refleksji nad człowiekiem, tym, co jest jego naturą, bez kultury humanistycznej, pozwalającej podtrzymywać właśnie ten rodzaj odczuć i reakcji. Dzięki nim jesteśmy równi wobec prawa, mimo oczywistych nierówności związanych z fizycznością, majątkiem, statusem i tak dalej.

I w tym sensie mam głębokie przekonanie o ogromnej powadze tego rodzaju pracy, jaką wykonują humaniści w szerokim sensie tego słowa, a filozofowie w bardziej szczegółowym. Społeczeństwo, które pozbawia się tego rodzaju zasobów, jest śmiertelnie zagrożone i stanowi zagrożenie samo dla siebie.

Jeśli chodzi o to, jak znajduję tematy do refleksji, mam mocne przekonanie, że to moja nieświadomość znajduje je za mnie. Nie muszę się zastanawiać, jakie są teraz trendy. Zwykle jest tak, że gdy pracuję nad jednym tematem, to pojawiają

się w nim załączki następnego. Czasem jest to zresztą tematycznie daleki skok. Zaczynam nad nim pracować seminaryjnie – każda z moich książek jest efektem kilkuletniego seminarium. Potem czasem się okazuje, że niektóre z tych tematów czy historii intrygują i poruszają też większą grupę ludzi.

Każda z moich książek była efektem pewnego „obudzenia się”. Zaczynając od książki *Prześlona rewolucja*, która była związana z budzeniem się społecznej świadomości o dość strasznej historii polsko-żydowskiej po opublikowaniu *Sąsiadów* przez Jana Tomasza Grossa. Prowadziłem seminarium na ten temat, a potem książka Grossa była mi potrzebna jako zobrazowanie czegoś, co wydawało mi się kompletnie niedostrzegane. Również w badaniu historii od strony tego, jak jest straszna, nie w lukrowanej wersji.

Rysa na tafli. Teoria w polu psychoanalitycznym pewnie była spłaceniem jakiegoś długu wobec mojej rodziny, bo jest tak naprawdę historią XX wieku i jego katastrof oraz związanej z nimi żałoby i traumy. Dług w takim sensie, że duża część mojej rodziny została zamordowana w pierwszej połowie XX wieku, od strony ojca przez stalinizm, od strony matki przez hitlerizm. To rodzinne doświadczenie było jakimś tłem mojego życia. Na poziomie teoretycznym ta książka jest związana z moim niejednoznacznym stosunkiem do traumatycznego i pamięciowego zwrotu w humanistyce pod koniec XX wieku. A potem, przemyślawszy mój ambiwalentny stosunek do zwrotu pamięciowego i tego, że cały czas musimy odprawiać żałobne rytuały, chciałem zwrócić się do teraźniejszości. I wtedy uderzyło mnie, że perspektywą teoretyczną, która w gruncie rzeczy opowiada teraźniejszość, jest teoria ekonomiczna. Stąd zwrot do teorii ekonomicznej i tego, jak projektuje nam świat oraz co z nim robi w jego aktualnej formie.

Najbardziej dumny jestem więc ze swojej ostatniej książki *Ekonomia to stan umysłu. Ćwiczenie z semantyki języków ekonomicznych*. Tak zwykle jest, że jestem najbardziej dumny ze swojej ostatniej publikacji, ale ta rzeczywiście jest książką, w której udało mi się przełamać swój własny paradygmat, więc jestem z tego bardzo zadowolony. Udało mi się częściowo zmienić teoretyczny obszar, którym się zajmuję. Zamiast pisać o historii albo historii idei, czego podejmowałem się najczęściej, zająłem się ekonomią teoretyczną jako obiektem teorii filozoficznej.

Jeżeli mam odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób można stosować teorię psychoanalityczną do zjawisk społecznych, politycznych czy ekonomicznych, to trzeba by wytłumaczyć, czym dzisiaj jest teoria psychoanalityczna w obszarze filozofii. Otóż teoria psychoanalityczna, po swoich przeformułowaniach w XX wieku (przede wszystkim przez strukturalizm i poststrukturalizm), nie jest teorią podmiotu indywidualnego, czyli nie jest psychologią. Inaczej mówiąc, teoria psychoanalityczna przestała być tylko psychologią – bo oczywiście nadal w pewnym znaczeniu nią jest. Choć na przykład psychologowie akademicki zwykle burzą się, kiedy mówi się, że psychoanaliza jest psychologią.

Teoria psychoanalityczna jest pewnego rodzaju filozofią społeczną, filozofią podmiotu społecznego, struktury społecznej, procesów, które zachodzą w wielkich strukturalnych jednostkach czy kompleksach. Jeżeli tak się ją definiuje i rozumie jako opis różnych mechanizmów, zachodzących w skali bardzo wielkich struktur czy systemów, to teoria psychoanalityczna okazuje się szczególnie ciekawym narzędziem krytyki społecznej. Krytyki, rozumianej w teoretyczny czy filozoficzny sposób, to znaczy za pomocą wyłaniania fundamentalnych mechanizmów i pojęć, które rządzą różnego rodzaju zjawiskami społecznymi. I w tym sensie okazuje się, że psychoanalizę można stosować do różnego rodzaju obiektów społecznych.

Takim obiektem społecznym jest na przykład historia i próbowałem to ukazać najpierw w *Prześnionej rewolucji*. Takim obiektem może być historia idei, co próbowałem przedstawić w książce *Rysa na taflę*. No i takim obiektem może być też teoria ekonomiczna, czyli właśnie obiekt, którym zajmuję się w książce *Ekonomia to stan umysłu*.

A co do tej ostatniej publikacji, jest to książka dyskutująca z obiektywizacją nauk ekonomicznych, które to zjawisko było bardzo mocnym paradygmatem końca XX wieku. Ekonomia neoklasyczna w zasadzie zaczęła już opisywać ekonomię, tak jak nauki przyrodnicze opisują przyrodę, ale nadal jest nauką społeczną, czyli opisem sumy pewnego typu zjawisk społecznych. I jeżeli tak na nią patrzymy, to można też na nią patrzeć jak na obszar pewnego typu podmiotowości społecznej. A każda podmiotowość może być opisywana też z perspektywy swojej struktury – i tutaj właśnie pojawia się ten psychoanalityczny aparat, mówiący na przykład, że jedne podmioty ustrukturyzowane są w sposób neurotyczny, inne podmioty ustrukturyzowane są w sposób perwersyjny, a jeszcze inne w sposób psychotyczny, czyli schizofreniczny (wymyśliłem to nie ja, tylko dwaj francuscy myśliciele, Gilles Deleuze i Félix Guattari w swoim *Anty-Edypie*). Najbardziej zaskakującym efektem tej analizy jest to, że bardzo

dobrze stosuje się ona do opisu współczesnego świata na pograniczu tego, co jest opisywane językami naturalnymi, i tego, co jest opisywane językiem ekonomicznym.

Podstawą jest lacanowski podział (ontologia) na wyobrazeniowe, symboliczne i realne. Wyobrazeniowe jest to, co jest reprezentowane w powszechnym obiegu. I okazuje się, że każdy język, każda kultura ma swoje imaginarium, sferę wyobrażeń, przede wszystkim związaną z historią własną i ewentualnie wspólnot sąsiednich. Z tego wynika, że całość świata i jego współcześnie podstawowe relacje przecinające cały glob są słabo reprezentowane, a więc słabo wyobrażane.

Konkretyzując: w Polsce głównie zajmujemy się wyobrazeniami związanymi z ostatnim stuleciem naszej historii, czyli królują wyobrażenia związane z II wojną światową i późniejszym okresem komunizmu. Ostatnio pojawia się też transformacja. Ale dominujący historyczny język, którym się posługujemy, jest nasycony wyobrazeniami i powiązanymi z nimi emocjami z tego poprzedniego okresu. Taka chociażby Namibia albo Malezja w ogóle nie istnieją w polskim potocznym myśleniu; Madagaskar ewentualnie w opisie Arkadego Fiedlera albo w haśle „Żydzi na Madagaskar”. Dodajmy, że Fiedler jest praktycznie nieznanym, nikt nie czyta jego książek. W sumie znaczy to, że ogromne części świata są bardzo słabo reprezentowane, to znaczy dostrzegane i rozumiane, w jego innych częściach i efekt tego jest taki, że nie rozumiemy globalności. Nie rozumiemy skali zjawisk, które zachodzą w świecie i które decydują o naszym życiu. Jedynek językiem reprezentującym tę całość jest właśnie język ekonomiczny. Zastanawiam się też, dlaczego tak jest. Język ekonomiczny posługuje się ciągłością, przepływami, intensywnościami, rozprowadzaniem różnego rodzaju energii, również (choć nie tylko) energii finansowych. I zajmuje się znakami, które są do tego stworzone, czyli znakiem pieniądza, znakami finansowymi i tak dalej, i tak dalej.

Takie ujęcie na pewno jest krytyką myślenia ekonomicznego, ale nie tylko w sensie stwierdzenia negatywów, ale też przede wszystkim granic stosowności. To znaczy, że to jest teoria, która do pewnych obiektów, procesów i zjawisk jest bardzo adekwatna i w pewnym sensie najlepsza. Ale to pole tych obiektów jest stosunkowo wąskie i ograniczone. Jeżeli zaczynamy ekonomizować właściwie całe nasze myślenie, to ogromna część świata zaczyna nam uciekać z pola widzenia i w związku z tym po prostu popełniamy błędy, których efekty są

aktualnie uderzające i bardzo groźne. Są dwa takie skutki, które są najbardziej katastrofalne. Po pierwsze, kryzys klimatyczny. Nadmiar energii, którą potrafimy uruchomić, jest dla nas nie do odprowadzenia, w związku z czym energia się kumuluje i, jak wiadomo, planeta powoli zaczyna się gotować.

A druga, moim zdaniem równie niebezpieczna konsekwencja, to nierówności. Skala nierówności w aktualnym świecie, przy jednocześnie wzajemnym dostępie różnych społeczeństw do siebie, jest taka, że dotychczas istniejące urządzenia społeczne, ustrojowe, takie jak demokracja w państwie narodowym, zostają wysadzone w powietrze. Porównując siłę korporacji Elona Muska i siłę krajowego parlamentu przeciętnego państwa europejskiego, widzimy wyraźnie, że silniejszy jest Elon Musk. W tym sensie jest to również bardzo groźne zjawisko – ten rodzaj koncentracji własności, jaki jest możliwy w dzisiejszym świecie.

Jak to filozof, jestem zwolennikiem dialektyki, a ona mówi, że coś, co jest przyczyną, jest jednocześnie skutkiem, a coś, co jest skutkiem, jest jednocześnie przyczyną. Wojny są przejawem niewydolności różnego rodzaju systemów czy instytucji społecznych. W momencie, w którym pewnego rodzaju struktura staje się niewydolna, zapada się i wtedy wybucha niemożliwy do zapośredniczenia konflikt wewnętrzny. Można powiedzieć, że tym jest właśnie wojna w skali podmiotu społecznego. Jest objawem czy skutkiem, ale bardzo często wojny stają się też przyczynami, czyli reorganizują społeczeństwa, dystrybucję dóbr, energii, tworzą nowe instytucje i tak dalej. Wojny są kryzysami, które ustanawiają świat, jednocześnie niszcząc dawne światy. Ostatni rozdział książki, którą napisałem, ma tytuł *Wojna, która nadchodzi*, bowiem myślę, że jesteśmy już świadkami pewnego stanu wojny, która się rozszerza i zbliża. To nie oznacza od razu, że Polska musi zostać najechna przez kogoś, okupowana i tak dalej. Wiele krajów uczestniczyło w wojnach, nie będąc okupowanymi ani najechnanymi (przykładowo Stany Zjednoczone w II wojnie światowej). Natomiast stan bardzo głębokiego konfliktu w dzisiejszym świecie wydaje mi się nieuchronny.

To jest dość zabawne, bo ogólnie rzecz biorąc, w kręgu ludzi, którzy mają ze mną kontakt osobisty, jestem raczej postrzegany jako osoba dość pogodna i nawet optymistyczna. I chyba reprezentuję coś w rodzaju optymizmu apokaliptycznego. To znaczy, że biorę pod uwagę możliwość najgorszego, ale jednocześnie widzę szanse, które to „najgorsze” otwiera w świecie. Tak bym to

określił. Lubię angielskie powiedzenie: In the end everything will be ok. If it is not ok, it is not the end. Choć to nie zawsze jest prawda.

Tak jak mówiłem o wojnach – są one z jednej strony czymś strasznym i trzeba robić wszystko, żebyśmy nie byli kolejnym obiektem zawieruchy wojennej. Nie ma żadnej pochwały wojny po mojej stronie, ale po prostu obserwacja świata pokazuje, że wojny bardzo często zmieniają dotychczasowy, niewydolny już układ i prowadzą do powstania nowego.

Jeżeli społeczeństwa nie potrafią zmienić różnych rzeczy drogą pokojowych działań, to wojny są tym, co przychodzi. No i w tym kontekście posługuję się też takim określeniem: „nadzieja radykalna”. Ona jest radykalna nie w tym sensie, że mówi, że wszystko będzie dobrze. Mówi raczej, że jeżeli nawet tak nie będzie, to my musimy być przygotowani na to, by różne ważne osiągnięcia przenieść w przyszłość. Trzeba wiedzieć, co chcemy przenieść i co jest najważniejsze. I jak sobie poradzić z tym przeniesieniem, chociażby takiej idei jak równość praw ludzkich.

Mój warsztat pracy? Gdy przygotowuję seminaria, kolejne spotkania z grupą studentów, doktorantów albo innych osób, z którymi pracuję, to zawsze robię bardzo dużo notatek z lektur. I potem z nich korzystam, kiedy już piszę książkę, więc to idzie wtedy dość szybko. Tak naprawdę najdłużej trwa przygotowywanie seminariów, czyli kolejnych spotkań i lektur, o których będą dyskusje. Seminaria są dla mnie ważne i dużo zawdzięczam osobom, z którymi pracuję. Sposób, w jaki inspirują mój tok myślenia jest dla mnie najważniejszy – ja po prostu wpadam na różne pomysły w trakcie tych dyskusji seminaryjnych.

Seminarium wygląda tak, że najpierw wszyscy uczestnicy (to zwykle semina-ria dość niewielkie, dziesięć, piętnaście osób) wypowiadają się i mówią o swoich wrażeniach z lektury tekstu, a potem robimy dyskusję, w której rzeczywiście ja wykładam swój pogląd. Ale przebiega to w dyskusji.

W domu czasem pracuję przy tym stole kuchennym, ale mam też biurko, bibliotekę. Kiedy pracuję nad tekstem, to jest to dość usystematyzowane: nadaję numery fragmentom książek, a potem robię sobie w komputerze notatki, odniesienia do tych fragmentów z numeracją. Potem jest dość łatwo znaleźć, do jakiego fragmentu odnosi się dana myśl. Sam system jest prosty, ale dyscyplina jego stosowania trudna. I to jest akurat coś, do czego moim zdaniem się dorasta

w tej pracy. To jest pewnego rodzaju rzemiosło. Kiedy byłem młodszy, po prostu szybko czytałem i tylko zaznaczałem różne rzeczy, a potem trudno mi było znaleźć, gdzie co zanotowałem. Taka dyscyplina, w której bardzo dokładnie się numeruje, żeby te numery zgadzały się z tym, co jest w komputerze i gdzie jest odpowiednia notatka, potem niezwykle ułatwia pisanie – pisze się dzięki temu potem szybko, bo już nie trzeba wszystkiego jeszcze raz szukać.

To jest rzemieślnicza część tej pracy, jaką jest filozofowanie. A teraz? Teraz właściwie odpoczywam po ostatniej książce. Jeżeli jest się filozofem, to ekonomii po prostu trzeba się nauczyć. To było wyzwanie, duża praca, żeby się połączyć, jak działa teoria ekonomiczna – a potem, żeby to spisać w formie książki filozoficznej, humanistycznej. Więc teraz odpoczywam. Ale potem będę pewnie zajmował się jakąś filozofią pierwszą, bo to już chyba jest ten czas, kiedy do niej dojrzałem.

Karolina Safarzyńska

PRÓBUJEMY ZMIENIĆ ŚWIAT TU I TERAZ | ODC. 4



Satysfakcja w nauce właściwie nigdy nie przychodzi. Być może przyszłaby dopiero wtedy, gdybyśmy rzeczywiście zapobiegli zmianom klimatycznym. Owszem, w nauce często cieszymy się z publikacji, ale bardzo łatwo zapomnieć, po co te publikacje właściwie powstają. Mają one dołożyć kolejną cegłę do istniejącej wiedzy, ale powinny też coś zmieniać w świecie.

Profesor doktor habilitowana Karolina Safarzyńska

Na warszawskim Śródmieściu znajduje się zabudowana zabytkowymi kamienicami ulica Długa.

Mijając pomnik Powstania Warszawskiego, docieramy do wysokiego, gromadzącego wielu studentów budynku. Pod umocowaną przy wejściu polską flagą czytamy: „Uniwersytet Warszawski, Wydział Nauk Ekonomicznych”. Otwieramy ciężkie, drewniane drzwi i wchodzimy do przestronnego, jasnego pomieszczenia.

O godzinie siedemnastej panuje tu spokój i cisza. Towarzyszy nam jedynie echo. Wsiadamy do niewielkiej windy i jedziemy na drugie piętro.

Mijamy kilku studentów i udajemy się w głąb ciemnego korytarza. Nasza rozmówczyni wita nas w drzwiach niewielkiej sali konferencyjnej i od razu proponuje herbatę. Siadamy przy owalnym, drewnianym stole.

Pani profesor otwiera znajdujący się przed nią duży zeszyt i, biorąc w dłoń długopis, oznajmia gotowość do rozmowy.

Zajmuję się ekonomią złożoności, czyli obszarem, który szczególnie cenię, ponieważ oferuje spojrzenie na ekonomię odmienne od tego, którego uczono mnie w toku tradycyjnej edukacji ekonomicznej. Ekonomia głównego nurtu opiera się na stosunkowo prostych założeniach: przyjmuje racjonalność jednostek oraz możliwość opisu rzeczywistości za pomocą kilku zagregowanych równań, które mają pozwalać na przewidywanie procesów gospodarczych, na przykład zmian inflacji. Oczywiście jest to pewne uproszczenie, ponieważ liczba takich równań może być większa, jednak zasadniczo każde z nich reprezentuje uśredniony obraz działania podmiotu gospodarczego. Bardzo silnie rozwinięta jest również ekonometria, która polega na analizie danych dotyczących takich zjawisk jak inflacja, PKB czy deficyt budżetowy oraz na badaniu zależności między tymi zmiennymi. Jest to podejście wartościowe, ponieważ w pewnym stopniu pozwala opisywać świat, ale jednocześnie pozostaje niewystarczające, jeśli celem ma być rzeczywiste zrozumienie mechanizmów społecznych i ekonomicznych. Sama wiedza o tym, że wzrost jednej wielkości o określoną liczbę punktów procentowych wpływa na inną, nie wyjaśnia jeszcze, jak proces ten oddziałuje na zachowanie ludzi, ani jaka jest jego przyczynowość.

Kiedy zetknęłam się z ekonomią złożoności, odkryłam, że istnieje cały nurt myślenia, który odrzuca klasyczne założenia ekonomii. Był to dla mnie w pewnym sensie ukryty świat ekonomii: świat badaczy przekonanych, że rzeczywistości nie da się adekwatnie wyjaśniać ani przewidywać wyłącznie za pomocą tradycyjnych modeli opartych na korelacjach i zagregowanych zmiennych, takich jak PKB czy inflacja. Ekonomia złożoności rozpoczyna analizę od poziomu podstawowego, to znaczy od interakcji między wieloma agentami, i pyta o to, jakie zjawiska wyłaniają się z tych interakcji. W mojej pracy wykorzystuję takie modele, aby rozumieć różne procesy zachodzące w gospodarce: między innymi to, w jaki sposób ludzie dokonują wyborów konsumenckich, dlaczego

ulegają modom i nabywają coraz większe samochody, mimo że prowadzi to do wzrostu emisji. Kiedy patrzymy na świat przez pryzmat sieci relacji, możemy analizować polityki, które rzeczywiście wpływają na zachowanie ludzi, a tego ekonomia klasyczna w zasadzie nie umożliwia.

Interesuje mnie również to, w jaki sposób ludzkie ograniczenia poznawcze, błędy i nieracjonalności wpływają na decyzje ekonomiczne. Ekonomia klasyczna przyjmuje, że jesteśmy racjonalni i optymalizujemy nasze budżety. Jest to jednak język, który nie opisuje codziennego doświadczenia. Nie optymalizuję przecież swojego budżetu, kupując bułkę i kawę; po prostu dokonuję wyboru, na który mam ochotę. Ekonomia złożoności pozwala budować modele zachowań znacznie bliższe rzeczywistości społecznej. Tym, co fascynuje mnie szczególnie, nie jest jednak wyłącznie sama możliwość bardziej realistycznego modelowania, lecz także to, że modele te pozwalają odkrywać emergencje, czyli zjawiska, których nie byliśmy w stanie przewidzieć przed skonstruowaniem modelu. Dopiero później okazuje się, że te emergentne własności faktycznie istnieją w rzeczywistości. I właśnie ten moment uważam za szczególnie istotny poznawczo.

Misją nowej ekonomii jest według mnie zrozumienie świata. Rzeczywistość społeczna i gospodarcza składa się z bardzo wielu zjawisk, które wzajemnie na siebie oddziałują, nachodzą i współtworzą złożone układy. W ekonomii szczególnie trudno wyizolować pojedyncze procesy. Dysponujemy ogromną liczbą danych – z rynków finansowych, z gospodarstw domowych, z obszaru konsumpcji – ale nadal nie rozumiemy wielu zjawisk w ich wzajemnych relacjach. Ekonomia złożoności pozwala tworzyć bardziej skomplikowane modele, które uwzględniają również procesy społeczne, a tego wcześniej zasadniczo brakowało. Dzięki temu można dotrzeć do istoty takich problemów, jak choćby pytanie o to, dlaczego ludzie kupują większe samochody albo dlaczego rodzą się style życia mające poważne negatywne konsekwencje dla klimatu.

Moim celem jest właśnie zrozumienie świata i to daje mi największą satysfakcję poznawczą w pracy naukowej. Cieszę się, że nie uprawiam ekonomii mainstreamowej, ponieważ kiedy rozpoczynam nowy projekt, mogę rzeczywiście usiąść i zapytać, co w danym problemie ma znaczenie. Z perspektywy ekonomii neoklasycznej nie byłoby to dla mnie możliwe, ponieważ tam istnieje narzucony „core”, a więc zbiór podstawowych założeń wyznaczających sposób myślenia. Tymczasem ekonomia ewolucyjna i ekonomia złożoności są otwarte na założenia. Nie twierdzą, że człowiek zawsze jest racjonalny, ale dopuszczają możliwość racjonalności w określonych warunkach. Można więc uwzględnić racjonalność

jako jedno z możliwych założeń modelu, nie traktując jej jednak jako jedynego klucza do wyjaśniania rzeczywistości. Dzięki temu mogę podchodzić do każdego nowego problemu badawczego jak do otwartej, niezapisanej jeszcze karty.

Mainstreamowa ekonomia reaguje na nurty heterodoksyjne raczej obojętnością. Moje podejście pozostaje z perspektywy głównego nurtu w dużej mierze niewidoczne, ponieważ najbardziej prestiżowe czasopisma naukowe zazwyczaj nie publikują modeli wieloagentowych, którymi się zajmuję. Z tego względu moja praca bywa określana jako międzydyscyplinarna, choć nie jest to do końca trafne. Buduję modele ekonomiczne i takie zjawiska mnie interesują; różnica polega na tym, że korzystam z innego aparatu metodologicznego niż ekonomia dominująca.

Nowa ekonomia odchodzi od podstawowych założeń klasycznej ekonomii. W centrum ekonomii klasycznej znajduje się racjonalna jednostka. Zakłada się, że można przewidywać świat na podstawie zachowań takiej przeciętnej osoby, a odchylenia od średniej nie mają zasadniczego znaczenia. Badaniu podlegają przede wszystkim warunki równowagi, a więc sytuacje, w których popyt i podaż się równoważą, a z tego wynika określona cena. Tym zajmuje się klasyczna ekonomia. Nowa ekonomia odchodzi od tego sposobu myślenia. Nie patrzy już przez pryzmat odizolowanej jednostki, lecz sieci agentów. Z punktu widzenia nauk społecznych może to nie wydawać się rewolucyjne, ale z perspektywy samej ekonomii jest to zmiana fundamentalna. Patrzymy na ludzi jako na istoty wzajemnie na siebie oddziałujące. Ja zajmuję się tym, w jaki sposób preferencje ewoluują w wyniku społecznych interakcji. Ma to szczególne znaczenie w kontekście zmian klimatycznych, ponieważ okazuje się, że nawet jeśli wprowadzamy pozornie dobre polityki, takie jak zmniejszenie emisyjności samochodów, nie uzyskujemy realnego spadku emisji w transporcie. Dzieje się tak dlatego, że ludzie zaczęli preferować większe samochody, a większe samochody spalają więcej, nawet jeśli są bardziej efektywne. Preferencja ta nie bierze się znikąd; powstaje w wyniku procesów społecznych, których ekonomia klasyczna nie uwzględnia. Z tego powodu projektuje polityki zbyt uproszczone, koncentrujące się wyłącznie na poprawie wydajności technologicznej, podczas gdy preferencje konsumenckie są w istotnym stopniu wynikiem wzajemnego oddziaływania ludzi na siebie.

Zajmuję się środowiskiem, dlatego badam, w jaki sposób procesy społeczne, ekonomiczne i gospodarcze prowadzą do jego zanieczyszczenia, a także

dlaczego polityki, które obecnie stosujemy, okazują się niewystarczające. Emisje rosną dramatycznie i mimo całej dekady intensywnych wysiłków, niewiele się zmieniło. Trend pozostaje wzrostowy. Dla mnie jest to szczególnie wstrząsające, ponieważ mniej więcej dziesięć lat temu, kiedy zaczynałam swoją drogę naukową, dominowało przekonanie, że w ciągu kolejnych dziesięciu lat uda się zapobiec przekroczeniu najgroźniejszych progów klimatycznych. To się jednak nie wydarzyło. Nie zapobiegliśmy temu, a dla mnie stało się to doświadczeniem skłaniającym do głębokiego namysłu zarówno nad sensem pracy naukowej, jak i nad tym, dlaczego tak wielu ludzi rzeczywiście wierzyło, że uda się temu zapobiec.

Mam wrażenie, że wiele osób nie interesuje się ekonomią, ponieważ wydaje się ona dziedziną nudną i odległą od codziennego doświadczenia. Jeśli debata ekonomiczna sprowadza się przede wszystkim do pytania o to, czy PKB rośnie, trudno odczuć, że dotyczy ona realnego życia. Dlatego coraz silniejszy jest nurt, zwłaszcza poza mainstreamem, który odchodzi od PKB jako podstawowego wskaźnika dobrobytu. Ten wskaźnik sam w sobie nie mówi przecież wszystkiego o jakości życia. Wydaje mi się, że ludzie nie lubią ekonomii po pierwsze dlatego, że nie postrzegają jej jako nauki o człowieku, a po drugie dlatego, że jej nie rozumieją. Jest to dziedzina bardzo hermetyczna, podobnie zresztą jak filozofia. Trzeba wiele przeczytać, zrozumieć liczne pojęcia i opłatać określony aparat pojęciowy, aby móc wejść w nią głębiej. Ekonomia jest ponadto metodologicznie trudna, a niezrozumienie jednego modelu może uniemożliwić zrozumienie całej dyskusji prowadzonej w książce czy artykule. Ekonomiści bardzo często posługują się skrótami myślowymi, ponieważ pewne prawa wydają im się oczywiste, co tylko wzmacnia hermetyczność tej dziedziny.

Bardzo ważne jest dla mnie również to, że modele ekonomiczne nigdy nie są neutralne. Często zakłada się, że są wolne od ideologii, ale nie jest to prawda. Każdy model opiera się na pewnych założeniach, a one mają charakter ideologiczny. Nawet w modelach, które sprawiają wrażenie wyłącznie technicznych i formalnych, zazwyczaj zakłada się, że wzrost PKB jest czymś dobrym, ponieważ zwiększa dobrobyt społeczny. Model mówi więc nie tylko o tym, jak badacz rozumie mechanizm danego zjawiska, lecz również o tym, jakie wartości

uznaje za istotne. Jeżeli ktoś buduje model, ujawnia tym samym określony system założeń i przekonań. Dziś coraz częściej pojawia się pytanie, czy rzeczywiście wzrost PKB powinien pozostawać podstawową wartością. W swoich modelach mogę przyjmować inne założenia i mogę również od nich odchodzić. Mogę zatem badać zjawiska, które mają wymiar krytyczny wobec kapitalistycznego porządku, choć sama nie robię tego po to, by tworzyć czysto abstrakcyjne alternatywy. Interesuje mnie raczej to, jak działa świat tu i teraz. Żyjemy w systemie kapitalistycznym, nastawionym na zysk, a PKB nadal pozostaje wskaźnikiem istotnym z perspektywy politycznej. Dlatego próbuję zrozumieć, jak właśnie ten fakt wpływa na naszą niezdolność do poradzenia sobie ze zmianami klimatycznymi.

Budowanie modeli jest procesem skrajnie trudnym. Gdybym pracowała na klasycznych modelach, mogłabym odwołać się do istniejącego zestawu założeń, wybrać zjawisko, które chcę badać – na przykład wpływ podatku czy określonej polityki – i zastanowić się, jak zmodyfikować model wyjściowy. W ekonomii klasycznej początek pracy jest więc relatywnie prosty, ponieważ istnieje ustalony rdzeń teoretyczny. W ekonomii złożoności sytuacja wygląda inaczej. Badam dane zjawisko bez pełnego oparcia w już ustalonej teorii. Oczywiście także tutaj istnieją pewne ogólne założenia: uznajemy, że ludzie nie zawsze są racjonalni, że funkcjonują w sieciach, że ich decyzje zależą od interakcji. Poza tym jednak każdy problem stanowi rzeczywiście otwartą kartę. Zazwyczaj zaczynam od bardzo dużej kartki, na której zapisuję wszystkie teorie i podejścia, które miały cokolwiek do powiedzenia na temat danego zjawiska. Ponieważ interesuje mnie również biologia teoretyczna, szukam inspiracji także tam i sprawdzam, czy istnieją modele opisujące nie całe zjawisko, lecz choćby jego wybrane aspekty, z których mogłabym skorzystać. Przez długi czas zbieram więc puzzle z różnych dziedzin i próbuję zbudować z nich nową teorię. Jest to proces bolesny, ponieważ bardzo często mam poczucie, że nigdy nie uda mi się złożyć tego w spójną całość i że już nigdy nie stworzę nowego modelu. Zanim taki model – conceptualnie spójny i rzeczywiście mający sens – powstanie, mija bardzo dużo czasu.

Mam silne przekonanie, że sposób budowania modeli ekonomicznych wpływa bezpośrednio na rzeczywistość oraz na polityki publiczne. Jeśli politycy zajmujący się zmianami klimatycznymi pytają czołowych ekonomistów, którzy posługują się silnie wyabstrahowanymi modelami, co należy zrobić, bardzo

często słyszą jedną odpowiedź: trzeba wprowadzić podatek węglowy. Później okazuje się jednak, że nie da się tego zrobić w prosty sposób, ponieważ taki podatek może mieć poważne skutki redystrybucyjne. Dobrym przykładem są protesty „żółtych kamizelek” we Francji, kiedy wielu osób mieszkających poza Paryżem po prostu nie było stać na dojazdy do pracy po wzroście kosztów paliwa.

Ostatecznie z jednej strony mamy zatem rzeczywistość, a z drugiej modele, które wskazują polityki teoretycznie skuteczne, lecz w praktyce zawodzą, ponieważ nie uwzględniają wielu istotnych elementów świata społecznego. Z tej perspektywy mam poczucie, że modele, którymi się zajmuję, pozwalają projektować polityki znacznie skuteczniejsze, ponieważ rzeczywiście przybliżają nas do odpowiedzi na pytanie, co należałoby zrobić, aby przeciwdziałać zmianom klimatycznym, nawet jeśli nie są to odpowiedzi popularne.

Często odczuwam pewne „osamotnienie” w nauce. Jest ono jednak silnie kontekstualne. W Polsce ekonomia pozostaje w dużej mierze mainstreamowa i bardzo niewiele osób zajmuje się ekonomią heterodoksyjną. Mówiąc precyzyjniej: naprawdę nie znam wielu osób w Polsce, które pracowałyby na takich modelach teoretycznych, o jakich mówię. Na świecie także istnieje pewna izolacja, jeśli chodzi o ekonomię złożoności, ale tam funkcjonują przynajmniej bardzo dobre ośrodki badawcze. W Oksfordzie działa INET, czyli Institute for New Economic Thinking, w Wiedniu – Complexity Science Hub, a w Stanach Zjednoczonych Santa Fe Institute. W Polsce podobne środowisko praktycznie nie istnieje. Mam poczucie osamotnienia również dlatego, że tej dziedziny nie da się zbudować dzięki jednej czy dwóm osobom. Nie wystarczy sprowadzić kilku badaczy wyszkolonych za granicą. Jest to rodzaj nauki oparty na dorobku wielu dyscyplin, a więc wymagający szerszej zmiany instytucjonalnej i edukacyjnej. W różnych krajach istnieją szkoły doktorskie przygotowujące doktorantów wyłącznie do pracy w ekonomii złożoności. Nie da się tego zastąpić pojedynczymi zajęciami. W tym sensie rzeczywiście czuję się osamotniona.

Satysfakcja w nauce właściwie nigdy nie przychodzi. Być może przyszłaby dopiero wtedy, gdybyśmy rzeczywiście zapobiegli zmianom klimatycznym. Owszem, w nauce często cieszymy się z publikacji, ale bardzo łatwo zapomnieć, po

co te publikacje właściwie powstają. Mają one dołożyć kolejną cegłę do istniejącej wiedzy, ale powinny też coś zmieniać w świecie. Jeśli więc mam poczucie, że kolektywnie zbudowaliśmy ogromne zrozumienie rzeczywistości i dołożyliśmy bardzo wiele takich cegieł, a mimo to niewiele z tego wynika w praktyce, to nauka staje się zajęciem głęboko frustrującym.

Czuję również, że mam misję mówienia o problemach klimatycznych. Kiedy pojawia się przestrzeń do rozmowy, staram się wyjaśniać, dlaczego ludzka działalność prowadzi do zmian klimatycznych i co można zrobić, by temu przeciwdziałać. Jest to podejście bardzo pragmatyczne. Jednocześnie mam świadomość, że trudno mówić o modelach teoretycznych osobom, które się tym nie interesują. Wejście w taki sposób myślenia wymaga znacznej inwestycji intelektualnej. Dla mnie ten proces jest fascynujący, ale wiem, że nie dla wszystkich musi taki być.

Bardzo mocno wierzę w naukę jako proces kolektywny. Wierzę, że to właśnie dzięki temu, iż wiele osób pracuje nad bardzo małymi, wyspecjalizowanymi problemami, po pewnym czasie zaczynamy rozumieć niezwykle złożone zjawiska. Uważam to za coś naprawdę niezwykłego. Bezsilność zaczyna się tam, gdzie nic nie możemy zrobić, a nauka istnieje właśnie po to, by rozumieć i wyjaśniać świat. Ogromne znaczenie mają również współczesne możliwości technologiczne. To, jak rozwinęła się moc obliczeniowa komputerów, jest z perspektywy mojej pracy czymś imponującym. Zdarza się, że symulacje, które kiedyś zajmowały mi trzy miesiące, dziś wykonuję w dwa dni. Dzięki temu uwalnia się przestrzeń na myślenie o sprawach bardziej ogólnych, o metapoziomie badań, a nie wyłącznie o bieżącej, żmudnej pracy metodologicznej. I właśnie to uważam za jedną z najwspanialszych cech współczesnej nauki.

Nie jestem pewna, czy mam dobre nawyki związane z odpoczynkiem. Mam raczej poczucie, że odpoczywam poprzez zmianę intensywności lub rodzaju pracy: czasami pracuję bardzo intensywnie, a czasami mniej. Kiedy próbuję tworzyć modele i składać wiele elementów w jedną spójną całość, jest to niezwykle ciężka praca. W takich momentach jestem po prostu fizycznie wyczerpana. Są jednak okresy, w których zajmuję się bardziej klasyczną analizą ekonomiczną – estymacją, obliczeniami, analizą wpływu jednej zmiennej na drugą – i wtedy paradoksalnie odpoczywam, ponieważ ten świat jest bardziej

uporządkowany. Nie muszę niczego odkrywać od nowa; mogę po prostu liczyć. To jest mój relaks.

Kiedyś robiłam znacznie więcej rzeczy niezwiązanych z nauką. Obecnie jest ich mniej, ponieważ naprawdę lubię swoją pracę i sprawia mi ona przyjemność. Poza samą pracę ważne są dla mnie spotkania z ludźmi, ciekawe rozmowy i lektury niezwiązane bezpośrednio z moją dyscypliną. Faktem pozostaje jednak, że duża część mojego życia koncentruje się wokół pracy. I wiem, że w Polsce bywa to odbierane dość specyficznie. W niektórych środowiskach akademickich, na przykład w Cambridge, intensywna obecność na uniwersytecie oraz silne związanie życia codziennego z pracą naukową są czymś oczywistym. W Polsce samo to, że ktoś lubi pracować i pracuje dużo, bardzo często spotyka się z pewną społeczną niechęcią.

Małgorzata Lisowska-Magdziarz

CZY W KOŚCIELE, CZY W BARZE, WSZĘDZIE JEST SIĘ
SEMIOLOGIEM | ODC. 5



Bardzo wiele osób powie nam dzisiaj, że to jest pięknoduchostwo i marnowanie czasu na uczenie studentów jakiejs filozofii czy jakiejs semiologii. Natomiast ja uważam, że niewątpliwie sensem humanistyki i nauk społecznych jest ciągle zadawanie pytań i poszukiwanie na nie odpowiedzi.

Doktor habilitowana Małgorzata Lisowska-Magdziarz, prof. UJ

Na obrzeżach Krakowa, skąpany w promieniach porannego słońca znajduje się kampus Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w nim nowoczesny budynek Wydziału Zarządzania i Komunikacji Społecznej.

Tu, z dala od zgiełku miasta, ma się wrażenie, że czas zwalnia swój bieg. Wchodzimy do środka przez duże, przeszklone drzwi. Przestronne wnętrza wydają się jeszcze większe, kiedy budynek nie jest przepelniony studentami.

Promienie słoneczne przenikają przez ogromne szyby i oświetlają umieszczone przy wejściu rośliny. Gubiąc się w licznych korytarzach Uniwersytetu, ostatecznie docieramy pod gabinet Pani Profesor, która otwiera drzwi i z uśmiechem proponuje nam coś do picia. Rozglądamy się zafascynowane po przestrzeni, która znacznie odbiega od stereotypowego wyobrażenia gabinetu naukowca.

Ściany pomieszczenia zdobią osobiste zdjęcia, obrazy oraz artystyczne grafiki i serialowy plakat. Na półkach, poza specjalistycznymi książkami i różnymi rodzajami herbat, znajdują się także kolorowe figurki i zabawki. Jednak to, co najbardziej rzuca nam się w oczy, to wisząca nad biurkiem ogromna tablica wypełniona po brzegi karteczkami, zdjęciami oraz pamiątkami.

Z całą masą rodzących się w głowie pytań, przystępujemy do rozmowy.

W miejscu z przesadą zwanym moim gabinetem, a właściwie w moim pokoju na Uniwersytecie, robię inny użytek z tak zwanej tablicy magnetycznej, niż było przewidziane. Wiele osób tutaj zmienia zastosowanie tych tablic w swoich gabinetach. Razem z tą tablicą dano mi kiedyś pisaki, bo podobno miałam na niej rysować albo zapisywać swoje myśli. Zamiast tego jest tutaj swoista dokumentacja – zwykle mniej więcej ostatniego roku. Fascynacje, podróże, nowe pomysły. Jak skądś przyjeżdżam, to zwykle przywożę pocztówki, ulotki, magnesy i lądują one tutaj. Czasami studenci przychodzą tu zdawać semiotykę mediów. Wtedy ta tablica dostarcza materiału empirycznego do rozmaitych rozważań semiologicznych. Podobnie zresztą jak to, co Państwo widzą na regałach, czyli różnego rodzaju zabawki i osobliwości, a także wiszące na ścianie plakaty i reprodukcje malarstwa – cały ten śmietnik, który zbiera się przez lata w pokoju profesora uczelnianego.

Co tu mamy? To jest kalendarz z Fringe'u z Edynburga, a to ślad po wystawie Vermeera w Amsterdamie. Tutaj wycieczka do Stawiska (Jarosław Iwaszkiewicz jest moim idolem). Wyprawa do Haworth, czyli do miejsca, gdzie mieszkały siostry Brontë, a Emily napisała *Wuthering Heights*. Co jeszcze? Jeszcze mamy temat do myślenia. Zobaczyłam w Paryżu tak zwane Atelier des Lumières. Jest w tej chwili taka moda na wyświetlanie ludziom malarstwa w wielkich halach fabrycznych i podobnych miejscach. Jeszcze nie całkiem wiem, co o tym myślę, więc chodzę w takie miejsca i oglądam te pokazy – w Londynie, Singapurze i Wrocławiu. Widziałam marne i byle jakie, i widziałam imponujące, jak na przykład autorska projekcja Davida Hockneya *Bigger & Closer* w londyńskim Lightroomie, zupełnie inna niż wszystkie pozostałe. Ale wydaje się, że to

malarstwo, które jest pokazywane w tych wielkich halach, nie było przeznaczone do wyświetlania na ścianach. Albo mówimy tu o trywializacji sztuki, albo o jakiejś nowej formie – chyba przede wszystkim – relaksu. Bo to jest bardzo relaksujące. Dlatego tutaj ta pocztówka z Atelier des Lumières, żebym pamiętała, że mam się nad tym zastanawiać.

Jak zawsze są tu też ślady mojej nieustającej fascynacji Szekspirem. Wiele osób jest niewolnikami jakiegoś tekstu, jakiejś książki. Ja od bardzo wielu lat jestem niewolnicą *Hamleta*. W związku z tym zawsze jakieś hamletowe elementy na tej tablicy lądują. Studenci już o tym wiedzą. Wiem, że wieść gminna głosi, że jeśli chce się zdać u mnie egzamin, trzeba znać przynajmniej streszczenie *Hamleta*.

Po co są podróże w życiu profesora-dydaktyka, profesora uczelnianego, uczącego studentów, ale też skrobiącego sobie na boku różne własne przemyślenia? Oczywiście, w wysokie góry idzie się odpocząć. Natomiast kiedy jedzie się do wielkich miast, to zwykle kończy się tym, że człowiek jest w pracy. Albo wybiera się cel podróży właśnie po to, żeby ją wykorzystać w pracy naukowej, albo jedzie się dokądś dla wypoczynku czy przyjemności – a tak czy inaczej kończy się to wykorzystaniem w pracy.

Właśnie wróciłam z wakacji z wyspy Teneryfa, gdzie w miasteczku o cudownej nazwie San Cristóbal de La Laguna jest muzeum, w którym kawałek piętra jest poświęcony historii taksydermii. Zupełnie niezwykle jest wypychanie zwierząt dla nauki, rozrywki, estetyki. Przywiozłam bardzo dużo zdjęć, to jest mnóstwo nowego materiału do myślenia. Jak człowiek zajmuje się semiologią, to zwykle ląduje w miejscu, które może się do czegoś przydać, jeśli chodzi o myślenie.

Umberto Eco wydał zbiór esejów pod tytułem *Czytanie świata*. Świat staje nam w oczach jako złożony ze znaków i jego czytanie staje się pasjonującą... Nie lubię wytartego pojęcia „przygoda intelektualna”, ale chyba tak trzeba to określić. Staje się pasjonującym przedsięwzięciem intelektualnym, nakierowanym na rozumienie różnych zjawisk.

Istotą kultury jest komunikowanie. Jeżeli rozumie się je jako działalność znakową, jako semiozę, to człowiek uświadamia sobie i wieloznaczności tego komunikowania, i jego uwikłania w rozmaite konteksty, i jego zmienność

w czasie. Uświadamia sobie też to fascynujące zagadnienie, jakim jest konceptualny dystans pomiędzy nami a ludźmi żyjącymi w innych kulturach albo czasach. Tak naprawdę, nie jesteśmy w stanie sięgnąć do tego, jak myśleli ludzie mieszkający w danym mieście w średniowieczu. Jednak możemy próbować się do tego przybliżyć, właśnie poprzez znaki, których używali, i które próbujemy zrozumieć i zinterpretować. To wynik fenomenalnej zdolności ludzi, i tylko ludzi, do używania świata jako materii znakowej, a w związku z tym do mówienia o czymś, czego nie ma, albo o czymś, co mogłoby być, albo co będzie, albo co było, ale minęło, albo co jest nie tu, tylko gdzie indziej, i tak dalej. Dzięki temu istnieje kultura.

Często się zastanawiam, dlaczego wpadliśmy na naukę zwaną semiologią dopiero jakieś sto dwadzieścia lat temu, podczas gdy to powinna być podstawa wszystkiego, całego poznania kultury i życia społecznego ludzi. Dziś można uprawiać semiologię jako filozofię języka czy filozofię znaku na bardzo wysokim poziomie abstrakcji albo traktować ją jako praktyczny zestaw narzędzi do analizy. Przyznaję, że wiele wysoce teoretycznych pism semiologicznych jest dla mnie raczej niedostępnych. Jestem przede wszystkim medioznawczynią. Interesuje mnie komunikacja współczesna, komunikacja zapośredniczona technologicznie, komunikacja przy pomocy mediów. W poszukiwaniach sposobów na analizę tych mediów pewnego dnia trafiłam na semiologię i uznałam, że to jest klucz, przy pomocy którego można otwierać różne drzwi. W dydaktyce uwielbiam taki moment, kiedy studenci czasem posłuchają o jakimś koncepcie, poprobują jego zastosowania i powiedzą: „ach, to to tak!”.

Semiologia uprawiana pragmatycznie jest w gruncie rzeczy pewnym sposobem myślenia. Po jakimś czasie staje się nie tylko metodą naukową, heurystyką czy sposobem myślenia o mediach, ale w ogóle postawą poznawczą. Kiedy się zacznie uprawiać semiologię w taki sposób, nie można już przestać. Czy jest się w kościele, czy w barze, czy na wycieczce w górach, czy w teatrze – cały czas jest się semiologiem.

Dlaczego w ogóle nauka o mediach jest na uniwersytetach? Istnieją dwa – przynajmniej dwa – różne podejścia do tego, kim ma być człowiek, który wychodzi ze studiów dziennikarskich czy komunikologicznych. Można studiować dziennikarstwo na uniwersytecie, ale w wielu krajach dziennikarze uczą się w szkołach zawodowych, często przy redakcjach – tak na przykład jest w Niemczech, gdzie Journalistenschulen są przy wydawnictwach medialnych. Natomiast w wielu

redakcjach usłyszymy, że dziennikarzowi studia są właściwie niepotrzebne. Potrzebny jest talent, a studia to nawet go psują – wiele razy to słyszałam. Nie mam nic przeciwko temu, żeby dziennikarze uczyli się w szkołach o profilu zawodowym. Współczesny świat jest skomplikowany, a dzisiejsze dziennikarstwo niesłychanie złożone technologicznie. Uczenie dziennikarzy wymaga bardzo dużych pieniędzy. Więc być może rzeczywiście szkoły zawodowe wspierane przez media to dobre rozwiązanie? Bo jednak konkretny medialny mają środki, żeby to robić. Tylko że pojawia się tutaj problem bezstronności. Obawiałabym się też, że jeśli pójdziemy mocno w tym kierunku, to zamiast dziennikarzy będziemy mieli osoby, które same siebie nazywają „*content providers*”. Wiem, że wielu naszych studentów właśnie tak o sobie myśli: „dostawcy kontentu”.

Natomiast studia uniwersyteckie tego typu jak tutaj, polegają przede wszystkim na rozmawianiu, będącym treningiem krytycznego myślenia. Chodzi o to, żeby tworzyć ludzi z otwartymi głowami, którzy rozumieją komunikację i media. No dobrze, nasi studenci umieją zmontować materiał, tego też uczymy; uczą się również – niestety – o całej marketingowej stronie tego przedsięwzięcia. Ale istotą powinna być rozmowa. Uniwersytet ma być miejscem, gdzie ludzie wymieniają się ideami, to jego główny cel i założenie. Starsi z młodszymi, ale też młodszy ze starszymi, ludzie o różnych kompetencjach i doświadczeniach. Jest to szczególnie istotne w naukach społecznych i w humanistyce. Uczni fizycy też wymieniają się ideami. Jednak tutaj, w naukach społecznych czy naukach o człowieku powinniśmy prowadzić nieustanną rozmowę, w której nie ma żadnych pewników, ale samo krytyczne myślenie jest niesłychanie ważne. Taką metodą zmieniamy też media. W każdym razie powinniśmy je zmieniać w taki sposób, by wychodzili od nas ludzie o otwartych głowach i skłonności do krytycznego myślenia, do własnej edukacji, do używania tego, czegośmy ich tutaj nauczyl, w celu rozumienia mediów i świata. To oczywiście brzmi idealistycznie, ale jesteśmy na uniwersytecie, który sam w sobie jest bardzo idealistyczną koncepcją.

Bardzo wiele osób powie nam dzisiaj, że to piękno duchostwo i marnowanie czasu na uczenie studentów jakiejś filozofii czy jakiejś semiologii. Natomiast ja uważam, że niewątpliwie sensem humanistyki i nauk społecznych jest ciągle zadawanie pytań i poszukiwanie na nie odpowiedzi.

W pewnym momencie świat znalazł się w takim punkcie zwrotnym, w którym poculiśmy, że trzeba zakwestionować prawomocność nauki i dyskursu racjonalnego. Nazwano to potem kryzysem ponowoczesnym czy kryzysem zaufania

do projektu nowoczesnego. Niektórzy mówią wręcz o upadku nowoczesności. Skoro ludzkości przydarzyły się tak straszne rzeczy jak Holocaust, łagry, wojny i ludobójstwa, trzeba było zadać sobie pytanie: a dlaczego to paradygmat racjonalny temu nie zapobiegł, dlaczego to nauka, która miała czynić człowieka lepszym, lepszym go nie uczyniła? Wielką karierę zrobiła ważna książka Thomasa Kuhna *Struktura rewolucji naukowych*, rozprawa na temat wiedzy naukowej jako serii zmieniających się paradygmatów poznawczych oraz o nowoczesnej zmianie paradygmatu wiedzy naukowej. W tym sceptycyzmie co do sensu nauki poszliśmy chyba trochę za daleko. Pozwoliliśmy sobie na zakwestionowanie jej prawomocności jako źródła wiarygodnej, sprawdzonej wiedzy o świecie. Naukowcy – może trochę się wahali? Może nie chcieli być opresyjni i przypisywać sobie nadmiernej ważności?

Jest także prawdą, że wiele osiągnięć współczesnej nauki, zwłaszcza nauk ścisłych, jest intuicyjnie niedostępnych zwykłemu człowiekowi. Niewiele jest osób, które by potrafiły prosto i zrozumiale wytłumaczyć, czym różni się ogólna od szczególnej teorii względności albo na czym polega teoria strun. Musimy po prostu wierzyć w to, że coś w tym jest. Albo genetyka – w życiu codziennym rozmawiamy o niej raczej na prawach pewnej metafory, chętnie mówimy „mam to w genach”, ale najczęściej nie rozumiemy sensu tego twierdzenia. Nie rozumiemy tak naprawdę, w ścisłym naukowym sensie. Jako fanatyczka Alana Turinga postanowiłam kiedyś zrozumieć, o co mu chodziło, na czym naprawdę polegała wielkość jego myśli. Teoretycznie wiem, jak działa maszyna Turinga, ale dlaczego akurat tak? Kupiłam grube książki, przestudiowałam je i powiedziałam do mojego dwudziestoparoletniego syna, że już wiem, rozumiem. A on na to: „ale skąd ty wiesz, że rozumiesz? Nie masz podstaw, żeby wiedzieć, że rozumiałas dobrze”. I miał rację.

Niedostępność wiedzy naukowej może być źródłem niepokoju. Wielu ludzi woli w związku z tym uznać, że wiedzą lepiej niż naukowcy. Zwłaszcza, że mamy bardzo dostępne źródła wiedzy, prawda? Też studiujemy genetykę i neurologię, obejrzelśmy przecież różne filmy na YouTube! Do tego niestety jest tak, że szkoła oparta na paradygmacie nowoczesnym i racjonalnym wciąż jeszcze uczy dzieci, że naukowe wytłumaczenia zjawisk są proste. Mamy na przykład Newtona i jabłko, spadające pod wpływem grawitacji, albo geometrię wykreślną, do której wystarczy ekierka i linijka. No to dlaczego ta cała nauka miałaby być taka strasznie trudna i skomplikowana? Czy nie można by prościej? Okazuje się, że nie można.

W nauce chodzi o poszukiwanie sposobów na przejście od „wydaje mi się”, do „wiem”. Albo przynajmniej od „wydaje mi się” do „mogę – z pewnym prawdopodobieństwem – powiedzieć, że wiem”. Tak jest również w humanistyce i naukach społecznych, nie tylko w fizyce, biologii i matematyce. Tyle że w naukach o człowieku odpowiedzi nigdy nie są jednoznaczne. Godzimy się na to, ale jednak i my także dążymy do czegoś, co akademicko nazywamy intersubiektywną sprawdzalnością analizy. Jeżeli analiza jest przeprowadzona uczciwie, przy ujawnieniu wszystkich autorskich założeń oraz przy pomocy metod i narzędzi możliwych do opisanie i logicznego uzasadnienia, to osoba, która przychodzi po mnie i używa tych samych metod i narzędzi do takiego samego lub podobnego materiału, powinna osiągnąć identyczne lub zbliżone rezultaty.

Teoria komunikowania i medioznawstwo to stosunkowo nowe nauki. Są naukami społecznymi, pozbawionymi tak zwanej wielkiej teorii – nie dopracowaliśmy się teorii szerokiego zasięgu, objaśniających zjawiska komunikacyjne kompleksowo i uniwersalnie. Nie dopracowaliśmy się ich, ale może nie jest nam to bardzo potrzebne, ponieważ efektem tego braku jednoczącej teorii jest eklektyzm metodologiczny, wielość podejść i teorii. A to jest bardzo twórcze, bo otwiera możliwość rozmawiania o mediach i komunikowaniu na różne sposoby jednocześnie. Z tego powodu medioznawstwo jest stosunkowo otwarte na innowacje i dopływ idei z różnych innych dyscyplin naukowych. To sprawia, że bycie medioznawcą bywa trudne, bo trzeba być trochę specjalistą od wszystkiego – a wiadomo, że jak jest się trochę specjalistą, to się nim po prostu nie jest. Ale z drugiej strony powoduje, że granice naszej dyscypliny są przenikliwe i niedookreślone, można uprawiać nauki o mediach od strony filologii, socjologii, psychologii, cybernetyki, filozofii czy semiologii. W związku z tym można być filozofem medioznawcą albo filozofem socjologiem mediów. To trochę ułatwia medioznawstwu funkcjonowanie w sytuacji, którą mamy obecnie, gdy media zmieniają się tak szybko, gdy musimy reagować na tę ogromną zmienność i technologiczną, i koncepcyjną, i językową, i wizualną. Ale to oczywiście oznacza też, że medioznawca musi się cały czas uczyć. Oraz że osoba taka jak ja, trzy razy starsza od swoich studentów, doświadcza paradoksu Czerwonej Królowej. Trzeba biec jak najszybciej, żeby przynajmniej pozostać w miejscu. Dlatego zresztą uważam dydaktykę za fundamentalną i najważniejszą w naszej pracy. Dzięki niej wiemy, czego nie wiemy i czego musimy się nauczyć. Pokazują nam to studenci.

Gdybyśmy chcieli odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jako medioznawcy radzimy sobie z analizą mediów czy też nie, trzeba by zacząć od osobistego poziomu optymizmu albo pesymizmu badacza. Nie chodzi więc o to, żeby oceniać całą naukę o komunikowaniu czy całą naukę o mediach, tylko zadać sobie pytanie o własny, twórczy i rozumiejący stosunek do zjawisk komunikacyjnych.

Nie powinno się mówić o swoich projektach, póki nie są zrealizowane, bo to załatuje zarozumiałstwem i można je zapeszyć. Ale rzeczywiście, w imię zrozumienia zjawisk komunikacyjnych próbuję napisać książkę, która byłaby semiotycznym modelem kultury popularnej w krajach realnego socjalizmu, czyli w PRL-u; może się uda. Być może będzie ona miała tytuł *Dlaczego jesteśmy tacy*¹, ponieważ stawiam w niej tezę, że większość edukacji kulturalnej Polaków po 1945 roku odbyła się nie poprzez kulturę wysoką (bo znaczna część społeczeństwa nie miała do jej rozumienia odpowiednich kompetencji i kapitałów socjosemiotycznych), tylko przez to, co powstało na styku oddolnej kultury, w znacznej mierze chłopskiej, z urzędową kulturą masową, rozpowszechnianą poprzez prasę, radio i telewizję. Mamy dzisiaj olbrzymią liczbę publikacji o kulturze masowej PRL-u, najczęściej prześmiewczych. Właściwie to kultura ta przedstawiana jest na dwa sposoby: albo prześmiewczo (bo w ogóle jaką fajną rozrywką jest oglądanie dzisiaj Karguła, Pawlaka i Hansa Klossa), albo w śmiertelnie poważnym tonie, pod hasłem „nieszczęsny naród jęczący w jarzmie”. Nieszczęsny naród nie zawsze i nie ciągle jęczał w jarzmie, ale nie był też całkowicie zmanipulowany. Kultura popularna powstawała na styku przygotowania kulturalnego, postaw w stosunku do ustroju, życia codziennego ludzi w tym bardzo trudnym ustroju, no i właśnie produkcji kulturalnej. Ważne, że ona w znacznej mierze była wtórna, naśladowcza. Socjalizm realny (nie używam słowa komunizm, bo to nie był komunizm) nie wypracował własnych form kultury masowej, prawie nie skonstruował własnych gatunków medialnych. Zrobił różne ciekawe subgatunki, jak na przykład – typowy dla wszystkich krajów w tej części Europy – serial o życiu codziennym na blokowisku, ale to jest tylko odmiana serialu telewizyjnego. Socjalizm realny, będąc radykalnie przeciwny kulturze masowej typu zachodniego, zrzynał jednak bezczelnie z jej zdobyczy. Powstawała sprzeczność wynikająca z tego, że przecież te rozmaite gatunki, te rozwiązania formalne i treściowe produktów zachodniej kultury masowej miały

¹ Książka ukazała się w 2025 roku nakładem wydawnictwa Universitas.

swoją treść ideologiczną. One nie powstawały w próżni, tylko generalnie odzwierciedlały realia ustrojowe i ekonomiczne krajów wolnorynkowych oraz stan kultury, z której były wywiedzione. A nagle mieliśmy je produkować u nas.

Mamy więc na przykład Hansa Klossa, który w latach sześćdziesiątych był naszym Bondem. Bonda nie wolno było w Polsce oglądać do roku 1990 (kiedy na ekrany kin weszła *Licencja na zabijanie*), ale i tak wszyscy wiedzieli, że to nasza odpowiedź na ichniego superszpiega. (Rosjanie w tym czasie zrobili jeszcze *17 mgnień wiosny*, emitowane we wszystkich krajach obozu. Pamiętają to dziś starsi widzowie. Młodzi może tego nie widzieli, choć może jednak tak, bo jest na ten temat wiele różnych memów i żartów.) Właściwie, jak chodzi o kulturę peerelowską, to znacznie bardziej Bondem, ale na miarę naszych możliwości, był niejaki redaktor Maj, bohater serialu *Życie na gorąco* z lat siedemdziesiątych. Imienia Maja nigdy nie poznaliśmy. Służbowo jeździł Porsche, ale prywatnie wołał naszego Fiata 125p. Walczył ze złowrogą, rewizjonistyczną, niemiecką organizacją „W”, która pragnęła zawładnąć światem. No i rzucali mu się w ramiona wszystkie kobiety. To jest bardzo śmieszne, kiedy się to dzisiaj ogląda. Zresztą było śmieszne i wówczas, bo ludzie nawet wtedy woleli produkcję zachodnią. To kwestia pytania, jak pogodzić jedno z drugim, jak zszyć kapitalistyczne formy z socjalistyczną treścią i ideologią. Między innymi dlatego serial o redaktorze Maju jest śmieszny: widać, jak te szwy wychodzą, jak treść i idee są niespójne z formą. Właściwie cała kultura masowa socjalizmu realnego (mówię masowa, nie popularna, bo kultura popularna powstaje wtedy, gdy ludzie wezmą produkty kulturalne i użyją ich na swój sposób) jest taka właśnie wewnętrznie niespójna. Ludzie jednak zbudowali wokół niej żywe oraz pełne zaradności i solidarności życie codzienne wraz z własną kulturą popularną. Była to na dodatek kultura w jakiś sposób łącząca nasz doświadczenia z doświadczeniami innych krajów tak zwanego obozu socjalistycznego.

Lubimy o sobie mówić, że byliśmy najweselszym barakiem w całym obozie i że w związku z tym nasza kultura masowa była najbardziej otwarta na Zachód. O ile wiem, Węgrzy mówią o sobie to samo. Warunki wprowadzania ustroju socjalizmu realnego w Europie Środkowej w wielu krajach były podobne. Podobnie wyglądała znaczna część procesów kreowania socjalistycznej kultury masowej. W związku z tym kultura, która powstała w konsekwencji, była podobna w Polsce, Czechosłowacji czy na Węgrzech.

Jak widać w tym pokoju, warsztat pracy badacza jest zatłoczony znakami rozpraszającymi uwagę, ale na uniwersytecie dobrze się pracuje. Jednak z powodów ekologicznych dużo pracuję w domu. Codzienne dojeżdżanie do pracy, jeśli się nie musi, byłoby w moim wypadku nieekologiczne, bo daleko mieszkam. Pracuję w domu także i dlatego, że potrzebuję swoich książek. Jak każdy, potrzebuję otoczenia, które sobie wypracowałam. Ja jeszcze ciągle korzystam z książek. To może przestarzałe, ale uważam, że należy pisać książki i należy ich używać. Więc w domu jest trochę łatwiej, bo nie da się wszystkich książek przynieść tutaj. Natomiast praca na uniwersytecie ma taki sens, że jest połączona z dydaktyką, ze spotkaniami z ludźmi. Więc koniec końców, na pytanie, czy mam jakieś rytuały konieczne do pracy, odpowiadam: nie mam. Mogę siedzieć przy dowolnym biurku, na uczelni i w domu. Mogę też siedzieć na plaży i coś tam napisać. Natomiast uważam za konieczne połączenie pisania z uczeniem, to znaczy ze spotkaniami ze studentami.

Są ludzie, którzy tego nie mają, a produkują znakomite książki. Dla mnie uczenie to jest zawsze źródło pytań, które muszę sama sobie zadać. Potrzeba książki o kulturze peerelunasunęła mi się, kiedy okazało się na zajęciach, że ktoś taki jak ja, kto PRL pamięta i od wielu lat używa pochodzących z niej różnych cytatów i skrótów myślowych (typu że inżynier Mamoń lubi tylko te piosenki, które już zna), z każdym kolejnym rocznikiem studentów jest coraz mniej rozumiany. Albo te skróty myślowe są rozumiane już w tylko kontekście tego, jak różne obrazy i słowa dotarły do młodych ludzi poprzez memy, YouTube'a, TikTok. I w związku z tym pomyślałam, że kiedy umrzemy my, którzy pamiętamy jeszcze życie w PRL (ja się urodziłam tak, że pamiętam dobrze stan wojenny, a świadomie Polskę Ludową lat siedemdziesiątych i znacznej części lat sześćdziesiątych), to z wiedzy o niej pozostanie to, że „nieszczęsny naród jęczał w jarzmie” albo że było bardzo śmiesznie.

Dlaczego studenci są potrzebni do pisania tej książki? Między innymi pomagają sprawdzać zrozumiałość języka, odniesień, cytatów i aluzji, weryfikować, na ile zrozumiałe jest to, o czym człowiek mówi i pisze. Dla ludzi z mojego pokolenia wiele wątków zawartych w tej książce to absolutne banały. Rzeczy, które „każdy wie”. Natomiast dla ludzi dwudziestokilkuletnich peerelowska kultura popularna to często całkowicie nieznany obszar. A zwłaszcza, jeżeli już mówimy o semiologii, niezrozumiałe są różne mechanizmy znakowe.

W książkach jest o wiele więcej niż na YouTube. W książkach jest nieskończenie więcej niż na TikToku. Przede wszystkim, są w nich uporządkowane i sformułowane myśli, które zostają złożone w zdania logicznie ze sobą połączone i dłuższe ciągi myślowe.

Nie chodzi więc tylko o to, że w książkach jest więcej wiedzy. Może nie ma jej więcej. W różnych ogromnych archiwach sieciowych, złożonych przez tysiące ludzi w wyniku procesów inteligencji kolektywnej tej wiedzy jest mnóstwo. Natomiast w książkach są sposoby myślenia. Można również wrócić do czegoś, co się kiedyś przeczytało, przeczytać to jeszcze raz i odkryć w tym coś zupełnie nowego.

Dlatego między innymi ubolewam nad akademicką „punktozą”, która zmusza, zwłaszcza młodszych kolegów, do pisania krótkich artykułów za wiele punktów i zaniechania pisania książek. Za książkę dostaje się stosunkowo niewiele tych punktów, chociaż jej napisanie to czasem kilkuletni wysiłek. Prawda jest też taka, że artykuły czyta mało kto, już raczej książkę może ktoś przeczytać. Szanse na to, że nasze myśli dotrą do jakichś ludzi są większe, kiedy napiszemy książkę. Chociaż trzeba się bardziej namęczyć.

Kimże ja jestem, żeby krytykować system? Mam prawo krytykować system, bo jestem jego częścią.

Zdecydowanie uważam, że książki są konieczne i jeszcze bardzo długo będą. Umberto Eco jest autorem przepięknej pracy pod wdzięcznym tytułem *Nie myśl, że książki znikną*. One nie znikną, natomiast dobrze by było mieć takie kompetencje, żebyśmy umieli z nich korzystać.

Każde góry są dobre. Nasze Tatry są idealne, tylko nie latem, kiedy jest tam za dużo ludzi. Ale mam taką ambicję – a jeszcze parę lat mi zostało w nogach – żeby zobaczyć wszystkie największe góry. Brakuje mi Andów. Byłam w Himalajach, w Pirenejach, w Patagonii, w tym roku byłam na Kaukazie. W środowisku naukowym góry to dość częsta fascynacja. Góry się przydają. My po prostu musimy się ruszać, w związku z czym potrzebujemy czasem zjechać na nartach, a czasem się na coś wspiąć. Ale przydają się też do samotności. I do myślenia.

Ryszard Balicki

NIKT NIE LUBI EKSPERTÓW | ODC. 6



Sprawczość naukowców jest ograniczona, ponieważ nie dysponują oni realną decyzywnością. To raczej fakt, który trzeba rozumieć, niż powód do narzekania.

Doktor habilitowany Ryszard Balicki

Jesteśmy w samym centrum Wrocławia.

Idąc przez otoczony starymi kamienicami rynek, trafiamy pod jeden z budynków Uniwersytetu Wrocławskiego. Tam, pośród zieleniejących się drzew, oświetlony wiosennym słońcem znajduje się Wydział Prawa, Administracji i Ekonomii. Mijamy gromadzących się pod wejściem studentów i szybko wchodzimy do środka, chowając się przed zaskakująco mroźnym wiatrem.

Jedziemy windą w poszukiwaniu naszego bohatera i po kilku podpowiedziach stajemy przed odpowiednim gabinetem. Profesor zaprasza do przestronnego pokoju i od razu serwuje nam świeżą kawę w eleganckich filiżankach. Rozglądając się

po półkach, widzimy całą masę prawniczych książek, a pomiędzy nimi bardziej osobiste elementy – drewniane rzeźby, kadzidelka oraz obrazy.

Do jednej z szafek przyczepiony jest pęk kolorowych przepustek i identyfikatorów. Poprzez otwarte okno do gabinetu wdzierają się dźwięki miasta, a z korytarza dobiega nas szum rozmów studentów. Tuż przy wejściu do gabinetu stoi duże drewniane biurko otoczone kilkoma krzesłami.

Profesor przysuwa do niego swój skórzany fotel i z uśmiechem czeka na nasze pierwsze pytanie.

Czy umysł prawnika jest inny? Nie, jest taki sam, z takimi samymi ograniczeniami jak wszystkich innych ludzi. Natomiast sposób korzystania z niego jest – i powinien być – nieco odmienny.

Powinniśmy przeanalizować, dlaczego dany tekst, na przykład tekst prawny, został sformułowany właśnie w taki, a nie inny sposób. I po drugie, trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie, jak tę treść wykorzystać, jak ją zastosować w praktyce. Czyli – jeśli już mówimy o konkretach – jeżeli widzimy normę prawną, to dla nas to jest nie tylko tekst, zbiór słów, ale także sytuacja, do której tę normę możemy przyporządkować. Pewne działania prawnika są przy tym na swój sposób automatyczne. To tak jak człowiek, który się nie zastanawia, że mówi prozą, bo po prostu mówi, nawet nie musi o tym wiedzieć. Prawniki też pewne działania wykonuje automatycznie.

Jeżeli próbujemy łączyć aktywność prawnika, czy to na rynku, czy to w sferze publicznej, z aktywnością pracownika naukowego, pojawia się jeden element, który wydaje się szczególnie charakterystyczny. Prawnicy-akademyści dostrzegają w określonych wydarzeniach potencjalną podstawę swoich opracowań naukowych. Dla prawnika wydarzenia, dziejące się tu i teraz, mogą być symbolicznym momentem, który zainspiruje go do napisania tekstu naukowego albo do podjęcia określonego problemu badawczego. Więc jest to połączenie praktyki stricte prawniczej z aktywnością naukową. Tak najczęściej to funkcjonuje, choć oczywiście wyjątki będą się zdarzać. Warto też mieć świadomość, że nie możemy powiedzieć, że wszyscy funkcjonują w tym samym trybie. Natomiast myślę, że wielu z nas znajdowało istotne punkty zaczepienia dla swojej pracy naukowej po prostu w życiu zawodowym.

Jeżeli myślimy o opracowaniu pewnych zagadnień prawnych, to w istocie musimy najpierw ustalić, na jakim etapie taka praca jest podejmowana. Punktem wyjścia pozostaje tu, skądinąd klasyczna, teoria racjonalnego ustawodawcy profesora Ziemińskiego jeszcze z połowy XX wieku (czasami złośliwie dodajemy, że w Polsce chyba się jeszcze nie przyjęła). Chodzi o odpowiedź na pytanie, co powinien zrobić ustawodawca, jeżeli daną kwestię społeczną chce uregulować poprzez normy prawne. W pierwszej kolejności potrzebna jest więc analiza danego zjawiska, wychwycenie tych punktów, które trzeba byłoby zmodyfikować, a następnie ocena, czy ta kwestia powinna być unormowana akurat poprzez regulację prawną. W Polsce bardzo często przyjmuje się założenie, że samo uchwalenie ustawy rozwiąże problem. To akurat jest błędne myślenie, ale to temat na inną rozmowę. Jeżeli jednak uznajemy, że dana sfera powinna zostać uregulowana normami prawnymi, kolejnym etapem będzie ich przygotowanie, a następnie uchwalenie przez parlament. Ale jest jeszcze jeden element, o którym w polskiej praktyce też się zapomina. Po pewnym czasie powinna zostać przeprowadzona analiza funkcjonowania danej normy. To jest proces, który dzieje się na poziomie pracy ustawodawcy. Jeżeli w ten proces włączymy jeszcze naukowca, to otrzymujemy osobę, która będzie w stanie przeprowadzić zarówno analizę „na wejściu” (czy jest jakieś zjawisko, które trzeba uregulować), jak i „na wyjściu” (gdy oceniamy, jak dane prawo czy dana norma funkcjonuje w rzeczywistości społecznej).

Moja profesja, czyli prawo konstytucyjne, jest bardzo specyficzna. Sytuuje się na pograniczu pomiędzy czystym prawem a polityką. Nie oznacza to oczywiście, że konstytucjonalista jest politykiem. W moim przypadku tak nie jest: nigdy nie byłem i nigdy nie chciałem być politykiem. Ale prawo konstytucyjne wymaga jednak analizy zjawisk zachodzących w sferze politycznej. Dlatego obserwowanie wydarzeń politycznych jest dla mnie istotnym elementem, który w dużej mierze wpływa na to, czym zajmuje się również w pracy zawodowej.

Mój doktorat był poświęcony prezydentowi, dokładniej udziałowi prezydenta w postępowaniu legislacyjnym. W tym przypadku mamy do czynienia z urzędem konstytucyjnym, który występuje w określonych rolach przypisanych przez Konstytucję. Przedmiotem mojej analizy było więc badanie tego, w jaki sposób Urząd Prezydenta – przy czym nie mówimy tu o konkretnych osobach

piastujących ten urząd – działa w określonej sytuacji. Pozwalało to rozważyć szereg istotnych kwestii. No i do dzisiaj niektóre wnioski, które według mnie były istotne, nadal takimi pozostają. Przykładowo, prezydent na końcu postępowania legislacyjnego, zgodnie z Konstytucją ma trzy opcje: podpisuje ustawę, korzysta ze swoich kompetencji, czyli kieruje wniosek do Trybunału Konstytucyjnego, albo odmawia podpisania ustawy i stosuje tak zwane weto zawieszające, czyli przekazuje ustawę Sejmowi w celu ponownego rozpatrzenia. Istotnym elementem jest tu to, co nazywamy kontrolą przewencyjną ustawy, czyli skierowanie jej do Trybunału. W tym przypadku prezydent niejako komunikuje: „widzę tutaj problem niezgodności normy z Konstytucją”. Niestety, w pewnym momencie pojawiło się zjawisko, które oceniam krytycznie i które moim zdaniem powinno być przedmiotem wyraźnej krytyki. Chodzi o praktykę polegającą na stosowaniu procedury, która nie jest wprost opisana, ale jest formalnie zgodna z prawem – czyli prezydent podpisuje ustawę, ona wchodzi w życie, ale jeszcze tego samego dnia ogłasza, że ustawa zostanie skierowana do Trybunału Konstytucyjnego, już nie w ramach kontroli przewencyjnej, lecz następczej.

Dlaczego uważam tę sytuację za błędną? Z punktu widzenia prawnika odpowiedź jest dość oczywista. Do systemu prawnego wprowadzana jest norma, co do której prezydent Rzeczypospolitej jednocześnie sygnalizuje poważne wątpliwości konstytucyjne. Innymi słowy, prezydent mówi: „mam zastrzeżenia co do zgodności tej regulacji z Konstytucją”, a zarazem dopuszcza jej funkcjonowanie w systemie prawnym. W praktyce oznacza, to że obywatele zaczyna wiązać norma prawna, o której prezydent stwierdza, że są jakieś wątpliwości co do jej zgodności z Konstytucją. Sytuacja absurda, wadliwa i ustrojowo niepożądana. Formalnie zgodna z Konstytucją, bo prezydent ma i jedno uprawnienie, i drugie, ale nie powinien korzystać z tych instrumentów równocześnie lub w sposób funkcjonalnie sprzężony, ponieważ wywołuje to niepotrzebny zamęt w odbiorze społecznym.

Prawnicy-naukowcy bardzo chętnie analizują wszelkie zagadnienia, które uznają za ważne, ciekawe, warte opracowania. Tworzą teorie, koncepcje, przedstawiają również pewne propozycje rozwiązań. Ale oni nie mają siły sprawczej. W obszarze prawa ta siła sprawcza pozostaje przede wszystkim po stronie twórców prawa, czyli ustawodawcy. I tutaj prawnik-naukowiec spotyka się z inną postacią, czyli z politykiem, który pełni określoną funkcję. Musielibyśmy się

zastanowić, dlaczego często jest tak, że polityk, który został wybrany na urząd, uznaje, że otrzymał swoisty mandat nieomyślności.

Jeżeli polityk zaczyna rzeczywiście uważać, że zna odpowiedzi na każde pytanie, to przestaje słuchać ekspertów. Nikt nie lubi ekspertów, bo eksperci formułują wątpliwości i zwracają uwagę na konsekwencje podejmowanych decyzji. Polityk natomiast często dąży do podejmowania decyzji szybko, tu i teraz.

Z drugiej strony trzeba uczciwie powiedzieć, że my jako społeczeństwo lubimy takich polityków, którzy się prezentują jako decyzyjni i szybko podejmujący decyzje, bo dobrze to wygląda w mediach. Nie zawsze jednak o to powinno chodzić. Decyzja powinna być przede wszystkim racjonalna, a niekoniecznie natychmiastowa. Sprawczość naukowców jest więc ograniczona, ponieważ nie dysponują oni realną decyzyjnością. Tak wygląda praktyka życia publicznego. To raczej fakt, który trzeba rozumieć, niż powód do narzekania.

Były próby redagowania aktów prawnych językiem maksymalnie prostym, jednak w praktyce często okazywało się, że w takiej sytuacji nie udaje się przenieść wszystkich rozwiązań, które w danym akcie prawnym, w danej normie powinny być zawarte. Pojawia się pewna sprzeczność pomiędzy absolutną dostępnością językową a precyzją, która w tekście prawnym jest konieczna. Zatem nie zawsze te dwie wartości daje się połączyć. Natomiast powinniśmy dążyć do tego, aby komunikacja z obywatelem, będąca już efektem stosowania normy prawnej, była maksymalnie prosta i zrozumiała. Żeby obywatel nie zastanawiał się, o co chodzi w otrzymanym piśmie.

Prawnik-naukowiec to osoba, próbująca połączyć dwa porządki, które nie zawsze są łatwe do pogodzenia. Z jednej strony obecna jest perspektywa prawnika jako praktyka, ale z drugiej perspektywa naukowca, który także jest w nim obecny. To właśnie w tym napięciu może czasem pojawiać się pewna sprzeczność.

Z punktu widzenia prawnika normy prawne służą porządkowaniu życia społecznego oraz wyznaczaniu reguł postępowania, które mają zapewniać przewidywalność, bezpieczeństwo i ochronę podstawowych wartości. Taka jest, co do zasady, rola prawa w społeczeństwie. Natomiast naukowiec próbuje ten praktyczny wymiar opisać szerzej i uporządkować teoretycznie. Wyciąga wnioski, formułuje pewne uogólnienia, a czasem proponuje własne rozwiązania lub koncepcje. Myślę, że każdy naukowiec chciałby funkcjonować po latach jako

twórca określonych koncepcji. Bywa jednak i tak, że pozostaje to marzeniem trudnym do spełnienia.

Prawo rozwija się równocześnie ze społeczeństwem. Wraz ze zmianami społecznymi i technologicznymi pojawiają się także nowe dziedziny prawa. Prawo kosmiczne pojawiło się w momencie, gdy ludzkość przestała jedynie obserwować gwiazdy, ale zaczęła do nich sięgać. Podobnie jest dziś ze sztuczną inteligencją. To jeden z istotnych problemów, którym prawnicy się teraz zajmują, ponieważ to zjawisko realnie wpływa już na życie społeczne. Pojawiające się problemy mają charakter podstawowy. Wyobraźmy sobie autonomiczny pojazd, który znajduje się w sytuacji przedwypadkowej i ma rozstrzygnąć, w którą stronę skręcić, czyli w niektórych wypadkach kogo zabić. To dylematy wymagające analizy prawnej i etycznej, a ich rozstrzygnięcie nie jest łatwe. Nie wiem, czy we wszystkich przypadkach możliwe jest udzielenie odpowiedzi w pełni satysfakcjonującej. To tematyka, która trochę odbiega od moich głównych zainteresowań, ale dobrze pokazuje nowe zjawiska, które pojawiają się w prawie. Na poziomie rozwoju nauki możemy więc mówić o pojawianiu się pewnych nowych dziedzin, które dawniej nie były przedmiotem zainteresowania prawników, ponieważ albo nie miały jeszcze znaczenia społecznego, albo po prostu jeszcze nie występowały.

Z punktu widzenia konstytucjonalistów mówimy o wielu zjawiskach. Takim, do którego ja się często odwołuję, jest koncepcja „momentu konstytucyjnego” profesora Bruce’a Ackermana. Chodzi w niej o chwilę, w której w społeczeństwie pojawiają się przesłanki uzasadniające uchwalenie albo zmianę obowiązującej konstytucji. Czyli jest to teoretyczna próba uchwycenia sytuacji, w której można (i powinno się) konstytucję uchwalić bądź zmienić. To jest coś, do czego ja się odwołuję. Ale myślę, że każdy z nas, w zależności od dziedziny prawa, którą się zajmuje, będzie miał własne pojęcia i koncepcje, do których często wraca. Co więcej, są to niekiedy właśnie te elementy, do których wraca się chętnie, bo zostały dobrze opracowane albo dlatego, że samemu uczestniczyło się w ich rozwijaniu.

Jeżeli mówimy o momencie konstytucyjnym, to po pierwsze, mamy do czynienia z momentami przełomowymi w dziejach społeczeństwa. Czyli przykładowo z wybiciem się na niepodległość albo jakimś przewrotem. Są to zdarzenia wyraźne, które mają charakter zewnętrznie widoczny, i w oczywisty sposób zmieniają warunki funkcjonowania państwa. Ale moment konstytucyjny może także dojrzywać w mniej widowiskowy sposób. Na przykład z czasem może ujawniać się przekonanie większości społeczeństwa, że obowiązujący model funkcjonowania systemu prawnego wymaga zmiany. Czyli nie jest to jedno spektakularne wydarzenie, przewrót wojskowy czy uzyskanie niepodległości, ale stopniowo narastające przekonanie społeczne, że obowiązujący model wymaga korekty. W takich okolicznościach również może dojść do tego przełomowego doświadczenia społecznego, które stworzy wystarczające uzasadnienie dla zmiany konstytucji.

Intuicja badacza, ta iskra boża, która nagle może się pojawić – myślę, że jeżeli byśmy mieli takie doświadczenie, to byłoby coś pięknego i pewnie byśmy to zapamiętali. Ale to nie jest takie proste. Jednak łączenie roli naukowca i prawnika rodzi też pewne ograniczenia. Jesteśmy związani obowiązującym systemem prawnym, ale także koniecznością ciągłego odnoszenia się do jego uwarunkowań. Osobiście nie doświadczyłem jeszcze takiego nagłego olśnienia, ale bądźmy dobrej myśli.

Moim sukcesem jest to, że jestem dziś w miejscu, w którym się znajduję. Pochodzę spod Głogowa. Skończyłem technikum hutnicze, jeszcze w czasach PRL-u, kiedy perspektywa studiów, zwłaszcza dla chłopaka z mojego środowiska, wydawała się czymś odległym. Jestem dyplomowanym technikiem mechanikiem o specjalności „maszyny i urządzenia hutnicze”, co dziś może brzmieć przewrotnie, ale marzyłem o czymś innym, o czymś więcej. Dlatego zdecydowałem się pójść na studia prawnicze. Studia te skończyłem, a później zostałem zatrudniony na uniwersytecie. Dziś jestem tutaj i zajmuję się tym, co naprawdę lubię, czyli też pracą ze studentami. Czy to jest sukces? Tak, uważam, że tak. To jest moje osiągnięcie. Ale czy jest ono jest wielkie? To już jest kwestia oceny.

Praca pracowników badawczo-dydaktycznych w sposób naturalny łączy dwa elementy, czyli naukę jako taką oraz dydaktykę. Oczywiście można te sfery traktować rozdzielnie, ale wtedy chyba będziemy się męczyć w życiu, a wykonywanie tego zawodu stanie się trudniejsze. Znacznie lepiej, łatwiej i przyjemniej będzie szukać między nimi punktów wspólnych. W moim przypadku jest to stosunkowo proste, ponieważ zajęcia, które mam ze studentami, dotyczą bezpośrednio tych kwestii, którymi się zajmuję również w sferze naukowej.

Taka sytuacja jest prostsza i w pewnym sensie bardziej naturalna. Mam nadzieję, że jest też, na swój sposób, przyjemniejsza także dla studentów. Warto to podkreślić, ponieważ dydaktyka w tym ujęciu nie pełni jedynie funkcji przekazywania wiedzy, lecz może także inspirować samego prowadzącego. Myślę przy tym, że ta relacja działa w obie strony, a czasami to właśnie nieprzewidywalność młodego człowieka może być dla nas inspiracją. Często jest tak, że funkcjonujemy już w pewnym utartym schemacie myślenia, w którym zostaliśmy ukształtowani albo który sami sobie stworzyliśmy. I nagle pojawia się młody człowiek, dla którego te wszystkie ograniczenia, niejako już w nas zakodowane, w ogóle nie istnieją. I właśnie ta odmienna, mniej schematyczna perspektywa może nas zainspirować i pokazać, że jest jakaś inna droga, jest inne myślenie, na które sami, działając w utrwalonych schematach, byśmy nie wpadli.

Przenoszenie elementów pracy zawodowej na grunt prywatny jest zawsze ryzykowne. Dla nas coś będzie bardzo ważne, bardzo istotne, będziemy czymś zafascynowani, a druga osoba niekoniecznie będzie chciała zajmować się tym samym. Więc to jest pewne ryzyko. Moim studentom często powtarzam, żeby starali się mieć znajomych także poza środowiskiem prawniczym, żeby mieli kontakt z „normalnymi ludźmi”. To w dużej mierze ułatwia nasze życie w społeczeństwie.

Dlatego staram się nie przenosić moich zainteresowań zawodowych bezpośrednio do relacji z innymi ludźmi. Nie będę jednak ukrywał, że często pojawia się jakiś punkt zaczepienia, choć raczej wynika on z zainteresowania tej drugiej strony. Staram się nie narzucać tematów, którymi sam się zajmuję. Jeżeli jednak ktoś pyta, ma jakieś wątpliwości, to wtedy oczywiście wchodzę w rozmowę. Więc to jest naturalny sposób wykorzystywania doświadczenia i wiedzy, które posiadam.

W moim przypadku jest jednak tak, że ten związek pomiędzy prawem a polityką jest szczególnie bliski. Moja żona ma bardzo podobną historię społeczną

jak ja, córka też funkcjonuje w sferze publicznej, więc w naszym domu tych tematów jest po prostu więcej. Ale – co do zasady – nie zachęcałbym do tego, by wszystkim i na wstępie wyjaśniać, jak powinny funkcjonować normy prawne.

Nie wiem, czy powinienem o tym mówić, bo kolega odpowiedzialny za serię komentarzy do Konstytucji jest przekonany, że mój tom jest już gotowy, a ja go dopiero kończę. Ale może, kiedy będzie to czytał, to praca będzie już zakończona. W tej chwili jestem na etapie przygotowywania dwóch tomów do wielotomowego komentarza do Konstytucji. W moim przypadku są to części poświęcone prezydentowi. Nad tym obecnie pracuję.

My zwykle mamy kilka spraw równoległe... Tak się akurat złożyło, że w moim przypadku obecnie to są przede wszystkim prace nad komentarzami do aktów prawnych: komentarz do rozdziału z Konstytucji poświęconego prezydentowi i drugi komentarz, tyle że do kodeksu wyborczego. To są te dwie rzeczy, które mam na biurku i właściwie równoległe nad nimi pracuję. Jak zawsze brakuje czasu, ale taka jest praktyka naszego zawodu.

Pociąg jest fantastycznym sposobem przemieszczania się. Uważam, że w takim kraju jak Polska powinien być on podstawowym środkiem transportu. Z mojej perspektywy to rozwiązanie w pełni wystarczające, bo do pracy potrzebuję komputer, a pociąg daje przestrzeń, którą można dobrze wykorzystać. Są jednak momenty, kiedy człowiek jest po prostu zmęczony. Wtedy nawet najwygodniejszy fotel w pociągu i najlepszy komputer nie zastąpią odpoczynku.

Każdy prawnik jest w pewnym stopniu kształtowany przez swoich mistrzów oraz lektury, z którymi się zetknął. Czasem nie jest to nawet w pełni uświadomione, ale w dużej mierze jesteśmy tacy, jacy zostaliśmy uformowani. To jest ta pierwsza sprawa. Czy zmienia się to wraz z wiekiem? Złośliwi mówią, że zawsze na starość człowiek staje się bardziej konserwatywny. Nie wiem, czy to jest zawsze prawda, ale może coś w tym być. Mam jednak wrażenie, że nie chodzi o sam wiek. To jest raczej kwestia społeczeństwa, w którym żyjemy. Jeżeli porównamy doświadczenie pokoleń ukształtowanych w realiach PRL-u z pokoleniami współczesnych, młodych ludzi, to widać, że są to światy radykalnie inne. I to właśnie te doświadczenia ich formują.

W latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych myślenie o zjawiskach społecznych było zasadniczo inne, bo ludzie tak byli ukształtowani. Często nie wyobrażali sobie nawet, że można patrzeć inaczej. Dzisiaj sytuacja jest inna: większa otwartość na świat i zachodzące zmiany również nas kształtuje. I to znajduje także odzwierciedlenie w regulacjach prawnych. Nie mam pewności, czy da się to wprost wiązać z wiekiem konkretnego człowieka. Bardziej przekonuje mnie ujęcie, w którym chodzi o dojrzewanie społeczeństwa jako takiego. Prawnicy są częścią społeczeństwa, żyją w nim, są przez nie kształtowani, a czasem także sami je współkształtują.

Agnieszka Skala-Gosk

LEPSZE OD JEDNOROŻCÓW BĘDZIE STADO SŁONI |
ODC. 7



I trochę tak jest, że dyskusja z mitami oraz pokazywanie, jak jest naprawdę – właśnie poprzez wyniki badań i wiarygodność, którą daje rzetelność naukowa – stanowi jedno z ciekawszych i fajniejszych wyzwań.

Doktor habilitowana Agnieszka Skala-Gosk

Po kilku godzinach podróży trafiamy ponownie do rozgrzanej słońcem Warszawy.

Na jednej ze starych ulic, między biurami radców prawnych znajduje się mieszkanie naszej dzisiejszej bohaterki. Wchodzimy do zabytkowej kamienicy, której przestronne wnętrze wyłożone jest zadbanym, wiekowym marmurem. Zgodnie z podpowiedzią pani profesor kierujemy się do starej windy.

Otwieramy dwie pary drzwi i wchodzimy do obitego drewnem, ciasnego i wiekowego wnętrza. Po chwili niepewności stary mechanizm uruchamia się, a my

z duszą na ramieniu jedziemy na ostatnie piętro. Dzwonimy starym dzwonkiem, na co w odpowiedzi słyszymy z mieszkania kilka donośnych szczeknięć.

Pani profesor otwiera z uśmiechem drzwi i zaprasza do środka, gdzie witają nas trzy urocze pieski. Zabytkowe wnętrze od razu robi na nas ogromne wrażenie. Drewniane podłogi skrzypią przy każdym kroku.

Na ścianach widzimy oprawione stare dokumenty, obrazy i inne pamiątki. Mieszkanie wypełnione jest antykami oraz starymi meblami. Pod salonową ścianą stoi piękne rozstrojone pianino.

Pani profesor oferuje nam dzbanek wody i kilka kawałków sernika. Następnie wraz z mężem entuzjastycznie opowiada o historii tego miejsca. Zostajemy zaproszeni do gabinetu, który jednocześnie pełni funkcję sypialni.

To tam rozkładamy swój sprzęt i, siadając na łóżku, przygotowujemy się do rozmowy. Jeden z piesków kładzie się obok nas i od razu zasypia, a my zadajemy pierwsze pytanie.

Dla mnie przedsiębiorczość jest przede wszystkim kwestią postawy życiowej, która wcale nie musi mieć bezpośredniego związku z biznesem. Chodzi o człowieka, który jest otwarty, gotowy podejmować wyzwania. Kiedy coś go uwiera, to nie chce się po prostu dostosować – chce to zmienić.

To jest też opowieść o ludziach, którzy są zaangażowani w to, co robią. Niekoniecznie muszą być przedsiębiorcami; mogą być pracownikami, ale takimi, nad którymi nie trzeba stać z batem, żeby coś zrobili. Są po prostu – nazwijmy to umownie – na tyle przedsiębiorczy, że w pewnym sensie znajdują przyjemność i satysfakcję w realizowaniu zadań czy osiągnięciu celów. Czy robią to w ramach własnej działalności, to już w zasadzie kwestia techniczna. Narzędzia pozostają te same.

Uczymy więc, jak wybierać i wykorzystywać narzędzia, które pozwalają ograniczać chaos, niepewność i ryzyko, a przy ograniczonych zasobach osiągać cele. Albo – jeśli trzeba – odpowiednio elastycznie te cele zmieniać, dostosowywać się do tego, co się dzieje. I to nie jest żadne odkrywanie Ameryki. To raczej uświadamianie ludziom, że takie narzędzia istnieją, że można z nich korzystać w sposób twórczy i elastyczny.

Miałam w życiu szczęście, bo spotkałam kilku mentorów, którzy prowadzili mnie przez życie zawodowe. Jednym z nich był – i wciąż jest – profesor Jerzy

Cieślik. Interesował się on swego czasu takim nurtem badawczym, który dotyczył mitów przedsiębiorczości.

W Polsce, między innymi ze względu na naszą specyficzną historię z „dzikimi latami dziewięćdziesiątymi” na czele, przedsiębiorczość nie kojarzy się w sposób jednoznacznie pozytywny. Do dziś, kiedy rozmawiam ze studentami, bardzo młodymi ludźmi, którzy przecież tamtych czasów nie pamiętają, słyszę echa opowieści w rodzaju „pierwszy milion trzeba ukraść”, że uczciwie nie da się w tej przedsiębiorczości zrobić nic sensownego.

I trochę tak jest, że dyskusja z tymi mitami oraz pokazywanie, jak jest naprawdę – właśnie poprzez wyniki badań i poprzez wiarygodność, którą daje rzetelność naukowa – stanowi jedno z ciekawszych i fajniejszych wyzwań.

A tych mitów jest sporo. Na przykład, że firmy czy startupy, które odnoszą sukces, zakładają głównie ludzie bardzo młodzi. Taki chłopaczek w kłapczkach, siedzący gdzieś na brzegu oceanu, popijający drinka z pałeczką i stukający coś na komputerze – i z tego ma się urodzić jednorożec. Tylko że nie. Najczęściej są to ludzie co najmniej po trzydziestce, a często po czterdziestce, z doświadczeniem i z konkretnymi zasobami.

Jest też mit, że jeśli „wypanierujemy” startupy pieniędzmi, to one na pewno urosną. Tymczasem nie rosną – a przynajmniej nie od razu, nie wszystkie i nie aż tak bardzo, jak byśmy sobie tego życzyli. Aspekt ludzki pozostaje szalenie istotny, podobnie jak inne miękkie elementy: kultura, sieci współpracy, relacje. To są rzeczy niewymierne, które nie powstają z poniedziałku na wtorek, tylko są budowane długo, konsekwentnie, w ramach określonej polityki czy innych narzędzi wspierania środowiska.

Jest jeszcze jeden mit: że najlepiej być pierwszym na rynku z jakimś produktem – mieć coś, czego nikt wcześniej nie miał ani nie wymyślił, co ma być źródłem sukcesu. Zasadniczo raczej tego nie polecam, bo to są najtrudniejsze projekty. Trzeba wtedy najpierw wyedukować rynek, przekonać ludzi, że pojawiło się coś nowego, co ma zastąpić inną rzecz, do której są bardzo przyzwyczajeni. A przecież nawet jeśli coś jest dla nas niewygodne, to wcale nie znaczy, że chcemy się przestawić na coś innego. Siła przyzwyczajenia bywa ogromna i początkujący przedsiębiorcy bardzo często ją lekceważą. Jak widać, tych mitów wokół przedsiębiorczości jest naprawdę sporo.

Mam ten komfort – i może właśnie dlatego pracuję na uczelni, a nie w prywatnej firmie szkoleniowej – że lubię myśleć o swojej pracy jako o pracy nad

postawami ludzi, nad ich doświadczeniem. Lubię stwarzać pewną szansę, żeby mogli się odblokować i spróbowali, w takich trochę cieplarnianych warunkach, jak im jest, kiedy prowadzą własną firmę albo nawet dopiero o tym myślą. Oczywiście, działalność gospodarcza ma przynosić zysk, ale muszę przyznać, że ten element sam w sobie nigdy mnie jakoś szczególnie nie interesował. Jakkolwiek naiwnie czy altruistycznie by to nie zabrzmiało, to po prostu nie jest ta rzeka, w której ja pływam.

Bliski jest mi natomiast temat startupów zrównoważonego rozwoju, impactowych. Doktorat pisałam o zrównoważonym rozwoju, jeszcze zanim stało się to popularne – obroniłam go dwadzieścia lat temu. Wtedy był to temat tak niemodny, że właściwie musiałam się przekwalifikować na przedsiębiorczość. A dziś wraca do mnie jak bumerang. To jest bardzo ciekawy obszar, do którego na przykład Szwedzi podchodzą naprawdę poważnie.

Nie zmienia to jednak faktu, że element zyskowności ekonomicznej, a wręcz finansowej, również należy do zrównoważonego rozwoju. Nie wystarczy dobrze oddziaływać na planetę, być świadomym społecznie czy dbać o uczciwe warunki pracy. Trzeba też wypracowywać zysk, czyli sprawić, by to przedsięwzięcie było ekonomicznie wydajne. Ja nie widzę w tym żadnej sprzeczności, szczerze mówiąc.

Dość powszechne jest przekonanie, że zarządzać może każdy. Ja tego poglądu nie podzielam. Wydaje mi się, że popularność różnego rodzaju szkoleń, książek, blogów czy podcastów dotyczących zarządzania sobą, swoimi finansami albo swoim czasem jest w pewnym sensie dowodem na to, że te kompetencje są potrzebne i wcale nie takie oczywiste.

Moja praca ma tę specyfikę, że łączy aspekt teoretyczny i praktyczny. Nauka, edukacja i przedsiębiorczość w praktyce są dla mnie nierozdzielnie połączone – jedno napędza drugie.

W zasadzie, odkąd zajęłam się przedsiębiorczością, czyli od 2007 roku – a to już siedemnaście lat – staram się osiągać efekty synergii właśnie dzięki łączeniu różnych rzeczy. Z jednej strony studiujemy teorię i prowadzimy badania, z drugiej strony współpracujemy z przedsiębiorstwami, co daje nam wkład do nauki: idee, pomysły, pytania, które wynikają z nieustannego kontaktu z praktyką. Do tego dochodzi jeszcze dydaktyka. Żeby coś sensownie przekazać studentom, trzeba to dobrze ustrukturyzować. A w dyskusjach ze studentami dostajemy bardzo często cenny *feedback*: uwagi, pytania, tropy, na które sami byśmy nie wpadli.

W środowisku biznesowym jest bardzo dużo szkoleń i transferu wiedzy między przedsiębiorcami, szkoleniowcami oraz różnymi uczestnikami rynku, nie tylko w odniesieniu do startupów. Ja trochę ubolewam nad tym, że wiedza przekazywana w ramach takich szkoleń nie zawsze jest rzeczywiście ugruntowana w wynikach badań. Ale jednocześnie to rozumiem. Jeżeli ktoś zajmuje się tym naukowo, tak jak ja, to zazwyczaj nie ma prostych i natychmiastowych odpowiedzi na najtrudniejsze pytania. I chyba właśnie tu pojawia się problem, bo ludzie przychodzą po recepty: jak założyć firmę, jak nie popełnić błędu, jak zwiększyć swoje szanse na sukces. Tymczasem my, naukowcy, albo mamy odpowiedzi bardzo złożone, albo nie mamy ich wcale. Z kolei ludzie, którzy operują wiedzą bardziej anegdotyczną niż naukową, nie mają tego problemu. I tutaj rodzi się pewien rozdzwiók.

Na Politechnice pełnię dość specyficzną rolę, bo jestem właśnie takim łącznikiem. U mnie nauka, edukacja i działalność bezpośrednio z firmami są bardzo mocno ze sobą powiązane. To przekłada się również na moją obecność na uczelni: z jednej strony prowadzę badania, z drugiej mam zajęcia, a z trzeciej szkolę ludzi w akceleratorze przedsiębiorczości, działającym u nas na uczelni. To jest naprawdę dość szczególne, bo te trzy misje uczelni rzadko się o siebie zahaczają. I zresztą nie jest to wyłącznie polski problem – to zjawisko znacznie szersze, szczególnie jeśli chodzi o tę część komercjalizacyjną, która bardzo często żyje własnym życiem.

Szwedzi doszli do dość prostego i trafnego wniosku: naukowcy nie chcą być biznesmenami, bo gdyby chcieli, to już by nimi byli. Więc zamiast bez końca deliberować, jak przekonać naukowców, żeby ci skomercjalizowali swoje rozwiązania, oni mówią: „dobrze, mamy ciekawe rozwiązanie, damy wam – używając ich dość brutalnego określenia – surogatów, czyli taki menedżerski zarząd, który będzie rozwijał startup na bazie waszej technologii”. Chodzi przy tym o rozwiązania naprawdę zaawansowane technologicznie, deeptechowe. Tymi „surogatami” są studenci drugiego stopnia studiów menedżerskich, którzy przez pierwszy rok studiów są do tego bardzo dobrze przygotowywani, a na drugim roku po prostu – za punkty ECTS – budują realny startup oparty na technologii opracowanej przez naukowców. Naukowcy uczestniczą w tym procesie z tylnego siedzenia, ale nie są bezpośrednio zaangażowani operacyjnie, bo tego po prostu nie da się robić na pół gwizdka. I to działa im naprawdę bardzo dobrze, przy założeniu, że większość projektów jest zabijana już na samym początku,

zanim straci się na nie czas i pieniądze. A mimo to osiągają przeżywalność rzędu 75% po trzech latach.

Ja nie jestem typowym naukowcem, który siedzi i myśli – albo chodzi i myśli, choć akurat ja raczej chodzę – ale staram się nie tracić kontaktu z tym, co realnie dzieje się na rynku. To właśnie obserwacja tego środowiska najbardziej mnie inspirowa: że pojawia się nowy trend, jakieś nowe zjawisko, coś, czego jeszcze dobrze nie dostrzegliśmy, ale już wiadomo, że coś się szykuje. Pamiętam, jak w 2012 roku pojechaliśmy z moim współnikiem i przyjacielem do Berkeley uczyć się, jak przekazywać wiedzę o tych metodach i narzędziach. Byliśmy autentycznie zdziwieni, że na sali – obok edukatorów związanych z ekosystemem startupowym – było bardzo dużo ludzi związanych z korporacjami. Wtedy dotarło do nas, że to właśnie ten moment, kiedy narzędzia stworzone dla startupów zaczynają trafiać do korporacji, które będą wykorzystywały je po to, by być bardziej innowacyjne albo szerzej: lepiej zarządzać procesami innowacyjnymi. I faktycznie tak się stało. To była kwestia roku czy dwóch, zanim to zjawisko rozlało się dalej.

Traktujemy startupy jako przedsięwzięcia przede wszystkim innowacyjne, jako taką szpicę gospodarki. Innowacyjne, szybko rosnące, dynamiczne, ambitne. Z moich badań wynika zresztą, że właśnie ambicja ludzi zakładających startupy jest czymś szalenie ważnym, co odróżnia je od niestartupów. I to znowu jest coś miękkiego, trudnego do zmierzenia i skwantyfikowania. To raczej obszar motywacji, ambicji, wizji tego, czym ta firma ma się stać.

Startupy są gniazdem innowacji w gospodarce, a polska gospodarka jest bardzo mało innowacyjna. Dlatego jest tu bardzo dużo do zrobienia. Startupy mają rozprzestrzeniać nie tylko innowacje i nowe rozwiązania, ale również pewną kulturę organizacji, kulturę biznesu. To powinno dawać efekt mnożnikowy, polegający na tym, że te wzorce będą przenikać do innych sektorów gospodarki, nawet jeśli nie są one startupowe i nie mają naturalnej predyspozycji do tego typu działania. Chodzi o to, żeby całkiem zwyczajne organizacje potrafiły przemawiać i adaptować rozwiązania tworzone oraz wykorzystywane przez startupy, a dzięki temu same stawały się bardziej innowacyjne. I to chyba jest główna misja tego, czym się zajmuję.

To, że coś jest innowacyjne, oznacza, że jest lepsze od tego, co mamy w tej chwili albo czego używamy. I to wydaje się w miarę jasne. Pytanie brzmi tylko,

gdzie kończy się prawdziwa innowacyjność, a zaczyna odtwórczość. Problem z innowacyjnością polega też na tym, że studenci, z którymi pracuję (a moje zajęcia w dużej mierze polegają na tym, że przygotowują swoje innowacyjne pomysły i przez semestr budują z nich coś na kształt projektu startupowego), bardzo często mają przekonanie, że żeby nazwać coś innowacją, trzeba co najmniej wymyślić uniwersalny lek na raka lub coś równie spektakularnego. Tymczasem badania pokazują, że wystarczy być tylko odrobinę lepszym od konkurencji. Wystarczy, że coś jest trochę tańsze, trochę szybsze, trochę wygodniejsze, bardziej kolorowe – to może być dowolna cecha, pod jednym warunkiem: że ma znaczenie dla klienta. Nie musimy od razu wymyślać leku na raka. A nawet jeśli wymyślimy coś jako pierwsi, to wcale nie gwarantuje sukcesu rynkowego. Ci pierwsi na rynku mają najtrudniej. Zbudowanie rynku dla czegoś, czego wcześniej nie było, to luksus, na który może sobie pozwolić Elon Musk. Studentowi politechniki, a nawet absolwentowi, będzie bardzo trudno.

I to jest właśnie ten problem z innowacyjnością. Dobrze oddaje go relacja między jednorożcem a słoniem. Chcielibyśmy mieć startupy superspektakularne, superinnowacyjne, być superpierwsi i supernajlepsi, tymczasem w praktyce dużo lepiej sprawdza się coś tylko trochę lepszego od konkurencji – pod warunkiem, że potrafimy to mądrze wykorzystać na rynku.

W rankingach Polska określana jest, w najlepszym razie, eufemistycznym mianem „*emerging innovator*”, czyli innowatora wschodzącego – mówiąc wprost: słabo, ale z nadzieją, że będzie lepiej. Niestety poprawa idzie bardzo opornie. Tu naprawdę jest ogrom pracy do wykonania. Średnio tylko co trzecie polskie przedsiębiorstwo wykazuje jakąkolwiek aktywność innowacyjną, i to mierzoną w sposób dość wyrozumiały. Średnia unijna wynosi około 50%. U nas jest to ledwie 30%, i to tak ledwo, ledwo.

Jednorożec to prywatna firma wyceniana na więcej niż miliard dolarów. Powszecznie uważa się, że dobrze, żeby kraj miał kilka takich jednorożców – swoich Facebooków, Google’i, Skype’ów czy Prezi. Są tak wyceniane dlatego, że wchodzi do nich bardzo bogaci inwestorzy, którzy chcą zainwestować w nie pieniądze. Kiedy wiadomo, za ile kupili udziały, można z tego policzyć wartość całej spółki. W ciągu ostatnich dwóch, trzech lat w Polsce pojawiło się kilka takich jednorożców. Traktuje się je jako dowód na to, że ekosystem przedsiębiorczości, a zwłaszcza przedsiębiorczości innowacyjnej, działa dobrze.

Ja jednak uważam, że niekoniecznie potrzebujemy samych jednorożców. Być może bardziej przydałoby nam się porządne stado słoni niż kilka jednorożców, które bywają raczej tworem medialnym niż realną siłą wpływającą na gospodarkę. Oczywiście historie sukcesu są ważne i dobrze je mieć. Co ciekawe, jednorożce pojawiają się również w rankingach innowacyjności, takich jak Global Innovation Index czy europejskie rankingi innowacyjności, więc ich wycena rzeczywistości liczy się do wskaźników. To znaczy, że nie są wyłącznie opowieścią, ale także realnym elementem tego, jak ocenia się kraj pod względem innowacyjności.

Kiedy w 2015 roku, czyli już prawie dziesięć lat temu, od zera tworzyła się Fundacja Startup Poland, miałam przyjemność i zaszczyt współtworzyć pierwsze badania startupów w Polsce. To się udało – nawiązaliśmy współpracę, zgromadziliśmy rzeczywiste dane o tym rynku. I był to realny wkład w powstanie programu Start in Poland, czyli tych funduszy, o których później było bardzo głośno, a które zostały skierowane na wsparcie ekosystemu startupowego poprzez różne narzędzia, głównie finansowe.

Miałam też to szczęście, że moje badania naukowe weszły na prawdziwy *greenfield*, czyli obszar w Polsce wcześniej praktycznie niezbadany. Siedziałam już wtedy kilka lat w tym środowisku i znałam wiele osób. Wspólnie z Fundacją – bo to było robione naprawdę razem – przeprowadziliśmy najpierw pilotaż wyłącznie wśród znajomych. Dali nam *feedback* dotyczący tego, jak sformułowane są pytania, o co jeszcze warto zapytać, jak to lepiej przeprowadzić. A potem ruszyło coś w rodzaju pospolitego ruszenia w całej Polsce: znajomi znajomym, z rąk do rąk, z komputera na komputer, w sieci. To środowisko po prostu się zna. Jeżeli mówimy o kilku tysiącach firm w Polsce, skupionych głównie w takich hubach jak Wrocław, Trójmiasto, Poznań czy Warszawa, to tam naprawdę wszyscy wszystkich znają. I dzięki temu w pierwszym roku zgromadziliśmy ponad czterysta odpowiedzi, co pozwoliło zbudować jakąś opowieść o tym rynku. Potem było tylko więcej i lepiej. Badanie trwa do dziś, choć ja zakończyłam współpracę z Fundacją po pięciu latach, czyli w 2019 roku.

Zmiana, jaka zaszła w tym środowisku, jest ogromna. Okolice 2010 roku to były zupełne początki ekosystemu startupowego w Polsce. A dziś prezydent zaprasza startupy do Pałacu, a temat pojawia się w głównych wydaniach wiadomości. To jest już zupełnie inna skala – i na dobre, i na złe. Bo kiedy coś trafia do mainstreamu, zaczynają się pojawiać rozmaite obiegowe mądrości, które niekoniecznie mają wiele wspólnego z rzeczywistością.

Ja nie doznaję objawień. To raczej z badań wychodzą mi jakieś ciekawe liczby. Albo coś bardzo interesującego pojawia się w wywiadzie – bo staramy się łączyć metody ilościowe i jakościowe. Czasami naprawdę ciekawe wnioski wychodzą nam z badań ilościowych, a czasem z jednej dobrej rozmowy.

Kiedy trafiają się takie najciekawsze kąski, bardzo lubię o nich opowiadać, choć staram się trochę hamować, bo mogłabym mówić o nich długo. Na przykład z naszych ostatnich badań – które lubię uważać za dość pionierskie, bo na bardzo dużej populacji startupów analizujemy wskaźnik ich przeżywalności – wyszło nam, że jeden na dwa startupów upada, obalając przy okazji mit, że prawdziwa liczba to dziewięć na dziesięć. A więc wskaźnik przeżywalności jest w zasadzie porównywalny z przeżywalnością przeciętnej firmy. To pokazuje, że startup jest po prostu pewną formą organizacji, ale niekoniecznie aż tak wyjątkową, jak się często sądzi.

Prowadzimy też badania międzynarodowe i jedziemy na konferencję do Irlandii, żeby o nich opowiedzieć. Jestem bardzo ciekawa reakcji i dyskusji, bo liczę na inspirację – myślę, że to może być naprawdę ciekawy temat. Nadal zresztą prowadzimy badania dotyczące stopy przeżywalności startupów. Podzieliliśmy je na kilka kategorii: mamy gwiazdy, mamy tak zwane zombie, czyli firmy, które niby żyją, ale tak naprawdę niekoniecznie. Właśnie zakończyliśmy etap ilościowy i przechodzimy do jakościowego, więc to wciąż jest naprawdę ciekawe badanie, które potrwa jeszcze pewnie rok czy dwa.

Mam też takie „zaparkowane” badanie, z którym wiązę bardzo duże nadzieje. Chodzi o analizę losów absolwentów dodatkowej edukacji z zakresu przedsiębiorczości. Ma ono pokazać – albo nie – czy po dziesięciu latach udział studentów w takim module przekłada się na zajmowane stanowiska, skłonność do zakładania własnych firm i podobne kwestie. To jest bardzo ciekawy temat, bo udowodnienie, że edukacja przedsiębiorcza ma realny wpływ na słuchaczy, przede wszystkim wymaga czasu. Miałam to szczęście, że prowadziłam na Politechnice projekt finansowany z Unii Europejskiej w latach 2010–2012, w ramach którego uruchamialiśmy zajęcia z przedsiębiorczości na szesnastu wydziałach. I właśnie minęło już dwanaście lat. Równocześnie monitorujemy losy studentów, więc mamy z czym to porównać. Bardzo ubolewam nad tym, że nie mam na to badanie więcej czasu, bo od roku je odkładam, a chciałabym już się nim zająć i dzielić jego wynikami.

Prywatnie z mężem mamy takie hobby, że lubimy wynajdywać różne nieoczywiste sprzęty, które potem piętrzą się nam w piwnicach i szafach. Ale daje nam to ogromną przyjemność.

Moim hobby są też psy, bo mam ich trzy. Wszystkie po przejściach schroniskowo-przytułkowych. W ogóle bardzo lubię kontakt z naturą: chodzenie po górach, siedzenie na pomoście na Mazurach. To są takie krótkie chwile, ale bardzo ważne. Mam jednak problem z *work-life balance* – odpoczywanie nie jest moją mocną stroną. I akurat tym nie ma się co chwalić. Tego bym nie polecała.

Mikołaj Cześnik

JA, WYJĄTKOWO, WIEM, PO CO MY TO ROBIMY | ODC. 8



Nie chciałbym być takim akademikiem, który musi latać po mieście i przekonywać wszystkich, że to, co robi, jest bardzo potrzebne i praktyczne. Chociaż lubię myśleć, że duża część nauk społecznych ma pewne praktyczne zastosowania, to jednak nie jest to robienie butów. Trudno sobie wyobrazić świat bez butów, na pewno łatwiej bez moich publikacji.

Profesor doktor habilitowany Mikołaj Cześnik

Podczas naszego pobytu w Warszawie odwiedziliśmy Uniwersytet SWPS, gdzie mieliśmy spotkać się z prof. Mikołajem Cześnikiem, dyrektorem Instytutu Nauk Społecznych. Odnalezienie profesora okazało się trudniejszym zadaniem, niż mogłoby się wydawać. Mijani studenci, pytani o pomoc, udzielali nam sprzecznych informacji.

Niepewni, czy nasz gość się pojawi, zdecydowaliśmy poczekać pod biurem Instytutu. Przeglądając umieszczone w szklanych gablotach książki, zauważyliśmy kilka

jego publikacji, co upewniło nas, że ostatecznie trafiliśmy pod właściwy gabinet. Nasz niepokój zupełnie zniknął, gdy z końca korytarza usłyszeliśmy wesoty głos profesora.

Zostaliśmy zaproszeni do środka nowoczesnego, pełnego książek pomieszczenia z dużymi stołami, abstrakcyjnym obrazem na sztaludze i maszyną do pisania wyeksponowaną na jednej z półek. Po prawej stronie od wejścia dostrzegliśmy małą kuchnię z ekspresem do kawy, w tamtym momencie niezwykle dla nas istotnym. Na ścianie obok wisiała mapa z powbijanymi pinezkami, zaznaczającymi miejsca pochodzenia gości odwiedzających Instytut.

Ostatecznie przenieśliśmy się do oszklonej sali konferencyjnej z długim, białym stołem. Ciszę w pomieszczeniu zakłócał jedynie dobiegający zza wysokiego okna nastrojowy szum miasta i odgłos padającego deszczu. Usiedliśmy na wygodnych krzesłach, podłączyliśmy telefony do wbudowanych w stół gniazdek i rozpoczęliśmy rozmowę.

Nie za często zastanawiam się nad tym, na ile moja praca jest sensowna. Dlatego, że to jest zjawisko, pewnie nie tylko w Polsce, dosyć frustrujące. I to nie dotyczy tylko zawodu akademika czy academiczki.

Ludzie, z różnych powodów, mają współcześnie takie poczucie, że może lepiej byłoby się nie zastanawiać nad tym, dlaczego świat jest taki, jaki jest. Czasami dopada mnie myśl o tym, że my tu się bawimy w akademię jak u Platona, czy w liceum jak u Arystotelesa, a gdzie indziej parę miliardów ludzi naprawdę cierpi.

Jestem o tym przekonany i bardzo bym się zdziwił, gdyby ktoś znalazł argumenty, które mnie przekonają do tezy przeciwnej. Wiedza generalnie jest czymś dobrym. Wiedza o tym, jak się rzeczy mają, jak się rzeczy dzieją jest rzeczą dobrą. Lepiej jest wiedzieć niż nie wiedzieć, ponieważ wiedza o faktach daje też często zrozumienie mechaniki, która stoi za zjawiskami, procesami i tak dalej.

To jest projekt dotyczący polskich wyborów, kolejna edycja Polskiego Generalnego Studium Wyborczego. Jestem z tym projektem związany jeszcze od zeszłego wieku, a nawet można powiedzieć, że od zeszłego tysiąclecia, bo tak się akurat złożyło. W tym projekcie chodzi o to, żeby już po wyborach na

podstawie analizy odpowiedzi obywateli i obywaterek na nasze pytania wyjaśnić *post factum*, co się w kolejnych wyborach, w dniu wyborów i na skutek tych wyborów działo. To jest, w największym skrócie mówiąc, główne zadanie tego projektu.

Wybory roku 2023 były dosyć wyjątkowe, dlatego, że po raz pierwszy w naszej historii w ogóle, nie tylko w tej najnowszej, frekwencja wyniosła 74%. To jest bardzo ciekawe i, myślę, bardzo pouczające. Właśnie ta bardzo wysoka frekwencja (zwłaszcza jak na Polskę) jest jednym z tych zjawisk, które chcemy wyjaśnić. Chcemy odpowiedzieć na pytanie, co tam się wydarzyło.

Dwie kolejne kwestie są ważne dla wyjaśnienia tej pierwszej. Zajmujemy się polaryzacją. To jest ostatnio modne słowo, wiele się o nim mówi. Pokazujemy, że polaryzacja w Polsce wzrosła. W tym momencie jesteśmy już jednym z bardziej spolaryzowanych krajów w Europie. A tym, co wielu ludzi popycha do głosowania, jest świadomość (mówiąc w dużym skrócie i uproszczeniu), że po drugiej stronie politycznego spektrum czy sceny politycznej istnieje jakaś duża grupa, która – jeśli wygra wybory – będzie realizować taką politykę i takie polityki publiczne, które są dramatycznie odmienne od tego, czego ci pierwsi sobie życzą. I to oczywiście działa symetrycznie w obie strony.

Jest jeszcze druga rzecz, chyba równie ważna. Jest to kwestia interesów. Przez długie lata w Polsce w dyskursie publicznym unikaliśmy kategorii interesów. Udawaliśmy, że polityka nie jest o interesach, że nie służy temu, żeby jedni albo drudzy zrealizowali jakiś swój interes. To nie tylko kwestia portfela, ale także kwestia na przykład symboliki, krzyży, sierpów, młotów i tak dalej. Okazuje się jednak, że ludzie, bardziej niż jeszcze dziesięć czy dwadzieścia lat temu, myślą właśnie w kategorii swojego interesu i interesu swojej grupy czy może nawet klasy społecznej.

Nasze badania pokazują przywrócenie kategorii interesu. Przywrócenie nie tylko na salony i do auli uniwersytetów, ale także w potocznym myśleniu o polityce. Tak, ludzie rozumieją, że, chodząc na wybory, mogą coś dla siebie załatwić. Co takiego? Najróżniejsze rzeczy. To, że będzie tak albo inaczej w szkole, że będzie tak albo inaczej w trzynastej emeryturze, czternastej, że ona w ogóle będzie albo jej nie będzie, że w małym mieście będzie poczta albo jej nie będzie, że na pocztce będzie można kupić „Gościa Niedzielnego” albo go nie będzie można kupić. Bo są tacy, którzy bardzo chcą, żeby ten „Gość Niedzielny” tam był, i są tacy, którzy bardzo chcą, żeby tego „Gościa” tam nie było.

Nie wszystko jest mówione otwarcie. Na przykład ci, którzy rządzą, jak ognia unikają mówienia o tym, że wyższe i jednocześnie „sprawiedliwie” (to biorę w cudzysłów, bo są różne teorie sprawiedliwości) czy sprawiedliwie rozdawane podatki, mogą być całkiem skutecznym systemem socjaldemokratycznym, powiedzmy takim jak w Danii.

Nikt nie powie: „podwyższać podatki”, bo to jest myślozbrodnia. Tak nie wolno myśleć w tym systemie. Podatki należy obniżyć i nie doczekaliśmy się, może poza Zandbergiem, polityka, który powie: „tak, wysokie podatki, szczególnie dla najbogatszych, to nie jest nic złego”. Człowiek zarabiający powyżej miliona powinien być wyżej opodatkowany, bo to jest, wobec tego co się dzieje na świecie, po prostu niemoralne, żeby ktoś zarabiał więcej niż milion.

Podczas pracy w domu pewnie mam więcej nieporządku na biurku niż podczas pracy tutaj, na miejscu w SWPS. W domu bywa, że mam tych potrzebnych mi papierów znacznie więcej. Ja bez papieru nie potrafię pracować. Poza książkami, które mam w wersjach elektronicznych, mam też sporo książek w papierze – jak twierdzą moi bliscy, za dużo. Ideałem dla mnie jest posiadanie duplikatu elektronicznego każdej książki, którą mam w papierze.

Książki często też przynoszę tutaj, do SWPS. Stoją wtedy w biblioteczce podręcznej i czasami dostają nóg. To nie jest nic złego, ale wtedy trzeba je dokupywać, więc niektóre z nich posiadam więcej niż w jednym egzemplarzu. Tutaj trzeba bardzo uważać, bo w jednym z projektów mieliśmy przypadek, kiedy podstawowym zarzutem wobec rozliczenia projektu było to, że kupiono dwa egzemplarze tej samej książki. Musieliśmy się z tego grubo tłumaczyć.

Myślę, że najlepsze rzeczy zdarza mi się wymyślać rano. To jest dobry moment, kiedy moi bliscy się rozchodzą do swoich zajęć, pies i koty są nakarmione i przychodzi taki czas, kiedy można spokojnie usiąść z kawką, wyprodukować coś, co nie jest myślą bląhą albo trywialną.

Często też, kiedy spaceruję, a jestem perypatetykiem, przychodzą mi do głowy rzeczy dobre, czasami nawet bardzo dobre. Ale najlepsze przychodzą mi do głowy wtedy, kiedy nie mam ich jak zapisać. Potem, kiedy już mogę to zrobić, zapisuję je, patrzę na kartkę i mówię: „serio? Naprawdę? Warto było wracać do domu, prawie biec, żeby zapisać coś tak głupiego?”.

Myślę, że nasza praca przypomina pracę archeologa. Siedzi człowiek w kucki i pędzelkiem zdejmuje kolejne warstwy piasku. Nie wygląda to na zajęcie zbyt ekscytujące. Podobnie bywa w akademii. To jest żmudne grzebanie w czymś, co na pierwszy rzut oka w ogóle się nie wydaje fajne ani ciekawe. Tak, są takie momenty, które są bardzo ekscytujące, na przykład kiedy dostaję zbiór danych z projektu, nad którym długo pracowałem i mam możliwość do nich zajrzeć. Trochę jak z wchodzeniem pod górę i zobaczeniem widoku za przełęczą czy na szczycie. Fajne, ale jednak ulotne. Natomiast to, co konkretne, wymaga raczej potu, krwi i łez. Może z tą krwią to przesadziłem, ale z potem na pewno nie.

I wydaje mi się też, że nowa jakość musi mieć charakter czegoś, co jest nieszablonowe. Ale ta nieszablonowość nie bierze się z jakiegoś przeblysku geniuszu, tylko w 99% przypadków z licznych prób, które są coraz doskonalsze.

Ja na tyle znam środowisko akademickie, że wiem, że splendory nie mają wiele wspólnego z prawdziwą akademicką jakością. Często osobami nagradzаныmi, promowanymi, gdzieś tam zostającymi członkami korespondentami albo członkami rzeczywistymi na przykład Polskiej Akademii Nauk nie są ci, którzy najbardziej na to zasługują.

To zresztą jest dosyć ciekawe, że ta hierarchia związana z prawdziwymi zasługami akademickimi idzie trochę w poprzek formalnej struktury czy hierarchii. Mam chyba świadomość, że to jest jak teatr. Właściwie ja też mam okazję, będąc dyrektorem Instytutu, od czasu do czasu zakładać śmieszne przebrania, jak toga czy biret, i odgrywać kogoś, kim nie jestem. Jest w tym jakiś rodzaj przyjemności, ale chyba trzeba mieć do tego odpowiedni dystans.

Dzisiaj rano byłem na konferencji. Mam w zespole dwójkę młodszych ode mnie ludzi, którzy pracują ze mną w projekcie. Pokazywali nasze dwa artykuły, referaty, efekty naszej pracy i robili to dobrze. Padł w pewnym momencie komentarz: „fajną macie tam ekipę”. I to był taki moment, w którym poczułem dużą frajdę.

Jeśli chodzi o rozwój demokracji, powiedziałbym, że sprawa jest bardziej skomplikowana. Ja nie wiem, czy ona się ma jeszcze rozwijać, czy ona powinna się w ogóle rozwijać i co by to w ogóle miało znaczyć. Myślę, że nasze stosunki

społeczne można by jeszcze zdemokratyzować albo może – uczynić bardziej sprawiedliwymi.

Demokracja, im bardziej przestaje być wyłącznie zestawem procedur czy instytucji, tym bardziej staje się mgławicowa i niedodefiniowana. Nie bardzo wiadomo, co to słowo ma znaczyć.

Im jestem starszy, tym bardziej myślę, że gdybym miał wybierać pomiędzy światem, w którym nie ma ani jednego niedemokratycznego kraju, a światem, w którym nie ma ani jednej biednej istoty ludzkiej, no to chyba bym wybrał ten drugi.

Ale generalnie jestem optymistą i wydaje mi się, że od tego pytania o demokrację poszedłbym dalej. Teraz żyjemy w takim momencie dziejowym, kiedy całym pokoleniom mówi się, że przyszłość nie będzie kolorowa. To jest zresztą dla mnie bardzo ciekawe, dlatego że ja, jako młody chłopak, żyłem w czasach, kiedy w tym miejscu świata wszyscy patrzyli w przyszłość z wyczekiwaniem. Nikt w ogóle nie dopuszczał myśli, że może być gorzej (dorastałem na przełomie lat pięćdziesiątych, a w dorosłość wchodziłem w latach dziewięćdziesiątych). To zresztą wtedy dotyczyło całej Europy. Kolejne pokolenie żyło dużo lepiej niż rodzice. To się zatrzymało, z różnych powodów.

Ale w Europie załapaliśmy się na to. Wsiedliśmy do właściwego pociągu i nawet nam udało się przejść z trzeciej do drugiej klasy. Pierwsza klasa jest jeszcze trochę przed nami. Obywatele Luksemburga, Norwegii czy Danii w ogóle nie muszą myśleć o kosztach, bo żyją w świecie, w którym na wszystko ich stać. Jednak miliardy ludzi na świecie żyją w warunkach urągających naszym europejskim standardom. Dzisiaj Polska jest takim miejscem, do którego przyjeżdżają ludzie i mogą się zachłystywać tym, że zawsze jest woda w kranie, że zimą jest ogrzewanie, że latem coraz częściej jest klimatyzacja, że tramwaj przyjeżdża o czasie. Masa rzeczy po prostu jest, działa. Śmieci wyrzucają o czasie. W Neapolu tak się nie dzieje, na przykład. A Neapol nie jest w Afryce.

Lubię chwalić się wynikami swoich badań i lubię, gdy one do kogoś docierają. I to nie jest tak, że siedzę w wieży z kości słoniowej i czekam, aż ktoś podjedzie na siwym koniu i uwolni tę wiedzę, którą ja gdzieś tam w tej wieży skrywam. Raczej staram się kogoś tym zainteresować, opowiedzieć o tym, coś napisać na ten temat. Ale też nie chciałbym być takim akademikiem, który musi latać po mieście i przekonywać wszystkich, że to, co robi, jest bardzo potrzebne i praktyczne.

Chociaż lubię myśleć, że duża część nauk społecznych ma pewne praktyczne zastosowania, to jednak nie jest to robienie butów. Trudno sobie wyobrazić świat bez butów, na pewno łatwiej bez moich publikacji. Mam tego świadomość i to jest jakieś takie ożywcze.

Często zresztą słyszymy populistyczny argument: „po co dawać na humanistykę, lepiej kupić kolejny tomograf”. Moja matka umarła na nowotwór i pewnie nie była najlepiej leczona, bo leczenie onkologiczne w Polsce jeszcze można poprawić. Natomiast ja nie mam do końca przekonania, że inwestować należy wyłącznie w badania medyczne.

Pamiętam, jak mi się miło zrobiło, kiedy jeden z moich poprzednich projektów dotyczących wiedzy politycznej był pokazywany gdzieś w mediach, a po jakimś czasie zobaczyłem ilustrację Andrzeja, rysownika „Gazety Wyborczej”, który ewidentnie nawiązywał do moich wyników badań. To znaczyło, że osoba, która kryje się pod ksywką „Andrzej Rysuje”, znała wyniki naszych badań i przeczytała ich omówienie. Było to nawet jakoś inspirujące.

Myślę, że to dodatek – jak rodzynek w serniku czy wiśnia na torcie. Sernik, jak nawet nie trafisz na tego dorodnego rodzyńka, dalej może być bardzo smaczny. Podobnie tort, który ma tę wisienkę, ale z reguły jedną. A tort smakuje nam dalej, mimo braku tej wisienki. To tak bym też myślał o tego rodzaju bonusach.

To jest chyba jedna z takich rzeczy, które dla mnie są wyjątkowo sensowne. Kiedy te wszystkie rzeczy, którymi muszę się zajmować, splatają się jedna w drugą. Kiedy studenci czytają teksty, które przedstawiają albo nawiązują do naszych badań, dyskutują o nich – najlepiej jeszcze, jeśli coś nowego z tego wyrasta. Kiedy widać, że te wszystkie nitki, które pleciemy, na końcu dają jakąś makatkę. To może być nawet bardzo patchworkowe, ale dalej to jest jakieś „jedno”, coś, co wydaje się sensowne.

Jako obywatel pewnie jestem bezpieczniejszy niż przeciętna osoba. Jeśli natomiast chodzi o możliwość użycia mnie albo mojej wiedzy do zrobienia czegoś niegodnego, to muszę powiedzieć, że jestem właściwie bezbronny, bo naszej wiedzy nie trzymamy pod korcem, tylko raczej mamy obowiązek się nią

pochwalić. Szczególnie jeśli to wiedza zdobywana za publiczne pieniądze. Nie mam poczucia, że mogę odmawiać mediom, chociaż jest kilka takich mediów, którym bym odmówił, gdyby do mnie przyszły. Z różnych powodów zresztą. Ale co do zasady, mam nawet takie silne poczucie, że jeśli ktoś chce ze mną rozmawiać o wynikach badań, za które zapłacił polski podatnik, to ja nie mam prawa powiedzieć: „panie, ale mi się nie chce”. To po prostu byłoby nieetyczne. To nie jest tak, że ja wygrałem te pieniądze i one są moje.

Nie jestem najgorszego zdania o polityczkach i politykach. Wyobrażam sobie, że są albo takie czasy, albo takie miejsca, w których oni są jeszcze gorsi niż u nas. Bliskie mi jest przypisywane Bismarckowi stwierdzenie, że nie powinno się ludziom pokazywać, jak się robi kielbasę i jak się robi politykę. Są takie rzeczy, których nie należy pokazywać, bo nie ma sensu się im przyglądać. Polityczki i politycy są tylko efektem pewnych procesów. Dlatego jestem tak wielkim zwolennikiem dobrych instytucji. Moje marzenie to są właśnie instytucje, które wykorzystują także te najgorsze ludzkie instynkty na poziomie mikro (bo nie przeczę, że ludzie mają różne podłe i obrzydliwe instynkty), do tego, żeby na poziomie makro zrobić coś dobrego.

Na przykład można pomyśleć o tym, jak jest zbudowana instytucja prezydenta w Stanach Zjednoczonych. Pełnią ją od kilkudziesięciu lat, a może nawet dłużej, ludzie, co do których potem się dowiadujemy, a często wiemy od razu, że są małymi ludźmi jako jednostki. Natomiast ich pęd do kariery, do prestiżu, ta chęć władzy, odpowiednio wbudowane w system polityczny i odpowiednio też kontrolowane, dają takie efekty, że na przykład Ronaldowi Reaganowi w Warszawie postawiliśmy pomnik, choć pewnie nie był doskonały. Również Kennedy wchodził w strukturę, która była tak zaplanowana, że jego (często nienajbardziej pochlebna) motywacja prowadziła do dobrze dzisiaj ocenianych działań. Podobnie Eisenhower, Roosevelt, pewnie Obama także, do pewnego stopnia. Ważne, żeby poprawnie działały *check and balances*, czyli wszystkie bezpieczniki demokratyczne.

Władza jest bardzo specyficznym, bardzo ciekawym fenomenem socjologicznym, ale ona jednak jest po pierwsze bardzo uzależniająca, a po drugie zwielokrotnia możliwość działania. Więc komuś, kto chce zrobić rzeczy złe, okrutne, czy może po prostu tylko głupie, daje możliwość czynienia głupoty na potężną skalę. Myślę o pomysłach, takich jak zawracanie Syr-darii i Amu-darii w Uzbekistanie, kompletne wyschnięcie Morza Aralskiego czy jeszcze parę innych katastrof

ekologicznych, do których doszło nie tylko w krajach komunistycznych. W Stanach Zjednoczonych też są spore obszary całkowicie zniszczone przez głupio prowadzoną politykę, jak na przykład jezioro Erie. Matołów, ludzi bez wyobraźni wśród sprawujących władzę jest pewnie podobny odsetek jak w całym społeczeństwie, ale możliwość ich oddziaływania jest nieporównanie większa.

To jest rzecz, której dobrze byłoby uczyć doktorantów. Ja na przykład, kiedy miałem lat dwadzieścia parę, chciałem się nauczyć mieć taki „kliker” w głowie, jakiś wyłącznik, żeby móc sobie powiedzieć: „dobra, dziewiętnasta, wyłączam i nie myślę o pracy”. A ja niestety, i to dotyczy większości osób, które się zajmują podobnymi rzeczami, nie mam czegoś takiego. Jest tak, że potem oglądamy film i w nim wątki związane z naszymi badaniami w nieunikniony sposób się pojawiają. Im bardziej ktoś ma zdolność syntezy, tym bardziej mu się to wszystko zaczyna kojarzyć.

Zdarza się też, że te rzeczy związane z badaniami są ekscytujące. Pobudzają. Wtedy pojawia się pytanie, na ile przykręcać kurek z weną, z chęcią zrobienia czegoś, a na ile to ma być praca jak w jakimś opactwie, gdzie jest pobudka o piątej rano, modlitwa, przygotowanie, a potem stanie przy pulpicie od siódmej do jedenastej, bez względu na wszystko.

Uważam, że jednak jest potrzebny jakiś rodzaj większej elastyczności. Z drugiej strony to nie może być aż tak elastyczne, że leżę w wannie i o tym myślę, i jem śniadanie i o tym myślę, a potem mi się nie chce i kiedy siedzę przy biurku, to sobie oglądam ostatni Tour de France. No nie, to też chyba jest wtedy postawione na głowie.

Więc nie wiem, czy jest jakieś idealne rozwiązanie. Ja w każdym razie staram się, żeby to było bardziej ułożone, aczkolwiek z pełną świadomością, że to jednak nie jest fabryka łożysk tocznych i to nie jest tak, że o szóstej zaczynamy zmianę, kończymy o drugiej i wychodzimy.

Wiem, że są ludzie, którym praca zlewa się ze snem. I to nie tylko aktorzy czy pisarze. Mam kolegę, który pracuje w banku i śni mu się bankowe rzeczy. Mnie się na przykład SWPS nie śni.

Lubię być przygotowany, lubię rytuał przygotowania do pracy. Może nie tak dokładnie jak Adaś Miauczyński, że muszę podciągnąć spodnie, założyć nogę na nogę i tak dalej, ale coś w tym jest. Lubię, gdy komputer stoi prosto. Lubię

być już gotowy za trzy piąta, jeśli o piątej mam zacząć wykład. Nie lubię wchodzić w ostatniej chwili. Nienawidzę, po prostu nie cierpię i niestety obserwuję, że im jestem starszy, tym bardziej mi się to nasila, jak coś nie działa. Jeśli ja jestem gotów do tego, żeby za pięć minut zacząć wykład, i już mam swoją kawę, to kiedy coś nie działa i nie ma jeszcze przy okazji kogoś, kto jest to w stanie naprawić, irytuję się. Oczywiście, chwilę później sobie tłumaczę, że jeśli wykład zacznie się dwie po, cztery po czy nawet sześć po, to nic się nie stanie, natomiast wolałbym, żeby to była ta siedemnasta. I gdzieś tutaj w tym sensie chcę bardzo podziękować Koterskiemu, bo zobaczenie tego w tej groteskowej, ironicznej formule uświadamia mi, jak dużo we mnie jest śmieszności, kiedy siebie właśnie tymi rytuałami próbuję zagospodarować.

Lubię podróżować, ale dla mnie podróżą jest nawet jechanie na rowerze z domu do pracy. Lubię też pewne rzeczy absolutnie nieoczywiste. Mnie się podoba brzydota. Znam takie miejsca we Florencji, że nie uwierzylibyście, jak potrafi być brzydko. Naprawdę, pękają oczy.

Uważam, że na rowerze można zobaczyć najciekawsze rzeczy. Miasto i rower. Ja generalnie lubię miasta. Jestem chyba miejskim zwierzęciem. To nie jest tak, że się źle czuję na wsi. Wręcz przeciwnie, ale ona jest dla mnie zawsze jakimś takim oddechem. To jest jak w *Dekameronie* – jak jest zaraza, to człowiek opuszcza miasto, bo trzeba. Ale zawsze z tą myślą, że zaraz do niego wróci. Mentalnie cały czas jest jednak mieszczaninem.

Bardzo lubię też pojazdy szynowe: tramwaje albo metro. Mam taki rytuał i jeśli tylko mogę, to go stosuję. Jeśli jestem w mieście, którego nie znam, jadę na ostatni przystanek czy na pętlę, ponieważ tam z reguły (jeszcze nigdy się nie zawiodłem) jest prawdziwe życie. To może być tramwaj w Grudziądzu albo to może być tramwaj gdzieś tam – nie wiem, gdzie najdalej byłem. Autobus nie. Autobus nie ma tego czaru. Nawet trolejbus nie ma tego czaru. To jednak musi być coś na szynach, taki tramwaj w Lizbonie na przykład. To jest frajda.

Oglądałam biegi Natalii Kaczmarek od momentu, kiedy zaczęła biegać półprofesjonalnie, a później profesjonalnie. Zresztą biegała również jej starsza siostra, która też jest oczywiście moją kuzynką. Dokładnie – to są córki mojej siostry ciotecznej, więc dosyć bliskie krewne. Teraz biega też młodsza siostra Natalii. Ja

w ogóle jestem z takiej dosyć usportowionej rodziny. Moja rodzona siostra jest, dzisiaj już była, triathlonistką, była też dwukrotnie na igrzyskach.

Dużo mi to sprawia frajdy. Sam kiedyś byłem w szkole sportowej, wiem, jakie to jest ciężkie. Chyba najbardziej się cieszę z tego, że już sam tego nie muszę robić. Uprawiałem najpierw pływanie, a później pięciobój nowoczesny i, generalnie rzecz biorąc, stres związany ze startami był dla mnie przeogromny. Podziwiam sportswomenki i sportowców, którzy startują i są w stanie – może nie być zrelaksowani, bo doskonale widać po nich, że nie są zrelaksowani – ale potrafią na tyle ukryć te emocje, że one wybuchają dopiero potem. To widać po Natalii, po Idzie Świątek, że tam kontrola jest do pewnego momentu, a za metą czy po ostatniej piłce to się wszystko wylewa. I to jest też piękne – one akurat są w podobnym wieku i patrząc na nie, człowiekowi się tak miło i fajnie robi, bo są w tym naturalne, spontaniczne i dziewczęce.

Wojciech Kulesza

W NAUCE POWINNO SIĘ BYĆ BEZCZELNYM | ODC. 9



Rolą nauki jest dociekać prawdy. Zabawa polega na tym, że odkrywamy jakąś prawdę, a potem okazuje się, że to nie jest prawda i odkrywamy ją na nowo. Ten proces zbliżania się do prawdy nie ustaje i to jest coś, co mnie pociąga, że nie ma prawd objawionych, nie ma dogmatów ani papieża. Ja sam sobie przeczę w swoich pracach.

Profesor doktor habilitowany Wojciech Kulesza

Czekając na wybiecie godziny naszego spotkania, zaplanowanego na warszawskim Uniwersytecie SWPS, postanowiliśmy szybko zwiedzić budynek uczelni. Po odwiedzeniu kilku korytarzy i pomieszczeń ostatecznie trafiliśmy na zewnętrzny plac.

Mogliśmy tu odetchnąć świeżym, choć z powodu pogody nieco dusznym powietrzem i omówić plany na dzisiejsze spotkanie z profesorem psychologii Wojciechem Kuleszą. Naszą uwagę rozproszył jednak rozstawiający obok nas swój sprzęt zespół

medialny, który właśnie przygotowywał się do przeprowadzenia wywiadu z jednym z pracowników uczelni. Dysponując aktualnym zdjęciem profesora Kuleszy, rozpoznaliśmy go jako osobę stojącą przed kamerą.

Przysłuchując się wypowiedzi profesora, od razu mogliśmy stwierdzić, że nasza dzisiejsza rozmowa będzie niezwykła, fascynująca i bardzo sympatyczna. Kilka minut po zakończonym wywiadzie znaleźliśmy się już pod oficjalnym gabinetem profesora. Informowała nas o tym jedna z plakietek umieszczonych na drzwiach, częściowo przykryta przez ukraińską flagę.

Gabinet okazał się dość przestronny, a jednocześnie nadal sprawiał wrażenie bardzo przytulnego. Profesor zaprosił nas do środka, zaoferował napoje i wskazał stolik, na którym przygotowane były przekąski. Od razu przy wejściu przywitał nas podekscytowany piesek profesora, który, leżąc pod jednym z biurerek, towarzyszył nam przez całą rozmowę.

Sympatyczną atmosferę zakłócały jedynie intensywne odgłosy remontu dochodzące nas zza uchylonego okna. Rozglądając się po gabinecie, dostrześliśmy wiele interesujących przedmiotów. Na półkach, poza licznymi psychologicznymi książkami, znajdowały się butelki po oranżadzie.

Na ścianach, poza wieloma plakatami i grafikami, był także kalendarz z motocyklami oraz mapa przedstawiająca tajemniczy, nieznany nam fragment świata. Każdy element pokoju rodził w nas całą masę pytań. Bez zbędnego wstępu usiedliśmy więc przy stole, poczęstowaliśmy się kawą oraz przygotowanymi dla nas przekąskami i zaczęliśmy pytać profesora o to, co otacza go na co dzień.

Na ścianie wiszą tablice, na których widnieje dorobek naukowy naszej katedry. Mamy tak dużo dobrze publikujących współpracowników i współpracowniczek, że nie wszystko zmieściło się na dwóch tablicach na korytarzu, więc dwie pozostałe są w środku. Jak widać, mam przyjemność pracować z bardzo twórczymi badaczami i badaczkami. Na ścianie znajdują się też dwa najstraszniejsze plakaty, jakie znam. Jeden to jest *Dybuk* Pałowskiego, straszna figura. A drugi jest Beksińskiego – płonąca twarz (nie pamiętam tytułu pracy). Na przeciwległej ścianie są plakaty przedstawiające historię stereotypów postrzegania tego, kim jest Polak albo mieszkaniowiec danego rejonu. Wreszcie w tamtym miejscu wiszą rakiety. Są takie słynne badania nad efektem broni. Okazuje się, że jeśli obok ludzi leży broń, mają więcej skojarzeń związanych z agresją. W warunkach kontrolnych kładziono, nie wiem dlaczego, raketę tenisową. Więc zostawiłem na pamiątkę raketę tenisową.

Są też stare mapy. Jedna z map to odwrócony Hel. W ten sposób uczę studentów pisać: mówię, że wystarczy coś obrócić w narracji i ludzie się gubią. Że trzeba rozumieć narrację, zarówno swoją, jak i tę, którą będzie czytał odbiorca.

Są wreszcie butelki po oranżadzie, stara produkcja grochowska pewnej firmy z 1948 roku. Mamy taką tradycję, że raz w roku stawiam skrzynkę. A że ja nie piję alkoholu, to jest to skrzynka oranżady. Do niedawna była to oranżada biała i czerwona, bo w edukacji mieliśmy mocny nacisk na patriotyzm. Teraz, jak zmieniła się władza, to jeszcze pojawia się żółta, czyli „orange”. I tak świętujemy – stąd puste butelki po oranżadzie.

Profesor Maruszewski, ucząc nas teorii habituacji, powiedział, że człowiek przyzwyczaja się do bodźca. Wy tłumaczył nam to na smrodzie. Jeśli człowiek długo siedzi w smrodzie, to śmierdzi mu jakoś mniej. A tutaj już tak długo stukają za oknem, że hałas, który dociera z budowy akademika, jest już prawie dla nas niesłyszalny.

Czy jestem dumny z moich osiągnięć? I tak, i nie. Ja mam w sobie głęboki lęk przed narcyzmem. Narcyzm, jako pewne zaburzenie osobowości, mam nadzieję, że raczej mi nie grozi, bo zdaje mi się, że nie mam objawów klinicznych. Ale kiedyś rozmawiałem z jednym z mistrzów. Wiele lat temu zapytałem profesora Strelaua: „Szanowny Panie Profesorze, jak być mistrzem, jak robić karierę?”. A on mi wtedy powiedział, że bardzo niebezpieczne jest to, że my latami pracujemy bez żadnych pozytywnych wzmocnień. Na przykład piszemy książkę trzy lata, potem ona się ukazuje, a my kompletnie nie wiemy, czy to jest dobra książka. Albo wiele lat coś badamy i – znowu – przygotowujemy jakiś artykuł i nie wiemy, czy ktoś go przyjmie, co ludzie o nim sądzą. Więc zaczynamy być bardzo łakomi na jakiejkolwiek pochwałę. To jest ryzyko w tym zawodzie, że ktoś może uwierzyć w swoją wielkość – daj Boże, jeśli jest naprawdę wielki.

Bardzo mało myślę o tym, czy osiągnąłem coś wielkiego, bo mam przyjemność pracować z ludźmi dużo lepszymi od siebie. I trochę tak jak w sporcie: cały czas widzę zawodników lepszych od siebie i widzę do czego i kogo muszę „dociągnąć”. Chociażby w katedrze są osoby, które konstruują teorie, ja (jeszcze?) nie. Ja na razie świetnie badam cudze teorie.

Czasem mam przebłyśki głębokiej satysfakcji. Zostałem poproszony, żeby napisać rozdział w książce. Jej współautorką jest twórczyni teorii, którą badam:

Tanya Chartrand, która w 1999 roku napisała artykuł o efekcie kameleona. To trochę tak, jakby młody reżyser (bo nadal się uważam za młodego badacza, na początku drogi) był zaproszony na przykład przez Spielberga (założmy, że uwielbia jego pracę) do wspólnego nakręcenia filmu. Mam też swój udział w pierwszym podręczniku w historii dotyczącym mimikry, który został opublikowany na świecie. To też jest miłe. Konkludując, bardzo się boję takiego przekonania, że jestem wielki. Ale z drugiej strony, niestety w nauce trzeba być bezczelnym, czyli właśnie myśleć w ten sposób, że się odkryło wielką rzecz. Więc to jest ostatecznie balansowanie pomiędzy poczuciem wielkości i pokorą.

Kiedyś dla siebie sformułowałem trzy cechy naukowca, to jest: bezczelny, pokorny i chcący się uczyć. Bezczelny, żeby stawiać duże pytania; pokorny, żeby uczyć się, że coś jest głupim pytaniem albo że inni już na nie odpowiedzieli; i wreszcie uczący się, żeby zaczynać od nowa, nie poddawać się.

Dla mnie mistrz to jest osoba niezwykle biegła w wielu równoległych dziedzinach. Mamy takie slangowe określenie „naczytania”, bo trzeba mieć strasznie dużo rzeczy przeczytanych. Takie „naczytane” osoby często bardzo lekko wypowiadają się na tematy niezwykle złożone i kompleksowe i „z głowy” podają artykuły czy książki, w których to przeczytali. To taka kostka Rubika, jak kiedyś sobie narysowałem w głowie. Chodzi o umiejętność kręcenia kostką Rubika, która ma więcej niż sześć płaszczyzn i kolorów, rozumiejąc, że te płaszczyzny się gdzieś ze sobą łączą, że można dodawać kolejne elementy. Ja takiej biegłości nie mam.

Wszystkie totalitaryzmy do tej pory paliły książki i zamykały uniwersytety. Uniwersytet jest jedynym, co może nas uratować przed takim złem. Oczywiście uniwersytet może też konstruować zło. Możemy wykładać komunizm – przecież powstały takie podręczniki i kiedyś je wdrażano. Ale są badania pokazujące, że żeby odmienić na przykład getto biedy czy przestępczości, warto zbudować tam uniwersytet. Lokalny. Że człowiek wychodzi z takiej beznadziei albo przestępczości i na pewien czas zmienia swój świat. Zaczyna o czym innym rozmawiać i poznawać innych ludzi. Potem znowu nocuje w getcie biedy czy przestępczości, ale to wcześniejsze doświadczenie go odmienia. Podobnie możemy pomyśleć o muzeach czy sztuce: chodzę gdzieś i się edukuję, poznaję inny świat.

Więc uniwersytet oczywiście może stworzyć zło, ale ostatecznie jest jedynym ratunkiem. Uczymy ludzi wątpić, czytać, szanować wiedzę innych. Zamknięcie uniwersytetów, narzucanie im rozwiązań, zakazywanie badań to jest jedno z początków zła, które się co pewien czas powtarza.

Pandemia nauczyła mnie szaleństwa rozmycia się granicy domu i pracy. Trochę pracuję w domu – przygotowuję maile czy jakieś tabelki, krótkie notatki – ale myślę tutaj. Nie myślę w domu, w tym sensie, że tam nie tworzę.

Czy da się wyłączyć myślenie? Tak. Dlatego jeżdżę na motocyklu, bo to jest bardzo angażujące: jak będę myślał o czymś innym, to się wywrócę. To trochę jak jazda na nartach. Nie da się słuchać świetnego audiobooka i jechać na nartach, bo człowiek będzie źle jechał. Podobnie z nurkowaniem. A więc biorę się za coś, co jest potwornie angażujące. Albo słucham audiobooków czy podcastów, bo nie ma możliwości, żebym to robił, myśląc o pracy.

Czy da się tak ogólnie oddzielić bycie człowiekiem od bycia naukowcem? Oczywiście, że się da. Ale nie do końca. Mój przyjaciel jest dermatologiem. Kiedy on patrzy na mnie jako dermatolog, to ja mam problemy ze skórą. Ale kiedy siedzimy prywatnie, to niemożliwe, żeby myślał, że musi mi zmienić krem albo jakieś tabletki. Bo kiedy wychodzimy z gabinetu, on przestaje na mnie patrzeć jak na pacjenta. Ale jednak nie jest tak do końca. To, czym ja się zajmuję, to jest między innymi naśladownictwo, założenie, że naśladowujemy się nawzajem. Kiedyś dawałem pewien wywiad i osoba prowadząca miała taką manierę językową: kiedy myślała, to mówiła „ammm” i zadawała pytanie. No to ja po chwili też zacząłem robić „ammm” i udzieliłem odpowiedzi na pytanie. Zatem oczywiście, że to zauważam, ale wtedy się uśmiecham. Zajmuję się też tym, jak sami siebie oszukujemy (jest świetny tytuł książki: *Złudzenia, które pozwalają żyć*). I czasem się uśmiecham, widząc, jak bardzo sam siebie oszukałem, żeby łatwiej mi się żyło – co niekoniecznie znaczy, że lepiej.

Póki nie jestem pytany o dorobek, radę, opinię, staram się nie mówić. Wynika to z wychowania. Wyrosłem w domu, gdzie mama była sędzią. I to bardzo

wysoko postawioną sędzią Sądu Najwyższego, bo rozstrzygała o ważności wyborów, pierwszą w historii Polski kobietą na stanowisku Prezesa To oznaczało na przykład, że nigdy nie mogłem rozmawiać z mamą o jej preferencjach politycznych (była w tym składzie, który orzekał o ważności wyborów wygranych przez Aleksandra Kwaśniewskiego). Więc u mnie w domu nie rozmawiało się o pracy. Drugi powód jest taki, że ja chcę wyłączać myślenie, nie chcę cały czas pracować. Trzeci powód to jest unikanie takiego skrzywienia belfra. Każdy belfer myśli, że to, co robi, jest najważniejsze. Więc szanuję, że nie wszystkich pasjonuje to, co mnie. No i wreszcie – domownicy się przyzwyczaili. Kiedy mówię, „idę do wielkiego podcastu”, albo „będę tuż po głównym wydaniu w TVN-ie”, to moje córki patrzą na to z dystansem, bo są do tego przyzwyczajone. Dopiero kiedy im ktoś powie, że mnie widział, wtedy robi się z tego „wielkie halo”. Więc się nauczyłem, że mniej mówię. Najwięcej rodzicom, bo oni to jakoś przeżywają. Ale często po prostu zapominam im mówić. Więc summa summarum mówię, ale mało.

Zostałem psychologiem społecznym całkowicie przez przypadek. To był 1997 rok, kiedy zdawałem maturę. W styczniu byłem absolutnie przekonany, że wszyscy moi znajomi idą – więc ja również – na marketing i zarządzanie. Wtedy to był początek powstawania prywatnych uczelni – myślałem, że będę z zawodu dyrektorem i ważnym menedżerem, najlepiej dyrektorem sprzedaży, z telefonem komórkowym i samochodem Chciałem się znaleźć na marketingu, nie mając zielonego pojęcia, co to jest, ale rozumiałem, że tam są dobre samochody i ważni ludzie. Postanowiłem zdawać na Szkołę Główną Handlową, najważniejszą do tej pory uczelnię w tej branży w Warszawie. No i ze smutkiem odkryłem, że zdaje się tam z matematyki. Poszedłem na kurs przygotowujący z matematyki i z kolejnym smutkiem odkryłem, że ja nie potrafię zrozumieć nawet wytłumaczenia działania matematycznego, nie mówiąc o rozwiązywaniu zadania. Więc zaczęło mi kiełkować w głowie, że ja nie zdam na SGH. Zacząłem myśleć: „no dobra, Kulesza, to będziesz rok po maturze uczył się matmy, zdasz na SGH”. Pojawił się kolejny czynnik motywujący, a mianowicie wojsko, bo wtedy był pobór do wojska. Chodziłem w długich włosach, wojskowych rzeczach – nie byłem anarchista, ale absolutnie miałem pogląd, że jak dorośli faceci się przebierają w to samo i beznamytnie spełniają czyjeś rozkazy, to nie jest to moja bajka. Przez lata już mi się to zmieniło. Ale wtedy myślałem, jak studiować ten marketing i zarządzanie bez SGH i bez matematyki. I przez przypadek

przeczytałem książkę z psychologii społecznej – jedną, drugą, trzecią. I pomyślałem, że to w sumie marketing i zarządzanie, da się na tym spokojnie zarobić. Poszedłem na psychologię. Z przerażeniem odkryłem, że tam jest całkiem dużo matematyki, ale ją ostatecznie pokochałem, bo wreszcie zrozumiałem, po co mam liczyć te „x” albo co oznacza ten wykres.

I tu jest ukryta psychologia społeczna. Często myślimy, że ludzie robią coś, bo mają wewnętrzne cechy czy predyspozycje. Ale to często jest przypadek, że to sytuacja na nas wpłynęła: w kim się zakochałem, gdzie mieszkam, jaki zawód wykonuję. Nazywamy to skrzywieniem w percepcji siebie i innych. Ja widzę, że to był przypadek, a inni z kolei zakładają, że miałem taką pasję. A przypadek to jest nawet to, że jestem naukowcem, bo ja nie zdałem na studia doktoranckie. Obecnie jestem już profesorem, pierwszym absolwentem SWPS, który jest profesorem. I znowu przypadek. Gdzieś nie zdałem, ktoś inny mnie zaprosił do współpracy i zostałem. A nie myślałem o sobie, że będę naukowcem.

Rolą nauki jest dociekać prawdy. Zabawa polega na tym, że odkrywamy jakąś prawdę, a potem okazuje się, że to nie jest prawda i odkrywamy ją na nowo. I to jest coś, co mnie pociąga, że nie ma prawd objawionych, nie ma dogmatów ani papieża. Ja sam sobie przeczę w swoich pracach.

To, co mnie bardzo ciekawi, to odkrywanie prawdy. Kim jest człowiek? Ja, jako naukowiec, myślę też o sobie w roli przekazującego wiedzę, na przykład wychowującego kolejnych doktorantów.

Obserwuję już powoli, że się starzeję. Nie chodzi o demencję, ale o to, że moją rolą jest bardziej przekazywanie metaumiejętności niż ich uprawianie. Bo już nie mam tej giętkości umysłu albo odporności na brak snu, odporności na stres. Kiedyś sobie wymyśliłem taką metaforę: jestem jak neurochirurg, który operuje mózg, ale w pewnym wieku ręka już lekko drży, już nie ten wzrok. Wciąż jednak może świetnie wyszkolić kilkunastu, kilkudziesięciu następców, którzy będą tak samo, albo lepiej od niego, operować.

W rozdziale, o którym mówiłem i który przygotowuję z Tanią Chartrand – twórczynią czegoś, czym się pasjonuję, piszemy o skutkach efektu kameleona, skutkach mimikry, czyli, mówiąc po ludzku, naśladownictwa. Okazuje się bowiem, że stosunkowo niewiele osób na świecie zebrało dowody pokazujące, że ten prosty mechanizm (powtórzenie słów, naśladowanie mowy, gestów czy

mimiki twarzy) może rodzić wiele pozytywnych skutków. Zaufanie, lubienie, chęć inwestowania, zmiana orientacji politycznej z prawicowej na lewicową – proste naśladownictwo rodzi bardzo dużo pozytywnych rzeczy. I o tym piszemy we wspólnym rozdziale, pokazując, że naśladownictwo tworzy spoiwo społeczne (to nie nasz termin, pochodzi z literatury: „*mimicry as a social glue*”). Ale w tym samym rozdziale jest fragment – i to już jest nasze odkrycie – że mimikra (czyli naśladownictwo) niesie ze sobą bardzo poważne koszty. Przez dziesięć lat, kiedy przez przypadek zauważyłem ją raz pierwszy, trochę się naszych i obcych badań zebrało – badań pokazujących, że mimikra może być bardzo szkodliwym mechanizmem. I to jest ten moment „aha!”, takiej eureka, że: zaraz, zaraz, to nie może być spoiwo społeczne, bo spoiwo społeczne jest czymś, co nas scala, nie może nam szkodzić. A tutaj coś, co powinno scalać, powoduje też dużo krzywdy czy niesie dużo kosztów.

Jesteśmy teraz w kampusie warszawskim. Wyobraźmy sobie taki eksperyment, który odbył się naprawdę, tylko nie u nas. Zapraszano studentów roku zerowego, żeby zwiedzali uniwersytet. W jednym warunku osoby studiujące chodziły „w nogę” – to był taki żart prowadzącego: „wiecie co, zróbmy sobie tak jak w wojsku: lewa, prawa, lewa”. A w warunku kontrolnym ludzie po prostu chodzili tak, jak chcieli. W jednym i drugim prowadzący profesor mówił: „tu jest kantyna, tu jest recepcja, tu jest przychodnia...”. Na koniec obie grupy grały w grę planszową, w której mierzono, w co kto inwestował – czy w samego siebie, żeby wygrać jak najwięcej, czy raczej w konsorcjum, żeby wygrać wspólnie. I okazało się, że ludzie, kiedy sobie tupią razem, naśladują się nawzajem, to inwestują w grupę. Czyli mamy aspekt pozytywny.

I to jest nietrywialne, bo większość religii na świecie polega na wykonywaniu wspólnych gestów. Praktycznie nie ma religii bez wspólnych gestów, śpiewów, poruszania się. W eksperymencie wykazano, że te wspólne gesty to coś, co nas łączy. Ale w innych badaniach wykazano, że z kolei jeśli my inwestujemy w grupę, ale ktoś z naszej tupiącej grupy rzuci hasło: „słuchajcie, bijmy teraz tych, którzy z nami nie tupali”, to ludzie chętniej to robią. Zatem coś, co nas łączy, powoduje też agresję, przemoc, zło wobec nie naszych ludzi, tych, którzy z nami nie tupią, nie upodabniają się. I to może tłumaczyć niechęć jednej wiary do drugiej, kibiców jednej drużyny do kibiców drugiej, bo te drużyny osobno się „bujają” na stadionach. To może tłumaczyć, dlaczego totalitaryzmy wprowadzają na ogół podobny język, podobny ubiór, podobny system wartości. Wykazaliśmy wiele innych skutków, na przykład: jeśli kogoś naśladuję, to wiem, że ten ktoś będzie mnie lubił. Mamy to wielokrotnie udowodnione, ale kiedyś

przez przypadek udowodniliśmy także, że jak kogoś z Państwa bym naśladował, to mnie polubicie, ale spadnie wam choćby samoocena.

Nie mamy zielonego pojęcia, dlaczego tak jest. To jest ten moment eureka odwróconej, takiej czarnej eureka – mamy odkryte grudki złota w potoku, ale kompletnie nie potrafimy znaleźć żyły, z której one płyną. I badamy to, próbujemy od dziesięciu lat odkryć odpowiedź, i wciąż nie wiemy, dlaczego tak jest.

Odkryliśmy też, że jak ja Państwa naśladowę, to Państwo mnie będziecie lubić, ale będziecie mnie częściej okłamywać. I to znowu nie ma sensu, bo w takim razie ja na tym tracę. To są bardzo ważne wnioski i możemy zastanawiać się, co z tego wszystkiego wynika dla świata. Na przykład dla terapeutów to jest ważne odkrycie. Terapeutów uczy się naśladować w interakcji, bo pokazywano wielokrotnie, że terapeuta na tym zyskuje. Ale po pierwsze, dzieje się to kosztem osoby terapeutyzowanej, pacjenta, klienta; zaś ten pacjent, klient na sesję psychoterapeutyczną może wnieść nieprawdę, skłamać.

I to jest kolejna eureka. Od wielu lat to badamy, a nie mamy zielonego pojęcia, dlaczego ludzie okłamują naśladowcę. I w tym rozdziale właśnie pokazujemy koszty i przestrzegamy przed taką „poppsychologią” albo czymś, co kiedyś sobie nazwałem „patopsychologią”, czyli świadomym krzywdzeniem z powodu braku wiedzy psychologicznej. Bo ludzie szkolą z mimikry. Wiem, że między innymi z mojego podręcznika. I nie mówią o efektach ubocznych.

To jest właśnie odkrywanie prawdy, które mnie nakręca. Odkrywamy gdzieś jakiś fragment prawdy i wiemy, że jest dużo dobrego, ale wiemy też, że jest coś złego, tylko znowu nie znamy powodu. Tymczasem ludzie nieuczciwi, którzy wybiórczo traktują wiedzę, nie dążą do odkrycia prawdy i sprzedają tylko to, co im odpowiada, oszukując odbiorców, na przykład szkoląc handlowców czy przesłuchujących, żeby stosowali mimikrę.

Mój poprzedni motocykl nadal istnieje, ale miałem bardzo poważny wypadek, więc w moim umyśle przestał istnieć. Na wszelki wypadek sprzedałem wszystko, co było z nim związane z motocyklem, włącznie z butami i rękawiczkami, żeby mnie nie korciło. Ale moja młodsza córka przypomniała mi, że jak miała mniej więcej sześć lat, obiecałem jej, że kiedy będzie chciała jeździć na motocyklu, to ja z nią będę jeździł. I kiedyś w żartach, jak już miała szesnaście lat i mogła robić prawo jazdy, powiedziałem, że pojedziemy odwiedzić starszą córkę do Holandii. Ja miałem pojechać na motocyklu, którego nie miałem, a ona samochodem. A ona odpowiedziała, że pojedzie drugim motocyklem. „Jak to?” – „Bo mi

kupisz, bo obiecałeś, że będziesz ze mną jeździł na motocyklach”. Aktualnie robi prawo jazdy, zarabia na swój pierwszy motocykl.

Więc historia jest taka, że mój poprzedni motocykl objechał kawał świata, tylko nie pode mną, bo ja się porozbijałem. Obecny motocykl to jest absolutnie absurdalny motocykl, który waży 330 kilogramów (to na motocykle bardzo dużo) i ma pojemność 1300 centymetrów sześciennych. To jest przejaw kryzysu wieku średniego. Absurd kompletny. Motocykl jest bez sensu, pada na głowę, podczas jazdy na nim jest zimno i niebezpiecznie, a jeszcze do tego pali tyle co samochód. No ale to dla równowagi naukowca, żeby nie robić zawsze rzeczy rozsądnych. I wspomniane wcześniej zabezpieczenie, aby nie myśleć cały czas o pracy.

Jestem naukowcem, który wdraża różne rzeczy w praktykę. Są badania pokazujące, że ludzie pracujący umysłowo i są strasznie nad czymś skupieni (to może być też lekarz, żołnierz), powinni co pewien czas robić sobie przerwę i uprawiać sport albo medytować. Robię jedno i drugie, bo okazuje się, że rzeczywiście, kiedy się człowiek męczy, trzeba zrobić przerwę i zająć umysł czymś innym. To jest sport, to jest medytacja, to jest motocykl. Staram się, bo muszę.

Osoby w Warszawie spotykają mnie na przykład, kiedy jadę na rowerze, za mną biegnie pies, a ja mam słuchawki. Bo ja słucham strasznie dużo rzeczy – nie oglądam, a słucham. Mój tata był reżyserem teatralnym, radiowym, więc wychowałem się na radiu i słuchaniu. Trzeba oderwać myśli i słuchanie różnych dziwnych podcastów pomaga. Czego ostatnio słuchałem? Na przykład o sytuacji międzynarodowej w Chinach – Chiny jako główny rozgrywający, a więc obrócenie globusa. Czasem wiele rzeczy łączę – jestem na rehabilitacji, słucham sobie o Chinach i przychodzą mi do głowy dobre pomysły. Czasem tłumaczę, szczególnie doktorantom, że nie da się tego osiągnąć w drugą stronę. Nie da się tak usiąść przy stole i powiedzieć: „dobra, to teraz wymyślam”. Eureka przychodzi przez przypadek, czasem rzeczywiście w trakcie czytania, ale czasem kiedy odpuscimy.

Bezwzględnie notuję, wysyłam sobie linki, nagrywam sam siebie To strasznie głupio wygląda, bo idę ulicą, zatrzymuję się, biorę słuchawkę do ręki, stoję, gadam do siebie, mój pies nawet na mnie dziwnie patrzy, a ja muszę to nagrać. Tego nauczył mnie profesor Doliński, który mówił, że czytał artykuł i robił

notatki w zeszycie. I oddaję to dalej, że dobre pomysły przychodzą niezwykle szybko i szybko odchodzą. To trochę jak z dobrymi kawałami – siedzimy na imprezie, ktoś mówi świetny kawał i myślimy sobie: „ale super, muszę dalej to opowiedzieć”. I potem wychodzę z imprezy i już go nie pamiętam. Ten dobry kawał, tak jak dobry pomysł, często umyka.

Mam bardzo dużo notatek, potem muszę to odczytywać, spisywać. Ale taka rutyna jest bezwzględna. Reżim naukowca jest reżimem – czyli trzeba nie tylko pisać, czytać, ale i samego siebie notować. Po wielu latach wielu rzeczy się nie pamięta, trzeba do nich wracać.

Jestem pesymistą, jeżeli chodzi o przyszłość. I zawodowo, i prywatnie. Będąc pesymistą, mam jednak w sobie dużą nutkę optymizmu. Jak to wyjaśnić? Uważam, że jeżeli nic nie zrobimy, to będzie bardzo, bardzo źle. Ale bardzo dużo dobrego jest w rękach naszych osób studiujących. Na przykład, nie zauważamy, że rośnie samotność, która nam niezwykle grozi. Więc uczę osoby studiujące o tym, że nam to grozi, ale potem na kursie z psychologii miłości uczę, jak można zmniejszyć poczucie samotności. Mam nadzieję, że ludzie gdzieś dalej z tym pójdą i kiedy ja będę miał siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat i powoli będę cierpiał coraz bardziej na samotność, to oni przyjdą mi z pomocą.

Przyświeca mi taka sentencja, chyba Mahatmy Gandhiego, o ile dobrze pamiętam. „Chcesz zmiany? Zaczynij od siebie”. Zatem nie oczekuję od rządu, że coś zrobi z samotnością, tylko chcę sam kształcić osoby studiujące. Chociaż, ostatecznie, generalnie jestem ogromnym pesymistą.

Mam dwa tatuaże. Jeden to historia mojej rodziny, która pochodzi z Irlandii czy Norwegii – jej członkowie byli Normanami. Nazwisko panińskie mojej mamy jest niepolskie. Jest bardzo rzadkie i wysłedziliśmy, skąd się wzięło. To jest historia moich przodków. W Kazachstanie kiedyś usłyszałem, że każdy powinien znać historię rodziny do siedmiu pokoleń wstecz. Ale nie po to, żeby być dumnym, tylko żeby rozumieć, co ktoś złego zrobił w przeszłości. Chodzi o to, żeby umieć zrozumieć i przyjąć do wiadomości, że ktoś był dobry lub zły. Normanowie tak za bardzo dobrymi ludźmi nie byli, bo podbijali świat.

Wydaje mi się, że naukowiec nie powinien jeździć na motocyklu i nie powinien się tatuować, jeżeli myślimy o tym bardzo klasycznie – że naukowiec chodzi do filharmonii i jest elegancko ubrany, nigdy nie przeklina i na pewno

jest bardzo dobrym ojcem. Bo to jest taki ideał człowieka. Ale tak czysto ludzko: dlaczego naukowiec ma nie być wytatuowany? To są też kwestie kulturowe. Moi rodzice nie tolerują tatuaży, ponieważ one kiedyś były wyłącznie więzienne, a więc nie sygnalizowały nic dobrego. A kolei jazda na motocyklu jest nierozsądna, zwłaszcza w kontekście bycia ojcem, bo mogę zginąć. Ale prawda jest taka, że my, jako naukowcy, robimy różne rzeczy, które do idealnego wyobrażenia nie pasują. Tak samo, jak inni ludzie.

Ewa Domańska

*NIE MAM TAKICH TOTALITARNYCH AMBICJI, BY
STWORZYĆ TEORIĘ, KTÓRA ZMIENI ŚWIAT | ODC. 10*



Wiedza, nawet naukowa, niekoniecznie oparta jest na racjonalnych podstawach. Może mieć swoje źródła w „nieracjonalnych” intuicjach, instynktach, a także pozaludzkich aktorach, którzy na nas wpływają. Wszystko zależy od osoby i od kontekstu.

Profesor doktor habilitowana Ewa Domańska

Tym razem, aby spotkać się z naszą bohaterką, podróżujemy do Poznania. Idąc urokliwymi uliczkami, mijamy Plac Mickiewicza, Rektorat Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i kierujemy się do pobliskiej kawiarni poleconej nam przez Panią Profesor.

Przy wejściu do jednej z kamienic dostrzegamy wypatrywany przez nas metallowy szyld z nazwą „Ptasie Radio”. Od razu po wejściu kierujemy się w górę po

ozdobnych kamiennych schodach. Niektóre z płytek zastąpione zostały kolorowymi kafelkami z wizerunkami różnych gatunków ptaków.

Na górze schodów znajduje się główne pomieszczenie kawiarni. Przestrzeń prześiąknięta jest artystycznym klimatem. W oczy od razu rzuca się nietypowy bar przypominający stare, zabytkowe radio.

W rogu pomieszczenia stoi piękny, brązowy piec kaflowy, a wszędzie wokół wiadać suszone kwiaty, gałązki i liczne dekoracje z ptakami. Niektóre z drewnianych stolików i krzesel pokryte są artystycznie zdartą farbą. Z sali obok dobiega nas delikatny śpiew ptaków.

Ku naszemu zaskoczeniu wcale nie jest on puszczany z głośników. Znajdują się tam za to dwie średniej wielkości klatki. W jednej mieszkają papużki faliste, a w drugiej urocze białe nimfy.

Obsługa zaprasza nas jednak do trzeciej sali. Bar w tym pomieszczeniu ozdobiono wyciętymi w drewnie sylwetkami ptaków, a na ścianach powieszono kilka abstrakcyjnych, kolorowych obrazów. Po chwili spędzonej na rozkładaniu sprzętu podeszła do nas pani profesor z przewieszoną na ramieniu torbą ozdobioną cytatem z piosenki zespołu Myslovitz: „Naprawdę na dużo mnie stać”.

Bohaterka wyjmuje z torby kilka książek, a my traktujemy to jako zaproszenie do rozmowy o fascynującym świecie myśli i idei.

Obecnie w humanistyce mamy do czynienia z pewnym kryzysem czy może raczej zmianą. Między innymi dlatego, że nie ma już takiej sytuacji, jaka była we Francji w latach sześćdziesiątych, kiedy intelektualiści formatu Claude’a Lévi-Straussa, Jacques’a Lacana, Rolanda Barthes’a, Gilles’a Deleuze’a czy Michela Foucaulta spotykali się w kawiarniach, pili dużo kawy i wina, palili dużo papierosów i po prostu ze sobą rozmawiali.

Wydaje mi się, że w tej chwili sytuacja o tyle się zmienia, o ile same budynki uniwersytetów, zwłaszcza te nowe, przestają być życzliwe do spotkań, związanych nie tylko z pracą intelektualną, lecz także wpływających na nawiązywanie i pogłębianie kontaktów między badaczami, studentami i doktorantami. Dlatego też wyprowadzenie nauki poza gmach uczelni wydaje mi się potrzebnym i ważnym przedsięwzięciem.

Dotyczy to także zajęć i wykładów, które coraz częściej odbywają się w bibliotekach, salach muzealnych, centrach dziedzictwa, teatrach, kościołach, a czasami też w miejscach, które nie mają nic wspólnego z akademią w sensie infrastruktury. Myślę, że to dobrze. Nie tylko z obserwacji wydarzeń, lecz także

z własnego doświadczenia wiem, że inaczej się występuje w teatrze, inaczej w sali muzealnej, a inaczej w sali wykładowej na uniwersytecie. Inaczej też reaguje publiczność, a ponadto publiczność jest różna. Spotkania czy konsultacje poza murami uczelni mają dodatkowe plusy. Tworzą sytuację większej prywatności, komfortu, bezpośredniości i, oczywiście nie we wszystkich sytuacjach, często pomagają przełamać formalne bariery oraz sprzyjają bardziej otwartej wymianie myśli. Wypicie kawy czy kieliszka wina i wspólny posiłek pomaga myśleć w innych kategoriach – wspólnotowości, współbycia, wzajemności, konwiwialności. Tak przynajmniej ja to odczuwam.

Warsztat badawczy historyka się zmienia. Badanie tekstów pisanych stanowi pewien jego aspekt – coraz bardziej klasyczny, niezwykle ważny i dominujący, ale przychodzą też inne elementy. Na przykład tak zwane ekofakty, czyli rzeczy środowiskowe (na przykład szczątki zwierzęce lub roślinne). W kontekście historii środowiskowej badamy też rzeźbę terenu, wodę, glebę, wchodząc we współpracę z przedstawicielami nauk przyrodniczych.

Od pojawienia się sztucznej inteligencji mamy do czynienia z tworzeniem wiedzy przez czynnik ludzki i nieludzki. To niezwykle ciekawa sytuacja, jeżeli chodzi o refleksje na temat tego, czym jest historia, ponieważ zawsze mówiliśmy, że w centrum historii jest człowiek i że historia jest tworzona przez człowieka. Współczesne badania coraz częściej uświadamiają nam, że historia nie jest tworzona tylko przez człowieka, lecz także na przykład przez zwierzęta. Wystarczy pomyśleć o tym, jaką rolę odgrywały zwierzęta na polu bitew, w rolnictwie czy w przemyśle – na przykład konie w kopalniach. Jeżeli zaś chodzi o współtworzenie wiedzy historycznej z AI, to na przykład tłumaczenie tekstów, ich analizy i interpretacje, a także korzystanie z *big data* daje nowe możliwości, a ich efekty nie są przewidywalne. AI to nie jest tylko narzędzie...

Problem polega na tym, że patrzymy na przyszłość tak, jakby była bezpośrednim wynikiem tego, co było w przeszłości. Popętniamy błąd. Proszę zwrócić uwagę, że muzea są projektowane tak, jakby za sto lat rzeczywistość była taka sama. Ona nie będzie taka sama i musimy się przyzwyczaić do myśli, że pewne rzeczy diametralnie zmieniają naszą rzeczywistość. Musimy się do tego w jakiś

sposób przygotować. I właśnie humanistyka ma tutaj do odegrania bardzo ważną rolę.

Zgadzam się z Janem Kieniewiczem, który kiedyś napisał, że historia to sposób bycia. Różne zawody kształtują różne sposoby bycia. Inaczej myślą i zachowują się prawnicy, inaczej lekarze, a inaczej historycy.

Czy czuję bezsilność z racji tego, że tworzona przeze mnie wiedza nie ma jakiegos bezpośredniego przełożenia na rzeczywistość społeczną? Zależy, w jakich wymiarach, ponieważ nie mam jakichś takich totalitarnych wizji, by stworzyć teorię, która zmieni świat. Natomiast mam jasne przykłady tego, jak mogę wpływać i pomagać, współtworzyć losy konkretnych ludzi i to z bardzo dobrym skutkiem. To są na przykład moi obecni i byli doktoranci, którzy świetnie dają sobie radę w świecie akademickim.

Natomiast jeżeli chodzi o przełożenie społeczne badań, to zależy od projektu. Na przykład projekt *Środowiskowej historii Zagłady*, który realizowałam z doktorem Jackiem Małczyńskim, doktorem Mikołajem Smykowskim, doktor Agnieszką Kłos, a także z doktor Małgorzatą Wosińską. Widzimy, że osoby projektujące miejsca upamiętnienia Zagłady, miejsca upamiętnienia masowych mordów, znają nasze badania i biorą je pod uwagę, poszukując takich rozwiązań, które integrują wymiar pamięci z wrażliwością na kontekst środowiskowy. A więc już nie betony, lecz także myślenie, w jaki sposób środowisko może być wzięte pod uwagę w konserwacji tych miejsc i projektowaniu nowych upamiętnień.

To jest pierwsza sprawa, ale chyba najciekawszym doświadczeniem była książka o ontologii martwego ciała *Nekros*. Przy okazji badań tej tematyki miałam możliwość współpracować z inicjatywą społeczną (Nie)zapomniane Cmentarze, która pracowała nad projektem ustawy o cmentarzach i chowaniu zmarłych. I to już było konkretne przełożenie na rzeczy, które dzieją się w sferze społecznej. Byłam też proszona o konsultacje przez domy pogrzebowe oraz osoby prywatne odnośnie alternatywnych sposobów pochówku. Głównie chodziło o pochówki ekologiczne.

Również w sferze artystycznej moja praca znalazła swoją obecność. Czy zatem mam jakiś deficyt? Tak jak powiedziałam, nie mam takich ambicji, że moja praca naukowa będzie miała jakieś masowe przełożenie, ale na pewno w jakichś konkretnych grupach, w jakichś przypadkach ma. I to mi starczy.

Jako historycy mamy wbudowane przeświadczenie, że podstawą istnienia świata jest zmiana. To ważne, ponieważ także w życiu prywatnym – a przynajmniej ja to tak odczuwam – cały czas myślę o tym, że dzisiaj jest tak, ale jutro może być zupełnie inaczej. Może być zarówno gorzej, jak i lepiej.

Staram się nie myśleć do tyłu, tylko do przodu, biorąc pod uwagę wiedzę, która pozwala mi planować. I tutaj dochodzimy do kwestii, czym historia jest obecnie i jaką ma funkcję społeczną. Cały czas mówimy, że buduje tożsamość, że jest konieczna do wspierania pamięci. To są ogólniki, które – co widzimy także na przykładzie Polski – często prowadzą do multiplikacji konfliktów.

Polityka historyczna i historia bardziej konfliktuje ludzi ze sobą, niż sprzyja porozumieniu. I to jest dla mnie problem: w jaki sposób podejścia do przeszłości, które są pokłosiem myśli marksistowskiej wspierającej myślenie, że podstawą rozwoju są konflikty (klasowe), można zneutralizować myśleniem inspirowanym nowymi teoriami ewolucji. Na przykład w teorii symbiogenezy Lynn Margulis innowacje ewolucyjne powstają poprzez „stawanie się przez wspólne życie”, w wyniku stałej współpracy. Nawet jeżeli w takim procesie występuje pasożytnictwo, to jednak współpraca i symbiotyczne relacje są ważniejsze od walki o byt i przeżycia najsilniejszych.

I tu pojawia się pozytywny rys, który staram się promować w myśleniu historycznym, to znaczy – myślimy bardziej o tym, co nas łączy, o współpracy, o *convivium*; myślimy o tym, jak historia i cała humanistyka może pomóc w zbudowaniu wiedzy o tym, jak żyć razem w konfliktach. Nie jak żyć w ogóle i jak przeżyć, tylko jak żyć w konfliktach, wiadomo bowiem, że konflikty są i o żadnej utopijnej wizji życia bez konfliktów i przemocy nie ma mowy.

Humanistyka, zwłaszcza jeżeli czytamy wspomnienia więźniów, ludzi, którzy przeżyli różne kataklizmy i katastrofy historyczne, pokazuje, jak można się adaptować do szybko zmieniających się warunków i jak przeżyć. Nie bez przyczyny ciekawym nurtem rozważań, co widzimy również w tematyce wystaw muzealnych (na przykład *Bez cienia. Kryjówki warszawskiego getta* w POLIN czy *Kryjówki. Architektura przetrwania* Natalii Romik w Zachęcie), są kryjówki pokazujące, w jaki sposób ludzie przetrwali w skrajnych warunkach i/lub snujące refleksje na temat zagrożenia.

W kontekście apokaliptycznych wizji przyszłości, kiedy mówimy o różnych konfliktach politycznych i społecznych, ale także konsekwencjach zmian klimatu, myślę, że w tej chwili szczególnie ważne jest pytanie, w jaki sposób

humanistyka może służyć społeczeństwu, budując rezyliencję i mechanizmy ochronne. Nie bez przyczyny, jak sądzę, badania bezpieczeństwa – nie tylko bezpieczeństwa militarnego, lecz także bezpieczeństwa wody, gleb i inne tego rodzaju, są związane z wiedzą historyczną, która pokazuje, jak kiedyś ludzie reagowali na kataklizmy i katastrofy oraz jak sobie z nimi radzili.

Jestem autorką projektów *Historii ratowniczej* i *Humanistyki afirmatywnej*, które mają w sobie dużą dozę pozytywnego myślenia. Sama jestem optymistką, ale i realistką. Nie uważam, że śmierć jest negatywnym tematem. To współczesna kultura traktująca śmierć i martwe ciało jako temat tabu, sprowadziła go do takich wymiarów. Być człowiekiem to znaczy móc umrzeć i to jest dar. Śmierć jest darem i tak trzeba na nią patrzeć, zwłaszcza w kontekście postępu biotechnologicznego.

Nekros jest książką pozytywną – to książka wspierająca, która ma bardzo konkretny cel: promować starą, znaną z przeszłości i z różnych kultur ideę dobrego umierania. Chodzi o opiekę nad umierającym i ciałem zmarłego oraz odpowiednie podejście do śmierci.

Czy zmieniło się moje podejście do śmierci? Czy ta książka je zmieniła? Oczywiście, że zmieniła, ale proszę pamiętać, że to nie jest książka o śmierci; to jest książka o martwym ciele i szczątkach, a to inna kwestia. My po prostu nie chcemy myśleć o zwłokach, to jest temat tabu – w ogóle, jak najdalej od takich rzeczy. A propos przełożenia badań na zachowania społeczne, widzę tu wpływ i opowiem o nim na przykładzie doświadczenia bardzo prywatnego. Otóż, kiedy zmarł mój ojciec (ze starości, nie był chory), poszłam do domu pogrzebowego i wiedziałam dokładnie, czego chcę. Pracownicy byli pewnie zdziwieni, że nie płaczę. Ale miałam całą uroczystość przemyślaną. W czasie pogrzebów obserwowałam dystans czy niechęć do szczątków (nawet wśród bliskich osoby zmarłej). Dotyczyło to również prochów, co sprawia, że rzadko myślimy o tym, by dotknąć urny. Ja natomiast poprosiłam, by móc ją nieść. W momencie, kiedy ją wzięłam i niejako „odtabuizowałam”, to obecni na pogrzebie zaczęli podchodzić i ją dotykać. To było dla wszystkich bardzo ważne przeżycie.

Wiedza, którą zdobywamy, powinna nas udoskonalać, czynić lepszymi ludźmi. Muszę przyznać, że bardzo się dyscyplinuję. To jest czasami katorżnicza praca, niezwykle trudna, na przykład ćwiczenie się w różnego rodzaju cnotach

intelektualnych. Zazwyczaj nie mamy problemów z empatią w cierpieniu. Jeżeli ktoś ma jakieś problemy, ta empatia nie tylko wobec znajomych czy bliskich jest oczywista. Ale empatia w radości jest już czymś trudniejszym. Często musimy pokonać zazdrość i własne ambicje, żeby z przekonaniem i szczerze powiedzieć „gratuluję”, gdy pojawia się uczucie zazdrości, nawet jeżeli uznawane jest ono za „normalne” i „instynktowne”. Ćwiczenie się jest bardzo trudne i wymaga lat treningu, ale jest możliwe, by wzbić się na ten poziom. To jest greckie podejście – etyka *areté* i praktyki *askesis* – przekonanie, że praca intelektualna powinna być zarazem pracą nad sobą, prowadzącą do przekroczenia reakcji instynktownych na rzecz postawy świadomie wypracowanej, czego niestety doświadczenia akademickie nie potwierdzają.

Jestem patriotką, jestem akademicką patriotką i patriotką lokalną. Uważam, że każdy naukowiec, każdy badacz, humanista, artysta jest ambasadorem kultury. Kiedy wygłaszam referat na konferencji zagranicznej czy prowadzę zajęcia na Stanfordzie, to czuję się ambasadorem kultury polskiej i nauki polskiej – reprezentuję ją, promuję i przedstawiam z jak najlepszej strony. Niestety liczba prac opublikowanych po angielsku nie przekłada się na rozpoznawalność polskich badaczy za granicą; często są przywoływani w bibliografiach, ale dla wkładu w globalną humanistykę za wiele z tego nie wynika.

Są jednak pewne obszary badawcze, które są rozpoznawane i doceniane w Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej. To są na przykład polskie badania Zagłady (prace Pani Profesor Barbary Engelking i Pani Profesor Joanny Tokarskiej-Bakir). Doceniane są też badania z dziedziny historii gospodarczej i demografii historycznej. Z impetem wchodzimy w nową historię środowiskową (na przykład Pan Profesor Adam Izdebski i Pani Profesor Małgorzata Praczyk). W badaniach, które prowadzę z doktorantami i byłymi doktorantami, budujemy środowiskową historię Zagłady, która staje się subdyscypliną badań Holocaustu. Mamy tu konkretne osiągnięcia – jesteśmy cytowani, zapraszani na konferencje i do udziału w publikacjach. Dzięki wkładowi polskich humanistów (także badań Pani Profesor Romy Sendyki i jej zespołu) to pole badań szybko się rozwija.

W tej chwili mamy ciekawą sytuację, ponieważ geopolityka wiedzy się zmienia. Tak zwane prowincje intelektualne (Ameryka Łacińska, Kanada, Afryka,

Nowa Zelandia, Australia) zaczynają przenikać ze swoimi ideami do dominujących ośrodków wiedzy. Europa Zachodnia traci swoją rolę jako centrum cywilizacyjne, a co za tym idzie także jako centrum tworzenia wiedzy. Dla nas, czyli dla Europy Środkowo-Wschodniej, jest to duża szansa, ponieważ możemy budować alianse i dołączyć do tych krajów i regionów, które walczą o swoje miejsce i chcą pokazać swój punkt widzenia na różne zjawiska z przeszłości i teraźniejszości.

W tej chwili ciekawą tendencją jest zwrot indygeniczny. U nas objawia się on zainteresowaniem lokalnością, ludową historią Polski, zainteresowaniem grupami społecznymi, które dotąd nie miały widzialności w historiografii oficjalnej, a jeżeli miały, to perspektywy badań tych grup były inne (na przykład historia kobiet, historia chłopów). Z historią ludową mam pewne problemy, nie tylko jako historyk (oskarża się niektórych przedstawicieli tego kierunku o nierzetelność historyczną). Jak sądzę, nieintencjonalnie ten ruch przyczynia się do antyintelektualizmu, który panuje w Polsce. Jest to związane między innymi z populizmem w naszej, ale nie tylko naszej, części Europy, upadkiem autorytetów, brakiem zaufania wobec intelektualistów, a także wobec nauki jako takiej. Obserwuję niedowartościowanie „kultury wysokiej”, zaniechanie elitaryzmu (w dobrym tego słowa znaczeniu, nie mówię o forowaniu szlacheckości czy arystokracji), co szkodzi, na przykład poprzez upadek statusu naukowca, profesora, nauczyciela. Warto się zastanowić, czy w ogóle można coś z tym zrobić i w jaki sposób.

Nie chodzi o wieszczanie, nie chodzi o to, że historyk przepowiada przyszłość; nie jesteśmy wrózkami czy wróżkami, nie wróżymy z kości, natomiast możemy przyczynić się do pokazywania pewnych tendencji. Kiedy na przykład mowa o wojnie w Ukrainie i jej efektach, historycy widzą tutaj możliwe scenariusze, ale pozostaje też pewna doza nieprzewidywalności. Jednym z możliwych scenariuszy, o których historycy mówią, będzie po prostu rozlanie się tej wojny. Nie wiadomo, jakimi metodami i w jakim kontekście to się stanie, ale tego się nie zastępuje, i my to wiemy. To tylko kwestia czasu. I w tym kontekście zadałabym pytanie: czy historia ma wartość przetrwania dla społeczeństwa, dla pewnego kraju czy regionu? I co zrobić, żeby dostarczała społeczeństwu wiedzy, która nie konfliktuje (bo w tej chwili polaryzacja polityczna jest bardzo

głęboka)? Powinna dostarczać wiedzę, która nie konfliktuje, tylko raczej pokazuje, że są pewne prototypy współbycia, współdziałania funkcjonujące w przeszłości, z których można korzystać, budując scenariusze przyszłości.

Rozumiem poglądy, z którymi często stykam się w gronie znajomych, którzy pytają: „co wy tam robicie na tej humanistyce? Płacimy na was podatki, a wy macie kilka godzin zajęć w tygodniu”. Wtedy mówię, że jeżeli chodzi o mnie i o osoby, z którymi blisko współpracuję, to pracujemy czternaście godzin na dobę i siedem dni w tygodniu. Nie pamiętam, kiedy miałam wolny weekend. Nie pamiętam, kiedy miałam dłuższe niż siedem dni wakacje. Ktoś może powiedzieć, że to jest pracoholizm. Ja powiem: nie. To jest misja i pasja, a także poczucie służby. Sądzę, że każda osoba, która tak myśli o swoim zawodzie, obojętnie czy jest lekarzem, prawnikiem czy akademikiem, właśnie tak o swojej pracy powie.

Spółeczeństwo oczekuje od historyków konkretnych odpowiedzi. Czy stan wojenny powinien być wprowadzony czy nie? Czy Lech Wałęsa kolaborował z władzami czy nie? Historyk bardzo często nie może odpowiedzieć jednoznacznie na te pytania. Źródła nie są jednoznaczne. Na podstawie wiedzy, którą aktualnie się posiada, można wysunąć daną tezę, a za chwilę mogą pojawić się nowe źródła, które rzucą inne światło na wydarzenia. A więc dla nas historyków wiedza historyczna jest o tyle ryzykowna w kontekście oczekiwań społecznych, że często (nie mówię, że zawsze), nie możemy się jednoznacznie wypowiadać w kategoriach „tak było” lub „tak nie było”.

Nie pełnię roli sędziego. Historyk to nie jest sędzia. Pani Profesor Krystyna Kersen zawsze mówiła, że historyk powinien przygotować dokumenty w sprawie. Powiedzieć: „tu są takie dokumenty, tu takie, tu jest taki punkt widzenia, tu jest inny punkt widzenia”. Ewentualnie może wypowiedzieć swoją opinię. Ale jako historyk sędzią na pewno nie jestem i nie sądzą, żeby wielu historyków taką rolę chciało pełnić.

Badania historyczne nie bardzo wspierają wyobraźnię – historycy mają inne zadania, przede wszystkim ustalanie faktów. Gdybym tylko studiowała historię, to by chyba prowadziło do jakiejś atrofii mojej wyobraźni. Ale mam swoje

sposoby. Przede wszystkim lubię sztukę, zwłaszcza współczesną. Artyści ożywiają i stymulują wyobraźnię.

Rozmawiam z różnymi ludźmi, różnych zawodów, kultur, wieku. Stale się uczę, obserwuję – na przykład dzieci, które mają niesamowite pomysły. Obserwuję też, jak zachowują się zwierzęta, obserwuję krajobraz. Po prostu wszystko jest dla mnie potencjalnym źródłem wiedzy.

Natomiast trudno mi powiedzieć, na czym polega sama kreacja. Biorą w niej udział różne czynniki, także nieludzkie. W tej chwili wejście do dominującego nurtu rozważań humanistycznych różnych wiedz indygenicznych i lokalnych powoduje, że otwieramy się na to, że wiedza, nawet naukowa, niekoniecznie oparta jest na racjonalnych podstawach. Może mieć swoje źródła w nieracjonalnych intuicjach, instynktach, a także pozaludzkich aktorach, którzy na nas wpływają. Wszystko zależy od osoby i od kontekstu.

W tej chwili już nawet w historii zaprzestaje się stereotypizowania, że z jednej strony jest nauka, racjonalność, zimny ogląd laborancki, a z drugiej strony są emocje. Badania kognitywistyczne mówią o tym, że emocje mają duży walor poznawczy. We współczesnych badaniach historycznych powstały takie nurty jak historia emocji, a także historia emocjonalna czy historia zmysłów. Obecnie, kiedy mamy do czynienia z panowaniem tak zwanej humanistyki zaangażowanej w naukach humanistycznych i społecznych, kiedy wielu naukowców jednocześnie jest aktywistami i aktywistkami różnego rodzaju ruchów, trudno powiedzieć, że tworzona przez nich wiedza jest pozbawiona emocji – co nie znaczy, że jest pozbawiona obiektywizmu. To jest niezwykle ciekawy aspekt.

Myślę, że to bardzo dobrze, że zaczynamy mówić o pracy badawczej jako o rytuale, bo to jest coś, co zostało zagubione w rozważaniach na temat racjonalnej i logicznej nauki. Kiedy czytam prace osób, które reprezentują wiedzę indygenne (na przykład ze Stanów Zjednoczonych czy z Ameryki Łacińskiej), zwracają one uwagę, że tworzenie wiedzy to jest pewien rytuał. Wiedza tworzy się w relacjach między badaczami, miejscem, przodkami, czynnikami nieludzkimi. Jest ucieleśniona – budowana i przekazywana w powtarzalnych gestach (opowieści, taniec, pieśni).

W przypadku naszego kręgu kulturowego taka rytualność może też dotyczyć między innymi picia w trakcie pracy herbaty albo kawy, siedzenia w specyficzny

sposób w określonym otoczeniu – takim, a nie innym. Niektórzy mogą pracować w kawiarni, ja nie. Od ponad czterdziestu lat najbardziej efektywnie pracuję w domu, siedząc w tym samym miejscu i stosując wypracowane przez wiele lat techniki. Moi przodkowie są ze mną. Moje miejsce współtworzy wiedzę.

Niektórzy zwracają uwagę na rolę muzyki puszczonej w tle czy zapalenie papierosa. Każdy ma swoje rytuały. Nie piję w ogóle kawy, natomiast piję mocną herbatę, tylko Earl Grey. Siadam w odpowiedni sposób, zawsze z nogami wyprostowanymi, w ogóle nie umiem pracować przy biurku. Przyznaję się, że lubię pracować w łóżku, szczególnie rano, kiedy mam świeży umysł, albo późnym wieczorem.

No i jeszcze jedna rzecz à propos moich rytuałów. Jak wejdę w dryf, to mogę pracować tydzień i wtedy w ogóle nie wychodzę z domu. Wychodzę tylko do kuchni, żeby coś zjeść, i po prostu pracuję tak długo, dopóki nie napiszę tekstu. Ale to już jest faza pisania, a nie faza tworzenia koncepcji czy zbierania materiałów, która może trwać miesiącami, a czasami latami. Dokładnie wiem, kiedy napiszę ostatnie zdanie. Różnych wersji potrafię mieć piętnaście w ciągu tygodnia. Każdą drukuje i poprawiam. Jeżeli tekst jest ważny, daję go kilku zaufanym osobom, zaufanym specjalistom do przeczytania, żeby wiedzieć, czy się gdzieś nie poślizgnęłam, czegoś nie przeinterpretowałam, czegoś nie zaniedbałam. To jest dla mnie bardzo ważne, żeby ktoś przeczytał to, co napisałam. Czasami są to dwie, trzy osoby, a czasami dyskutuję o tekście w gronie doktorantów i byłych doktorów. Bardzo sobie cenię ich komentarze i krytykę.

To jest problem – jak odpoczywam? Zadaję sobie to pytanie, bo nie wiem, jak odpoczywam. Wiem, co mnie koi. Koi mnie brak myśli, patrzeć w ocean, w morze, słuchanie fal. I pusta głowa bez myśli – co mi się bardzo rzadko zdarza. Taka bezmyślność w sensie braku myśli w głowie. To jest dla mnie bardzo uspokajające. Bardzo mnie relaksują i cieszą spotkania ze znajomymi, bardzo lubimy się bawić, urządzamy kolacje, różnego rodzaju imprezy. Taniec mnie bardzo relaksuje, uwielbiam tańczyć. Bawi mnie i relaksuje oglądanie filmów – mniej i bardziej ambitnych.

Jak widać mam problem z tym, co jest dla mnie relaksem, ponieważ mam wrażenie, że nawet kiedy się relaksuję, to pracuję. Na przykład wyjście do muzeum jest dla mnie też pracą, bo to co widzę od razu filtruję przez swoje zainteresowania i projekty badawcze. Tak jak powiedziałam, najbardziej relaksuje

mnie bezmyślne patrzenie w ocean, w morze, w bezkres. Gdzie nie ma limitu, nie ma ograniczeń, nie ma barier, jest jakiś horyzont, wobec którego nie mam oczekiwań.

Obecnie zajmuję się projektem, który zarzuciłam wcześniej dla *Nekrosa*, ale który mnie zawsze bardzo fascynował. Jest to historia antycypacyjna, problem antycypowania przyszłości – w sensie przygotowania się i umiejętności szybkiego adaptowania do trudnych warunków. Zadaje pytanie, w jaki sposób wiedza humanistyczna, historyczna pozwala nam przygotować się na przyszłość. Chciałabym też wspomnieć o projekcie, który robiłam z młodymi badaczami na temat humanistyki prewencyjnej, gdzie chyba zaraziłam młodych takim właśnie myśleniem antycypacyjnym i postawieniem pytania, jaką wartość przetrwania ma wiedza, którą tworzymy.

Naciskam na swoich studentów, doktorantów i byłych doktorów, żeby odpowiedzieli sobie na pytanie, jaką wartość mają badania, które prowadzą? Dla kogo one są? Czy są tylko dla świata akademickiego czy mają jakieś szersze przełożenie? I muszę powiedzieć, że jestem bardzo zadowolona, ponieważ niemal wszyscy podejmują tematy społecznie użyteczne. Na przykład doktor Monika Stobiecka, która jest wiodącą badaczką krytycznych studiów nad dziedzictwem w Polsce, promuje idee rozumienia dziedzictwa jako praktyki odpowiedzialności i narzędzia rezyliencji kulturowej. Badania doktora Piotra Słodkowskiego mają konkretną użyteczność społeczną, ponieważ dostarczają narzędzi do krytycznej analizy instytucji sztuki i mechanizmów wykluczenia, wspierają bardziej inkluzywne praktyki kuratorskie oraz umożliwiają świadome kształtowanie polityk kulturalnych wrażliwych na różnice społeczne i historyczne. Z kolei doktor Tomasz Wiśniewski, analizując relacje między nauką, polityką i religią, dostarcza narzędzi do lepszego rozumienia napięć światopoglądowych oraz wypracowywania bardziej zrównoważonych form myślenia historycznego. Badania doktora Jarosława Jaworka nad historią dźwiękową rozwijają analizę pejzaży dźwiękowych i źródeł audio jako pełnoprawnych świadectw przeszłości, umożliwiając tym samym bardziej zmysłowe i inkluzywne rozumienie historii, poszerzając ją poza dominację narracji wizualno-tekstowych. Projekt doktor Taynny Marino dotyczący empatii rozwija narzędzia budowania relacji, odpowiedzialności i troski przekraczających granice gatunkowe i pokoleniowe, wzmacniając etyczne podstawy współistnienia w warunkach kryzysów społecznych i środowiskowych. Natomiast Michał Kępski rozważa zagadnienie

dziedzictwa rzeki Warty w kontekście środowiskowej historii publicznej i etyki społecznej troski o przyszłość wody.

Doktor Gabriela Jarzębowska-Lipińska napisała fantastyczną książkę na temat czystki gatunkowej. Książka mówi o deratyzacji w Polsce powojennej (to przykład badań transdziedzinowych, jednym promotorem był etolog, Pan Profesor Andrzej Elżanowski, drugim humanista, czyli ja). Oczywiście szczur jest tabu i ma w naszej kulturze dość negatywną symbolikę, ale gdy przyjrzymy mu się od strony etologicznej, okazuje się zwierzęciem niezwykle inteligentnym i społecznie zaawansowanym. Dlatego nasza grupa doktorantów i młodych doktorów przyjęła nazwę RAT – Resilience Academic Team, właśnie za sprawą tych badań. Szczur jest dla nas zwierzęciem, które nie tylko wie, jak przeżyć, ale także posiada rozwinięte umiejętności współpracy i działań wspólnotowych. Możemy się od tych zwierząt wiele nauczyć: choćby zdolności do budowania relacji opartych na wzajemności, dzielenia się zasobami, uczenia się poprzez obserwację innych oraz reagowania na sytuacje kryzysowe w sposób kolektywny, a nie tylko indywidualny. W tym sensie etologia szczura podpowiada model bycia w grupie oparty na czujności, odporności, solidarności i adaptacyjnej inteligencji.

Krzysztof Skarbek

*STARAM SIĘ CAŁY CZAS BADAĆ RZECZYWISTOŚĆ
W SPOSÓB TWÓRCZY | ODC. 11*



Jaki jest cel tego, co robię? To przede wszystkim walka o wartości, przeciw hipokryzji, gdzie najważniejsza jest przyjaźń, miłość i nowe porozumienia międzyludzkie.

Profesor doktor habilitowany Krzysztof Skarbek

Tym razem nie musieliśmy daleko podróżować. Spotykamy się bowiem z naszym bohaterem we Wrocławiu.

W deszczowe, chłodne popołudnie docieramy na Plac Polski. To tutaj wznosi się stary gmach Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta, gdzie umówiliśmy się z profesorem Krzysztofem Skarbkiem.

Jasny, monumentalny budynek otoczony jest zielenią parku oraz licznymi rzeźbami i pomnikami. W tle widać charakterystyczne sylwetki kamienic wrocławskiego

rynku, które przypominają o bliskości serca miasta. Podchodzimy do dużych, drewnianych drzwi wejściowych, które otwierają się z trudem, jakby broniły wejścia do tego magicznego miejsca.

W środku od razu wita nas ciepły, świąteczny nastrój. Tuż przy wejściu stoi ogromna choinka ozdobiona żółtymi światełkami, które odbijają się od błyszczącej podłogi. Obok niej, na jednej z rzeźb, ktoś zawiesił czapkę Mikołaja.

Profesor Krzysztof Skarbek czeka pod choinką. Wita nas serdecznie i zaprasza na kawę do uczelnianej kawiarni. Ruszamy za nim, przemierzając długie, zawile korytarze uczelni.

Na każdym kroku otaczają nas rzeźby, obrazy i instalacje. Niektóre wyeksponowane, inne ukryte w kątach, gdzie niespodziewanie przyciągają wzrok i wywołują lekki dreszczyk.

Docieramy do kawiarni – wnętrza z zielonymi ścianami, licznymi obrazami i wzorzystym sufitem. Profesor kupuje nam wszystkim kawę, a my zajmujemy jeden ze stolików, gdzie rozmawiamy chwilę o dzisiejszym spotkaniu. Atmosfera jest ciepła, mimo zimna za oknem.

Następnie wędrujemy dalej, na wyższe piętro, do biblioteki. Pomiedzy wysokimi regałami, pełnymi książek o sztuce, czeka przygotowany dla nas stół. Rozsiadamy się wygodnie, a zapach starych tomów i dźwięk kropel deszczu uderzających o szyby, tworzą idealne tło do rozmowy z profesorem Skarbkiem.

Kiedy mówię o sztuce współczesnej, dla mnie najważniejsza jest walka z hipokryzją, ale też budowanie tych wartości, które na nowo potrafią określić stosunki międzyludzkie. Jak wiemy, współczesne badania socjologiczne opierają się nie tylko na polityce i kulturze, ale też analizach związanych z budowaniem nowego języka porozumienia i dialogu społecznego, co również można wyrazić symbolicznie przez sztuki wizualne.

Jezeli chodzi o samą techniczną stronę zdobycia przeze mnie tytułu profesora, napisałem trzy prace związane z twórczością własną, z dydaktyką artystyczną na Akademii, jak i też z dodatkową dyscypliną artystyczną, więc w moim wypadku był to performans, wideo, akcje muzyczne. Oprócz tych prac, trzeba było stworzyć cykl obrazów, nowych obrazów, które były prezentowane w bardzo ważnym miejscu na mapie muzeów czy też galerii. Te wszystkie elementy, plus prowadzenie doktorantów, kierowanie życiem artystycznym uczelni i studentów,

kreowanie nowej kadry artystycznej, praca badawcza, dydaktyczna – a więc elementy organizacyjne na rzecz uczelni, złożyły się na mój tytuł.

Moja praca polega na ustawianiu pewnych problemów plastycznych oraz opowiadań o tym, co jest w moim świecie najważniejsze. Oczywiście, ogólnie rzecz biorąc, staram się pokazać świat rzeczy potocznych połączony ze światem rzeczy nierealnych, ale jednak prawdopodobnych. Struktura malarstwa i całej mojej twórczości stara się być jak pradawne baśnie. Jak wiemy, baśń posługuje się językiem i formami, które niezależnie od cywilizacji czy miejsca na świecie są zrozumiałe dla wszystkich, nie biorąc pod uwagę języka werbalnego – alegorie, parabole symboliczne są bardzo uniwersalne.

Zagadnieniami, które w sztuce głównie mnie interesują, jest dodawanie do historii sztuki własnych form plastycznych, ale też innego spojrzenia na nasze otoczenie, naszą współczesną cywilizację. W ostatnich latach robiłem szereg wystaw, które w sposób kontrastowy, ale też z ciepłą ironią, reinterpretowały pewne pojęcia – kultowe filmy, techniczną czy technologiczną cywilizację, w którą wierzono – w odniesieniu do antynomii, które w nas tkwią od czasów pierwotnych.

Mówiąc wprost, interesuje mnie zbitka myślenia kultur plemiennych. W sposób badawczy interesuję się kulturą Indian Ameryki Północnej, ale też kulturą azjatycką, szczególnie synkretyzmem, który odnalazł się w kulturze japońskiej, Orientu. I sam przez osiem lat studiowałem to, co najbardziej samurajskie w sztukach walki, *muay thai* i *aikido*, w ramach którego zgłębiałem szkołę Hirokazu Kobayashiego. Mam też szereg opracowań badawczych na temat kultury średniowiecza Japonii, jej sposobu myślenia, filozofii, sposobu organizacji życia społecznego. Oczywiście w sposób przewrotny to interpretuję, w jakiś sposób przetwarzam na obrazach, budując nowe relacje międzyludzkie za pomocą form plastycznych.

Bardzo lubię pracować, powiedzmy sobie, w poważnym rytmie szukania inspiracji, ale też zbierania materiału źródłowego, dokumentacji (w tym fotograficznej) czy filmów na temat nowej wystawy. Następnie wykonuję szereg szkiców, szereg różnych prób malarskich i fotograficznych. Dalej, po przygotowaniu całej techniki, technologii, chemii malarskiej i mając zgromadzony materiał,

w pracowni zaczynam wykonywać serię obrazów, montaż, wideoartu oraz tworzyć muzykę do konkretnej wystawy z przyjaciółmi należącymi do grupy Połykacze Perła z Odry.

Taką wystawą, która nawiązuje i do współczesności, i do kolebki kultury śródziemnomorskiej, europejskiej, była wystawa w Galerii Miejskiej we Wrocławiu pod tytułem *Mity Olimpu wobec współczesności*. Słynni bohaterowie z góry Olimp, którzy symbolizowali różne charaktery i sposoby myślenia filozoficznego, występują w moich pracach. współpracując, ale też w zagadkowy sposób przemawiając do człowieka współczesnego za pomocą alegorii, symboliki, która zawiera się w sztukach wizualnych.

Alegoria jest opowiadana nie tylko językiem scenariusza, na przykład filmowego, ale też innymi sposobami odbioru, które chłonie człowiek – kolorem, kompozycją, strukturą, fakturą powierzchni malarskiej. To wszystko jest bardzo ważne, szczególnie w mojej twórczości. Istotna jest energia sztuki bijąca z mocnych kontrastowych kolorów, gdzie plama bądź kreska jest dynamiczna, ekspresyjna. Jak ktoś kiedyś powiedział: kreska i uderzenia pędzla są jak pędzący samochód rajdowy na zakręcie. To buduje napięcie emocjonalne między widzami a dziełem.

Na wystawach staram się stworzyć pewną atmosferę baśniowości. Tak jak mówiłem, baśń posługuje się uniwersalnym językiem, odczytywanym przez wszystkich. Widz, wchodząc na moją wystawę, zapomina o szarym czy utylitarnym działaniu dnia powszedniego. Wchodzi do innego świata, gdzie ja, razem ze swoją grupą Połykacze Perła z Odry (Piotr Saul – mój asystent, z którym robię też szereg wystaw, Tomasz Chołuj – wykładowca, doktor z naszej uczelni zajmujący się architekturą wnętrz i profesor Dariusz Grzybowicz), w specjalnych kostiumach i maskach, tworzę coś w rodzaju parateatru muzycznego. Jakby ktoś zapytał, co to jest za muzyka, można powiedzieć: współczesna filmowa. Używamy klasycznych instrumentów związanych z akustyką, ale też mamy instrumenty z „wpisaną” sztuczną inteligencją, które potrafią nam – muzykom niezawodowym, ale jednak ćwiczącym nowe formy malarskie za pomocą dźwięku – pomagać.

Na wystawie *Mity Olimpu* staram się pokazać zarówno słynnych bohaterów z hierarchii bogów olimpijskich, jak i zderzyć ich z pewnymi symbolami,

przedmiotami naszej cywilizacji, które wzbudzają niepokoje związane z naszym rozwojem. A ja staram się je obłąskawić na obrazach. Maszyny wojenne u mnie już służą do innych rzeczy. Są elementami, z którymi możemy współpracować, z którymi się możemy bawić. Przestały być groźne. A jeżeli są groźne, to bohaterowie moich obrazów zamieniają je w coś pozytywnego. Czołg już nie będzie nigdy strzelał, a jak zaczyna strzelać, to tylko pięknymi kwiatami, które widać na tym obrazie.

Oczywiście poprzez lekki, ironiczny uśmiech i groteskę w poważny sposób wyrażam obawy co do przyszłości. Niemniej jednak staram się pokazać i zadawać pytania, ale też dawać jakieś odpowiedzi, które patrzą w przyszłość – że jednak ludzkość będzie się dalej rozwijać w sposób interesujący, twórczy.

Na potwierdzenie właśnie tych obaw mogę powiedzieć, że pewnymi obrazami projektuję przyszłość. I tak, jak pamiętamy tę słynną powódź we Wrocławiu w 1997 roku, to około dziesięć lat wcześniej namalowałem obraz, na którym po ulicy zalanej wodą między budynkami płynie postać na windsurfingu. I 12 lipca 1997 roku koło dworca na ulicy Piłsudskiego znajomy wyciągnął deskę surfingową z żaglem i próbował pływać, czego oczywiście wcześniej nie wiedziałem. Mam również obraz, który jest w trakcie zakupu przez wrocławską Zachętę, na którym występują dwa samoloty, wbijające się w dwa budynki. I ten obraz też malowałem dziesięć lat wcześniej, przed tragedią World Trade Center.

W roku 2024 brałem udział w bardzo istotnych wystawach związanych chociażby z rocznicą kierunku, którego jestem reprezentantem. Krytycy w połowie lat osiemdziesiątych określili moją twórczość mianem „nowy ekspresjonizm polski”. Taki nurt zresztą równolegle rozwijał się w większości krajów na świecie i przyjmował bardzo malownicze nazwy. Na przykład w Niemczech Neue Wilde Malerei, czyli Malarstwo Nowych Dzikich, Nowa Fala, Arte Cifra, Nowy Fowizm. Ta wystawa, o której wspomniałem, odbyła się w Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu, w pięknym nowym ośrodku w Toruniu, który zresztą wewnątrz nieco przypominał Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. I tam Krzysztof Stanisławski, który od początku opisywał i dokumentował ten kierunek sztuki, zorganizował wystawę, obejmującą ekspozycję dzieł wybranych artystów z końca lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Miałem tam piękną salę, gdzie ówczesne problemy pokazywałem właśnie ekspresyjnym językiem. Była to na przykład kwestia przejścia między obecną a poprzednią epoką w Polsce i na świecie, razem ze wszystkimi marzeniami, które temu towarzyszyły i odbiły się na mojej twórczości plastycznej.

Mam przy swojej bluzie taki znaczek, tak zwany *badge*, przypinkę z nowego wielkiego festiwalu, alternatywnego do festiwalu weneckiego, oczywiście dużo mniejszego. To był pierwszy festiwal sztuki współczesnej Malta 24, gdzie w polskim pawilonie (w pięknym renesansowym pałacu) prezentowaliśmy wystawę nawiązującą do twórczości słynnego Caravaggia, czyli ulubionego malarza kawalerów maltańskich, właśnie na wyspie Malta. Stworzyłem obraz pod tytułem *Nie można grać wesołej muzyki na lutni podczas składania do grobu Chrystusa*, gdzie połączyłem w sposób przekorny, ale z szacunkiem dwa obrazy: *Chłopiec grający na lutni* i *Złożenie do grobu*. Moja odpowiedź własnym językiem plastycznym na te obrazy stworzyła, mam nadzieję, nową wartość artystyczną.

Studentom, chcącym studiować czyste sztuki, nie projektowe, nie dizajnerskie, staram się nieco żartobliwie mówić, że wstępują niemalże do zakonu, w którym życie codzienne i twórczość spajają się w jedną charyzmatyczną całość. I tylko wybrańcy, którzy oprócz zdolności artystycznych mają zdolności marketingowe, odziedziczone po przodkach, potrafią połączyć – zgodnie z własnym charakterem – twórczość z zarabianiem na niej.

Dlatego, że prawdziwe eksperymentowanie i poszukiwanie nowości łączy się z ryzykiem. Tak jak w słynnej komedii, w której aktor powiedział, że jak może lubić coś, czego wcześniej nie widział i nie znał? W związku z tym są też artyści, którzy potrafią nawiązać do tego, co na przykład większość tak zwanych kolekcjonerów o odpowiednim uposażeniu widziało na wycieczce w Muzeum Narodowym w szkole podstawowej. Tak im się to zapisało w podświadomości, że są przekonani, że tak powinna wyglądać sztuka. Są zatem artyści, którzy zgodnie z własną osobowością potrafią zastosować parametry dawnej sztuki do swojej twórczości i rzeczywiście bardzo dobrze sprzedają na różnych rynkach w kraju i za granicą.

U nas w zasadzie rynek sztuki dopiero się buduje. Są „centrale”, związane na przykład z takimi organizacjami jak Desa Unicum. I wiele innych platform, gdzie organizuje się specjalne aukcje, rankingi artystów, odpowiednią

destynację wycen. Oczywiście jest też szansa dla młodzieży artystycznej. Ale trzeba lubić tę nieco ekonomiczno-marketingową pracę. Trzeba na nią znaleźć czas – wtedy rzeczywiście sukces artystyczny wiąże się z sukcesem finansowym.

Może wystąpić zdrada ideałów artystycznych, gdy tworzy się coś wbrew własnej naturze i osobowości. Każda epoka starała się wykorzystać sztukę artystów chociażby do propagandy. Są nisze, gdzie rzeczywiście dostaje się granty, pieniądze na taką działalność. Mnie to zupełnie nie interesuje. Ale artyści, którzy chcą tworzyć czystą sztukę i nie bać się o sukces finansowy, powinni też znaleźć sobie niezależne źródło finansowania. I to jest najtrudniejsze.

Rzeczywiście w dawnych czasach, poczynając od czasów hellenistycznych czy średniowiecza, byli tak zwani artyści dworscy. Co na dzisiejszy język można przetłumaczyć jako: artyści, którzy wiążą się z tendencjami współczesnej polityki i ideologii.

Natomiast bardzo szlachetnie jest tworzyć coś, co przyczynia się do dobra, do piękna – oczywiście tego wewnętrznego, bo takie pojęcie jak cierpienie też może wiązać się z pięknem. To nie chodzi tylko o zdobnictwo artystyczne. To piękno warto ubierać w coraz to bardziej oryginalne, własne, autonomiczne formy. I wtedy coś dodajemy, jakąś następną cegiełkę do historii sztuki.

Można powiedzieć, że tak zwana „czystość” w sztuce łączy się z prawdziwie pozytywnymi intencjami; czyli myśli się tylko o rozwoju własnym, artystycznym, o stawianiu pytań i poszukiwaniu odpowiedzi – przede wszystkim w związku z problemami, które nas otaczają albo są związane tylko z formą sztuki.

I tutaj możemy zdefiniować sztukę figuratywną i abstrakcyjną. W sztuce abstrakcyjnej w zasadzie artyści poszukują nowych form wyrazu plastycznego, a w sztukach figuratywnych w sposób integralny i właściwy starają się połączyć treść i formę, strukturę tego wszystkiego, jak ma być zbudowana kompozycja, na przykład na płótnie.

W literaturze mówi się, że artystą się nie jest, tylko się bywa, kiedy stworzy się istotne dzieło sztuki. Ale warto też powiedzieć, że można łączyć życie codzienne z twórczością, ponieważ nawet w trakcie snu zbiera się pomysły, można się obudzić, można robić notatki, można stworzyć koncepcję na nowy obraz.

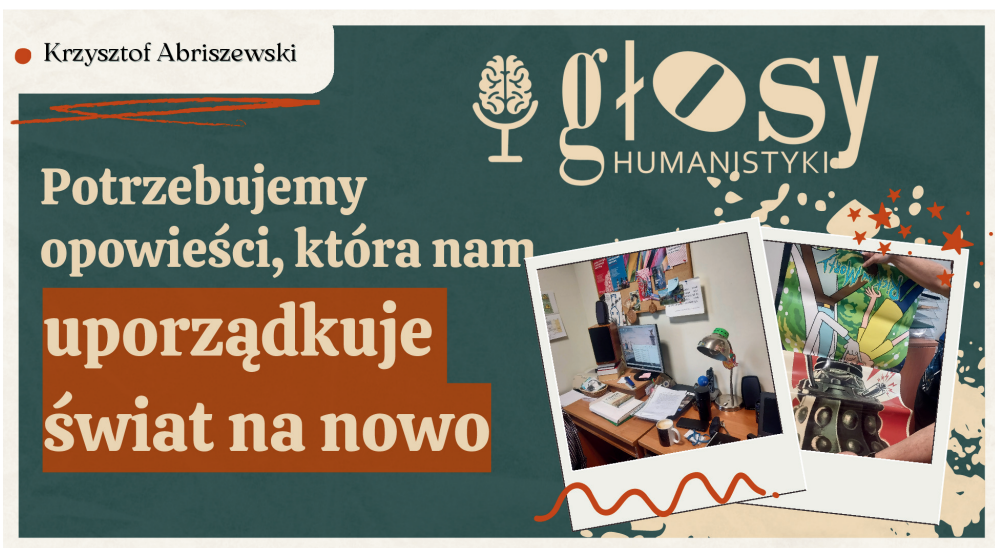
Tak samo w ciągu dnia można powiedzieć, że kadrujemy obraz, który widzimy w sposób wybiórczy, wyciągając pewne wnioski nawet z banalnych rzeczy wokół nas i zamieniając je na nowe symbole, znaki w malarstwie. Więc raczej jestem skłonny powiedzieć, że staram się cały czas, oczywiście bez jakiegoś przymusu, z przyjemnością badać tę rzeczywistość w sposób twórczy.

W swoich pasjach, oprócz badania ciała człowieka w takim bardzo gimnastycznym, a zarazem synkretyczno-matematycznym sensie, jakim jest *aikido* i *muay thai*, kontrastuję to z miłością do czystej natury. Będąc z przyjaciółmi w krajach jak Tajlandia, uwielbiam eksplorować rafy koralowe, gdzie mam do czynienia z czystym pięknem wizualnym kolorów i kształtów. Nurkując, lubię fotografować i filmować rafę, egzotyczne ryby i tym podobne. Jest to moim zdaniem z jednej strony dynamiczne w ruchu malarstwo, z drugiej strony połączone z tym, czego zawsze mi brakowało w statycznych obrazach, czyli ze zmianą w czasie i ruchem; jest też czysta natura.

Czy to będą góry na nartach, czy właśnie pływanie, nurkowanie w morzach – cisza, czysta natura jest domeną, którą pragnę się zawsze zajmować. Ale też to, o czym wcześniej mówiłem – spotkania towarzyskie, tworzenie muzyki inspirowanej nie tylko dźwiękami natury, ale też brzmieniem industrialnym, wynikającym z kultury fabrycznej. Sam w młodości pracowałem w różnych zakładach pracy i fabrykach, również w ówczesnym Pafawagu, przez co dźwięki kuźni, dźwięki obróbek maszyn skrawających stal stały się jakąś alternatywą do natury. Mają w sobie ostrość, a przede wszystkim rytmikę i moc, którą można porównać do grzmotów i piorunów, będących zjawiskami naturalnymi.

Krzysztof Abriszewski

NIE WIEMY LEPIEJ, ALE ZA TO WIEMY INACZEJ |
ODC. 12



To będzie z grubsza teoretyczna interpretacja, że o wiedzy nie powinniśmy myśleć w kategoriach, że jest czymś, jakimś dobrem, które ma się w głowie, a potem idzie się i spotyka z innymi ludźmi, na przykład z uczniami szkoły średniej, i to dobro się im przekazuje – z głowy do głowy, jak przez rurkę, jak wodę czy pieniądze.

Doktor habilitowany Krzysztof Abriszewski

Nasza dzisiejsza rozmowa odbyła się podczas wyjazdu do Torunia, gdzie umówieni byliśmy z profesorem Krzysztofem Abriszewskim. Skierowaliśmy się więc na Uniwersytet Mikołaja Kopernika i stanęliśmy w pokaźnej hali przy wejściu do Centrum Badań i Informacji, cierpliwie wyczekując spotkania.

Już po krótkiej chwili zauważyliśmy, jak profesor zbliża się do nas jednym z długich korytarzy. Przywitał nas ciepło, uściśnął dłonie i od razu zaproponował kawę. Poprowadził nas do automatu, który znajdował się tuż obok niewielkiej stołówki.

Wzięliśmy napoje i ruszyliśmy w nieznaną nam część budynku. Szliśmy płatając korytarzy i schodów, mijając kolejne drzwi, zakręty i rozwidlenia. Sami na pewno byśmy się tu zgubili.

Na szczęście profesor Abriszewski okazał się bardzo dobrym przewodnikiem i doprowadził nas do Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej. Przy wejściu do gabinetu profesora wisały tabliczki informacyjne dotyczące pracowników katedry. Na jednej z nich przyczepiona była karteczka z flagą Ukrainy i napisem „I stand with Ukraine”.

Obok znajdowała się antyrama ze zdjęciami naszego gościa i krótkim opisem jego badań oraz zainteresowań naukowych. W gabinecie stał podłużny stolik otoczony kilkoma krzesłami, dwa biurka oraz mnóstwo szafek i półek wypełnionych książkami. Ściany zdobiły liczne obrazy i fotografie.

Profesor wyjaśnił, że wiele z nich należało do poprzedniej użytkowniczkii tego gabinetu. Na jednej z półek wyeksponowane były jego własne publikacje. Nad biurkiem znajdowała się korkowa tablica, na której przyczepiono uczelniane plakaty, zdjęcia i ozdobne pierniczki świąteczne.

Wzrok przyciągały także trzy kalendarze. Jeden z obrazami Beksińskiego, drugi z Wilgęm, a trzeci z grafikami z Kajko i Kokosza. Profesor z entuzjazmem pokazał nam także plakaty filmowe, które zabrał ze swojego poprzedniego gabinetu.

Zastanawiał się, czy powiesić je i tutaj. Wśród nich znalazły się grafiki z Ricka i Mortiego oraz plakat z Dalekiem z Doctora Who. Rozmowa od razu zeszła na temat filmów i seriali, a stamtąd płynnie przeszliśmy do dyskusji o projekcie SOWA, nad którym profesor obecnie pracuje.

To, co umownie można by nazwać wiedzą albo procesami związanymi z wiedzą, jest trochę czymś innym i czymś bardziej skomplikowanym, wielowymiarowym, niż może się wydawać. Okazuje się bowiem, że sama sytuacja spotkania, kontaktu, wymiany jest tu kluczowa. Często osoby, z którymi rozmawialiśmy, podkreślały, że być może uczą się tyle samo, co ci, którzy przychodzą ich posłuchać. Czasami opowiadano nam, że rzeczywiście ktoś na takim spotkaniu zaprezentował na przykład jakąś ciekawą metodę analizy i obecni tam ludzie byli zachwyceni, gdy zaczynali ją stosować. Ale były też głosy mówiące: „ja się

uczę więcej od nich niż oni ode mnie, dlatego że to ja poznaję świat, bo świat jest tutaj, a nie w akademii”.

To, co robimy w ramach humanistyki i nauk społecznych, to są pewne formy porządkowania świata, wytwarzania nowych kontekstów, nowych relacji. Czasami też podtrzymywania takich relacji przez dłuższy czas, gdy na przykład jakaś szkoła średnia współpracuje z uniwersytetem przez wiele, wiele lat. Wyobrażanie sobie, że my, jako akademicy i akademicy wychodzimy poza naukę i uczymy o tym, jakie ostatnio badania robiliśmy, jest błędne. Raczej okazuje się, że w kontekście pozaakademickim jesteśmy rzecznikami wiedzy naukowej jako takiej. Często nie tylko z własnej dyscypliny. Akademicy uczestniczą w rozmaitych spotkaniach jako eksperci i ekspertki niby z konkretnego obszaru (kiedy rzeczywiście są takimi osobami, które się na tym znają), ale bardzo często podczas takiego spotkania oczekuje się od nich, że będą w stanie całościowo opowiadać o swojej dyscyplinie, a często nawet o wiedzy naukowej w ogóle. Czyli nie o to chodzi, że każdy z nas ma wytworzyć jakieś dobro – wiedzę i potem tym kanałem je przekazać lub przelać. Raczej wytwarzamy nowe relacje społeczne, stabilizujemy je, przynosimy narzędzia do nowych interpretacji rzeczywistości. Często na spotkaniach określanych jako popularnonaukowe, które zupełnie nie są związane choćby z bieżącą sytuacją społeczno-polityczną, ludzie po prostu o takie tematy i problemy pytają. Na przykład ktoś na takim spotkaniu opowiada o jakichś kwestiach historycznych albo abstrakcyjnych, filozoficznych, po czym – jeżeli dyskusja się rozgrzeje – ludzie domagają się, by skomentował bieżące sprawy, zjawiska i by pomógł im zrozumieć bieżącą sytuację.

Wydaje mi się, ale nie mam pewności, czy tak jest, że ten wymiar społeczny jest szczególnie ważny na uniwersytetach, które same siebie określają często jako „peryferyjne” czy „na rubieżach”. Bo tam ten kontekst uniwersytecki zwykle nie ma konkurencji chociażby w postaci dużych mediów. Jeżeli umownie porównamy Białystok i Warszawę, Szczecin i Warszawę, czyli takie uniwersytety, które w kontekście swojego miasta są silniejsze niż w przypadku stolicy (gdzie jest dużo więcej uczelni niż tylko Uniwersytet Warszawski oraz wiele innych dużych instytucji kultury), to okazuje się, że w tych różnych miejscach ta praca wspólnototwórcza, kulturotwórcza, nieustannie podejmowana i wznawiana, jest bardzo ważna.

Interesują mnie głównie dwa obszary: popkultura i kwestie naukowawcze. Chociaż tak naprawdę jest ich więcej, chodzi o zainteresowania teoretyczne,

a dokładniej filozofię współczesną i współczesną teorię kultury. I chyba nawet dodałbym jeszcze teorię społeczną. Jako pierwszy kierunek studiowałem socjologię, więc te teorie socjologiczne gdzieś mi zostały. Próbując to ująć biograficznie i historycznie zarazem (choć nie wiem, czy to jest dobry klucz), zastanawiałem się nad tym, czy moje zainteresowania nie wynikają z tego, że w czasie moich studiów (i pewnie gdzieś krótko po studiach) wciąż jeszcze toczyły się intensywne dyskusje wokół ponowoczesności, postmoderny.

Kiedyś, w czasie moich studiów, przyjechał do nas Zygmunt Bauman. Profesor Lech Witkowski zaprosił go na Wykłady Kopernikańskie. Mam wrażenie, że kiedy toczyły się dyskusje o ponowoczesności, jedna kwestia wybijała się na pierwszy plan – pytanie o to, jak zrozumieć współczesność. I mam wrażenie, że ta problematyka, z którą się wtedy wszyscy spotykaliśmy, trochę mi została w formie pytań. Tym bardziej, że od czasów kryzysu gospodarczego lat 2007–2008, a potem pandemii, napaści na Ukrainę oraz różnych innych procesów i wydarzeń (jak narastający kryzys klimatyczny) cały czas chyba zadajemy sobie pytanie, jak zrozumieć to, co się dzieje, jak to postrzegać, czego powinniśmy się spodziewać i tak dalej.

Czytałem takie analizy, które wykazywały, że kiedy Polska weszła najpierw w stan kryzysu, a później transformacji ustrojowej, to nauka dramatycznie zbiedniała, co przełożyło się na to, że z racji braku pieniędzy na badania (mniej lub bardziej) wszystkie nauki społeczne i humanistyczne w tym czasie stały się bardziej teoretyczne, a mniej empiryczne. Więc być może to była konieczność – której oczywiście jako młody człowiek nie rozpoznawałem jako konieczności, a jako coś naturalnego – że czytaliśmy teksty i robiliśmy analizy teoretyczne, a mało ćwiczyliśmy empirii. Chociaż oczywiście były praktyki i trzeba było na przykład pobiegać z ankietami czy je pokodować. Były takie historie, ale myślę, że mniej niż teraz. Czy to źle? I tak, i nie, ale mogę zrozumieć, dlaczego komuś może to przeszkadzać. Znam osoby, które robią fajne badania i nie mają ochoty na to, żeby je teoretycznie bardzo „zanurzać”, i to jest okej. Natomiast wydaje mi się, że przez tamto nasycenie teoretyczne właśnie ta część teoretyczna jest dla mnie ciekawsza.

W każdej nauce są rzeczy ciekawsze i mniej ciekawe. Kiedy się studiuje cokolwiek, jakikolwiek przedmiot, to znajdzie się i coś nudnego, i coś fajnego. Ale

pośród tych nudnych będą też takie rzeczy, które są żmudne i uciążliwe, ale ważne. Ja w czasie studiów socjologicznych nabawiłem się alergii wobec prac, które wykorzystują narzędzia na przykład statystyczne, robią tabelki i różne wykresy, po czym opowiadają jakieś straszne banały; takie banały, które gdyby ktoś wymyślił, siedząc przy kawie, to nawet mu się nie chciałoby potem tego dalej „mieć”, tylko szukałby czegoś ciekawszego.

Pewne podejścia do badania nauki nie były dla mnie interesujące. Często podejścia, które łatwo przekładały się na jakieś zalecenia dotyczące tego, jak robić politykę naukową, wydawały mi się mało ciekawe. Ale studia nad nauką i technologią, które rozwijały się bardzo intensywnie od lat siedemdziesiątych, przyniosły interesujący naddatek, dużo bardziej złożonego zaplecza teoretycznego. Właśnie w latach siedemdziesiątych, później osiemdziesiątych, pojawił się cały szereg interesujących badań, które pokazywały, jak ciekawe teoretyczne ujęcia można zamieniać na jeszcze ciekawsze badania empiryczne. W dużym stopniu to były badania etnograficzne, wymagające długotrwałego prowadzenia obserwacji w jakimś konkretnym miejscu.

Istnieją dwa główne obszary tego, co ostatnio robię naukowo, ale też popularyzatorsko. To jest z jednej strony obszar związany z naukoznawstwem, jak to po polsku się zwykło nazywać, a także w szerszym kontekście ze studiami nad nauką i techniką. Należę w tej chwili do większej grupy osób, realizujących projekt o nazwie Społeczne Obiegi Wiedzy Akademickiej, w skrócie SOWA. W ramach SOWY prowadzimy badania, w których próbujemy dowiedzieć się, co i jak się dzieje, kiedy akademicy i akademiczki wychodzą poza akademię, by robić rzeczy częściowo akademickie, częściowo nieakademickie (czasami się nazywa to „popularyzacją wiedzy naukowej”, ale faktyczne działanie jest dużo szersze). SOWA skupia się obecnie na kwestiach związanych z tzw. kryterium wpływu społecznego, humanistyką i tym, jak humanistyka działa społecznie. Skończyłem też niedawno pracę nad książką, której tytuł brzmi: *Co robi humanistyka?*.

Drugi obszar to kultura popularna. To jest coś, co (w kontekście tego, jak dyscypliny naukowe są rozrysowywane) zawsze odciągało mnie od filozofii, ale co, jak się okazuje, jest interesujące dla osób, dla których prowadzimy zajęcia. Zwłaszcza ciekawi mnie problem, jak kultura popularna w czasie historycznym,

w czasie PRL-u, była związana z nowoczesnością i z projektami modernizacyjnymi. To jest cały wachlarz różnych zjawisk i rzeczy z czasów PRL-u, które dziś czasami się określa mianem „kultowych”. Mam wrażenie, że już jest dobry moment, żeby je zreinterpretować. Zreinterpretować w tym sensie, żeby wyciągnąć je spod mityzacji politycznej – że zła komuna zrobiła propagandowych *Czterech Pancernych* albo propagandowego Klossa, albo że Papcio Chmiel, kiedy rysował pierwsze *Tytusy*, musiał się podporządkować pewnym propagandowym wymogom. Owszem, podporządkował się, ale w bardzo przewrotny sposób. Chodzi o to, żeby wyciągnąć te zjawiska z takich prostych, redukcyjnych ujęć i pokazać, jak dużo znaczeń się w nich kryje. Mówiąc hasłowo, interesuje mnie coś, co można przedstawić jako tezę, że kultura popularna PRL-u nie jest kulturą popularną należącą do PRL-u, tylko z czasów PRL-u: jak choćby ci wszyscy twórcy musieli tam sobie radzić. Niektórzy w sposób bardziej zabawny, jak Bareja czy wspomniany Papcio Chmiel, a inni w jakiś inny sposób.

Badanie kultury popularnej jest moim zdaniem bardzo skomplikowaną, złożoną sprawą, jeżeli ulokuje się ją w szerszym kontekście. Bo z jednej strony można wskazać na to, że żyjemy w świecie, w którym podstawowy tryb jego doświadczenia jest mediowany przez kulturę popularną. Nie żyjemy w średniowieczu, nie jesteśmy w tej chwili chłopami pańszczyźnianymi albo szlachtą czy arystokracją, zatem nasz stosunek do świata nie jest mediowany przez takie formy kultury, ale właśnie przez kulturę popularną. Nasze wejście w świat dokonuje się dzisiaj poprzez zetknięcie się z serialami, z komiksami, z grami cyfrowymi w różnych postaciach, z reklamami – ze wszystkim tym, co nas non stop bombarduje.

Więc badanie kultury popularnej to badanie tego, jak bezpośrednio doświadczamy świata. I to można oczywiście sobie strywalizować, ująć prościej. Na przykład znaczy badać techniki komunikacyjne i sposób, w jaki na nas wpływają, jak próbują zachęcić do tego, żebyśmy coś zrobili czy zakupili. Ale można też wejść głębiej. Co to znaczy? To, na co wskazuje Slavoj Žižek, mówiąc o filmach (ale można to rozszerzyć na kulturę popularną w ogóle), jest ciekawe). Filmy dostarczają nam podstawowych fantazji, które wyobrażeniowo lokują nas w świecie jako działające w nim podmioty. Nasze wejście czy obecność w kulturze współczesnej zachodzi w dużym stopniu przez kulturę popularną; to właśnie śnione przez nią fantazje nas współtworzą. Więc trzeba to wszystko badać.

Z innej strony patrząc, schematy komunikacyjne czy schematy sposobów doświadczania świata w kulturze popularnej są poznawczo ciekawe. Co się dzieje, kiedy oglądamy po raz kolejny film, co do którego mamy podejrzenie, że właściwie widzieliśmy tę samą opowieść już trzydzieści razy, sześćset razy? Różne nauki humanistyczne niesłuchanie rozwinęły tego rodzaju analizy.

Wydaje mi się, że kultura popularna jest interesująca jako zbiorowy mechanizm refleksji, wyobrażania sobie i przemyśliwania różnych rzeczy przez kulturę w danym momencie. Wiem, że to brzmi bardzo ogólnikowo, więc podam od razu przykład. Coś, co mnie ostatnio interesowało (nawet robiłem o tym luźniejsze, około świąteczno-noworoczne zajęcia), to jak wyglądają wyobrażenia przyszłości w fantastyce, czyli w pewnym wycinku kultury popularnej. Nasza zbiorowa wyobraźnia ogniskuje się w jednostkach, które pragną napisać książkę albo stworzyć serial o przyszłości. Co oni nam wtedy opowiadają? To jest interesujące, kiedy zaczniemy się nad tym zastanawiać i następnie zrobimy sobie bilans książek i filmów, które znamy. Kiedy i jakie opowieści sobie przedstawiliśmy? Na przykład do jakiego momentu opowiadaliśmy sobie o tym, że niedługo będziemy latać w kosmos, a kiedy nam się to znudziło albo uznaliśmy, że to jest niemożliwe lub bez sensu?

Albo kiedy sobie opowiadaliśmy, że będziemy fruwać w cyberprzestrzeni, przemierzając ją jak Neo w *Matrixie*? W którym momencie uznaliśmy, że to jednak nie tak, jak nam się zdawało? Albo kiedy sobie opowiadaliśmy, że stworzymy roboty, które wywołają globalną wojnę i nas wymordują? Czy w to jeszcze wierzymy czy nie wierzymy i w jaki sposób (nie) wierzymy? Bądź też jak wyobrażamy sobie przyszłość i dlaczego dzisiaj dominują raczej wyobrażenia w ponurych barwach? Jakie elementy wyobrażeńiowe, z wyobraźni masowej czy publicznej, nie chcą do siebie dopasować? W efekcie czego nie pojawiają się wizje optymistyczne, a głównie lub jedynie powstają pesymistyczne? Raczej opowieści postapo, a nie opowieści solarpunkowe – że będzie fajnie, opanujemy energię słoneczną, nie będziemy zatruwać świata różnymi odpadami i w ogóle będzie super. Ich jest mało. Co takiego w naszym myśleniu o świecie istnieje, że pewne z tych elementów wciąż chcą się nam pojawiać, a inne nie? Chcą się do siebie dopasować i połączyć bądź nie?

Kultura popularna ma to do siebie, że ma w nas wywołać odczuwanie przyjemności na rozmaite sposoby. Nawet wtedy, gdy się smucimy i płacemy, bo bohaterka czy bohater umarł. Doświadczanie przyjemności to cecha

charakterystyczna kultury popularnej. Można tu oczywiście wytykać, że badaczki i badacze badający kulturę popularną często zajmują się po prostu swoimi ulubionymi zjawiskami – piszą o swoim ulubionym serialu albo swoim ulubionym komiksie. Jednakże można też zrobić przeskok na metapoziom i zapytać: no dobrze, ale jakie są sposoby doświadczania przyjemności? Dlaczego i kiedy jej doświadczamy?

Wspominałem parę razy o interpretacji filmów, bo uczestniczę w cyklicznych spotkaniach, współorganizując je od kilku lat w Kinie Centrum, Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu. I tam raz w miesiącu prezentujemy filmy, które właśnie wchodzą do kin. Mam takie poczucie, że w wyniku dyskusji po filmach przynajmniej czasami udaje się zarówno nam, prowadzącym, jak i przybyłej publiczności lepiej poukładać w głowie odbiór filmu oraz zrozumienie nie tylko filmu, ale także zjawisk, których on dotyczy.

Ostatnio na przykład w tym cyklu wyświetlaliśmy *Dziewczynę z igłą*. Bardzo ciekawy film, ale też bardzo ponury. Nie dla każdego, bo oddziałuje on mocno. Wydaje mi się, że było wyraźnie widać, jak części z osób na sali (a mieliśmy salę wypełnioną po brzegi, wszystkie miejsca zajęte) zaraz po filmie nie chciało się rozmawiać, tacy byli nim przytłoczeni. Dopiero wraz z dyskusją zaczęliśmy się rozkręcać i sobie to wszystko układać, wychodząc też oczywiście poza film, bo zjawiska, których dotyczy, siłą rzeczy zmuszały do tego, żeby zastanawiać się też nad tym, o czym on opowiada.

Mamy szereg odpowiedzi, których uczymy się na studiach, mówiących, czym różni się wiedza naukowa od wiedzy pozanaukowej. One wszystkie są mniej lub bardziej problematyczne. Oczywiście wiemy, że możemy podać na przykład kryterium demarkacji Karla Poppera, po czym wskażemy, że przecież psychoanaliza go nie spełnia. I wtedy część osób powie, że psychoanaliza nie będzie nauką, a jakaś inna część powie, że jednak jest. Każde kryterium będzie problematyczne.

Jest pewna lekcja, którą można by wynieść ze studiów nad nauką, z kilkudziesięciu lat ich rozwoju, a także z naszych badań w ramach SOWY. Ta lekcja mogłaby być taka, że mówienie o wiedzy mimo rozmaitych argumentów krytycznych wobec tradycyjnego jej rozumienia, nie musi być niczym złym – że do pewnego stopnia mówienie o wiedzy z różnych powodów nam się przydaje

(tak jak ją sobie mniej lub bardziej potocznie wyobrażamy, ale też tak, jak mówimy o niej w metodologii nauki, sięgając do różnych narzędzi teoretycznych). Jednak okazuje się, że dużo ważniejsze byłoby myślenie nie w kategoriach wiedzy, ale procesów związanych z wiedzą. W notatkach zapisywałem to jako „wiedzowanie”. To jest językowo niepoprawne, ale chodzi o złożone procesy, w wyniku których gdzieś tam w jakimś momencie rzeczywiście wytwarza się wiedza, polegająca na tym, że wyłania się taka i taka teza, którą można nawet sformułować i pokazać. Ale kluczowy jest cały proces Krążenia, zmian, budowania, przekształcania i zrywania relacji. Czyli raczej „wiedzowanie” jako proces, a nie „wiedza” jako coś, jakieś gotowe dobro.

Gdy ruszamy poza mury akademii, wcale nie zachodzi taki prosty proces, że wychodzimy z gotową wiedzą na zewnątrz. Wychodzimy przede wszystkim z pewnymi narzędziami. Na przykład, na zajęciach z kultury popularnej uczę bardzo szeroko znanego schematu ścieżki bohatera. Wraz z grupą ćwiczymy analizę filmów za pomocą tego schematu. Idę później na spotkanie, w ramach którego pokazujemy nowy film i robimy analizę z publicznością. Wiadomo, że ja nie będę ich nagle w trakcie spotkania uczył tej koncepcji i narzędzia analitycznego oraz że oni nie muszą tego znać. Może się jednak okazać, że w toku rozmowy o wspólnie obejrzanym filmie – co kto wychwycił, na co zwrócił uwagę – usłyszę, że osoby które właśnie go ze mną analizują, spontanicznie rozpoznają jakieś etapy ścieżki bohatera, nie znając samej koncepcji jako takiej. Wtedy ja muszę błyskawicznie dostosować to, o czym rozmawiamy, do faktu, że ja z kolei rozpoznaję ten schemat. I jednocześnie zastanawiać się, czy ci, którzy o tym mówią, chcą to pociągnąć w tę stronę czy nie. Czy chcą zwrócić uwagę na to, że rozpoznali pewną strukturę, którą ja nazywam ścieżką bohatera, czy też chodzi o coś innego.

Cały proces nie wygląda tak, że my wytwarzamy na Akademii taką i taką wiedzę lub przejmujemy ją z podręczników, później umieszczamy w tekstach naukowych, a na koniec „zanosimy” odbiorczyńom i odbiorcom w społeczeństwie. Do pewnego stopnia my rzeczywiście to wszystko robimy, to znaczy wykonujemy te czynności. Jednakże wtedy, kiedy idziemy poza Akademię i próbujemy tę wiedzę na żywo gdzieś zastosować, porozmawiać z ludźmi, którzy żyją w świecie kultury i ją konsumują, to dochodzi wtedy pewnego rodzaju zderzenia

ich perspektyw i naszej perspektywy akademickiej. Nie zachodzi więc prosty transfer, a spotkanie, rozmowa, wymiana, z których wyłania się jakiś złożony sposób radzenia sobie w środowisku kultury. To nie jest tak, że powiemy: „ale my wiemy lepiej, bo jesteśmy z Akademii”. Często się okazuje, że wcale nie wiemy lepiej, chociaż wiemy inaczej.

Pod wieloma względami wiedza naukowa jest pewniejsza niż inne formy wiedzy, ale nie pod wszystkimi. Jeśli chodzi o nasze wyobrażenia na temat tego, jak różne rzeczy powinny wyglądać, nauka może nam pomóc, ale nie rozstrzygnie za nas, gdy wartościujemy i staramy się podjąć jakąś decyzję. Nauka ma to do siebie, że stara się wypracowywać rozmaite metody radzenia sobie z dużą ilością danych czy liczbą przypadków, które trzeba objąć i wziąć pod uwagę. To są przeróżne metody. Jedną z tych metod to „ilościówka”, na którą narzekałem, czyli próba statystycznego wyliczenia powtarzalności pewnych zachowań i sprowadzenia ich do formuły, która obejmie je wszystkie. Zawodne? Zawodne, ale z drugiej strony przynosi to jakąś wiedzę statystyczną czy probabilistyczną. Dużo lepszą czy raczej – pewniejszą (bo czy lepszą, to jest inna sprawa) niż nasze potoczne rozpoznania jakichś sytuacji, których dokonujemy z naszego punktu widzenia. Bo hipotetycznie, kiedy zadam to samo pytanie pięciu tysiącom osób, to dostanę pięć tysięcy perspektyw. To jest więcej niż moja pojedyncza perspektywa. I o tyle wiedza naukowa byłaby lepsza, pewniejsza i bardziej wszechstronna od wiedzy potocznej.

Pytanie o funkcję humanistycznej wiedzy naukowej jest pytaniem trudnym. Tych funkcji jest wiele. Na pewno nie sposób ich zredukować do jednej, głównej czy najważniejszej. O części z nich, które moim zdaniem są bardzo ważne – przepraszam za autoreklamę – pisałem w książce *Kulturowe funkcje filozofowania*. Chodzi o tworzenie i oferowanie nam nowych sposobów reinterpretowania świata wtedy, kiedy ten świat albo nasze życie z jakiegoś powodu staje się dla nas problematyczne. Na przykład sytuacja pandemii, która psuje, niszczy nasz dotychczasowy obraz świata. Stwarza ona potrzebę opowieści, która uporządkuje nam świat na nowo. Wytlumaczy dlaczego, co, jak, co powinienem robić, co się dzieje. Wystarczy sobie przypomnieć sam początek pandemii. To był marzec, kiedy po raz pierwszy nie poszliśmy na zajęcia, a dzieci i młodzież nie poszła do szkoły. Do tego czasu, to znaczy do wczesnego roku 2020, wydawało się, że

zatrzymanie wszystkiego, całego pędzącego do przodu świata społecznego, jest niemożliwe. Musimy być w ciągłym ruchu: szkoły, biura, uniwersytety, zakłady pracy – wszystko tam musi chodzić, nie ma absolutnie możliwości, żeby ten cały system stanął. A system stanął, z dnia na dzień. Co prawda na początku łagodnie, że wydawało nam się: „no dobrze, to tydzień, dwa, ale do wakacji to już wrócimy i wszystko będzie okej”. I się okazało, że nie było okej, minęły dwa lata. Więc gdzieś tam w międzyczasie wiele osób, a może nawet wszyscy zaczęli się zastanawiać właśnie nad tym: „ale jak tu studiować i nie chodzić normalnie na zajęcia?” albo: „studiuję, zapisuję się na studia, ale wiem, że wszystko będzie online, więc może pójdę na inne studia, niż chciałam wcześniej”.

Chodzi mi o takie właśnie sytuacje. Oczywiście te rozerwania naszego życia czy obrazu świata, jaki posiadamy, możemy negocjować. Możemy negocjować, jak je zrozumieć i uporządkować – może używając literatury pięknej albo seriali? Ale nauka przynosi nam coś więcej i coś odmiennego niż konteksty oferowane nam przez popkulturę. Bo doświadczenie tego pęknięcia świata lub własnego życia jest tak potężne, że musimy mieć dużo różnych sposobów na to, żeby sobie z nim poradzić. W książce argumentowałam, że niektóre takie rozerwania są na tyle duże, iż potrzebujemy większego czy głębszego przebudowania obrazu świata. Musimy zastanowić się na przykład nad tym, co rozumiemy przez swoje życie, przez to, kim jesteśmy, czego chcemy i tak dalej. Tego rodzaju poważne przeinterpretowania są potrzebne. Ja określałam je mianem filozofowania, czyli majsterkowania z podstawowymi elementami naszego obrazu świata. Do tego właśnie może służyć filozofia, nauki humanistyczne czy społeczne – bo kiedy czytamy, już nawet nie tylko ulubioną książkę, ale o ulubionej książce, to wydobywamy z niej metakomentarz, mówiący, że być może komuś przydarzyło się coś bardzo podobnego do tego, co dzieje się ze mną i też musiał lub musiała sobie z tym radzić.

Nauka przyznaje się do swojej niedoskonałości: jest gotowa odwoływać czy rewidować swoje twierdzenia i przekonania. Oczywiście to nie znaczy, że każdy naukowiec i naukowczyni jest chętny i gotowy to robić natychmiast, bo wiemy, że nie. Znane są różne przypadki oszustw, zwłaszcza kiedy w grę wchodziły poważne stawki. Ale nauka jako całość generalnie jest gotowa to robić. Ta świadomość własnej omyłności, jaka cechuje naukę, jest istotna. Na przykład kiedy w czasie pandemii wybuchały różne dyskusje wokół szczepionek, podejścia antynaukowe próbowały wcisnąć naukę do szufladki mówiącej, że

nauka tworzy swoje świętości, ogłaszając, że istnieją różne pewniki, którym teraz rzekomo trzeba się przeciwstawić, bo niektóre okazały się nieprawdziwe. W nauce doskonale wiemy, że w historii szczepień były przypadki mniej lub bardziej problematyczne, niektóre tragiczne. Ale też nauka jest w stanie się do tego przyznać i zaczyna szukać przyczyn, przez które doszło do niepożądanych rzeczy, i wyciągać z nich nową wiedzę. Lepszej, pewniejszej wiedzy nie będziemy mieć. To nie jest tak, że nauka da nam metafizyczną pewność, że nam ogłosi coś, co będzie na 100% pewne. Jednak nauka w zakresach, którymi się zajmuje, oczywiście będzie pewniejszą wiedzą niż alternatywy.

Pytanie o relację między pracą a życiem poza nią w przypadku humanistyki jest bardzo poważne. Czy my kiedyś wychodzimy z pracy, kiedykolwiek? To pewnie jest, przynajmniej częściowo, charakterologiczne. Są osoby, które potrzebują jasnych granic, czyli – do tej godziny przygotowuję zajęcia lub piszę tekst, a potem rzucam to i idę z psem na spacer. Ale ja akurat znajduję się na drugim biegunie i mam wrażenie, że nigdy nie wychodzę z pracy. Nawet jak śpię – w ogóle nigdy. Bo ta „obróbka” myślowa jakiegoś materiału zachodzi zawsze. Wydaje się, że właśnie włączyło się serial i zrobiło się to tylko po to, żeby wszystko z całego dnia „zeszło”, po czym po piętnastu minutach człowiek się zastanawia, gdzie to wpasować na następnych zajęciach.

W prowadzeniu badań część pracy jest manualna – związana z tym, że robi się notatki, czy to podczas czytania, czy podczas pisania... Podobnie slajdy, które dla mnie też są rodzajem notatek. Ale to jest chyba mój spadek filozoficzny, poczucie, że potrzebuję czasu na to, żeby coś przemyśleć. Czasami poukładanie sobie czegoś w głowie jest nawet ważniejsze niż wykonanie tej pracy manualnej, bo wtedy uzyskuje się szerszą panoramę, widać więcej, szerzej.

Dlatego też mówię, że właściwie nie ma momentu wyjścia z pracy. Na przykład kiedy idę na spacer i wiem, że mam pół godziny drogi, to wiem też, że będę układał w głowie zajęcia lub jakieś inne rzeczy albo będę się zastanawiał nad tym, co przeczytałem, i tak dalej.

Tak wyszło, że przez wiele lat pracowałem w Instytucie Filozofii, bo z drugiego wykształcenia jestem filozofem. I w dużym stopniu to jest praca, w której się czyta, pisze, pisze, czyta, ale gdzieś po drodze trzeba też przemyśleć to, co się czyta i pisze. Więc może to całe ciągłe „bycie w pracy” jest spadkiem po filozofii.

Być może, czysto hipotetycznie, gdybym był wdrożony do innego typu pracy, na przykład do socjologicznej ilościówki, to byłbym bardziej przywiązany do myślenia manualnego, do kodowania danych, do zaznaczania sobie różnych rzeczy w wywiadach. Nie wiem, być może tak by było, ale nie mam pewności...

Czas wolny... O, to mi się przypominają odwieczne pytania ze strony rodziny: „czy czytasz coś dla przyjemności czy tylko na zajęcia?”. Czasami można łatwo odpowiedzieć, że czytam właśnie lekturę na zajęcia albo że tego nie robię, ale tak naprawdę do końca się nigdy nie wie. Podam przykład: w miarę regularnie, co roku, uczestniczę w konwentach fantastycznych w Toruniu, w Coperniconie. W tym roku mówiłem między innymi o *Diunie*. Pierwszy raz *Diunę* czytałem w podstawówce, więc trudno powiedzieć, żeby to było do pracy, bo wtedy nie pracowałem – byłem po prostu uczniem podstawówki. Później jeszcze do *Diuny* wracałem. No ale teraz właśnie to pytanie: jak interpretować sytuację, kiedy *Diunę* przygotowuję do tego, żeby o niej opowiedzieć na Coperniconie? To nie jest praca w tym sensie, że nie jestem u siebie na uniwersytecie, ale przygotowuję to wszystko tak jak normalną pracę. A później wykorzystuję elementy tego wystąpienia na przykład na zajęciach, mówiąc o przyszłościach czy o czymś innym. Teraz okazuje się, że być może jedna z prac magisterskich pisanych pod moim kierunkiem również będzie o *Diunie*. Trudno określić, czy to jest „w pracy” czy „poza pracą”.

Marek Jeziński

*DOKUMENTUJEMY TO, CO JEST TU I TERAZ, BO NIKT
INNY ZA NAS TEGO NIE ZROBI | ODC.13*



Nauki – i te humanistyczne, i te społeczne, i ściśle – jak mi się wydaje, cierpią na „chorobę”, którą można by nazwać nadprodukcją treści. Mam na myśli to, że cały czas publikowane są teksty, które czytane są głównie przez recenzentów, osoby związane z czasopiśmem i środowiskiem naukowym oraz być może część znajomych autora lub autorki.

Profesor doktor habilitowany Marek Jeziński

Podróż do Torunia rozpoczęliśmy bladym świtem, wsiadając do pociągu z Wrocławia o godzinie piątej rano.

Po wyjściu z wagonu przywitało nas zimne, wilgotne powietrze i przytłaczająca, gęsta mgła. Lekko zaspani, ale gotowi do pracy, wsiedliśmy do taksówki. Przemknęliśmy przez miasto, podziwiając urok toruńskich ulic, na ile pozwalała mgła.

Załowaliśmy, że nie trafiliśmy tu w cieplejszy, bardziej słoneczny dzień. Kilka minut później naszym oczom ukazała się czerwona cegła budynków Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Przed nami rozciągał się przestronny plac z parkingiem dla rowerów i kilkoma stolikami, które czekały na cieplejsze dni.

Pośrodku stał drogowskaz, który pomógł nam odnaleźć Instytut Badań Informacji i Komunikacji. Wnętrze budynku zrobiło na nas duże wrażenie. Otwarta, monumentalna przestrzeń, a nad nami szklana kopuła, przez którą wpadało poranne światło.

W oczekiwaniu na profesora skierowaliśmy się do automatu po kawę i, minąwszy stół do piłkarzyków, usiedliśmy na wygodnych pufach. W końcu zauważyliśmy profesora Jezińskiego. Zmierzał w naszą stronę z naręczem książek, który właśnie miał oddać do biblioteki.

Przywitał nas z uśmiechem i zaprosił do swojego gabinetu. Przeszliśmy przez wąskie korytarze, aż w końcu znaleźliśmy się w niewielkim, minimalistycznym pomieszczeniu. Białe ściany, proste biurko z komputerem, drewniany, okrągły stół z kilkoma krzesłami i półki pełne książek.

Nad drzwiami wisiły zdjęcia profesorów i profesorek. Na jednej ze ścian mapa Polski, a na drugiej fotografia Torunia. W centrum stołu stała designerska mini choinka, pozostałość po niedawno minionych świętach.

Atmosfera była spokojna i przyjazna, idealna, by zanurzyć się w świat komunikacji społecznej.

Generalnie, muzykę i politykę łączy ich zróżnicowane oddziaływanie społeczne. I to jest główną płaszczyzną, na której obie te sfery będą miały pewien wspólny zakres, a który można ciekawie zagospodarować badawczo. To znaczy: mamy świadomość, że politycy używają dźwięków dla swoich celów i dla nas jako odbiorców jest to coś zupełnie oczywistego. Wszelkiego typu uroczystości i spotkania polityczne mają element dźwiękowy, który zazwyczaj jest przypisany do rytuału politycznego. Sięgając w historię, widać, że każda siła polityczna ma własną dźwiękową instrumentację dla podejmowanych przez siebie działań. Bo to naturalnie nie są tylko kwestie związane z przemówieniami, czyli używaniem mowy, którą przecież słyszymy podczas wystąpień liderów i partyjnych mówców. Chodzi tu o użycie dźwięku takiego jak muzyka, piosenka, podkład instrumentalny, czyli dźwięku, który będzie do pewnego stopnia oddziaływać na emocje, kanalizować je i kierować uwagę odbiorców na zamierzone przez nadawców tory. To sfera, na której politycy bazują, bo właśnie emocje są w polityce walutą najcenniejszą.

W dzisiejszych czasach oczywiście przyjmuje to często strywalizowaną formułę podkładów instrumentalnych czy piosenek wyborczych, jakiegoś typu klipów, które są ilustrowane dźwiękami utrzymanymi w różnorodnych konwencjach. Często są to piosenki niosące przesłanie wyborcze, ale są to również dźwięki instrumentalne, tworzące i podbijające emocje, w tym te tworzące niemuzyczną sferę dźwiękową (jak różne odgłosy ilustracyjne). Ale jednak najważniejsza jest oczywiście muzyka, używana intencjonalnie jako pewne zobrazowanie przekazu, tło na spotkaniach, uroczystościach, a więc jako dźwiękowa ilustracja tego, co dzieje się w politycznym świecie.

Naukowo zajmuję się kilkoma sferami mieszczącymi się w naukach społecznych. Z wykształcenia jestem socjologiem i politologiem. Moja późniejsza kariera naukowa obejmuje również styk pomiędzy naukami o kulturze a naukami o mediach i komunikowaniu. Od dwudziestu lat moich działań w życiu akademickim ten ostatni aspekt jest najważniejszy. Badam bowiem różne sposoby komunikowania się ludzi w kontekstach czy to politycznych, czy to ogólnospołecznych, czy wreszcie artystycznych. To jest właśnie moja ulubiona sfera, ulubiony temat: muzyka i jej społeczne oddziaływanie. Jest ona pokazywana w bardzo różnorodnych kontekstach, jako element oddziaływania politycznego, wyborczego czy jako instrumentacja codziennego życia.

Jest to, jak mi się wydaje, interesująca przestrzeń, która może obejmować wiele zróżnicowanych uwarunkowań. Dlatego że muzyka zawsze jest czymś bardzo mocno zanurzonym w kontekście, bardzo mocno osadzonym w tym, co dzieje się w naszym życiu. I w tym, co nas otacza, czyli w kontekstach społecznych, politycznych, ekonomicznych, w zasadzie wszelkich. A to, co dzieje się w świecie medialnym w ciągu ostatnich piętnastu lat, czyli intensywne zmiany w samych mediach i sposobach komunikacji, bardzo dobitnie pokazuje, że w tej sferze wszystko jest ze sobą sprzężone. Tak jest też w przypadku wycinka komunikowania i mediów, którym ja się zajmuję, a więc komunikacyjnych aspektów użycia dźwięków i muzyki (najczęściej związanych z muzyką popularną) oraz ich odbiorem i funkcjonowaniem w różnych środowiskach społecznych.

Mówiąc o kwestiach artystycznych – po 2010 roku, kiedy sytuacja w Polsce zmieniła się, uznałem, że warto założyć nowy zespół, który będzie odpowiedzialną na to, co rozgrywa się w sferze politycznej kraju. Chodzi o Der

Birken – industrialną grupę cyberpunkową, w której graliśmy na instrumentach wyłącznie elektronicznych, z buntowniczymi tekstami i szybką, intensywną muzyką.

Jako Der Birken graliśmy przez kilka lat. Występowaliśmy przy okazji różnych wydarzeń, ale mieliśmy też samodzielne występy, publikowaliśmy teledyski do naszych piosenek, a na koncertach zawsze wykorzystywaliśmy przygotowane przeze mnie wizualizacje. Ważny był dla nas związany z niezgodą na rzeczywistość aspekt działania, który obrazowany był przez buntownicze teksty. Może trudno to sobie wyobrazić, ale w wieku czterdziestu kilku lat śpiewałem buntownicze punkowe piosenki... Było to dobrym przykładem na to, że można być jednocześnie twórcą, analitykiem i uczestnikiem kultury popularnej, a więc pewnego wycinka sceny muzycznej (ale też w jakimś sensie oddolnej sceny politycznej, bo teksty były silnie nacechowane politycznie). W tym przedsięwzięciu było to połączenie ról aktywnego twórcy kultury, choć może brzmi to może zbyt górnołotnie, i osoby, której towarzyszy pewna krytyczna akademicka refleksja z zakresu humanistyki oraz nauk społecznych. Ta sytuacja na pewno w ciekawy sposób pokazuje, że łączenie ról w tych dwóch obszarach kultury jest nie tylko możliwe, ale też – tak myślę – dosyć interesujące. Tak było przynajmniej dla mnie i taka strategia funkcjonowania towarzyszyła mi życiowo przez dłuższy czas.

Zawsze było tak, że niezależnie od tego, jaką muzykę prezentowałem na scenie, to jednak tożsamość badacza, pracownika uniwersytetu, nauczyciela akademickiego była tożsamością dominującą. Gdy myślałem o swoim miejscu w życiu, pierwszym skojarzeniem oczywiście zawsze był Uniwersytet oraz zadania, które pojawiają się przy okazji pracy naukowo-badawczej i dydaktycznej. To była dla mnie perspektywa dosyć oczywista i jej realizacja przychodziła w naturalny sposób.

Na pewno jest tak, że badając kulturę popularną, a zwłaszcza muzykę popularną, łatwiej jest mi podchodzić do przedmiotu badań, czyli do muzyki, piosenek, wizualizacji (teledysków albo okładek płyt), gdy sam potrafię zrozumieć, w jaki sposób artysta funkcjonuje na scenie albo tworzy muzykę; a więc gdy z praktyki wiem, jak działa proces twórczy, rozumiem, jak wygląda struktura utworu i że nie bierze się ona znikąd. Mając pewien zasób wiedzy z teorii muzyki, ale też z praktycznego grania scenicznego i tworzenia utworów, po prostu słyszę i widzę, jak funkcjonuje przekaz artystyczny. Przykładowo, oglądając koncert,

nie muszę dokładnie słyszeć, co gra gitarzysta, bo wystarczy, że spojrzę na jego ręce, co pozwala mi ocenić, czy to ma sens czy też nie.

Podczas studiów zacząłem próbować muzycznych działań, ale tak się złożyło, że pochłonęły mnie inne artystyczne przedsięwzięcia. Zaangażowałem się bardzo mocno w ruch teatralny – stworzyliśmy wtedy grupę, która zagrała kilka przedstawień. Zaczynałem jako aktor i dramaturg w Postmodernistycznym Teatrze Pneuma razem z kolegami ze studiów (w 1993 roku), a później wraz z moją żoną założyliśmy Teatr Tacuara Nod (1995), który grupował studentów i absolwentów naszego uniwersytetu z filologii polskiej, socjologii i anglistyki. Był to teatr eksperymentalny, w którym działaliśmy przede wszystkim ruchem scenicznym, metaforą, próbą odejścia od tradycyjnej formuły teatru związanej z tekstem na rzecz kreacji zbiorowej i obrazu. Tekst jest oczywiście dla teatru czymś ważnym, podstawowym (tak konstruowaliśmy spektakle w Teatrze Pneuma), ale w Tacuarze Nod szliśmy bardziej w stronę metaforycznego operowania wizualnością i obrazem. Cały czas bardzo ważna była dla nas strona muzyczna – podczas spektakli wykorzystywaliśmy utwory najczęściej niszowych artystów jako ilustracje dźwiękowe; sami też nagrywaliśmy własne ilustracje muzyczne do przedstawień.

A później tak się złożyło, że zaprezentowaliśmy jeden z improwizowanych spektakli opartych na moich wierszach, do których pozostali aktorzy grali na tradycyjnych instrumentach (gitary, flety). Nazywaliśmy to performansem sonicznym, który zasadniczo wytyczył nam drogę do tego, żeby stać się już wyłącznie grupą muzyczną. Po kilku zmianach personalnych, ideowych i artystycznych zaczęliśmy grać muzykę. Graliśmy nadal jako Tacuara Nod – nie zrezygnowaliśmy z nazwy grupy teatralnej i od 1999 roku byliśmy już wyłącznie ekipą muzyczną, która miała kilka faz rozwojowych.

Wykonywaliśmy najpierw piosenki typu „rock dla dorosłych”, czyli utwory instrumentalno-wokalne, których teksty w jakiś sposób komentowały rzeczywistość, również polityczną. To był koniec XX wieku i początek lat dwutysięcznych. Później zaczęliśmy grać muzykę przede wszystkim opartą na elektronice z elementami etnicznymi, czyli wykorzystywaliśmy bardzo różne instrumenty etniczne, takie jak kołatki, bębny, flety, piszczałki, instrumenty dęte, mandoliny czy gwizdki, jak choćby hiszpański ludowy instrument *asubío*. Podczas wizyty w Londynie udało mi się kupić tradycyjny hinduski instrument sitar, którego też używaliśmy w swoich utworach. Oprócz tego była elektronika,

a dokładniej elektryczne gitary z przetwornikami dźwięku, które intensywnie wykorzystywaliśmy na scenie, a do tego syntezatory czy laptopy jako źródła dźwięku. Muzycznie i aranżacyjnie była to bardzo ciekawa zmiana, zwłaszcza jeśli chodzi o ścieżkę rozwoju muzycznego. Mieliśmy też okres, w którym silnie eksperymentowaliśmy z różnymi wydającymi dźwięk przedmiotami o pozamuzycznym rodowodzie. To były zabawki czy przedmioty kuchenne, które stukały, hałasowały lub w jakiś sposób piszczały – chociażby taśma klejąca, reklamówka, która po potarciu wydaje specyficzny dźwięk, czy szklane wieczko od słoika, które daje niesamowity ostry dźwięk, jeśli wrzuci się na nie kilka metalowych, ocierających się o siebie kulek. Do tego piszczące baloniki, zabawkowe piszczałki czy zwykłe hałasujące zabawki, których używały mi moje dzieci. Chyba naszym najbardziej spektakularnym działaniem scenicznym było używanie wiertarek na scenie, tak by dawały różne ciekawe industrialne dźwięki. Jeden z nas wiercił w drewnie, a drugi w cegle lub betonie. To były różne zakresy odgłosów, częstotliwości, hałasu, czyli – tu muszę się uśmiechnąć – mieliśmy partie solowe na dwie wiertarki. Tak jak niektóre zespoły mają dwie gitary w składzie i dwóch gitarzystów solowych wymienia się swoimi partiami, tak my mieliśmy części koncertów, gdzie dwie wiertarki wymieniały się wierceniem solowym.

Dorobiliśmy się z czasem czegoś w rodzaju sekciarskiego, kultowego „followerstwa”, mówiąc dzisiejszym językiem. To znaczy, bardzo często było tak, że moi studenci przychodzili na te koncerty po to, żeby się ze mnie pośmiać i zobaczyć, jak ich wykładowca wygłupia się na scenie. A potem tych samych studentów widziałem na kolejnych koncertach, bo się okazywało, że to jest nie tylko zabawne i niecodzienne widowisko (patrzenie na wykładowcę, jak wierci w drewnie czy betonie), ale też po prostu ciekawa muzyka.

Myśląc o moim funkcjonowaniu w kontekstach zawodowych i prywatnych oraz sposobie, w jaki są one połączone, sądzę, że trudno jest oddzielić te dwie sfery. Struktura i natura pracy uniwersyteckiej związanej z humanistyką i naukami społecznymi ma to do siebie, że obserwując, co się dzieje wkoło i w mediach, podchwytyjemy (a przynajmniej ja staram się to robić) różnego typu wątki, które zwyczajnie przydają się do pracy, choćby w dydaktyce. Słuchając piosenki podczas jazdy samochodem czy w miejscach publicznych, myślę sobie o tym, jak ta piosenka jest skonstruowana, jaką ma rytmikę i dlaczego artyści

wybrali te, a nie inne rozwiązania strukturalne; podobnie jest z teledyskami, które oglądam. Wynika to z tego, że sfera prywatna i sfera zawodowa w zupełnie naturalny sposób się łączą, mieszają, często są po prostu nierozdzielne. Praca naukowa, w moim przypadku, jest głównie wykonywana w samotności, to znaczy najczęściej w domu i o różnych porach, bowiem charakter pracy badawczej, którą uprawiam, nie wymaga przychodzenia na ósmą i wychodzenia po ośmiu godzinach. Potrzebna jest chwila skupienia, namysł, czyli coś, co w budynku uniwersyteckim, gdzie cały czas odbywa się dydaktyka, a na korytarzu jest ruch, bywa zwyczajnie utrudnione.

Zmiany technologiczne, które zachodzą od kilku ostatnich lat w naszym świecie, są dla mnie źródłem nie tylko niepokoju (te kwestie są szeroko poddawane dyskusji w świecie naukowym i w mediach), ale też sposobem na ułatwienie pracy w warunkach codzienności. Dla przykładu, często jest tak, że wykorzystuję telefon jako notatnik do pomysłów w pracy badawczej – podczas spaceru, na ulicy, czekając w kolejce, podczas podróży czy też w przerwach między zajęciami. Zwyczajnie bywa tak, że gdy przychodzą mi do głowy pomysły na interpretacje czy nowe prace (czy to artykuł, czy to rozdział do książki), zaczynam notować na klawiaturze. I to jest wielkie ułatwienie w pracy: nie muszę mieć komputera czy notatnika ręcznego, tylko za pomocą nowoczesnej elektroniki udaje mi się na bieżąco zapisywać pomysły, które potem wykorzystuję.

To jest takie rozwiązanie, które w dobry sposób ułatwia pracę, przynajmniej na odcinku związanym z badaniami naukowymi. Ale to też sprawdza się przy szukaniu pomysłów na zajęcia, bo jeśli gdzieś w przestrzeni publicznej usłyszałem piosenkę czy zobaczyłem jakąś okładkę tygodnika, gazety lub płyty albo plakat, to może się tak zdarzyć, że wykorzystam je w dydaktyce, bo będą ciekawymi ilustracjami do zajęć. Wtedy oczywiście fotografuję albo zapisuję sobie odpowiednie dane i tytuły. Mając tego typu nowoczesne urządzenia w kieszeni, zwyczajnie łatwiej się pracuje.

Niemniej jednak najpoważniejszą część pracy wykonuję stacjonarnie. Działam zazwyczaj w domu przy komputerze, żeby łatwo można było sprawdzić różne źródła, czasopisma, sięgnąć na półkę z książkami, która jest w pobliżu, czy też wejść do którejś z bibliotek wirtualnych. Ten stacjonarny tryb pracy jest dosyć wygodny i właściwie dominujący, jeśli o mnie chodzi. Ale ponieważ jest to w domu, trudno mówić o typowym rozdzieleniu sfery domowej i sfery pracy badawczej. Oczywiście nie jest tak, że pracuję przez cały czas – to zawsze fazy

pracy i aktywności związane z rytmem dnia, tygodnia, miesiąca, kalendarza oraz obowiązkami rodzinnymi.

Dodatkowym aspektem jest to, że moja małżonka również jest profesorem na uniwersytecie, na anglistyce, w związku z czym aspekt związany z „uniwersyteckością” jako pewną ideą przekłada się na to, co robimy i w domu. Nasze rozmowy są bardzo często poświęcone problemom, które mamy w pracy, ale też radościom, które praca nam daje. W związku z tym, można powiedzieć, że jest to doświadczenie czegoś w rodzaju nierozzerwalnego związku pomiędzy typem wykonywanej pracy i sferą prywatną.

Muszę przyznać, że pytanie o to, czy humanistyka ma sens, nie jest kwestią bezsporną i możliwą do jednoznacznego zinterpretowania. Dla mnie, jako badacza i „użytkownika” kultury, humanistyka ma sens – choćby dlatego, że pochodzę z takiego, a nie innego środowiska, obracam się w takim, a nie innym otoczeniu, w którym elementy związane z funkcjonowaniem kultury i krytycznym czy analitycznym podejściem do zjawisk kulturowych mają oczywisty sens. Natomiast odpowiedź na pytanie o szerszą rolę humanistyki i nauk społecznych w społeczeństwie, w życiu ludzkości i, generalnie rzecz biorąc, w całej perspektywie związanej ze sposobem naszego funkcjonowania w zasadzie nie może być jednoznaczna, jeśli mowa o społecznym oddziaływaniu efektów rozważań badawczych i ich miejscu w codzienności. Co ważne, nauki – i te humanistyczne, i te społeczne, i ściśle – jak mi się wydaje, cierpią na „chorobę”, którą można by nazwać nadprodukcją treści. Mam na myśli to, że cały czas publikowane są teksty, które czytane są głównie przez recenzentów, osoby związane z czasopiśmem i środowiskiem naukowym oraz być może część znajomych autora lub autorki. Miliony takich tekstów jest publikowanych corocznie w tysiącach czasopiśm naukowych, które obejmują badania każdej dyscypliny i, szerzej, dziedziny naukowej.

Badacz właściwie czuje się bezradny wobec takiego ogromu. A w rezultacie, często bardzo trudno jest dotrzeć do jakiegoś tekstu, który byłby wartościowy. Mimo że mamy setki, tysiące tekstów pod ręką, oddalonych dosłownie o trzy kliknięcia myszką, często jest tak, że nie mamy krytycznych filtrów, które skutecznie pomogłyby nam wykorzystać to, co naprawdę wartościowe, co może dotyczyć szczególnie młodą generację badaczy. I ten właśnie aspekt związany z nadprodukcją badawczą jest czymś, co osobiście muszę uznać za nie do końca pozytywny wymiar współczesnej działalności naukowej.

A drugą sprawą jest to, że te teksty naukowe będą żyć przez krótki czas. Tekst sprzed kilkunastu lat może budzić nasze zastrzeżenia co do możliwości wykorzystania go w aktualnych badaniach, bo powstawał – z punktu widzenia nauk o komunikowaniu i mediach – w zupełnie innym świecie, w którym na pewno inny wymiar miały media. A pięćdziesiąt lat to w ogóle jest coś, czego perspektywa dzisiejszego zwykłego użytkownika kultury już nie obejmuje, co dotyczy także kontekstu naukowego. Wydaje mi się, że jest to dość zwodnicza strategia – uleganie temu, co jest modne, co jest nowością, poddawanie się nadprodukcji. I może się okazać, że sięganie do starszych tekstów jest we współczesnych realiach naukowych (recenzowanie i ocenianie tekstów, powoływanie się na starsze badania) czymś wręcz ryzykownym. Ten kult nowości, o którym mówię, jest dla mnie bardzo niepokojący. Tego typu zagrożenia przed humanistyką uważam za istotne z dzisiejszej perspektywy, chociaż mam świadomość, że badanie nowych, współczesnych aspektów funkcjonowania rzeczywistości jest bardzo potrzebne. To aspekt działania akademickiego, który trzeba koniecznie podkreślić i docenić. Owa aktualność to, jak mi się wydaje, duża siła nauk społecznych i humanistycznych. Staramy się dokumentować to, co jest tu i teraz, bo mamy świadomość, że nikt inny za nas tego nie robi – a to w perspektywie długofalowej i trwania społecznego (a przy tym trwania akademii) jest bardzo ważną funkcją spełnianą przez nauki społeczne i humanistyczne.

To jest poważny problem, który widzę przy okazji prowadzonych przez mnie badań, czyli teraźniejszość polskiej muzyki rozrywkowej oraz jej historia – brak tu naprawdę syntetycznych opracowań naukowych okresów wcześniejszych niż lata osiemdziesiąte XX wieku. Ta właśnie dekada jawi się jako erupcja polskiej muzyki rozrywkowej, która decyduje o jej medialnym obrazie i tym, jak postrzegamy ją całościowo, gdy mówimy o polskiej kulturze popularnej XX wieku. Natomiast wcześniejsze dekady zwyczajnie się nie pojawiają lub istnieją bardzo rzadko. Historycy, muzykolodzy, socjolodzy nie do końca zdają sobie sprawę z tego, że ten świat sprzed kilkudziesięciu lat, którego świadkowie w zasadzie już przestają funkcjonować, był tak bardzo interesujący, tak bardzo skomplikowany, złożony i podatny na wpływy społeczne, polityczne. Tutaj można byłoby wskazać mnóstwo różnych tropów, bo muzyka popularna nie zaczęła się od występu Izabeli Trojanowskiej oraz Maanam na opolskim festiwalu w 1980 roku. I warto na to zwrócić uwagę, sięgając do wcześniejszej twórczości różnych artystów, którzy w tamtych dekadach mieli okazję grać i śpiewać, nawet jeśli nie zawsze były to literacko wartościowe teksty.

Kiedy mam zupełnie dość akademii i chcę się zrelaksować, staram się nie myśleć o tym, co mam do zrobienia, czy to naukowego, czy administracyjnego. Zdarza mi się (choć nie zawsze), że nie zabieram komputera na wakacje i wtedy nie pracuję. Staram się nie odpowiadać na maile, bo zawsze zajmuje to dużo czasu, a posiadając funkcję administracyjną na uniwersytecie, muszę poświęcać korespondencji i pracy administracyjnej odpowiednią ilość uwagi. Ten wymiar mojego funkcjonowania jest zespolony z funkcjonowaniem kilkudziesięciu osób, w związku z czym niemalże cały czas muszę poświęcać uwagę kwestiom administracyjnym.

Jednak tak jak wspomniałem – zdarzają się takie sytuacje, kiedy podczas wakacji na kilka dni czy na dwa tygodnie nie zabieram ze sobą urządzeń do pracy i wtedy mogę postawić na odpoczynek, który daje poczucie może nie wolności, ale na pewno większej swobody. A może tylko ułudę, że mam jakiś wpływ na kształtowanie rzeczywistości.

Arkadiusz Bagłajewski

*MOJE PISANIE O DAWNYCH TWÓRCACH TRAFI
DO GARSTKI OSÓB, NIE MAM TU ŻADNYCH ZŁUDZEŃ |
ODC. 14*



Współczesna obecność romantyzmu to także obecność zaskakująca i niechciana: mesjanizmu romantycznego, który z dużą regularnością powraca, tak jak wrócił po katastrofie smoleńskiej. Można ignorować taką formę obecności romantyzmu, ale ona nam mówi coś istotnego o części społeczeństwa, które rozpoznaje się w anachronicznym – i symbolicznym – języku wspólnotowym. Mentalne klisze, owszem, ale też jakaś potrzeba użycia języka zrozumiałego wobec traumatycznego doświadczenia, które wyznaczyło linię podziału społeczno-politycznego.

Profesor doktor habilitowany Arkadiusz Bagłajewski

Po drodze mijaliśmy różne budynki akademickie, aż w końcu dotarliśmy do przeszklonego gmachu Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Poszukiwanie gabinetu profesora trwało dłużej, niż się spodziewaliśmy, ale dzięki temu mieliśmy okazję trochę zwiedzić uczelnię. Naszą uwagę przyciągnęła jedna ze ścian, w której powstało podłużne pęknięcie. Studenci zakleili je dziesiątkami kolorowych plastrów, dzięki czemu stworzyli artystyczną instalację.

W końcu dotarliśmy pod właściwy gabinet, co potwierdzała tabliczka informująca, że znajduje się tu biuro kierownika katedry. Pomieszczenie było pełne książek. Wzdłuż jednej ze ścian stał okazały regał, wypełniony nie tylko standardowymi publikacjami, ale też kolekcjonerskimi, trudno dostępnymi wydaniem literackich dzieł.

Książki zajmowały niemal każdą wolną przestrzeń w pomieszczeniu, natomiast na biurku leżał egzemplarz miesięcznika „Nowe Książki”, którego profesor był bohaterem. Usiedliśmy przy dużym drewnianym stole. Profesor postawił przed nami dwa talerze pełne ciastek i cukierków, a potem od razu rozpoczął rozmowę opowiadaniem o swojej codzienności.

Śluchaliśmy go z zainteresowaniem, czując się nie tylko mile widziani, ale też szczerze zaciekawieni. W końcu włączyliśmy nagrywanie, żeby inni także mogli tego doświadczyć.

Myślę, że musimy się nauczyć funkcjonować w sytuacji, w którą jest wpisane poczucie pewnej niemożności i klęski, wynikającej z coraz większej liczby piszących i niestety słabnącego odzewu wśród osób czytających. To może rodzić frustrację i poczucie nieprzydatności na współczesnym rynku literackim. Z kolei osoby czytające mają poczucie nadmiaru literatury, której nie są w stanie przeczytać nawet przy dobrych chęciach. Prowadzę warsztaty literackie od prawie trzydziestu lat w Centrum Kultury w Lublinie, gdzie wśród uczestników są osoby, które wydały tomiki, mają w dorobku książki prozatorskie – często są to nazwiska funkcjonujące w obiegu ogólnopolskim.

Są też osoby, które wyjechały z Lublina i pracują, często kontynuując działalność literacką. Ale po pewnym czasie to źródło literackie wysycha. Jak słyść – nie da się pisać bez odzewu, bez czytelników, spotkań autorskich. A to codzienność wielu piszących i publikujących osób.

Nie chcę tutaj sięgać po analogię historyczno-literacką do Norwida, ale coś jest na rzeczy. Nawet bym tę analogię wyostrzył. Norwid pisał, ale miał to szczęście, że jednak był w epoce znany, choć nie tak, jak by sobie życzył, bo

w wąskich kręgach odbiorców (stereotyp historyczno-literacki samotności Norwida). Niemniej jednak został odkryty ponownie i odczytany kilkadziesiąt lat później. Dzisiaj pisarki i pisarze mogą być w sytuacji Norwida, ale nie trafić na swojego Miriama czy innych późniejszych wyznawców. Natomiast, jeśli ktoś uważa, że musi pisać, że chce pisać, to dlaczego ma tego nie robić?

Jednak osoby piszące powinny wiedzieć, że to może być doświadczenie bardzo frustrujące. To może być doświadczenie traumatyczne. Zdaniem krytyki obserwujemy dzisiaj zwrot traumatyczny w literaturze najnowszej – wzmocniła to pandemia, kryzys klimatyczny i inne zjawiska współczesności. Może więc to dzisiejsze doświadczenie traumy będzie mechanizmem, który zdefiniuje literaturę w inny sposób, niż my ją dzisiaj definiujemy – zamknęci z jednej strony w klin-czu gatunków popularnych, a z drugiej strony w myśleniu o jakimś arcydziele współczesności. Może więc zwrot traumatyczny powie coś istotnego o nas samych jako wspólnocie piszących i czytających w subtelnych językach literatury?

Literatura dysponuje bowiem językiem subtelnym, za pomocą którego jesteśmy w stanie wejść w świat myślenia, emocji i marzeń ludzi – bardzo różnych. I choć są to ludzie nieprawdziwi (jak to postacie fikcyjne), to jednak z tej sumy wymyślonych ludzi i sytuacji, w których się znaleźli, tworzy się pewna ogólniejsza diagnoza humanistyczno-społeczna. Taka diagnoza, jak sądzę, powinna być przedmiotem jakiejś ogólniejszej debaty, jakiegoś wysłuchania chociażby przez polityczki i polityków, którzy nie chcą dostrzegać tych zmian społecznych i mentalnych, które według odpowiedzi literatury dotyczą głębiej ukrytych źródeł lęków i prągnięć zbiorowości.

To jest moment dla humanisty jednak bolesny, bo pewne rozpoznania jednostkowe i zbiorowe już zostały sformułowane w języku literatury, literatura je zapisała, krytyka literacka przełożyła na inny dyskurs, a my nie chcemy albo nie potrafimy z tego skorzystać. Literatura stała się hobby małych grup, a to jest przecież istotny element diagnozy społecznej.

Zaczynałem swoją przygodę badawczą pod koniec lat osiemdziesiątych. Wówczas to był czas o tyle ciekawy (w sensie formacyjnym), że w polskim literaturoznawstwie panował strukturalizm, który przekształcał się w poststrukturalizm.

Bardzo ciekawe i inspirujące dla moich początków zawodowych były prace o intertekstualności, które pięknie rozwijały się na gruncie polskim, korzystając z inspiracji głównie francuskich i niemieckich.

Mój początek był właśnie takim początkiem, który był zdeterminowany przez późny strukturalizm, w typie badań intertekstualnych w odniesieniu do literatury romantycznej i współczesnej, a równocześnie mocno osadzony w badaniach filologicznych. Teorie intertekstualne bardzo dobrze sprawdziły się w badaniach nad literaturą romantyzmu krajowego. Twórcy „mniejsi” byli bardzo głęboko zanurzeni w intertekstach romantyzmu wieszczów, zwłaszcza w odmianie tyrtejskiej. Analizując utwory na przykład Ujejskiego, Pola, Romanowskiego, można było uświadomić sobie, jak działał wielki romantyzm i jak go przerabiano. Dostosowywano utwory Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego do nowych sytuacji politycznych w życiu zbiorowości.

Później zająłem się literaturą emigracyjną. Szczególnie interesowało mnie zjawisko współczesnej aktualizacji dzieł takich twórców jak Gustaw Herling-Grudziński, Józef Czapski, Włodzimierz Odojewski, a także twórczość pisarzy mniejszego kalibru.

Musiałem w tamtym czasie przechodzić z jednego porządku do drugiego, od historii literatury do krytyki literackiej, dlatego że rzeczywiście istniał rozdział na dwa bieguny. Z jednej strony – biegun postępowania historyczno-literackiego, które w wygasającym paradygmacie strukturalnym miało być oparte na sprawdzonych procedurach, czyli takich, które można porównać z innymi i w ten sposób określić, czy to, co piszę, jest ważne, czy wnoszę coś nowego do dyscypliny, do badań czy też nie.

Drugim biegunem krytycznym była swoboda rozpoznawania i diagnozowania tego, co powstawało na naszych oczach, co było związane z naszym doświadczeniem pokoleniowym. Pisało się też na większym oddechu, bez nadmiernego żargonu teoretycznego. Ale dyskurs krytyczny nie miał wstępu do akademii. W ciągu trzydziestu kilku lat mogłem obserwować powolny proces wyzwalania z jednej strony z ostrych przedziałów, z drugiej – anektowania bardzo swobodnego, eklektycznego pisarstwa w obszar akademickiego literaturoznawstwa po strukturalizmie.

Myślę, że dobre pisanie historyczno-literackie jest często więcej warte niż zdolność czy umiejętność aplikacji nowej metody bez uzgodnienia jej z interpretacjami powstałymi w innych porządkach metodologicznych, które w dalszym

ciągu są ważne i inspirujące. W tekście muszą zagrać reguły odbioru, które pozwolą przekroczyć wymiar profesjonalnego języka, którym niegdyś pisaliśmy (i zresztą często nadal piszemy), dla kilku osób specjalizujących się w danym temacie czy dziedzinie wiedzy literaturoznawczej. Oczywiście mam świadomość, że moje pisanie, jeśli zajmuję się romantyzmem krajowym, trafi do garstki odbiorców. Nie mam tu żadnych złudzeń, natomiast chcę, żeby było to tak napisane, że ktoś, kto przeczyta mój specjalistyczny tekst, będzie zainteresowany przynajmniej tym twórcą, o którym napisałem coś nowego, co nie było wcześniej dostrzeżone. Nazywam to na swój prywatny użytek „odkopywaniem zakopanych twórców dawnej literatury”.

Literaturą romantyczną zainteresowałem się właściwie dość przypadkowo, ale to jest taki „nieprzypadkowy przypadek”. Czytałem teksty, które wzbudzały we mnie opór i sprawiały problem w zrozumieniu, bo były dziwne, obce i trudne. Ale byłem takim może dziwnym młodym człowiekiem, dla którego ta trudność była wyzwaniem, więc ciekawiło mnie, dlaczego to było takie niezrozumiałe, i powoli, bardzo powoli, rozjaśniało się to, co było „ciemne”, mówiąc po norwidsku.

Na wykładach słyszałem o Krasińskim czy o Słowackim wiedzę bardzo uporządkowaną, jak to wiedza wykładowa, natomiast w mojej prywatnej lekturze niekoniecznie ta wiedza zgadzała się z doświadczeniem uczelnianym. Stąd też wybór seminarium magisterskiego o literaturze romantycznej, której (moje) niezrozumiałości chciałem pokonać pisaniem o tym, co stawia opór w jej rozumieniu.

Później zainteresowałem się długim trwaniem pewnych wątków kulturowych, więc początkowo ciekawiła mnie literatura późnego oświecenia, bo jest (nie dość dobrze zbadanym) pomostem do literatury romantycznej. Ale jak w to wszedłem, zorientowałem się, że ta problematyka badawcza nie jest dla mnie, że ja się niedobrze czuję w archiwach, w tego typu pracy, więc znalazłem inne tematy, czyli literaturę romantyczną. Prawie równocześnie zaczęły mnie interesować wątki romantyczne we współczesności. I tak już zostało, że głównym obszarem moich zainteresowań naukowych jest romantyzm: Krasiński, Słowacki, romantycy krajowi oraz aspekt recepcyjny – długie trwanie romantyzmu od drugiej połowy XIX wieku po naszą współczesność.

Współczesna obecność romantyzmu to także obecność zaskakująca i niechciana: mesjanizmu romantycznego, który z dużą regularnością powraca, tak jak wrócił po katastrofie smoleńskiej. Można ignorować taką formę obecności romantyzmu, ale ona nam mówi coś istotnego o części społeczeństwa, które rozpoznaje się w anachronicznym – i symbolicznym – języku wspólnotowym. Mentalne klisze, owszem, ale też jakaś potrzeba użycia języka zrozumiałego wobec traumatycznego doświadczenia, które wyznaczyło linię podziału społeczno-politycznego.

Jest oczywiście inna linia recepcji romantyzmu we współczesności, którą się zajmuję naukowo. To krytyczna – bardzo krytyczna – reinterpretacja pewnych ideologii romantycznych, jak towianizm, w utworach pisarzy polskich i obcych (Krzysztof Rutkowski, György Spiró, Marius Ivaškevičius) albo reinterpretacja herstoryczna – przepisywanie romantyzmu, jak w powieściach Ewy Stachniak (o Krasińskim z punktu widzenia kobiet jego życia) czy Jacka Dehnela (piszącego o Makrynie Mieczysławskiej).

Takich idei romantycznych, które są czytane bez zrozumienia epoki, bez świadomości pewnych zapośredniczeń, jest więcej. To jest nacjonalizm, to romantyczny dyskurs kresowy. Stale powtarzam: „tak, mam świadomość, że niebezpieczne jest literalne przenoszenie idei i wątków myślowych z przeszłości we współczesność bez ich krytycznej reinterpretacji wraz z zapośredniczeniami”. Natomiast praca badawcza polega też na tym, że tworzę pewien rodzaj meta-języka interpretacji. Na przykład opisując dyskurs kresowy Wincentego Pola, który dzisiaj jest właściwie zapomniany, a w wieku XIX był tak popularny, że sobie nawet nie wyobrażamy, muszę dokonać dwu działań interpretacyjnych: opis zjawiska w kontekście epoki i nad tym opisem nadbudować współczesną reinterpretację przy pomocy określonych narzędzi.

I otóż u Pola pojawia się dyskurs kresowy, który, przeczytany współczesnymi narzędziami postkolonialnymi, może być właśnie opisany i skutecznie rozbijony – możemy pokazać, na czym polegały pewne niebezpieczeństwa użycia dyskursu skolonizowanego kolonizatora, czyli polskiej obecności na kresach wobec innych mieszkających tam narodowości. Polskość rugowana z przestrzeni kresowej przez Rosjan była równocześnie – co daje się wyczytać z licznych dzieł romantycznych – kolonizatorska wobec ludności ukraińskiej. To są trudne problemy, które wnikliwy, uważny i subtelny język współczesnego literaturoznawstwa jest w stanie opisać, pokonując ograniczenia polonocentryczne dawnej historii literatury.

Daję przykłady niebezpiecznych idei romantycznych, bo one były mitogeniczne, narzucały się wyobraźni, ale równocześnie sprawiły, że funkcjonujemy

w tym szerszym uniwersum kulturowym, jak gdyby zaprogramowani przez romantyków, nie mając często świadomości – i wiedzy – jak na to patrzą Inni. Dopiero po rozbrojeniu pewnych stereotypów i figur wyobraźni pochodzących z czasów romantyzmu w uważnej, krytycznej lekturze inspirowanej współczesnymi metodologiami, możemy być gotowi na spotkanie z Innym i skonfrontować swój punkt widzenia – przekazywany przez twórców romantycznych – z innymi spojrzeniami.

Zacząłem pracę w dość trudnych warunkach, jak wiele osób z mojego pokolenia. Mieliśmy sublokatorskie mieszkanie, więc nauczyłem się pracować w kuchni, w takiej sytuacji, w której stale coś człowieka rozprasza. Do dziś, jak czytam czy piszę, muszę mieć włączone radio albo jakąś muzykę na płycie, dlatego że cisza mnie rozprasza. Z kolei kiedy skończyłem jakąś pracę i muszę przewietrzyć umysł – wtedy lubię spacer, lubię ciszę. Natomiast kiedy pracuję, absolutnie mi nie przeszkadza to, że jest pies, że gra radio, że kilka razy odejdę od biurka, bo akurat dzwoni telefon. I tak to było od początku. Pamiętam, że kiedy rozmawiałem z koleżankami, kolegami, oni nawet dziwili się, trochę ironizowali, że właściwie jak mam coś napisać, to siadam i piszę, ale mogę wstać i na przykład obrać ziemniaki na obiad. Wracam i dalej piszę. Myślę, że to nie jest jakaś moja wypracowana metoda. To jest coś dane, za co jestem wdzięczny losowi. Ponieważ oczywiście znam różne sytuacje blokad pisarskich i odkładania, bo „coś innego” chciałoby się w danym momencie zrobić, potrafię zmobilizować się i wiem, że jak muszę coś zrobić, to ja to zrobię.

Kiedyś pracowałem rano, mniej więcej od godziny ósmej do południa, przez co nie byłem w stanie pracować naukowo po południu. Po południu potrafiłem na przykład usiąść i redagować teksty, czyli zajmować się inną działalnością, związaną z kwartalnikiem literackim „Kresy”, którego byłem redaktorem naczelnym i zarazem osobą redagującą dział krytyki i eseistyki. Od kilku czy może nawet kilkunastu lat pracuję inaczej – najbardziej efektywnie od godziny jedenastej do czternastej, czyli do obiadu, i później, od siedemnastej do dziewiętnastej. Niestety potem ja już nie potrafię pracować. To jest może dobre, dlatego że wieczór to taki moment relaksu, kiedy odpoczywa umysł.

Zauważyłem też taką rzecz, myślę, że ciekawą. Trzydzieści lat temu, kiedy byłem młodszy, pisałem dużo recenzji. Współpracowałem z wieloma pismami i dzisiaj po prostu nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak mogłem znaleźć na to czas. Zaczynałem w czasach, kiedy nie było jeszcze komputerów, tylko maszyna do pisania jako narzędzie pracy. Do dzisiaj moja rodzina opowiada, że pamiętają z tych najdawniejszych lat stukot klawiszy maszyny. I tak pracowałem kilka lat. Ta praca, kiedy przepisywałem napisany ręcznie tekst na maszynie, była o tyle uciążliwa, że przecież nie mogłem się pomylić, bo pomyłka w maszynopisanu sprawiała, że trzeba było załadować stronicę i od nowa ją pisać przez kalkę.

Ale równocześnie pamiętam, że nigdy nie przepisałem tekstu napisanego w niezmięnionej formie, zawsze coś zmieniałem. I to był moment, kiedy pracowałem bardzo energetycznie. Byłem wyczerpany takim przepisywaniem. Mogłem przepisać kilka stroniczek, ale później bardzo źle się czułem, bo wiedziałem, że to, co wydawało się zrobione, jednak nie jest zrobione, że to jest praca w toku, bo będą zmiany i trzeba będzie raz po raz przepisywać po poprawkach i uzupełnieniach. Później był taki etap przejściowy, kiedy poznawałem komputer jako nowe narzędzie pracy. Pisałem jeszcze dość długo ręcznie i przepisywałem na komputerze. Później zaryzykowałem i zacząłem pisać recenzje i krótkie teksty od razu na komputerze. To mi się spodobało, przeniósłem ten sposób pracy w inne obszary pisarskie i od dość dawna pracuję, pewnie tak jak większość, bezpośrednio na komputerze. Natomiast nie zrezygnowałem z robienia notatek. I tutaj, jeśli chodzi o alchemię mojej pracy, notatki tworzę w takich dwóch, powiedziałbym, porządkach. To znaczy: zapisuję i wynotowuję jakieś pomysły – muszę je pogrupować. Podkreślam w książkach fragmenty i dołączam do nich na małych karteczkach jakieś pomysły, dopełnienia, dopiski.

Lubię porządek i u mnie na biurku jest porządek, w gabinecie jest porządek, nie potrafię inaczej pracować. Wiele osób się dziwi – kiedyś na Facebooku wrzuciłem jakieś zdjęcie swojej biblioteki i ludzie w komentarzach byli bardzo zdziwieni tym, że panuje u mnie porządek. A ja byłem zdziwiony, że ten porządek może się wydawać czymś dziwnym, bo po prostu tylko tak jestem w stanie funkcjonować.

Ale to się zmienia, kiedy piszę – wtedy nie ma już porządku, wszystko jest porozrzucane. Mam bardzo duże dębowe biurko, na którym stoi laptop i obok sterty ułożone w pewnym porządku. Bardzo dobrze panuję nad tymi notatkami. Później, kiedy już tekst powstanie, ja niszcę wszystkie podręczne notatki.

Wytworzyłem taki mechanizm, że nie pamiętam napisanego tekstu, nie mam go w świeżej pamięci, jak już go napiszę i gdzieś wyślę. Dopiero po jakimś czasie, po kilku miesiącach, ten tekst we mnie się budzi; bardzo często też chcę coś zmienić, więc na wydruku dokonuję często gruntownych zmian, dużo dopisuję. W pierwszej wersji czasopiśmiennej tego oczywiście nie ma, ale ślad dalszej pracy jest obecny w wersji drugiej.

Dobrze odpoczywam, kiedy coś skończę albo między jedną pracą a drugą, na spacerach. To są długie spacery, lubię taki *flanering*. Mieszkam niedaleko parku i często tam chodzę. Ale z parku wychodzę w różnych kierunkach – tam, gdzie mnie nogi niosą. Chociaż zauważyłem, że to nie są bezinteresowne spacery, więc takim flanerem też do końca nie jestem. Jednak wtedy głowę otwieram na coś, co oczyszcza mój umysł, wracam i jestem w stanie pracować.

Lubię czytać także inne rzeczy niż zawodowe. Mam niestety mało czasu i sterta książek jest coraz większa, bo książki kupuję, dużo książek też dostaję, staram się czytać, ale nie nadążam. Dobrze odpoczywam, czytając rzeczy, które są niezwiązane z moją pracą. Lubię na przykład dobre przekłady. Dlaczego dobre przekłady? Dlatego że lubię czytać dobrą polszczyznę przekładową, taką, w której tłumaczka czy tłumacz są też artystami języka, kiedy w polszczyznę wprowadzają „tamten” świat tak, że przestaje być „obcy”, odnajdując swoje znaczenie i brzmienie w polszczyźnie.

I mam taką fazę – jeśli coś mnie zainteresuje, to staram się przeczytać wszystko, co jest dostępne. Tutaj nazwisk jest sporo, pamiętam, może trochę *ad hoc*, że gdy miałem fazę na Nabokova, to czytałem wszystkie dostępne książki Nabokova, czy podobnie – Coetzego czy Bellowa. Na przykład Pamuk też był takim moim odkryciem lekturowym, również Swietłana Aleksijewicz.

Bardzo lubiłem i lubię reportaż, ale dobry reportaż. Ale też mam takie wrażenie, że trochę jesteśmy przesyceni reportażem, podobnie jak biografistyką. Lubię czytać dobre biografie, ale takie, powiedzmy, niemieckie albo anglosaskie – gęste, w których autorzy siedzą w tym temacie kilka dobrych lat, poznali absolutnie cały kontekst i później są w stanie napisać biografię totalną, absolutną. Natomiast nie bardzo mi się podobają biografie pisane głównie przez dziennikarzy. Często są bardzo sprawnie napisane, ale dziennikarskie zbieranie materiału sprawia, że te biografie są płaskie, nie wchodzą w głęb

czasów, w których żyły opisywane postaci. Dostrzegam to dzisiaj na przykład w próbach biografii tożsamościowych i to, mogę powiedzieć, czasami wzbudza mój niepokój historyczno-literacki, ponieważ pewne zewnętrzne symptomy w opisie biograficznym są traktowane jako reakcje tożsamościowe, które niekoniecznie powinniśmy widzieć w dzisiejszej perspektywie, bo w świadomości epoki funkcjonowały inaczej. Na przykład queerowanie biografii Słowackiego w książce Marty Justyny Niwickiej. Ono jest ciekawe, bo otwiera inne spojrzenia na wieszczą. Ale dla mnie, jako dla osoby, która tkwi w tej epoce, bywa też trudne do przyjęcia, dlatego że pewne kody, będące kodami romantycznej przyjaźni (absolutnie dla nas dzisiaj niezrozumiałe poza epoką) i czytane bez znajomości kontekstu, mogą po prostu wskazywać na innego rodzaju wnioski, niż zawarte były w tamtej macierzystej kulturze.

Podobna sytuacja ma miejsce przy ostatniej biografii Konopnickiej autorstwa Magdaleny Grzebałkowskiej. Część środowiska historyczno-literackiego uważa, że po prostu nie ma materiałów, żeby queerować tę biografię, że pewne symptomy są zjawiskami, które w tamtej kulturze, w tamtej epoce mieściły się w konwencji przyjaźni, że pewne formy słownej ekspresji znaczą coś innego niż te same słowa i formy dzisiaj. Ale oczywiście tam, gdzie można w oparciu o współczesną lekturę ujawnić coś, co było zakryte (nie tylko w odniesieniu do wątków tożsamościowych), to jestem zdania, że jak najbardziej trzeba to czynić. I oczywiście jest wiele takich ustaleń w nowej biografii Konopnickiej. Ja nie chcę w tym momencie oceniać (zresztą bardzo ciekawej) biografii, natomiast chcę pokazać pewien spór i sposób myślenia o biografiach w perspektywie literaturoznawczej.

Innym zjawiskiem w biografistyce jest na przykład infantylizowanie dyskursywne. Tak jak w najnowszej biografii Borowskiego, która rozpoczyna się od zaprezentowania bohatera dzisiejszym młodym odbiorcom. Jest tu figura dziecięca, mająca rzekomo przybliżyć bohatera dzisiejszemu czytelnikowi. Ale takie figury „bliskości” często wcale nie niweczą dystansu, lecz przeciwnie – mówiąc Gombrowiczem, upupiają bohatera. Natomiast lubię w biografiach gęsty szczegół, bo wtedy wytwarzam na własny użytek pewien obraz epoki. W moich badaniach to też jest moment bardzo ciekawy, kiedy ze szczegółów powstaje pewna całość nasycona znaczeniami.

Dziś jestem w niekomfortowej sytuacji, bo moje początki naukowe wiązały się z taką sytuacją kulturową, w której literatura była w centrum. Pamiętam

oczywiście, jak trudno było zdobyć książkę – to była rzeczywistość schyłkowego PRL-u, te ogonki w księgarniach, zdobywanie książek w antykwariatach, biblioteki. To jest doświadczenie, którego nie da się porównać ze współczesnością, i czasami uderzam w tony patetyczne, mówiąc o tym, że to jest taka miłość do książki, którą książki też oddawały. To było bardzo ważne doświadczenie.

Kiedy zacząłem pracę w redakcji kwartalnika literackiego „Kresy”, było dla nas ważne, że uczestniczyliśmy w tworzeniu literatury. Literatura była dla nas, można z taką emfazą czy pewną przesadą powiedzieć, całym światem, pozwoliła naszemu pokoleniu przejść przez czasy stanu wojennego i podłych kolejnych lat – ze zrozumieniem, jak ważne są pewne dziedziczone postawy.

Myśmy byli też kształceni, jeśli chodzi o szkołę i akademię, że literatura jest koroną gatunków. To było spóźnione, z gruntu modernistyczne myślenie, które wygasło w świecie, a u nas podtrzymywane było przez sytuację społeczno-polityczną, która na literaturę nałożyła – po raz kolejny – zobowiązania wyrażania postaw zbiorowych, służących dążeniom ku wolności. Jeszcze i dziś echa tej postawy potrafią się odezwać, kiedy chcemy, by literatura znów zajęła opuszczone w latach dziewięćdziesiątych XX wieku miejsce.

Szczególnym doświadczeniem była dla mnie obserwacja procesu tracenia istotności przez literaturę w stosunku do wcześniejszych dekad. Działo się to od połowy lat dziewięćdziesiątych, kiedy najpierw literatura gatunkowa zaczęła wypychać literaturę zwaną wysokoartystyczną, ale też ta ostatnia zaczęła się zamykać we własnych obiegach. Przykrym doświadczeniem było dostrzeganie tego, co się działo z poezją polską – z poezją, która jeszcze w latach osiemdziesiątych była wydawana w wielkich nakładach lub była trudno dostępna i przepisywana, tak jak *Raport z oblężonego Miasta* Herberta. Oczywiście dzisiaj można się uśmiechać, natomiast chodzi mi tutaj o pewien mechanizm tracenia ważności przez literaturę, pomimo że poezja coś istotnego mówiła.

W szkole uczyliśmy się czytać poetki i poetów najnowszych. Kiedy chodziłem do szkoły pod koniec lat siedemdziesiątych, to omawialiśmy poezję Ewy Lipskiej, poetki trzydziestokilkuletniej, ale nie omawialiśmy Miłosza, bo to było jeszcze przed przyznaniem mu Nobla (i gdy obowiązywał cenzuralny „zapis” na jego nazwisko). Przykrym doświadczeniem było dostrzeżenie tego, że głos twórczyni i twórców był słyszalny jako wyraz myśli i emocji zbiorowych, pewnej wspólnoty, którą określano jako inteligencję, a która dziś zanika.

To sprawiało, że ta twórczość była bardziej skierowana na odbiorców. Oczywiście to są bardzo subtelne procesy ingerencji w rzeczywistość i nie można wszystkiego sprowadzić do jednego mianownika, ale można z pewnego dystansu

powiedzieć, że nawet prywatność poezji była taką prywatnością, w której mogliśmy się odnaleźć jako jednostki i zarazem członkowie określonej zbiorowości chcącej istnieć poza „systemem”.

To była prywatność Stachury i ten fenomen, absolutnie nie do powtórzenia, gdzie Chodakowska śpiewała, a wszyscyśmy powtarzali i *Mszę Wędrującego*, i cytaty, i oglądaliśmy w jakimś nabożnym skupieniu *Siekierzędę* Leszczyńskiego. Cała konstelacja kulturowa wytwarzała cały system znaków-cytatów, dzięki którym rozpoznawaliśmy się i rozmawialiśmy w obrębie wspólnoty. To było ważne.

Później jednak okazało się, że to się rozsypało, wedle diagnozy Janusza Sławińskiego o „zaniku centrali”, że poetki i poeci zaczynają funkcjonować we własnym środowisku, że bardzo rzadko przebija się jakiś pojedynczy głos, a jeśli już, to głównie dzięki ogólnopolskiej nagrodzie.

To jest bardzo znamienne, bo – tak jak opisują koleżanki i koledzy, którzy są zorientowani krytycznie – nazwisk jest mnóstwo. Ale na pytanie, które zadaję studentom, odpowiedź jest bardzo, powiedziałbym, przykra i smutna. To są nazwiska słabo znane poza wąskim obiegiem samych piszących i komentujących. Oczywiście, to świadectwo ogólniejszego procesu, o którym wspominałem – tracenia przez literaturę miejsca, które zajmowała. Inne formy kulturowe są ekspansywne. I ma to wpływ na dyscyplinę, którą uprawiam – literaturoznawstwo polonistyczne – które wychodzi w kierunku ujęć kulturowych, wzmacnianych metodologicznie dyskursami kulturowej teorii literatury.

Sukcesy literatury gatunkowej, reportażu, kryminałów sprawiły, że dzisiaj nie mamy komfortu uczestnictwa w literaturze jako w czymś ważnym. Jesteśmy sformatowani przez gatunki i docieramy do pewnych dzieł, które są omawiane, które stają się modne, natomiast ginie nam mnóstwo tekstów. Kiedyś przeczytałem: jeśli ukazuje się setka książek dziennie, to ile my jesteśmy w stanie wybrać, skomentować, opisać? Niewesołe konkluzje, ale warto też wspomnieć o czymś, co nie pozwala myśleć o „końcu” literatury. Bo właśnie to, że ukazuje się tyle książek, że mamy tyle nadmiarowego bogactwa, pozwala być ostrożnym optymistą. Skoro jedni piszą – inni będą czytać i pisać o tym, co przeczytano. Dopóki jest literatura, trwać będzie profesja literaturoznawcza, choć ona – tak jak literatura – też się zmienia.

Tomasz Aleksandrowicz

W NAUKACH SPOŁECZNYCH DWA RAZY DWA NIE ZAWSZE
WYNOSI CZTERY | ODC. 15



Zacytuję Franka Herberta, autora *Diuny*: „nie wolno się bać, strach zabija duszę”. Jeżeli się boję, to znaczy, że realizuję scenariusz, który został napisany przez terrorystów. Jeżeli się boję, to znaczy, że tracę zdolność obiektywnego, racjonalnego myślenia, bo zaczyna kierować mną strach.

Doktor habilitowany Tomasz Aleksandrowicz

Warszawa, godzina jedenasta. Mimo wczesnej pory słońce świeci już mocno, zapowiadając nadchodzącą wiosnę. Choć drzewa wciąż są nagie, powietrze jest cieplejsze, a miasto zaczyna budzić się do życia. Czekaliśmy na naszego dzisiejszego gościa pod Pałacem Kultury i Nauki. Kiedy staliśmy u stóp budynku i spoglądaliśmy w górę, Pałac wydawał się jeszcze bardziej monumentalny niż zwykle.

Wraz z wybiciem pełnej godziny na horyzoncie pojawił się nasz rozmówca. Przez krótką chwilę rozglądaliśmy się za miejscem na rozmowę. Naszą uwagę przyciągnął duży, podświetlany napis „Bar”.

Przez wysokie, drewniane drzwi co jakiś czas wchodzili ludzie, więc wiedzieliśmy, że lokal jest otwarty. Postanowiliśmy spróbować. Bar okazało się być także kawiarnią, która o poranku serwuje śniadania.

Przestrzeń od razu przypadła nam do gustu. Jasna, artystyczna, łącząca nowoczesność z historią. Zajęliśmy stolik w kącie, gdzie nie przeszkadzaliśmy personelowi i we względnej ciszy mogliśmy przystąpić do pracy.

Kwestia definiowania terroryzmu to są tak naprawdę dwa pytania. Po pierwsze pytamy o to, czym jest zjawisko nazywane „terroryzmem”. I tutaj sięgamy do socjologii, politologii, psychologii i tak dalej. Ale drugie pytanie brzmi: co to jest akt terrorystyczny? I tu sięgamy do prawa karnego. W tym przypadku nie ma miejsca na wątpliwości – jest coś, co każdy prawnik nazywa ustawowymi znamionami przestępstwa. Albo coś jest terroryzmem, albo nie jest terroryzmem.

Zacznijmy od tego pierwszego. Definiowanie terroryzmu jako zjawiska jest rzeczą nieprawdopodobnie trudną, dlatego że – jak powiedział jeszcze w latach siedemdziesiątych jeden z wybitnych prawników amerykańskich – co dla jednych jest terroryzmem, dla drugich jest bohaterstwem. Jak mówił niezapomniany pan prezydent Wałęsa: punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Cały problem sprowadza się do tego, czy metod terrorystycznych można używać w słusznej sprawie. Czy można z punktu widzenia etycznego, moralnego – bo czyn pozostaje czynem. Jeżeli zabija się niewinnych ludzi, ale czyni się to w godnym celu, to będziemy to popierać? No właśnie, to jest to zasadnicze pytanie.

Co do zasady, już opierając się na regulacjach prawnych, terroryzm to stosowanie przemocy z przyczyn politycznych w celu osiągnięcia rozgłosu. Przeciętny przestępca, jeżeli kogoś zabija, to raczej stara się zrobić wszystko, żeby odsunąć od siebie podejrzenia. Terrorysta przeciwnie. Terrorysta powiada tak: „walczę o coś, przeciwko czemuś, z kimś. Wymierzam sprawiedliwość dziejową i co? I giną niewinni”.

Oczywiście, że pytanie o definicję terroryzmu bezpośrednio odnosi się też do metod zwalczania terroryzmu. Zresztą niesłuchanie kontrowersyjnych, zakładających w pewnym momencie, nazwijmy rzecz po imieniu, stosowanie

tortur – na przykład *waterboardingu*, czyli podtapiania. To są tortury i mówię o tym z pełnym przekonaniem. Oczywiście w pierwszym odruchu to potępiamy, prawda? Tyle tylko, że zanim potępimy, to dobrze byłoby sobie uświadomić, że w ciągu dziesięciu lat udaremniono sto pięćdziesiąt zamachów terrorystycznych dzięki informacjom, które zostały w ten niegodny sposób wydobyte. Oczywiście trudno stwierdzić, czy każdy z tych zamachów miał potencjalną siłę jak atak na World Trade Center. Ale narażę się tutaj wszystkim moralistom i wszystkim teoretykom – jeżeli mam do wyboru zastosowanie tortur wobec gościa, który jest od czubka głowy po pięty umazany krwią niewinnych ludzi, a życiem niewinnych ludzi, to wybór jest dla mnie prosty. Że to nic fajnego? Tak. I największą porażką demokratycznego państwa jest to, że terroryści zmusili nas do takich działań. Bo myśmy do tego zostali po prostu zmuszeni.

Moje doświadczenie zawodowe, jeszcze przed podjęciem pracy nauczyciela akademickiego, dało mi przede wszystkim świadomość tego, że polityka nie jest tym, co pokazują w telewizji i o czym piszą w gazetach. Miałem tę niepowtarzalną okazję w życiu przez wiele lat tkwić po tej drugiej stronie. Widziałem, jak funkcjonują mechanizmy, jak są podejmowane decyzje i jakie czynniki na nie wpływają, jak rodzą się rozmaitego rodzaju koncepcje, jak buduje się reakcję na nowe sytuacje. To się potem niezwykle przydaje w pracy naukowej. Choć powiem uczciwie, że niekiedy bywa niesłychanie denerwujące, kiedy słyszy się w mediach znawców proponujących, że zrobią coś, bo to jest przecież proste lub wymaga tylko jednej decyzji. A po tych doświadczeniach zawodowych ja już wiem, że to nie jest ani takie proste, ani takie szybkie. A przede wszystkim jestem świadomy, że podjęta decyzja nie działa następnego dnia. Czasami da swoje efekty za lat dziesięć, i to takie, których się nie spodziewamy. Wcale ich nie chcieliśmy, wcale się ich nie spodziewaliśmy, a jednak są.

Jestem profesorem w Akademii Policji w Szczytnie i oczywiście jest to pod bardzo wieloma względami uczelnia niesłychanie specyficzna. Od strony organizacyjnej jest specyficzna dlatego, że ma dwóch „panów”. W przypadku każdej innej uczelni w Polsce jest to tylko minister nauki i szkolnictwa wyższego. Ale u nas jest to też minister spraw wewnętrznych i administracji i jeszcze Komenda Główna Policji, która wiele rzeczy nam zleca. Stąd oficjalny tytuł pani komendant-rektor jest podwójny. Komendant-rektor – bo z jednej strony ona

jest dowódcą jednostki policji, a z drugiej strony jest rektorem, czyli ma czapkę oficera policji i biret rektora.

To jest jedna specyfika. Drugą jest to, że większość naszych studentów to ludzie w mundurach. I tu, mając porównanie, bo przecież pracowałem w uczelniach cywilnych, to jest radykalna różnica w motywacji. Oni wiedzą, po co przyszli na te studia, po co piszą prace magisterskie. Nie dlatego, że rodzina kazała albo tatuś te studia kupił. Wiem, że nie o wszystkich mówię, bo byłbym niesprawiedliwy. Ale policjanci, co do jednego, są niesłychanie zmotywowani do pracy, do nauki. Muszę uczciwie powiedzieć, że tak jak pracuję w Szczytnie od 2009 roku, nie przypominam sobie, żebym miał sesję poprawkową. Wszyscy zdają w pierwszym terminie, bo im na tym zależy. To są bardzo ciężkie studia, bo przecież oni cały czas odbywają służbę, prowadzą postępowania, chodzą na patrole, robią wszystko to, co robią policjanci, i równocześnie studiują.

Naukowo zajmuję się bezpieczeństwem. Jest to określenie bardzo szerokie, w związku z tym wypadałoby je doprecyzować. Po pierwsze, są to badania nad istotą współczesnego terroryzmu i sposobami jego zwalczania. Po drugie, to jest kwestia informacji, przede wszystkim w rozumieniu informacji jako broni. Wszystkie kwestie związane z dezinformacją, manipulacją informacją i tak dalej. Wreszcie to, co wydaje się dzisiaj w naszej sytuacji bieżącej najistotniejsze, to są radykalne zmiany w środowisku bezpieczeństwa i Polski, i Unii Europejskiej, i na szczeblu międzynarodowym, globalnym. Próbuje znaleźć odpowiedzi na pytanie, co z tego wynika dla Polski, jak to się przełoży na naszą sytuację wewnętrzną i bezpieczeństwo wewnętrzne, zarówno państwa, jak i obywateli.

W dyscyplinie nauki o bezpieczeństwie nie jestem wyjątkiem – znakomita większość moich koleżanek i kolegów ma za sobą krótszy czy dłuższy staż w administracji publicznej i, mówiąc ogólnie, w tych służbach, które zajmują się bezpieczeństwem państwa.

Moja „przygoda” z terroryzmem zaczęła się na studiach, kiedy pisałem pracę magisterską. Z wykształcenia jestem prawnikiem międzynarodowym. Pisałem pracę magisterską i pracę doktorską właśnie z terroryzmu i prawnych międzynarodowych metod zwalczania terroryzmu. Już po przełomie, pewnie z uwagi na zainteresowania, trafiłem do Urzędu Ochrony Państwa, gdzie się tym zajmowałem w zupełnie innej roli. Tam naukowość zeszła na dalszy plan, a doktorat

był mi tak naprawdę potrzebny na wizytówce (przepraszam za taki cynizm i lekkie traktowanie, ale tak naprawdę było). Potem przez dwie kadencje pracowałem tam w zespole doradców prezydenta Kwaśniewskiego, gdzie kwestie związane z terroryzmem oczywiście też były obecne, ale już w zupełnie innym kontekście. I gdy skończyła się kadencja (koniec 2005 roku czy przełom lat 2005–2006), doszedłem do wniosku, że dosyć już mam pracy urzędniczej, nazwijmy to w ten najszerszy sposób. Cały czas, pracując w Kancelarii Prezydenta, wykladałem i choć nie mogę powiedzieć, że bym się jakoś szczególnie wtedy zajmował nauką (bo nie było na to czasu), to jednak napisałem parę książek, więc postanowiłem zostać nauczycielem akademickim. Zawsze się śmieję, że przepisowo po ośmiu latach zrobiłem habilitację, więc wszystko się potoczyło właściwie. Stąd te zainteresowania – z doświadczeń życiowych, z tego, co robiłem w zupełnie innej roli. To jest coś, co nieładnie nazywa się *backgroundem*. Można sięgać do własnych doświadczeń zawodowych, tylko patrzeć już na nie z punktu widzenia nauki i z rygorem metodyki naukowej.

Skąd to się wzięło? Otóż z nieprawdopodobnego zupełnie wtedy połączenia nauki i analiz wywiadu. Był w historii Stanów Zjednoczonych profesor Sherman Kent. Występował w dwóch rolach – naukowiec i oficera wywiadu. I to się wszystko wymieszało. Oficer wywiadu zapoznawał się z jakąś teorią opracowaną w środowisku naukowym, pozbawiał ją tych wszystkich naukowych „żargonów” i stosował. Kiedy z kolei któryś z oficerów opracował jakąś metodę, którą stosował, ta trafiała do grupki naukowców i tak to się rozwijało.

W związku z tym metod rzeczywiście jest kilka. Po pierwsze, możemy mówić o metodzie czynnikowej, czyli stwierdzamy, jakie czynniki powodują, że jest, jak jest. I potem patrzymy, jak dane czynniki będą się rozwijać w przyszłości. Tych czynników może być dowolna liczba – oczywiście nie za dużo, bo się sami pogubimy.

Jest metoda, która nazywa się analizą morfologiczną. Wyobrażamy sobie dany stan i stawiamy sobie pytanie, na przykład: co się stanie, jeżeli Ukraina się podda? Potem możemy zacząć prognozować, jak się zachowa ten, jak się zachowa tamten. Można wymyślić kilka takich stanów i potem budować alternatywne scenariusze. A jak już je zbudujemy, trzeba wyznaczyć czynniki, które powodują, że dany scenariusz jest realizowany. Potem robimy monitoring i z upływem czasu możemy jakieś scenariusze eliminować, bo dane czynniki nie zaistnieją.

Na ten temat jest całkiem sporo literatury, przede wszystkim amerykańskiej i trochę brytyjskiej. Ale zwracam uwagę, że to jest literatura tworzona głównie albo przez oficerów wywiadu, czyli bardzo praktyczna, albo przez oficerów wywiadu, którzy są naukowcami. Na przykład skończyli karierę oficera wywiadu i teraz pracują jako naukowcy. Amerykanie bardzo chętnie udostępniają tego typu opracowania, ale najczęściej teksty te nie trafiają do szerszego obiegu, bo kto by je czytał? Ale dla specjalistów to jest rzecz niesłychanie istotna i niesłychanie pożyteczna.

Bardzo często słucham, oglądam, czytam rozmaitego rodzaju komentarze medialne dotyczące wojny czy zagrożeń terrorystycznych. Powiem uczciwie, czasami się włos na głowie jeży, bo wychodzi ze mnie belfer. Ja nie poprowadzę wykładu, nie przygotowałam się do niego, a bywają przypadki, kiedy widać, że ktoś, kto opracowywał publikowane w różny sposób materiały, kompletnie się do tego nie przygotował i myli różne rzeczy.

Tutaj przydaje mi się moja droga zawodowa sprzed bycia akademikiem. Powtórzę, polityka to nie jest to, co oglądamy w telewizji, czytamy w gazetach. Polityka dzieje się w zamkniętych gabinetach. Potem się ustala: „a co powiemy mediom?”. To nie zawsze jest to samo, co się działo na zapleczu. Dlatego nie przywiązuję większej wagi do tych komentarzy, aczkolwiek mam świadomość, że one wpływają na społeczną percepcję. I pozwolę tu sobie przywołać słowa swojego ulubionego współczesnego pisarza polskiego Jacka Dukaja, który wyraźnie powiada, że rzeczywistość nie ma znaczenia, znaczenie ma społeczna percepcja rzeczywistości. Jak społeczeństwo to odbiera? Jak jest naprawdę – a kogo to obchodzi? Dożyliśmy takich czasów w społeczeństwie informacyjnym, że rzeczywiście ważne jest to, jak społeczeństwo pewne fakty, wydarzenia, procesy odbiera, a nie, jakie one mają faktyczne znaczenie.

Bezpieczeństwo możemy postrzegać na dwa podstawowe sposoby. Obiektywnie, czym się zajmuję jako badacz, i subiektywnie, co dotyczy odczucia, które się posiada – czy jest bezpiecznie czy nie jest bezpiecznie. Oczywiście to jest zupełnie co innego, bo subiektywnie mogę się czuć bezpiecznie, a obiektywne badania pokazują, że jest duże zagrożenie. I odwrotnie – mogę czuć zagrożenie, ale okazuje się, że żadnego zagrożenia nie ma.

Kwestia rozdzielenia pracy zawodowej, obiektywnego myślenia od życia prywatnego to niesłychanie trudna rzecz. Oczywiście kiedy żona pyta, to odpowiadam. Przecież sama też czyta wiadomości, czyta informacje, komentuje, jest ciekawa mojego zdania. Natomiast całe życie wychodziłem z założenia, które się oczywiście wzięło z moich badań nad terroryzmem: nie wolno się bać. Zacytuję Franka Herberta, autora *Diuny*: „nie wolno się bać, strach zabija duszę”. Jeżeli się boję, to znaczy, że realizuję scenariusz, który został napisany przez terrorystów. Jeżeli się boję, to znaczy, że tracę zdolność obiektywnego, racjonalnego myślenia, bo zaczyna kierować mną strach. Przy czym to nie jest tak, że strach jest czymś negatywnym. Strach mi podpowiada, że trzeba uważać, ale nie wolno mu się poddawać.

Poza tym trzeba też zdecydować, co to znaczy, że czuję się bezpiecznie. Czy to znaczy, że będę się dalej rozwijał, będzie mnie stać na lepszy samochód, większe mieszkanie i dalszą podróż wakacyjną? Czy oznacza to, że będę miał dach nad głową, z którego nie będzie kapać, będę się miał czym poruszać i będę miał na codzienny posiłek? Bo to też zależy od konkretnego przypadku, konkretnego człowieka. Proszę zwrócić uwagę, że dla kogoś, kto spędza wieczory w barze, w hotelu Waldorf-Astoria w Nowym Jorku, to ja jestem nędzarzem. Ale dla kogoś, kto ma tę przysłowiową miskę ryżu w Afryce, to ja dysponuję niewyobrażalnym dla niego bogactwem. To są wszystko rzeczy relatywne. I dlatego mówimy o tym subiektywnym odczuciu bezpieczeństwa.

Przynoszenie do domu pracy zawodowej nie jest niczym dobrym, ale do pewnego momentu jest nieuniknione. Człowiek jest tylko człowiekiem, przeżywa stresy, rozczarowania, przychodzi z tym do domu. Trzeba to oczywiście minimalizować, ale jest to nieuniknione.

Nigdy nie żałowałem, że coś wiem, i nigdy nie chciałem czegoś nie wiedzieć, bo to jest zamykanie oczu na rzeczywistość. To jest pozbawienie się przede wszystkim świadomości realiów i możliwości przygotowania się na rozmaitego rodzaju zagrożenia. To jest droga donikąd. Nigdy tą drogą nie podążałem.

Sens i rola nauk społecznych, w tym również nauk o bezpieczeństwie, bo one zaliczają się do nauk społecznych, są takie jak całej nauki. Celem nauki jest docieranie do prawdy, a nie zdobywanie punkcików, grancików i paru jeszcze innych rzeczy. Celem nauki jest docieranie do prawdy i to jest podstawowy cel także nauk społecznych, tu się nic nie zmienia.

Po drugie to jest kwestia rozpoznania mechanizmów, które rządzą życiem społecznym. Mechanizmów bardzo szeroko rozumianych, również w kategoriach bezpieczeństwa, również w kategoriach życia międzynarodowego. Dlaczego dzieje się tak, jak się dzieje, co ma na to wpływ, jakie występują czynniki? Zrozumienie tego otwiera drogę do aktywnego kształtowania rzeczywistości. Bo bez tego możemy działać wyłącznie intuicyjnie, a to nie zawsze przynosi dobre efekty.

A znaczenie, przekonanie o wartości tego, co robimy w naukach o bezpieczeństwie czy w ogóle w naukach społecznych? Po ilości antyszczepionkowców widać, że w ogóle z nauką jest słabo. Po tych tendencjach, których ja nie waham się nazwać tendencjami antyintelektualnymi, to też widać, że jest słabo.

Ktoś może zadać pytanie: „no fajnie, to po co wy to robicie?”. Bo to jest nasza pasja. I jeżeli jest nawet parę procent szans, że ktoś z tego skorzysta, to tak, należy to robić. To działa na takiej zasadzie, że wszystkim ludziom potrzebującym pomocy nie jestem jej w stanie jej udzielić. Ale jeżeli pomogę jednemu, to lepiej, niż jeśli nie pomogę nikomu.

Nauki społeczne, w tym nauki o bezpieczeństwie, są niesłychanie specyficzne. I trudno się dziwić, że niektórzy badacze w ogóle stwierdzają, że to nie są nauki. Nie jest to rzecz godna sztylerstwa i potępienia. Wystarczy sięgnąć do Poppera i stwierdzić, że jeżeli czegoś się nie da wyrazić językiem matematyki, to to nie jest nauka. A w naukach społecznych, pomimo że bardzo wiele rzeczy w nich możemy wyrazić językiem matematyki, nie wszystko da się skwantyfikować. Owszem, socjolog powie: „robię badania, wyliczam liczbę, próbę” i tak dalej. Zgoda, statystyka, tak. Podobnie technika i technologia, bo jeżeli obliczamy moc państwa i liczymy czołgi, to oczywiście musimy wiedzieć, jaka to jest technologia: z lat siedemdziesiątych czy już z XXI wieku. Ale jest cała masa rzeczy, którą się nazywa mianem *social mess*, czyli takiego społecznego bałaganu. Tego się nie da skwantyfikować, bo mówimy o emocjach, wrażeniach, psychologii, wpływie dezinformacji na różne decyzje. Poza tym – znów muszę przeprosić za może niestosowny żart – w naukach społecznych to nie jest tak, że dwa razy dwa jest zawsze cztery. Może być sześć, a może być trzy.

Wiem, że to jest stwierdzenie strasznie trywialne, ale pomysły na badania pochodzą z życia. Jeżeli człowiek zajmuje się bezpieczeństwem, trudno się nie

zając się zagrożeniami dla Polski związanymi z radykalnymi zmianami w środowisku bezpieczeństwa. To jest oczywiste.

W tej chwili pracuję nad książką, która ma za zadanie ukazać nie tylko konsekwencje zmian w środowisku bezpieczeństwa dla Polski, ale przede wszystkim chciałbym opracować scenariusze rozwojowe – co się może stać? Oczywiście scenariusze alternatywne, bo innych się w tej sytuacji nie da, i za pomocą stosownych metodologii.

Poza tym jest całe mnóstwo rzeczy, które dzieją się na bieżąco. Na przykład nowelizacja ustawy o działaniach antyterrorystycznych, pojawienie się nowego aktu prawnego Parlamentu i Rady Unii Europejskiej o zwalczaniu terrorystycznych treści w Internecie, opracowanie koncepcji, którą nazywa się bezpieczeństwem zintegrowanym, co już kończę.

Pomysły przynosi życie. Tutaj oczywiście czasami dochodzę do wniosku, że coś, jakąś definicję trzeba by doprecyzować. Stąd to bezpieczeństwo zintegrowane. No bo w warunkach społeczeństwa informacyjnego tworzymy bardzo często „worek z naklejką”. Jest na przykład worek z naklejką „terroryzm”. Wszystkie akty przemocy wrzucamy do tego wora, chociaż, dalibóg, z terroryzmem nie mają nic wspólnego.

Jest worek z napisem „bezpieczeństwo”. No tam to już można znaleźć różności. W związku z tym trzeba to wszystko jednak jakoś zdefiniować. Cały czas mam w pamięci dyrektywę Richarda Pipesa, który w jednym ze swoich artykułów napisał, że nauka to nie jest to, co osiągamy. Nauka to nie jest wynik. Nauka to jest metoda. Albo do tego wyniku doszliśmy za pomocą metody, albo to nie jest nauka. Oczywiście wynik może być trafny, bo możemy mieć po prostu szczęście, intuicję albo coś takiego, ale w nauce liczy się metoda. I stąd na przykład moja ostatnia książka nosi tytuł *Prognozowanie zagrożeń terrorystycznych. Aspekty metodologiczne*, bo przecież żaden analityk szklanej kuli nie posiada. Ja, będąc czynnym analitykiem, nigdy szklanej kuli nie miałem i też, przyznaję się, nie rozsypywałem fusów od kawy na jakiejś tacce. Tylko twardo pilnowałem metod. Bo one – choć gwarancji oczywiście nie dają, bo jej nie ma – przybliżają możliwość, że prognoza będzie trafna. I to są te źródła, które mnie napędzają, które powodują, że czymś się zajmuję.

Trudno jest uciec od nawyku bycia analitykiem. To jest tak naprawdę przekleństwo. Człowiek wszystko analizuje, ma narzędzia wypracowane przez lata. Ale oczywiście od pracy zawodowej trzeba się oderwać. Nie chcę się mizdrzyć, ale jest taka anegdota, która może komuś pomoże. Mam swój stary sposób na sprawdzenie, czy już muszę iść na urlop czy mogę pracować dalej. Otóż biorę jakiś swój tekst i zaczynam go czytać. Jak mi sam ołówek wskazuje w ręce i już bym coś zmieniał i poprawiał, to tak, spokojnie można pracować dalej. Ale jeśli zaczynam się zachwycać, jaki to genialny tekst napisałem, to znaczy, że trzeba zamknąć plik w komputerze i jechać na wakacje, bo już jestem zmęczony.

Jak odpoczywać? Można robić bardzo dużo rzeczy. Po pierwsze czytam książki, które absolutnie nie są związane z moją pracą zawodową, aczkolwiek zaraz mózg podsuwa i takie rozwiązania, przede wszystkim współczesne science fiction. To jest po pierwsze.

Po drugie, jest muzyka, to jest oczywiście Lennon, to są Beatlesi, to jest Bob Dylan. I tu też niestety, zwłaszcza u Dylana, wychodzą wątki zawodowe. To też krótsze lub dłuższe wyjazdy czy bieganie w nadmorskim lesie z psami, czy pływanie w basenie, czy w ogóle kontakt z przyrodą.

Kontakt z przyrodą jest niesłychanie istotny i wiem, że to brzmi jak paradoks, ale mi się znakomicie odpoczywa, kiedy jeżdżę samochodem. Jadąc z Warszawy do Szczytna, na zajęcia przyjeżdżam wypoczęty, bo mam ten relaks. Dlaczego? Bo jeżdżenie samochodem wymaga wyłączenia wszystkiego innego. Trzeba uważać na wszystko, co jest „tu i teraz”. I jeszcze przewidywać, co będzie za chwilę. Więc nie ma miejsca na rozkojarzenia – w ten sposób umysł odpoczywa.

Lidia Fiejdasz-Buczek

*NADAL MOŻEMY SWOIM PRZYKŁADEM ZMIENIAĆ ŚWIAT
NA LEPSZE | ODC. 16*



Możemy powiedzieć, że prawo kanonizacyjne zajmuje się tym wszystkim, co prowadzi do beatyfikacji i kanonizacji sług Bożych. Prawo kanonizacyjne jest moją pasją, a tematy do badań znajdują się niemalże same.

Tyle, ilu świętych, tyle mamy dróg do świętości, tyle mamy perspektyw na życie, propozycji pomocy. Zatem nie wyobrażam sobie siebie w innym zawodzie, chociaż znajomi mówią, że równie dobrze mogłabym otworzyć jakąś restaurację i też byłoby dobrze.

Doktor habilitowana Lidia Fiejdasz-Buczek

Nasza podróż rozpoczęła się o świcie. Pociąg wyruszył o godzinie piątej rano, a przed nami było sześć godzin drogi. Choć część podróży minęła na krótkim śnie, większość czasu poświęciliśmy na przygotowanie się do rozmowy. Tematyka była

wymagająca i dość odległa od naszej dotychczasowej wiedzy, dlatego każde dobrze przemyślane pytanie miało kluczowe znaczenie.

Po przyjeździe do Lublina wysiedliśmy na dworcu głównym i skierowaliśmy się prosto na uczelnię. Budynek Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego znajdował się przy ruchliwej ulicy, a mimo trwających ferii nie brakowało tam ludzi.

Otworzyliśmy duże drewniane drzwi i znaleźliśmy się w długim korytarzu. W jego centralnym punkcie sufit układał się w kształt łuku, na którym widniał krzyż. Ściany pokrywały liczne tablice informacyjne i pamiątkowe. Pani profesor dostrzegła nas z końca korytarza i podeszła z uśmiechem. Podana nam rękę i zaprosiła do swojego gabinetu, który dzieliła z innymi wykładowcami.

Od razu po wejściu do środka uderzył nas przyjemny zapach. Na stole czekał bogaty poczęstunek. Pani profesor przygotowała dla nas drożdżówki, ciasteczka oraz kilka lubelskich cebularzy.

Nad biurkiem wisiał plakat informujący o rozpoczęciu procesu beatyfikacyjnego Kaliksta Kłoczeki, w który pani profesor osobiście się angażuje. Następnie nasza rozmówczyni otworzyła jedną z szaf, ukazując regał pełen książek, w tym rzadkich i trudno dostępnych pozycji spraw kanonizacyjnych w języku włoskim, dotyczących między innymi procesu beatyfikacyjnego księdza Jerzego Popiełuszki. Z dumą pokazała także puchar, który zdobyła drużyna prowadzona przez nią w Ogólnopolskim Konkursie Prawa Kanonicznego.

Po krótkiej uczcie, zafascynowani opowieściami pani profesor rozpoczęliśmy rozmowę, mając w głowach mnóstwo pytań o tematykę, która już za chwilę miała stać się dla nas znacznie mniej odległą.

Możemy powiedzieć, że prawo kanonizacyjne zajmuje się tym wszystkim, co prowadzi do beatyfikacji i kanonizacji sług Bożych. Prawo kanonizacyjne jest moją pasją, a tematy do badań znajdują się niemalże same.

Tyle, ilu świętych, tyle mamy dróg do świętości, tyle mamy perspektyw na życie, propozycji pomocy. Zatem nie wyobrażam sobie siebie w innym zawodzie, chociaż znajomi mówią, że równie dobrze mogłabym otworzyć jakąś restaurację i też byłoby dobrze.

Praca naukowa prawnika kanonisty i prawnika świeckiego, jak myślę, nie różni się bardzo. Tutaj, jak i na prawie, jesteśmy zobowiązani do wypełniania słów naukowych. Wymogi mamy te same, jeśli chodzi o publikacje. Natomiast

mamy inne zainteresowania. Tutaj pracujemy na prawie kościelnym, na prawie Bożym, więc nasza perspektywa jest inna.

Mnie prawo kanonizacyjne tak pochłonęło, że nie chciałam już kończyć żadnej aplikacji, zresztą w żadnym z zawodów prawniczych się nie widziałam. Powiem otwarcie – nie chciałam pracować w zawodzie, który w jakikolwiek sposób obciążałby moje sumienie. To było dla mnie jasne.

Natomiast praca na uniwersytecie to praca z ludźmi, którą bardzo lubię, praca z młodzieżą, ze studentami. Na poznanie i ocenę studenta mam przynajmniej pół roku lub dziewięć miesięcy, więc mamy okazję się poznać i sprawiedliwie ocenić. Zatem to było na pewno to kryterium sumienia, które pozwoliło mi wybrać ten kierunek.

Kiedy spotykam się z ludźmi i opowiadam o swoich badaniach naukowych, nieraz bardzo ciekawych, mają oni takie przekonanie, że to nie jest nauka, tylko jakaś zabawa w naukę, a te badania do niczego nie prowadzą.

Dlaczego tak mogą myśleć? Może nie są świadomi, jaką pracę naukową trzeba wykonać w obszarze moich zainteresowań badawczych. Kiedy podsumowywałam pontyfikat papieża Benedykta, to z 388 dekretów spisanych po łacinie wydobyłam 22 tysiące danych, które wprowadziłam do programu Excel, a następnie, filtrując te dane, wyciągałam wnioski co do płci, stanu w Kościele, wieku, okresu, z jakiego mamy nowych świętych i błogosławionych – czy jest to XIII wiek czy XV, a może są już jacyś z XX wieku czy nawet jego końca.

Kiedy zastanawiam się nad sensem pracy, którą wykonuję, to przede wszystkim myślę o dydaktyce. Kształcimy prawników kanonistów, którzy za kilka lat będą adwokatami kościelnymi, sędziami, obrońcami wężła, rzecznikami sprawiedliwości. To jest świetna sprawa, kontakt z młodzieżą.

Druga kwestia to kwestia naukowa. Jeśli chodzi o prawo kanonizacyjne, wydaje mi się, że dużo się mówi, dyskutuje przed beatyfikacją, przed kanonizacją. Wtedy słyszymy o tym kandydacie na ołtarze. Ale potem to zanika – po beatyfikacji robi się cisza i nic się nie dzieje. A trzeba ludziom cały czas pokazywać piękno życia tych osób, ich trudy, zmagania z rzeczywistością, to, w jaki sposób sobie radzili. Jest też kwestia cudów: „proście, a otrzymacie”, bo nie każda śmiertelna choroba kończy się śmiercią. Warto „zainwestować” w modlitwę, poprosić najbliższych o towarzyszenie modlitwą.

Podobnie mało mówi się o znaczeniu społecznym świętych i błogosławionych – że są to ludzie tacy jak my. Papież Franciszek mówił o świętych z sąsiedztwa, czyli o naszych przodkach, osobach, które w cichości życia wiernie wypełniały obowiązki swojego stanu, ale nigdy nie będą beatyfikowane i kanonizowane. I to jest piękne w tym wszystkim.

Rzeczywiście nauki społeczne i humanistyczne nie mają takiego przełożenia jak medycyna, w której wynajdziemy nowy lek i uratujemy ludzkość. Ale możemy zmieniać świat na lepsze, swoim przykładem przede wszystkim.

Kiedyś doznałam takiego olśnienia. Poszłam do księdza profesora Misztala i zapytałam, czy by mnie przyjął na seminarium. Ksiądz profesor od razu zapytał mnie, czym chciałabym się zajmować. A ja na to, że czytałam wiele o zjawiskach mistycznych i łaskach nadzwyczajnych w życiu ojca Pio. Reakcja była natychmiastowa: „A, to dobrze, to proszę, może pani o tym pisać. Był tu już jakiś ksiądz, który chciał pisać na ten temat, ale uznał, że temat jest za trudny, więc bardzo proszę”. No i tak zaczęłam chodzić do księdza profesora na seminarium, przygotowywać fragmenty pracy magisterskiej, zaczęłam gromadzić obszerną literaturę, również obcojęzyczną. Czytałam o bilokacjach, glosolalii, ksenogłosji stygmatach, multilokacjach, wizjach, objawieniach, transwerberacji i o tych wszystkich fenomenach, którymi ojciec Pio się posługiwał dla zbawienia dusz. Bardzo zafascynował mnie ten temat.

Pracę magisterską napisałam dość szybko, obroniłam się w kwietniu 2004 roku i w czerwcu ksiądz profesor Henryk Misztal zaproponował mi rozpoczęcie studiów doktoranckich. Pamiętam, że byłam dość zaskoczona tą sytuacją, bo studiów doktoranckich nie planowałam – miałam jeszcze drugi kierunek, byłam na czwartym roku studiów prawniczych.

Pochodzę z Podkarpacia, z Jasienicy Rosielnej. Nieopodal mojej miejscowości, obok Dukli, jest Nowy Żmigród. Tam mieszkał i pracował przez wiele lat ksiądz Władysław Findysz. W 2004 roku w Warszawie odbyła się jego beatyfikacja i został ogłoszony pierwszym męczennikiem komunizmu. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego pierwszym? I co się okazało? Ksiądz Władysław Findysz poniósł śmierć wyjątkową, bo nie został zabity przez prześladowców w sposób

bezpośredni, przez powieszenie czy rozstrzelanie, ale śmierć zadano mu *ex aerumnis carceris*, czyli z powodu więzienia.

Kiedy ksiądz Findysz trafił do więzienia, miał już nowotwór krtani. Badania, w tym pozycja sprawy, które tutaj mam, wykazały, że na skutek nieleczenia tej choroby, na skutek przetrzymywania go w strasznych warunkach zmarł. Na przykład, kiedy go przewieziono do zamku w Rzeszowie, rozebrano go do naga. To wyrafinowanie, sposób, w jaki zadawano mu tortury i w jaki pozbawiono go sił witalnych, spełniał kryteria śmierci *ex aerumnis carceris*, czyli poniesionej na skutek tortur. Połączenie tej sprawy z prawem PRL-u i stosowaniem prawa wobec kapłanów województwa rzeszowskiego zaowocowało moją rozprawą doktorską, wydaną w 2012 roku. W ciągu czterech lat przebadalam piętnaście metrów bieżących akt Wydziału do Spraw Wyznań Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie i niektóre akta zgromadzone w Instytucie Pamięci Narodowej, w tym akta procesu karnego księdza Władysława Findysza.

Mamy trzy procesy, trzy miary świętości: męczenników, wyznawców i tych, którzy ofiarowali swoje życie z miłości do Chrystusa. Najstarszą drogą do kanonizacji było męczeństwo. Pierwsi chrześcijanie, pierwsi święci to męczennicy. Od IV wieku, kiedy cesarz Konstantyn Wielki w 313 roku ogłosił edykt mediolański, męczeństwo już nie było tak popularne. Wtedy męczeństwo krwi zastąpiono męczeństwem życia według Ewangelii, a więc cnoty dowodzono od IV wieku.

Te drogi współistniały aż do pontyfikatu papieża Franciszka, który 11 lipca 2017 roku ogłosił motu proprio *Maiores hac dilectionem*, czyli motu proprio o ofiarowaniu życia. „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”. A zatem nie mamy w tej drodze prześladowcy, czyli osoby, która zadała śmierć z nienawiści do wiary, ale też nie mamy wymogu praktyki cnót w stopniu heroicznym. O jakie przykłady mogłoby zatem chodzić? Na przykład: wyjeżdżam na misję i jestem narażona na śmierć w postaci zamordowania przez jakieś ugrupowanie terrorystyczne, nie z nienawiści do wiary, tylko tak jak to było na przykład z Heleną Kmiec. Zginęła na tle rabunkowym, nie z rąk prześladowcy, ale mogła się spodziewać, że w kraju stosunkowo niebezpiecznym może ponieść śmierć. Czy jeśli wyjadę na misję, zachoruję na śmiertelną chorobę, na przykład ebolę? Ale papież Franciszek postawił wymóg udowodnienia cudu do beatyfikacji osoby, która ofiarowała swoje życie.

Minęło kilka lat od roku 2017. W samej Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych wydawało się, że ta droga będzie oknem, przez które napłynie bardzo dużo spraw. Okazuje się, że nie. Dotychczas wydano jeden dekret w sprawie ofiarowania życia, a siedemnaście spraw w fazie rzymskiej jest w toku¹.

Możemy zapytać: kto jeszcze może taką drogą być beatyfikowany? Pewnie może to być też matka, która decyduje się na odłożenie chemioterapii do czasu urodzenia się dziecka, skutkiem czego będzie jej przedwczesna śmierć.

Wydaje mi się, że w dzisiejszym świecie nadużywamy słowa „cud”, również w kontekście religijnym, bowiem mamy zazwyczaj do czynienia z jakąś łaską nadzwyczajną, ze znakiem Bożym.

Papież Benedykt XIV w swoim dziele *De Servorum Dei Beatificatione et Beatorum Canonizatione* (Papież, który ma ogromny wpływ na prawo kanonizacyjne) rozróżniał cud od znaku. Znak jest pewnym zbiegiem okoliczności. Podaje przykład starcia wojsk Marka Aureliusza z barbarzyńcami, kiedy wydawało się, że przegrają, a jednak rozpuściła się taka burza i pojawił się taki wiatr, że ostatecznie wygrali bitwę. Nie jest to cud, tylko łaska, nadzwyczajny zbieg okoliczności.

Kiedy mówię o cudach udowodnionych w procesie beatyfikacyjnym czy kanonizacyjnym, to czasem widzę taki uśmieszek w kąciку ust rozmówcy, że coś się komuś wydawało i to zostało ogłoszone jako cud. Tak nie jest, bo droga do udowodnienia cudu jest bardzo długa, mozolna i wieloetapowa. Angażuje bardzo wiele osób z naukowym autorytetem – lekarzy, profesorów specjalności, której dotyczy przypadek. Proces rozpoczyna się w fazie diecezjalnej. Trybunałem właściwym do przeprowadzenia procesu o cudzie jest trybunał miejsca, w którym wydarzył się cud. Jeśli siostra Faustyna Kowalska działała cud w Stanach Zjednoczonych, to trybunał właściwy jest w Stanach Zjednoczonych.

Czym jest cud? Kiedy mówimy o cudzie? Cud w prawie kanonizacyjnym jest rozumiany jako przedmiot dowodzenia i jako środek dowodowy. Jako przedmiot dowodzenia, bo trzeba udowodnić, że rzeczywiście mamy do czynienia

¹ W momencie przeprowadzania rozmowy.

ze zdarzeniem przekraczającym albo prawa natury, albo niemożliwym do wyjaśnienia w sposób naturalny, albo takim, którego z punktu widzenia współczesnej wiedzy, na przykład medycznej, nie da się wyjaśnić. To jest przedmiot dowodzenia, natomiast środek dowodowy jest pieczęcią ze strony Boga – że ta osoba jest już w niebie.

Zatem mówimy o podwójnej funkcji cudu. Mamy cuda – 97% z nich to są uzdrowienia, pozostałe 3% to są inne przypadki niebędące uzdrowieniami. Żeby mówić o cudzie, przywołajmy wymogi cudu sformułowane przez papieża Benedykta XIV: musi być zdiagnozowana ciężka choroba, musi zachodzić niemożność do wyleczenia środkami medycznymi, a prognoza ma wskazywać na utratę życia. Co jeszcze? Uzdrowienie musi być nagłe, trwałe i musi występować powiązanie między wezwaniem wstawiennictwa a wyzdrowieniem. W procesie bada się też, kto się modlił. Czy modlono się do jednego kandydata na ołtarze, czy wzywano wielu? Jeśli wzywano wielu, nie jest możliwe pokazanie tego wstawiennictwa i przypisanie go konkretnej osobie. Jako cudów nie bierze się pod uwagę tak zwanych cudów moralnych, czyli uzdrowień z chorób psychicznych, pogodzenia się rodziny, wyjścia z alkoholizmu, porzucenia hazardu czy innego nałogu. Nie bada się chorób psychicznych oraz uzdrowień z „chorób lekkich”.

Możemy się zastanowić, czy współczesna nauka, na przykład rozwój medycyny czy nowych technologii, może negatywnie wpływać na cuda, na jakość stwierdzania tych cudów. Wydaje mi się, że może być odwrotnie. Warto sobie uświadomić, że jeszcze w XX wieku wymagano w niektórych przypadkach sześciu cudów do kanonizacji. Od wielkiego jubileuszowego roku 1975 papież Paweł VI zaczął dyspensować od drugiego cudu do beatyfikacji i od drugiego cudu do kanonizacji. Obecnie wymagany jest jeden cud do beatyfikacji i kanonizacji, z wyjątkiem beatyfikacji męczennika, kiedy wystarcza opinia łask i znaków za jego wstawiennictwem.

Nie sądzę, żeby nowe technologie mogły podważać cuda już udowodnione w procesie kanonizacyjnym. Nie bardzo mogę sobie to wyobrazić, że za dwadzieścia lat będzie dało się wytłumaczyć zrośnięcie po złamaniu kości udowej w ciągu jednej nocy. Z takimi przypadkami mamy do czynienia, jeśli mówimy o cudach dowodzonych w Kongregacji. Albo czy da się wytłumaczyć niedotlenienie z zatrzymaniem akcji serca, które trwa trzydzieści minut i nie pozostawia żadnych śladów w mózgu? Być może w przyszłości medycyna będzie w stanie wyjaśnić naukowo takie przypadki. Niemniej jednak w danym momencie

historycznym jest to cud i Kościół absolutnie nie cofa decyzji o beatyfikacji czy kanonizacji.

Czy kiedyś zdziwiłam się, że wobec kogoś orzeczono na przykład męczeństwo albo cnoty heroiczne? Nie znamy zawartości wszystkich akt. Media podsuwają nam różne rzeczy, niekoniecznie prawdziwe. Wspomniałam na początku o księdzu Władysławie Findyszu, który był chory na raka. Można pomyśleć, że nie wiemy, czy ten rak był nieuleczalny – nie mamy takiej diagnozy, bo nie mamy odpowiednich badań. Natomiast sposób, w jaki księdzu Findyszowi uniemożliwiano leczenie, w jaki sposób go torturowano, prześladowano, głodzono, maltretowano, wskazuje jasno, że (w celu nieprzysparzania Kościołowi męczenników) komuniści wypuścili go z więzienia dopiero wtedy, kiedy mieli absolutną pewność, że umrze.

Mąż mój interesuje się Koreą, uczy języka koreańskiego. Kiedyś mieliśmy szczęście razem być w Korei przez dłuższy czas i prowadzić wspólne badania dotyczące Kościoła katolickiego. Byliśmy pod ogromnym wrażeniem precyzji, dokładności Koreańczyków w wyznawaniu swojej wiary w jej praktyce. Bardzo mocno zapadła mi w pamięć Niedziela Palmowa w katedrze w Myeong-dong, kiedy poszliśmy na mszę na godzinę 10.30 i zastaliśmy pod kościołem równiutką, długą kolejkę. Zastanawialiśmy się, na co ci ludzie czekają. Nasze zdziwienie było ogromne, kiedy okazało się, że oni czekali, aż ludzie wyjdą z kościoła.

Nie udaje mi się oddzielić pracy naukowej od życia rodzinnego i wypoczynku. Do czasu, kiedy urodziłam dzieci, normą było, że wakacje spędzałam w jakimś archiwum bądź na kwerendzie czy na wyjeździe naukowym. Teraz muszę troszeczkę odczekać, aż urosną, bo nie potrafię zapomnieć o nauce, o pracy, o nowym projekcie, o pomysłe.

Kiedy tylko mam chwilę wolnego, to czytam treści, które mnie interesują, robię ręczne notatki. Wstęp i zakończenie zawsze piszę ręcznie, wtedy myśli lepiej płyną, są ładniejsze, płynniejsze. Wypisuję sobie pomysły, co można zrobić – te pomysły przychodzą zazwyczaj znenacka. Czasem pod wpływem jakiejś literatury, czasem pod wpływem jakiegoś wywiadu, na przykład wtedy,

kiedy wiem, że ktoś niekoniecznie do końca zna się na problematyce, a mówi, „jak jest”.

Jeśli chodzi o moją pracę, pracuję głównie na oryginalnych aktach Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych. Jeszcze nie tak dawno nie było szczególnych trudności w ich pozyskaniu. Natomiast regulamin dla postulatorów z października 2021 roku zabrania korzystania, udostępniania i korzystania z *positio* bez zgody prefekta Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych. I to *positio* (pozycje spraw) zostało utajnione na pięćdziesiąt lat jako sekret papieski.

Kiedy będziemy chcieli prowadzić badania naukowe nad bieżącymi sprawami, będzie to na pewno znacząca trudność. Dekrety o męczeństwie, cnotach, cudach czy ofiarowaniu życia to są takie dwu-, trzysłowne teksty spisane w języku łacińskim, gdzie mamy dosłownie jednozdaniową syntezę. Więc nie wyobrażam sobie prowadzenia badań tylko na samych dekretach. A też nie prowadzę badań na tym, co się znajduje w Internecie, zawsze sięgam do źródeł oryginalnych. Więc na pewno będzie to utrudnione w przyszłości.

Nie mam rytuałów pracy naukowej. Tak sobie marzę, że kiedyś było dobrze, było więcej czasu na badania. Dzisiaj niestety nie mam takiego czasu, a rodzina dla mnie jest najważniejsza. Kiedy musiałam napisać habilitację, zrobiłam to w czternaście miesięcy i za tą pracę otrzymałam wyróżnienie Stowarzyszenia Wydawców Katolickich w dziedzinie „Kościoł wobec współczesności”. Dostałam także piękne podziękowanie z Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych z prośbą o przetłumaczenie tego dzieła na język włoski, bo jest to bardzo potrzebne i pożyteczne dzieło, a nikt wcześniej nie podjął się takiego trudu. Od papieża Benedykta z Sekretariatu Stanu również otrzymałam gratulacje i podziękowania.

Zatem moja praca na pewno owocuje, ale jest też niezwykle wymagająca. Jest to praca dla cierpliwych, bo można dane na przykład wprowadzać trzy miesiące do Excela i nie umieć z tego potem niczego wydobyć. Trzeba więc mieć też taki zmysł, żeby wiedzieć, co z czym połączyć, o co zapytać, jak te dane przefiltrować, żeby uzyskać odpowiedź, która nas w jakąś stronę zaprowadzi.

Rozmawiałam z koleżankami po fachu, które też mówią, że łączenie życia rodzinnego z pracą naukową jest niezwykle trudne, zwłaszcza wtedy, kiedy dzieciaki są małe, a uniwersytet nie zwalnia nas z tego powodu ze slotów. Musimy

się wykazać publikacjami przynajmniej za sto, dwieście punktów – tutaj nie ma zmiłuj.

Jeśli chodzi o wakacje, to bardzo lubię je spędzać w mojej Jasienicy Rosielnej, tam się czuję jak w sanatorium – cisza, spokój, ptaki, rodzice. Mamy swoje rytuały, dzieciaki bawią się z dzieciakami, siostry świetnie się dogadują – więc to jest dla mnie taka kraina mlekiem i miodem płynąca, spokój od stresu, od nauki. Wtedy nie biorę ze sobą laptopa i nie włączam go, bo są wakacje.

Natomiast w domu, jeśli trudno mi się skupić czy popracować (mówią na to „prokrastynacja”), myję okna, sprzątam, gotuję, a w międzyczasie jakieś zdania wrzucam do komputera. Pewnie jak każdy.

Agnieszka Turska-Kawa

SATYSFAKCJĘ CZERPIĘ Z PROCESU POSZUKIWANIA |
ODC. 17



Gdybym miała powiedzieć, w czym odczuwam satysfakcję naukową, to przede wszystkim odnajduję ją w procesie poszukiwania, a nie w samym znalezieniu odpowiedzi, bo to jest tylko efekt. Zresztą chyba nigdy nie znaleźliśmy w nauce na tyle konkretnej odpowiedzi, żebyśmy mogli powiedzieć: „tak, ten projekt jest zamknięty”. I właśnie to jest najciekawsze w naukach społecznych.

Doktor habilitowana Agnieszka Turska-Kawa

Do Katowic przyjechaliśmy w pochmurny, chłodnawy dzień.

Spotkaliśmy się pod dużym, przeszklonym budynkiem Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego. Przed samym wejściem znajdowało się pianino z kilkoma uszkodzonymi klawiszami, przy którym można było przysiąść i zagrać,

oraz artystyczna konstrukcja upamiętniająca wydarzenie European City of Science Katowice 2024.

Wnętrze budynku zrobiło na nas duże wrażenie. Wyremontowane, jasne, z marmurową podłogą, zadbanymi roślinami i miękkimi fotelami. Weszliśmy na wyższe piętro, gdzie od razu naprzeciwko schodów zauważyliśmy ścianę pełną tabliczek z nazwiskami doktorów honoris causa Uniwersytetu Śląskiego, a zaraz pod nią duży, czarny fortepian. Weszliśmy w ciemnozielony korytarz, gdzie znaleźliśmy odpowiednie drzwi. Drewniane, eleganckie, z dużym, dumnym napisem „prorektory”. Zostaliśmy uprzejmie przywitani i poproszeni o chwilę cierpliwości. Nasza rozmówczyni zjawiła się zaledwie kilka minut później, zabiegana i pochłonięta obowiązkami prorektorki.

Zaprosiła nas do swojego gabinetu, w którym dopiero co się zadowoiliła. Pod ścianą wciąż czekały na rozwieszenie obrazy, ale biblioteczka była już wypełniona książkami, figurkami i drobną sztuką. Parapet był szczelnie obstawiony roślinami, a za biurkiem pani profesor wisiała podświetlana, drewniana mapa świata, o której od dawna marzyła.

Usiedliśmy na kanapie przy stoliku z karafką wody i bukietem świeżych, różowych tulipanów. Aż chciało się rozmawiać.

Gdybym miała spojrzeć na swoje badania z perspektywy ostatnich lat, powiedziałabym, że ich wspólnym mianownikiem zawsze pozostaje człowiek. To właśnie on interesuje mnie najbardziej: jego zachowania, motywacje, emocje, cały psychologiczny aparat, który wnosi do przestrzeni społecznej i politycznej – przestrzeni, na którą drugi człowiek odpowiada, reaguje, opowiada się po którejś ze stron z określonych powodów. Moje projekty rodzą się właśnie z uważnej obserwacji i z potrzeby zrozumienia tego, co dzieje się wokół nas.

Obecnie zajmuję się dwoma projektami. Pierwszy dotyczy teorii konspiracyjnych. Jak to często bywa w naukach społecznych, wyrósł on z obserwacji – a dokładniej z tych obserwacji, które pojawiły się wraz z wybuchem pandemii. Dostrzegłam wówczas coś, co wydało mi się szczególnie znaczące: wiele osób, także tych z wyższym wykształceniem, będących na różnych etapach życia zawodowego i prywatnego, zaczęło skłaniać się ku teoriom spiskowym.

To właśnie ta zagadka stała się dla mnie impulsem do stworzenia projektu i rozpoczęcia pracy nad nim, a także do zaproszenia – w duchu

interdyscyplinarności – wielu badaczy i badaczek przedstawicielei również innych dyscyplin naukowych. Dlaczego tak się stało? Dlaczego właśnie w tak trudnym momencie te narracje okazały się tak pociągające? Dlaczego porwały, można powiedzieć, w sposób nieracjonalny ludzi, którzy wcześniej opierali się na zupełnie innych źródłach wiedzy i innych poznawczych „kotwicach”? Z tych pytań wyrósł projekt międzynarodowy. Dziś pracujemy w gronie blisko dwudziestu osób, próbując uchwycić ten problem z wielu stron.

Dla mnie jest to temat niezwykle fascynujący. Powiem szczerze: z tego prostego pytania „dlaczego?” wyłoniło się wiele kolejnych wątków. Z jednej strony prowadziliśmy kwerendy i badania ilościowe, z drugiej zaś zdecydowaliśmy się na wywiady z osobami deklarującymi przekonania konspiracyjne. To nie było łatwe i stanowiło duże wyzwanie zarówno dla mnie, jak i dla całego zespołu. Najpierw trzeba było te osoby odnaleźć – i nie chodziło przecież o najbliższy krąg znajomych. Następnie należało przekonać je, by zechciały z nami porozmawiać i podzielić się swoimi motywacjami, emocjami oraz sposobem postrzegania rzeczywistości społeczno-politycznej, bo właśnie tego obszaru najczęściej dotyczą podobne wierzenia.

Proces rekrutacji do wywiadów trwał bardzo długo. Później konsekwentnie prowadziliśmy rozmowy i ostatecznie udało nam się porozmawiać z blisko setką osób. Było to dla mnie doświadczenie wyjątkowe, ponieważ po dwóch latach analiz ilościowych, mogliśmy skonfrontować wiele hipotez w bezpośrednim spotkaniu z ludźmi, którzy rzeczywiście te przekonania w sobie noszą. Mogliśmy sprawdzić, czy rzeczywiście pojawia się domknięcie poznawcze, czy takie przekonania są trudne do podważenia, czy rozmowa przebiega w kierunkach opisywanych w literaturze.

Było to niezwykle inspirujące. Oczywiście każdy wywiad rodził następne pytania i kolejne dyskusje. I chyba właśnie to jest w nauce najciekawsze: nigdy nie jest ona przestrzenią domkniętą; każde spotkanie z drugim człowiekiem otwiera coś nowego. Teorie spiskowe najczęściej definiuje się jako przekonanie o współdziałaniu rozmaitych agentów – ujmuję to tu szeroko – którzy łączą siły po to, by realizować cele złowrogie dla społeczeństwa. Bardzo często o taką współpracę oskarża się podmioty duże i wpływowe: koncerny farmaceutyczne, globalne elity, osoby szczególnie zamożne. W praktyce jednak niemal każdy dzisiejszy podmiot, który uznamy za wpływowy, może stać się – przynajmniej do pewnego stopnia – „ofiarą” teorii spiskowych.

Być może świat bez teorii spiskowych jest możliwy w jakimś idealnym porządku. Z drugiej strony, jako badaczka zapytam trochę przekornie, czy byłby

to świat równie poznawczo interesujący, bo teorie spiskowe naprawdę odsłaniają wiele prawd o naszej naturze. Pozwalają nam przyglądać się rozmaitym motywacjom i ukazują psychologiczne zaplecza, które jako ludzie nosimy w sobie. Ważne jest jednak to, by narracje te nie stawały się groźne i nie zagrażały demokracji.

Pytanie, które często powraca na naszych warsztatach, to czy powinniśmy walczyć z takimi teoriami. Z jednej strony, kiedy patrzymy na osobę o profilu spiskowym – i świadomie nieco tu przerysowuję – widzimy kogoś przepelnionego lękiem, poszukującego stabilności, szukającego wiedzy, która przyniesie ukojenie, kogoś, kto nie radzi sobie z niepewnością i przeskakuje cały proces dochodzenia do wiedzy, wybierając wyjaśnienia dające natychmiastową ulgę. Można by więc pomyśleć: „być może dobrze, że takie teorie istnieją”. Skoro nie każą ludziom sięgać po broń, skoro nie prowadzą bezpośrednio do przemocy, a niektórym przynoszą choćby chwilowe poczucie porządku i uspokojenia, może jest w nich coś pozornie pomocnego.

Okazuje się jednak, że obraz ten wcale nie jest tak pogodny. Takie odpowiedzi uspokajają tylko na chwilę. Zaraz potem pojawiają się kolejne pytania, a niepokój nie znika – przeciwnie, bywa wzmacniany. Każda teoria otwiera następne tropy, kolejne wątki, nowe podejrzenia, a wraz z nimi wyłania się kolejny wróg. A to jest szczególnie istotne. Kiedy próbujemy budować wspólnoty oparte na zaufaniu – wzmacniać społeczeństwo obywatelskie, podnosić poziom wzajemnej ufności – osoby, które wchodzą do wspólnoty przede wszystkim po to, by szukać przeciwnika, które są nastawione defensywnie i częściej wytyczają granice, niż współtworzą relacje, mogą stać się dla tej wspólnoty realnym zagrożeniem.

Teorie spiskowe były obecne w rzeczywistości społeczno-politycznej od zawsze i, jak wiemy, zwykle kierowały się przeciw jakiemuś wrogowi. Ten wróg bardzo często pozostaje nieokreślony. Dzięki temu łatwiej utrzymać go jako figurę zagrożenia. Można też powiedzieć inaczej: trudno wskazać go jednoznacznie, ponieważ w chwili, gdy zostaje nazwany, można z nim wejść w relację, próbować działać, podjąć realną konfrontację – a nie o to chodzi w logice tego rodzaju narracji.

Zachęcam jednak, by na teorie spiskowe (a może jeszcze trafniej: na wierzenia spiskowe) spojrzeć z innej strony – z perspektywy człowieka, w którym te przekonania zaczynają się rodzić. Dlaczego tak się dzieje? Czy dlatego, że świat rzeczywiście jawi się jako zagrażający, a my chcemy odnaleźć wroga i z nim walczyć? Niekoniecznie.

Kiedy patrzę na człowieka „od środka”, często widzę – jak zwróciłam wcześniej uwagę – osobę pełną lęku. To, że teorie te rozkwitły w czasie pandemii, a później dodatkowo nasiliły się wraz z wojną i agresją Rosji na Ukrainę, pokazuje również, że nie poradziliśmy sobie do końca z własnym lękiem. Z dnia na dzień duża grupa ludzi utraciła poczucie bezpieczeństwa na najbardziej podstawowych poziomach: z jednej strony psychologicznego, z drugiej związanego z wpływem na świat zewnętrzny.

Wystarczy przypomnieć sobie początek pandemii. Zostaliśmy zamknięci w domach. Na początku perspektywa wydawała się krótka: kilka dni. Potem zrobił się z tego miesiąc, później kolejne miesiące, a horyzont stabilności coraz bardziej się oddalał. Trudno było znaleźć coś, na czym można się oprzeć. Dodatkowo zostaliśmy odseparowani od bliskich, kontakt został ograniczony, a nierzadko po prostu zabrakło punktów oparcia.

Równolegle narastało poczucie zagrożenia społecznego i politycznego: napięcia, konflikty, niepokoje wokół nas. Wszystko to wzmacniało lęk. Powiedziałabym, że był to ogromny wstrząs dla człowieka – wstrząs złożony z wielu nakładających się na siebie czynników.

Jeśli mamy wypracowane narzędzia – wiemy, jak zachować się w kryzysie, do kogo zadzwonić, na kim się oprzeć, potrafimy uruchomić własne zasoby i sieć wsparcia – wówczas próbujemy dawać sobie radę, choć oczywiście tylko do pewnego momentu. Dla mnie tamten czas był doświadczeniem totalnym. I właśnie wtedy pojawia się pytanie: czy rzeczywiście dysponujemy takimi mechanizmami? Czy wyposażamy młodych ludzi w umiejętności radzenia sobie ze stresem, budowania sieci wsparcia, działania w sytuacjach kryzysowych? Stawiam tu znak zapytania. Mam wrażenie, że pandemia dobitnie pokazała, iż nie zawsze.

Teorie spiskowe dają przede wszystkim szybką odpowiedź na szereg pytań, które pojawiały się zarówno w przestrzeni publicznej, jak i w naszych domach. I ta odpowiedź – nawet jeśli absurdalna, nieracjonalna, sprzeczna z wiedzą, z którą żyliśmy przez całe lata – dla wielu osób była cenna właśnie dlatego, że się pojawiła. Dawała złudne poczucie uspokojenia. Pozwalała wyjść ze stanu zawieszenia w niepewności.

To potwierdziło się również w naszych wywiadach. Okazało się, że dla osób o silnie ukształtowanych przekonaniach konspiracyjnych najtrudniejsze jest właśnie trwanie w niepewności. One szukają odpowiedzi. Oczywiście można dyskutować o tym, czy odpowiedź ta jest prawdziwa, racjonalna, uzasadniona – ale nie to stanowi istotę problemu. Sedno tkwi w tym, że gdy odpowiedź się

pojawia, człowiek może „pójść dalej”. Gdy jej nie ma, uruchamia się w nim cały szereg emocji, z którymi – w swoim własnym odczuciu – nie potrafi sobie poradzić.

Drugi projekt, który w ostatnich latach szczególnie mnie inspiruje, od początku realizowany był w ramach OPUS Narodowego Centrum Nauki. Dotyczy on specyficznej grupy: potencjalnych wyborców i wyborczyń powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia, czyli tak zwanych *grey voters*. Ten projekt także wyrósł z obserwacji świata wokół nas – z diagnoz i prognoz dotyczących starzejących się społeczeństw. Dla mnie, jako politolożki i psycholożki, pojawiło się tu wiele pytań: jak będzie wyglądała w przyszłości przestrzeń społeczno-polityczna? Czy rzeczywiście zdominują ją wartości szczególnie silnie wyrażane przez osoby starsze? Czy komunikacja kampanii wyborczych zostanie ukierunkowana przede wszystkim na seniorów? Czy wraz ze społeczeństwem starzeć się będzie także scena polityczna, podporządkowując się mechanizmom dotyczącym tego, kogo wybieramy, komu ufamy, kogo obdarzamy poparciem? Te i wiele innych pytań stały się punktem wyjścia do napisania projektu. Udało się go zdobyć i przyznam szczerze, nie przypuszczałam, że będzie rezonował aż tak mocno.

Dlaczego? Ponieważ jest to panel. Od początku zakładaliśmy prowadzenie bezpośrednich wywiadów z osobami dobieranymi losowo do badania. Początkowo próba liczyła ponad dwa tysiące osób.

Wywiady udało nam się przeprowadzić z blisko pięciuset osobami z całej Polski. Prowadzili je młodzi badacze – doktoranci i młodszy pracownicy uczelni. Zostali bardzo starannie przeszkoleni, abyśmy mogli podchodzić do tych rozmów w sposób możliwie uniwersalny, porównywalny i rzetelny. Równie ważny był dla nas wymiar etyczny: zależało nam, by wszystkie działania pozostawały w zgodzie z wysokimi standardami etycznymi. Szybko jednak okazało się, że nie są to „tylko” wywiady. Nie chodziło wyłącznie o zdobywanie odpowiedzi czy inspirowanie dalszych poszukiwań. Między ankietarami a uczestnikami badania zaczęła rodzić się szczególna więź. Po powrotach z terenu dzieliliśmy się przeżyciami na wspólnej grupie whatsappowej.

Od początku wiedzieliśmy, że rozmowy nie mogą być zbyt długie: nie chcieliśmy przemęczać uczestników, a jednocześnie mieliśmy świadomość, że prosimy ich o coś bardzo cennego – o ich czas. Zakładaliśmy więc, że wywiad potrwa maksymalnie około godziny. Tymczasem większość z nich trwała kilka godzin. Bardzo trudno było te spotkania przerwać. Były to opowieści o historii,

o współczesności, o doświadczeniu, o porównaniach między „kiedyś” i „dziś”. Z perspektywy czasu nazwałabym to intermentoringiem: spotkaniem ludzi, którzy przychodzili jako badacze, z tymi, którzy stawali się w pewnym sensie autorami nowych opowieści.

Ponieważ jest to projekt panelowy, dziś – po wyborach prezydenckich – jesteśmy na etapie ostatniej, czwartej fali. Chciałabym podkreślić, że z uczestnikami badania bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Dzwonią do nas, a my wysyłamy im kartki świąteczne. Staramy się pamiętać o ich urodzinach. Zdarza mi się odbierać telefony, bo udostępniłam uczestnikom swój numer, i czasem któraś ze starszych osób dzwoni tylko po to, by powiedzieć, że w jej życiu wydarzyło się coś dobrego. Ktoś wyszedł ze szpitala mimo ciężkiej choroby. Komuś urodziła się wnuczka. Ktoś zrealizował wymarzoną wycieczkę, przeżył coś ważnego, spełnił marzenie. To jest niezwykle budujące. Oczywiście nie jest to coś, o czym mówi sam projekt i co będziemy raportować w sensie naukowym. Mnie jednak bardzo wzmacnia jako osobę prowadzącą te badania i daje mi poczucie, że mają one sens znacznie większy niż tylko poszukiwanie odpowiedzi na określone pytania.

Pierwsze wyniki badań zainspirowały mnie do stworzenia Centrum Badawczego Społecznej Aktywizacji Seniorów przy Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Wyniki wyraźnie pokazały nam, że osoby starsze chcą działać. Zmiany demograficzne nie są wyłącznie kwestią ilościową – niosą też zmianę jakościową. Ja nazywam to zjawisko „nową starością”. Osoby starsze chcą być aktywne. Chcą mieć wpływ na swoje otoczenie społeczne, także polityczne. Pytają, dokąd mogą pójść, w jaki sposób mogą się sieciować. Mają mnóstwo pytań o współczesną rzeczywistość społeczno-polityczną, o media społecznościowe, o to, jak w tym świecie się odnaleźć. Dlatego w ramach centrum zapropowowaliśmy różnego rodzaju treningi i warsztaty aktywizujące.

Są to spotkania, które z jednej strony odwołują się do wartości demokratycznych: pokazujemy, że działanie ma sens, staramy się upodmiotawiać uczestników, uświadamiać im, że ich głos naprawdę ma znaczenie. Z drugiej strony otwieramy przed nimi świat Internetu i technologii: pokazujemy, że sieć i telefon mogą służyć czemuś więcej niż tylko kontaktowi z bliskimi. Zapraszamy choćby do muzeów online, otwieramy dostęp do kultury i edukacji.

Prezentujemy również folklor, historię, różne lokalne tożsamości. W ramach poszczególnych grup próbujemy te tożsamości rozpoznawać i wzmacniać. I to zadziałało fantastycznie. Z jednej strony na uczestników – bo wracają, pytają, w czym jeszcze mogą uczestniczyć. Z drugiej strony działa to także na nas, bo

z każdego spotkania wychodzimy bogatsi o nowe doświadczenie. Nigdy nie wygląda to tak, że przychodzimy, przedstawiamy temat jak na klasycznych zajęciach, ktoś coś zanotuje albo nie, po czym wychodzi i wszystko się kończy. To są prawdziwe warsztaty: interakcja, rozmowa, dzielenie się wspomnieniami i doświadczeniem. Takich spotkań nie da się powtórzyć. Każda grupa, każda historia i każde spotkanie są inne.

Czuję, że doświadczenie tego projektu niezwykle mnie rozwinęło także jako człowieka i nie chciałabym z tego rezygnować. Można powiedzieć, że jest to praktyczna implementacja w otoczeniu społecznym tego, co zainicjowały badania społeczne.

W moim odczuciu nauki społeczne przede wszystkim pozwalają nam rozumieć świat. Dzięki określonej metodologii potrafimy spojrzeć krytycznie zarówno na to, co już się wydarzyło, jak i na to, co dzieje się teraz, a przez to próbujemy myśleć o przyszłości. Ostrożnie podchodzę do uniwersalnego słowa „zmiana”, bo badania nie zawsze muszą prowadzić do bezpośredniej przemiany rzeczywistości. Czasem równie cenne okazuje się samo trafne rozpoznanie stanu, w którym dziś jesteśmy. Kiedy jednak myślę o innych projektach, które miałam okazję prowadzić, widzę, że starałam się, by każdy z nich w jakimś sensie coś wnosił – by pozostawiał wartość dodaną. Odwołując się choćby do wspomnianego wyżej projektu: o osobach starszych coraz rzadziej mówi się wyłącznie jako o potencjalnych wyborcach, których należy „pozyskać” w kampanii. Coraz częściej zastanawiamy się nad tym, jakie wartości są dla nich ważne, jak do nich docierać, ale jednocześnie pamiętamy, że to przede wszystkim obywatele – ludzie wokół nas, część społeczeństwa, które także współtworzymy. Możemy i powinniśmy budować wspólnotę, a pytanie o to, jak to robić, jest pytaniem fundamentalnym. W tym właśnie sensie nauki społeczne są dla mnie tak inspirujące.

Jak wspomniałam, obawiałabym się aż tak jednoznacznego pojęcia jak „zmiana”. Powiedziałabym raczej: analiza i zmiana warunkowa. Właśnie tak rozumiem sens wielu działań badawczych – i takie podejście staram się stosować.

Jest mi bardzo daleko do narracji, wedle której największą satysfakcją w pracy naukowej jest publikacja artykułu. Dla mnie publikacja jest raczej efektem niejako „ubocznym” pracy badawczej: sposobem podzielenia się z otoczeniem naukowym, z badaczami w środowisku międzynarodowym, tym, do czego udało nam się dojść. To możliwość pokazania wyników i wniosków, ale też pytań,

które z tych wyników wyrastają. Publikowanie artykułów traktuję jako formę dialogu z innymi badaczami, do których nie zawsze mam bezpośredni dostęp. Nie zawsze możemy usiąść przy jednym stole i porozmawiać, ale mogę coś opublikować, ktoś może na to odpowiedzieć – choćby poprzez cytowanie – ja mogę to przeczytać, odnieść się, i w ten sposób rodzi się naukowy dialog.

Dla mnie prawdziwa satysfakcja kryje się w samym procesie. To właśnie tam pojawia się „*flow*”. Staram się unikać spotkań online, bo są dla mnie mało produktywne – niezależnie od tego, czy mówimy o zarządzaniu, czy o pracy nad projektami naukowymi. Oczywiście nie zawsze da się tego uniknąć, ale jeśli mam wybór, najbardziej rozwojowe jest bycie razem: siedzenie przy jednym stole, rozmowa, dyskusja, wzajemna interakcja. To właśnie nauka dziejąca się w procesie, we wspólnym realizowaniu projektu. Na początku mamy jedno pytanie, ale kiedy zapraszamy do projektu inne osoby, one przychodzą z własnymi pytaniami. Wówczas efekt nie jest już sumą pytań ani sumą odpowiedzi – ma charakter mnożnikowy, bo uruchamia się dyskusja, napięcie intelektualne, interakcja. Gdybym więc miała powiedzieć, gdzie znajduje się największa satysfakcja, odpowiedziałabym, że w samym poszukiwaniu, nie w znalezieniu odpowiedzi. Odpowiedź jest tylko rezultatem. Zresztą chyba nigdy nie odnaleźliśmy w nauce jednej ostatecznej odpowiedzi, po której można by powiedzieć: „to już koniec, projekt jest zamknięty”. I może właśnie to jest w naukach społecznych najciekawsze.

Jedną z ważnych rzeczy potrzebnych mi do pracy badawczej jest sen. Od lat staram się dbać o to, by dobrze się wysypiać, bo niezależnie od tego, ile mamy pracy – a ja mam jej dużo, ponieważ jest moją pasją – zmęczony organizm nie funkcjonuje tak, jak powinien. Wyraźnie widzę, że potencjał uwalnia się znacznie lepiej wtedy, gdy mogę spać siedem, osiem godzin. To jest dla mnie sprawa bezdyskusyjna.

Do września, kiedy objęłam funkcję prorektora do spraw nauki Uniwersytetu Śląskiego, większość pracy wykonywałam w domu. Rzeczywiście zdarzało się, że pracowałam pod kocem z komputerem na kolanach. Komfort ciszy – chwili, w której wyłączałam telefon, radio i ograniczałam bodźce – był dla mnie czymś niezwykle cennym. W domu powstawały zarówno teksty, jak i projekty.

Dziś jest to większe wyzwanie: trzeba ten czas z codzienności dosłownie wycinać. Przyznaję, że często znajduję go w weekendy. Zdarza się też, że pracuję bardzo wcześnie rano – potrafię wstać o czwartej czy piątej, oczywiście pod warunkiem, że wcześniej położę się spać, bo, jak już mówiłam, pilnuję

snu. I znów: kluczowa jest dla mnie cisza. Cisza ma dla mnie ogromne znaczenie, być może dlatego, że moja rodzina to muzycy: starszy syn gra na perkusji, młodszy na trąbce i pianinie, mąż na skrzypcach i pianinie, a do tego mamy psa, który również potrafi „śpiewać”. I powiem szczerze: kiedy wchodzę w ciszę, ona mnie stymuluje. Pozwala mi usłyszeć własne myśli, zanurzyć się w książce, w pracy, w sobie samej – i bardzo to cenię.

Odpoczywam aktywnie. Trudno mnie „posadzić” tak, bym niczego nie myślała i nic nie robiła. Najlepszą formą odpoczynku jest dla mnie ruch: karate, fitness, pływanie, narciarstwo, różne sporty, które przez dłuższy czas uprawiałam razem z dziećmi. Dziś bywa z tym różnie – bo wiadomo, szkoła, obowiązki, codzienność zabierają czas – ale sport zawsze dawał mi równowagę. Niezależnie od pory dnia staram się znaleźć choćby pół godziny czy godzinę na ćwiczenia i nie szukać wymówek.

Jestem też otoczona sztuką. Z jednej strony mam rodzinę muzyków, z drugiej – jest coś, czego kiedyś spróbowałam jako formy odpoczynku: decoupage, malowanie, tworzenie obrazów z wełny chesankowej i podobne działania. Nie powiem, że mam w tym szczególny talent, ale samo tworzenie sprawia mi przyjemność. Być może to po prostu inna odsłona nauki: tam tworzymy i tutaj tworzymy.

Chciałabym móc powiedzieć, że naukę da się porzucić, wyłączyć, zamknąć za sobą drzwi i wejść w zupełnie inne życie, ale chyba w rzeczywistości nie ma na to miejsca. Z jednej strony pracujemy przecież w naukach społecznych, a przedmiot naszej pracy jest taki, że my sami jesteśmy jego częścią. Bardzo trudno oddzielić to, co dzieje się w naszym życiu – czego doświadczamy i w czym uczestniczymy – od badań, pomysłów i projektów.

Z drugiej strony trudno mi to oddzielić także dlatego, że nauka jest moją pasją. Jeśli mówimy o hobby, odpoczynku czy budowaniu relacji, to bardzo często są to te same kręgi: kręgi naukowe, kręgi inspiracji. Moi przyjaciele również należą do tego świata, więc kiedy się spotykamy i rozmawiamy, wzajemnie pobudzamy się do myślenia.

Trudno się z nauki wyłączyć. Racjonalnie patrzę na swoje życie, ale też pytam: czy to naprawdę coś złego? Nie wiem. Nie odbieram tego jako czegoś, co zagraża mojemu życiu czy mnie zubaża. Jak już powiedziałam, nauka jest moją pasją, a drugim człowiekiem również pasjonuję się głęboko. I mam poczucie, że jestem szczęściarą, skoro mogę to wszystko połączyć jednym wspólnym mianownikiem.

Grażyna Piechota

NAUKA STAJE SIĘ DZISIAJ DUŻO BARDZIEJ
ZGLOBALIZOWANA | ODC. 18



Każdy obszar badań, który był przedmiotem moich zainteresowań, uznawałam za ważny. Jednocześnie, po stwierdzeniu, że dalsze badania nic nowego nie wniosą, decydowałam o ich zakończeniu. Stąd przedmiot moich zainteresowań naukowych na przestrzeni lat był ewaluowany i zmieniany, wciąż jednak koncentruje się na analizach poświęconych procesom komunikowania i społeczeństwu obywatelskiemu.

Doktor habilitowana Grażyna Piechota

Do Krakowa wróciliśmy po raz drugi. Tym razem przywitała nas przyjemna, wiosenna pogoda. Delikatny wiatr i poranne słońce padające na charakterystyczne, czerwone mury Uniwersytetu Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Przed nim rozciągały się zielone trawniki, które kontrastowały z imponującym budynkiem.

Wnętrze zrobiło na nas równie duże wrażenie. Przestronne, jasne, eleganckie. Na długim korytarzu otoczonym kolumnami umieszczono wzbudzającą emocje wystawę artystyczną, którą mieliśmy przyjemność przez chwilę podziwiać.

Po krótkim spacerze natknęliśmy się na naszą bohaterkę, profesor Grażynę Piechotę. Zaprosiła nas prosto do uniwersyteckiej kawiarni. Już od progu poczuliśmy zapach świeżo parzonej kawy i ciast.

Światelka zawieszona pod sufitem, wygodne kanapy i kolorowe poduszki tworzyły ciepły, przytulny klimat, sprzyjający uczącym się studentom. Pani profesor zaproponowała nam coś do picia i z napojami w dłoniach ruszyliśmy dalej.

Trafiliśmy do jednej z sal wykładowych. W jej rogu rzucał się w oczy klasyczny grafoskop. Usiedliśmy w jednej z ławek i zaczęliśmy naszą rozmowę o ruchach społecznych, komunikacji i podróżach.

Przed wszystkim tym, co dzisiaj wyróżnia pojawiające się ruchy aktywistyczne, nowe ruchy społeczne są zróżnicowane formy buntu intelektualnego. Szczególnie istotne są memy, grafiki, wykorzystywanie nowych technologii w komunikowaniu i przekazywaniu informacji. Formy twórcze przejawiają się w przestrzeniach wirtualnych i tych realnych – jako graffiti czy inne formy sztuki ulicznej.

Przykładem jest Ostatnie Pokolenie, którego aktywiści funkcjonują w rzeczywistości realnej, a dopiero efekty ich działań stają się przedmiotem analiz sieciowych. Blokowanie ruchu czy oblewanie farbami różnych dzieł artystycznych – pomników, obrazów – ma zwrócić uwagę na fakt, że młodzi ludzie czują się dzisiaj ostatnim zagrożonym pokoleniem, w związku ze zmianami klimatycznymi.

Trudno jest dzisiaj jednoznacznie, pozytywnie albo negatywnie, ocenić takie aktywności młodych ludzi. Na pewno trzeba powiedzieć jedno: gdyby nie tak radykalne formy buntu, które się pojawiają – namacalne, a czasem utrudniające ludziom życie – to prawdopodobnie nikt nie zwróciłby uwagi na postulaty i na presję, którą młodzi ludzie próbują wywierać na polityków czy opinię publiczną.

Należy też pamiętać, że w mediach społecznościowych ruch społeczny zwykle rodzi ruch stojący do niego w kontrze. Ten „kontrruch” również wykorzystuje media społecznościowe i dochodzi do sieciowych konfrontacji, a czasami wręcz do „wojen” – oczywiście używam tu metafory – do konfliktów, które potrafią

przybierać charakter twórczy. Bardzo często odbywa się to za pomocą memów: jedna strona tworzy mem, druga strona robi to samo. Jedna strona tworzy hashtag, pod którym gromadzi wpisy, komentarze, reakcje użytkowników – druga strona również to robi. Zwykle towarzyszy temu bardzo silna polaryzacja.

Ruchy społeczne we współczesnym świecie pełnią jedną z najistotniejszych ról. Używamy też określenia, które wprowadził Manuel Castells, a mianowicie „ruchy usieciowione”. Trudno dziś postrzegać ruchy społeczne jako takie, które nie wykorzystują mediów społecznościowych, bo jest to – przynajmniej na pierwszym etapie aktywizacji – podstawowy kanał komunikowania.

Przyglądając się roli i znaczeniu ruchów społecznych, wystarczy wskazać kilka przypadków, kiedy z ruchów społecznych narodziły się nowe partie polityczne. Emmanuel Macron podchodził do wyborów prezydenckich, w których wygrał pierwszą kadencję, jako lider ruchu En Marche. Dopiero z tego ruchu, po zwycięstwie Macrona, wyłoniła się partia polityczna, która później wygrała wybory parlamentarne.

Mamy również podobny przypadek w Polsce. W wyborach na urząd prezydenta w 2020 roku, Szymon Hołownia startował jako lider ruchu Polska 2050. Dopiero po uzyskaniu bardzo dobrego wyniku ukształtowała się partia polityczna, która znalazła się w polskim parlamencie.

To pokazuje, że dzisiaj, jeśli chodzi o pojawianie się nowych podmiotów politycznych, ruchy społeczne mają kluczowe znaczenie. Jednocześnie generują one zmiany społeczne i kulturowe.

Znowu jako przykład można podać aktywizację ruchów społecznych, które pojawiły się podczas protestów kobiet. Najpierw czarnych marszów, później ten proces na około cztery lata nieco przygasł. Kiedy jednak Trybunał Konstytucyjny uznał jedną z przesłanek dopuszczalności aborcji za niezgodną z Konstytucją, ponownie nastąpił zryw ruchów społecznych, powodując mobilizację Polaków sprzeciwiających się tym zmianom.

Pisząc monografię, w której analizowałam okres między latami 2016 a 2022, poświęconą zmianie kulturowej w Polsce, wskazywałam, że jednym z istotnych elementów, które pojawiają się w przyszłych kampaniach wyborczych, a na pewno w dyskursie publicznym, będą właśnie kwestie aborcji, związków partnerskich oraz praw mniejszości seksualnych.

Upływ czasu potwierdził słuszność tych twierdzeń. Ruchy społeczne skutecznie wprowadziły do dyskursu publicznego w Polsce kwestie praw kobiet czy związków partnerskich. Obecnie nawet media tradycyjne poruszają te tematy w rozmowach z politykami, wywierając na nich presję i wykorzystując argumentację wcześniej wysuwaną przez ruchy społeczne.

W mojej opinii rola i siła ruchów społecznych w najbliższych latach wciąż będzie rosła, ze względu na ich zdolność do mobilizowania ludzi. I nawet jeśli część z tych osób pełni jedynie rolę wspierającą – czyli uprawia „slacktywizm” albo „kliktywizm” (udostępnianie hasztagów, zdjęć i relacji oraz oznaczenie swoich postów nakładkami wyrażającymi poparcie dla aktywności ruchów, a czasami wyłącznie śledzenie oporu społecznego w mediach społecznościowych) – to mimo wszystko rośnie też liczba osób, które aktywnie włączają się w działania ruchów społecznych.

W sensie politycznym Strajk Kobiet nie odniósł sukcesu, bo nie zostały osiągnięte cele, które przyjęto: ustawa nie została zliberalizowana, nie wprowadzono ustawy o związkach partnerskich, nie zadbano też o prawa dla mniejszości społecznych.

Zwrócono natomiast uwagę na konkretne kwestie, które są istotne – i to nie tylko dla kobiet, bo przypominam, że zgodnie z dzisiejszą literą prawa każdy, czyli chociażby partner, który chce wesprzeć swoją partnerkę w dokonaniu aborcji, na przykład dostarczy jej środków farmakologicznych, może zostać za to ukarany na gruncie obowiązujących przepisów.

W związku z tym nie są to wyłącznie problemy dotyczące kobiet bezpośrednio. To kwestie, które mogą oddziaływać na całe rodziny. Wprowadzenie tej tematyki do dyskursu publicznego, zadawanie politykom trudnych z ich punktu widzenia pytań, skłanianie do refleksji społeczeństwa można uznać za sukces tych ruchów społecznych, które powstały albo zaktywizowały się wokół Strajku Kobiet. To, co się wydarzyło na przełomie lat 2020–2021, doprowadziło do zmiany społecznej i kulturowej w Polsce.

W 2016 roku, kiedy zaczęły się protesty kobiet zwane Czarnymi Marszami, zwolenników kompromisu aborcyjnego, czyli przepisów obowiązujących do momentu orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, było około 70%. W tej chwili takiego poziomu procentowego sięga społeczne poparcie liberalizacji przepisów.

Zmiana kulturowa zaszła bardzo szybko. Proces edukacji społeczeństwa, zwracania uwagi na zagadnienia dotąd traktowane jako tematyka poza agendą

medialną, doprowadził do ukształtowania w społeczeństwie przekonania, że działania władz mogą realnie wpływać na życie ludzi, także w obszarze ich prywatności, a wręcz sfery życia intymnego. Postrzegając Strajk Kobiet z tej perspektywy, można uznać efekty pośrednie za sukces ruchu.

Analiza procesów komunikowania podczas Strajku Kobiet – potwierdziły to badania, które przeprowadziłam i opublikowałam w monografii poświęconej obszarom cyfrowego buntu kobiet – wykazała, że tradycyjne rozumienie kobiecy-aktywistki, zaangażowanej politycznie czy społecznie odchodzi już w niebyt. Kobiety pełnią inne funkcje, realizują się w zróżnicowanych przestrzeniach. I użycie określenia – ja też użyję go świadomie – „wypierdalać” nie miało charakteru wulgaryzmu. To był fakt społeczny, który pojawił się w związku z tym, że, jak mówi profesor Piotr Sztompka, w momencie narodzin i eksplozji ruchu społecznego doszliśmy do takiego punktu, w którym gniew kobiet po prostu eksplodował.

Oczywiście dla wielu, zwłaszcza polityków prawicowych oraz osób o bardziej konserwatywnych poglądach, było to słowo niewłaściwe, traktowane wyłącznie jako wulgaryzm. Natomiast trudno sobie wyobrazić, jakiego innego określenia mogłyby użyć kobiety w sytuacji, w której podjęto kolejny krok mający ograniczyć ich prawa, ingerować w sposób znaczący nie tylko na ich życie, ale też na życie całych rodzin. Więc użyte kontrowersyjne słowo, miało też wymiar informacyjny: kobiety pełnią dziś inne role społeczne, próby ich zamknięcia w domu, podtrzymywania ich roli opiekunek i matek – łagodnych i spolegliwych, nawet kiedy protestują w ważnych politycznie i społecznie sprawach – dzisiaj po prostu już nie działa.

Dlatego w ramach protestów pojawiły się też hasła, które w pewnym stopniu budziły kontrowersje, nawet u tych, którzy popierali sam protest i jego podstawowe postulaty. Natomiast niewątpliwie zróżnicowanie haseł miało skłonić ludzi do refleksji, pokazać, że rzeczywistość ulega zmianie. I próba powrotu do poglądów – powiedziałabym, dziewiętnastowiecznych – na temat kobiety, rodziny i roli kobiety w rodzinie, po prostu nie wytrzyma próby czasu.

Każdy obszar badań, który był przedmiotem moich zainteresowań, uznawałam za ważny. Jednocześnie, po stwierdzeniu, że dalsze badania nic nowego nie wniosą, decydowałam o ich zakończeniu. Stąd przedmiot moich zainteresowań

naukowych na przestrzeni lat był ewaluowany i zmieniany, wciąż jednak koncentruje się na analizach poświęconych procesom komunikowania i społeczeństwu obywatelskiemu.

Badania społeczne są w moim przekonaniu bardzo ważne. Oczywiście, mówiąc o interdyscyplinarności, nie możemy ograniczać się do współpracy w ramach dyscyplin w samych naukach społecznych. Pojawia się coraz więcej obszarów również w naukach medycznych i technicznych, które powinny być uwzględniane w projektach badawczych w połączeniu z naukami społecznymi. O naukach humanistycznych nie chcę się wypowiadać, bo po prostu w nich nie funkcjonuję i nie znam ich istoty.

Natomiast badania społeczne pozwalają nam zrozumieć rzeczywistość i opisać ją, ale powinny też dawać odpowiedzi na pytanie, jak radzić sobie z pewnymi zjawiskami, które mają charakter patologiczny, zagrażają rozwojowi społeczeństwa albo stanowią ryzyko dla określonych grup społecznych. Badania podstawowe w naukach społecznych powinny wykazywać się potencjałem diagnostycznym, wskazywać zjawiska przyszłe. Rozwój teorii naukowych oraz pogłębione badania empiryczne prowadzone w przestrzeni międzynarodowej stanowią wartość nie tylko z perspektywy nauk społecznych, także w innych dziedzinach, gdzie mogą znaleźć swoje wykorzystanie. Z tej perspektywy badania społeczne są bardzo ważne. Jednocześnie pojawia się tu dość istotna przeszkoda: efekty badań społecznych często są pomijane. Chociaż, dla dobra społecznego, wyniki analiz zjawisk społecznych powinny być implementowane do systemu prawnego, który często nie jest dostosowywany do nowych pojawiających się zjawisk.

Decydenci nie chcą brać pod uwagę wyników badań w takich zakresach, w których zmusiłyby ich one – czy to w ramach władzy ustawodawczej, czy wykonawczej – do podejmowania trudnych decyzji, a następnie do zakomunikowania tych decyzji społeczeństwu. To mogłoby się wiązać z negatywnymi konsekwencjami: spadkiem poparcia dla konkretnej partii politycznej, a nawet utraty władzy.

I wydaje mi się, że to jest ta podstawowa przeszkoda w implementacji pożądanых rozwiązań wynikających z badań społecznych. Kiedy nagrywamy ten podcast, trwa kampania wyborcza, jest już na finiszu. Dziennikarze zadają

czasami bardzo konkretne pytania politykom, kandydatom na urząd prezydenta i widzimy, jak wielu z nich stara się unikać odpowiedzi na trudne pytania albo udziela odpowiedzi dyplomatycznych, które w praktyce niewiele znaczą.

Myślę, że ta doraźność polityki – to, że politycy w dużej mierze koncentrują się na zdobyciu władzy, dotrzwaniu do końca kadencji oraz reelekcji – powoduje, że nie podejmują tematów naprawdę istotnych, choć nauki społeczne zidentyfikowały je jako problemy już dawno.

Tajwan jako państwo – i będę tu świadomie używać słowa „państwo”, a nie „miejsce” czy „wyspa”, bo wiemy, że Tajwan ma skomplikowaną sytuację prawnomiędzynarodową – przypisuje naukowcom określoną rolę społeczną i miejsce w hierarchii społecznej.

Na Tajwanie do nauki i naukowców podchodzi się poważnie. Bardzo wielu tajwańskich naukowców przygotowywało doktoraty czy to w Stanach Zjednoczonych, czy w państwach Unii Europejskiej. To pokazuje, że na wyspie stawia się wysokie wymagania osobom, które chcą być dydaktykami albo naukowcami.

Na Tajwan zaprasza się wielu naukowców z różnych dyscyplin – od nauk ścisłych i przyrodniczych po nauki społeczne i humanistyczne – po to, żeby poszerzać wiedzę, rozwijać ją i otwierać się na inne spojrzenia, które mogą się pojawiać w kontekście współpracy międzynarodowej.

Tajwan w przestrzeni globalnej jest znany i rozpoznawalny przede wszystkim za sprawą technologii. Około 75% półprzewodników jest produkowanych na Tajwanie, co jest też jednym z powodów, dla których Chiny od wielu lat mają ambicje przejęcia wyspy. Niemniej Tajwan nie rozwija się wyłącznie technologicznie, ale stawia również na działania, mające docelowo wzmacniać społeczeństwo obywatelskie.

Badania prowadzone przez badaczy z innych krajów (chciałam powiedzieć „obcokrajowców”, ale to chyba nie jest najlepsze określenie) są akceptowane do finansowania przez stronę tajwańską wtedy, kiedy ta uznaje je za potrzebne albo szczególnie interesujące. I często dochodzi do sytuacji, w której naukowcy tajwańscy współpracują, a czasem wręcz pracują w zespołach z badaczami z innych państw. I nie dotyczy to tylko osób ze Stanów Zjednoczonych czy z Unii Europejskiej.

Tworzone są okazje do tego, żeby naukowcy z innych państw regionu Azji Południowo-Wschodniej mogli rozwijać swoje kompetencje naukowe i następnie przenosić je do projektów realizowanych w swoich krajach. Tajwan stara

się podejmować działania demokratyzujące, wspierając państwa regionu w ich ambicjach i dążeniach do bycia demokratycznymi.

Nie jest więc tak, że naukowcy z innych krajów „przejmują” badania od Tajwańczyków. Raczej powstają więzi oparte na współpracy i wymianie doświadczeń. Z perspektywy naukowców niebędących Tajwańczykami ciekawe jest to, że podobne zjawiska społeczne można postrzegać i interpretować z innej perspektywy.

Prowadząc badania nad wizerunkiem Tajwanu w przestrzeni międzynarodowej, ale też w obszarze mediów tajwańskich, zorientowałam się, że realizuję w pewnym stopniu projekt unikalny, o czym dowiedziałam się podczas prowadzonych wykładów. Jego unikalność wynikała z tego, że na Tajwanie znacznie mniej badań prowadzonych jest w obszarze mediów tradycyjnych. Postęp technologiczny sprawia, że analizy koncentrują się w przestrzeni cyfrowej, ustalając treści i wpływ społeczny mediów cyfrowych. Wynika to z faktu, że ponad 90% Tajwańczyków jest aktywnych w sieci, stamtąd czerpie informacje, rozwija więzi społeczne i przede wszystkim tam działa chińska dezinformacja, którą władze Tajwanu coraz skuteczniej zwalczają.

Postrzegam współpracę naukową jako obszar wymiany doświadczeń: umożliwiania nam – badaczom z innych krajów, poznawania realiów oraz sposobów działania badaczy tajwańskich, a także – z drugiej strony – przedstawiania, jak funkcjonujemy w swoich ekosystemach akademickich. Nauka staje się dzisiaj dużo bardziej zglobalizowana. Coraz więcej konferencji naukowych jest organizowanych wspólnie przez uniwersytety położone na różnych kontynentach. Ja wybieram się na konferencję do Salonik, współorganizowaną przez uniwersytety europejskie oraz pochodzące z Hongkongu i z Korei Południowej.

Metody prowadzenia badań, uzyskiwane wyniki i ich konfrontacja w przestrzeni międzynarodowej, a także same procesy funkcjonowania badaczy pochodzących z różnych państw, ale i szerzej – ze zróżnicowanych kręgów kulturowych w dobie globalizacji są normalnym sposobem funkcjonowania w przestrzeni naukowej.

Mój ostatni pobyt (kilkumiesięczny, w ubiegłym roku) był kolejnym pobytem naukowym finansowanym przez tajwańskie instytucje naukowe, de facto przez rząd Tajwanu. Podczas ostatniego pobytu zrealizowałam projekt naukowy

poświęcony wizerunkowi Tajwanu w kontekście wprowadzenia w maju 2019 roku równości małżeńskiej. Były to przepisy bardzo innowacyjne w tamtym regionie, ponieważ Tajwan był pierwszym azjatyckim państwem, w którym wprowadzono równość małżeńską. Czyli: osoby tej samej płci mogą zawrzeć związek małżeński i mają te same prawa, jakie obowiązują w małżeństwie zawartym przez kobietę i mężczyznę. To rozwiązanie było konsekwencją orzeczenia Sądu Najwyższego Tajwanu z 2017 roku, że brak możliwości zawarcia małżeństwa przez osoby tej samej płci jest ich dyskryminacją i przejawem nierówności wobec prawa.

Pierwotnie zakładano, że zostaną wprowadzone związki partnerskie, dla których poparcie w społeczeństwie Tajwanu wynosiło około 70%. Natomiast rząd – progresywna partia rządząca od 2016 roku – zdecydował, że nie będą wprowadzane związki partnerskie, tylko od razu równość małżeńska. W pierwotnym kształcie przepisy były nieco ograniczone: związek małżeński można było zawrzeć również wtedy, gdy jedna z osób była cudzoziemcem, ale w kraju pochodzenia tej osoby musiała obowiązywać równość małżeńska. Później – na skutek presji organizacji pozarządowych, liberalnej części społeczeństwa i mediów – przepisy stopniowo, ale sukcesywnie liberalizowano, aż do wprowadzenia w 2023 roku możliwości adopcji dzieci, także niespokrewnionych. I badania społeczne regularnie prowadzone na Tajwanie wykazały, że w ciągu zaledwie pięciu lat liczba zwolenników równości małżeńskiej z około 20% w 2019 roku – wówczas większość Tajwańczyków była przeciwna temu rozwiązaniu – wzrosła do około 60%. Czyli sytuacja, można powiedzieć, całkowicie się odwróciła. Wpływ na zmianę społeczną miały działania edukacyjne oraz kampania medialna, która pokazywała pozytywne skutki implementacji przepisów do systemu prawnego, jednocześnie podkreślając ich awangardowość na tle innych azjatyckich państw.

Wizerunek Tajwanu w mediach jest bardzo pozytywny. Wynika nie tylko z przedstawiania Tajwanu jako podmiotu wysoko rozwiniętego technologicznie i atrakcyjnego miejsca turystycznego, bo coraz częściej to konsolidacja tajwańskiej demokracji i rozwój społeczeństwa obywatelskiego stanowią źródła kreowania pozytywnego wizerunku.

Oczywiście Tajwan ma ogromne znaczenie geopolityczne, ale nie będziemy tego rozwijać. Natomiast istotne jest to, że praktycznie niezależnie od proveniencji politycznej mediów – globalnych, regionalnych czy lokalnych,

funkcjonujących na Tajwanie – nie spotkałam się z negatywnymi ocenami faktu wprowadzenia równości małżeńskiej. Mass media w państwach niedemokratycznych (Chiny, Wietnam, Rosja) nie wyrażały krytycznych uwag, po prostu pomijały temat.

Jest jeszcze konflikt między Tajwanem a Chinami. Wiemy, że Chiny to państwo, z którym trudno, mówiąc kolokwialnie, „zadziierać” na różnych płaszczyznach – zwłaszcza politycznej czy gospodarczej. Tajwan mocno stoi na stanowisku, że jest odrębnym podmiotem (mimo braku formalnego ogłoszenia niepodległości), posiadając struktury państwowe, własną walutę czy paszporty. Ten konflikt „małego” demokratycznego Tajwanu z potężnym mocarstwem budzi podziw i sympatię demokratycznej opinii publicznej na świecie.

Mój pierwszy wyjazd na Tajwan miał miejsce w 2015 roku, kolejne wyjazdy odbyły się w 2017 i 2019 i ostatnio w 2024 roku. I przyznam, że w tym okresie blisko dziesięciu lat między pierwszym a ostatnim pobytem rzeczywiście zauważyłam pewne zmiany. Być może część z nich jest efektem pandemii, która doprowadziła do zmian społecznych.

W latach 2015–2017 studenci budzili mój szacunek i podziw. W bibliotece kampusu, na którym zwykle pracuje, było mnóstwo studentów czytających książki, pracujących naukowo. Widać było większe zaangażowanie, jeśli porównam to do moich polskich doświadczeń. Natomiast ostatni pobyt w 2024 roku pokazał, że także tam – myślę, że w dużej mierze za sprawą technologii, które zdominowały edukację podczas pandemii – postawy młodych ludzi się zmieniają. Studenci chętniej zaglądają do internetu niż do książek. Zmienia się też przestrzeń ich zainteresowań: kwestie, które jeszcze kilka lat temu być może interesowały ich bardziej, dziś przesuwają się w inne rejony, bardziej rozrywkowe.

Myślę więc, że procesy, które obserwujemy w Polsce – choćby w kontekście obniżania się zaangażowania studentów w naukę – tam również zachodzą, tylko być może trochę wolniej niż u nas. Należy pamiętać jednak, że w tamtym regionie świata edukacja jest traktowana jako wartość i ma kluczowe znaczenie dla zapewnienia sobie właściwego miejsca w społeczeństwie.

W moim przypadku nie ma wyraźnej granicy między tym, co robię naukowo, a życiem prywatnym. Myślę, że to jest duża zaleta, bo w pewnym sensie nie muszę tej granicy na siłę wyznaczać.

Mój partner również jest naukowcem. Funkcjonujemy może nie w tej samej, ale podobnej przestrzeni naukowej, więc staramy się wzajemnie wspierać w projektach, które realizujemy samodzielnie. Czasami nawet zdarza nam się pracować wspólnie.

A w mojej przestrzeni prywatnej jest wiele aktywności, które, można powiedzieć, nie utrudniają pracy naukowej.

Lubię podróżować, więc ta kwestia naturalnie łączy się z sytuacjami, w których realizuję projekty za granicą, nie tylko na Tajwanie. Czytam dużo książek – wiem, że to dziś mało popularna aktywność – ale staram się czytać nie tylko książki stricte naukowe, ale też mogące dawać inne spojrzenie na różne zjawiska. Szczególnie cenię reportaże, biografie osób, które wyznaczały nowe trendy na świecie.

Bardzo chciałabym pojechać do Buenos Aires. Sama nie do końca rozumiem dlaczego, nie ma jakiejś jednoznacznej przesłanki – ale to wciąż niespełnione marzenie.

Bardzo chciałabym wrócić do Japonii, którą uważam za kraj idealny z punktu widzenia pewnych wartości: spokoju, organizacji, a także tego, że mimo dużej gęstości zaludnienia nie jest to odczuwalne w sposób przytłaczający. I elementy kultury zen, kultury sprzyjającej wyciszeniu, są dla mnie ważne.

Odwiedziłam wiele krajów i miejsc. Trudno mi dziś powiedzieć, które uważam za najlepsze. Są takie, do których lubię wracać i takie, gdzie nie pojadę kolejny raz. Natomiast systematycznie wracam na Tajwan, bo czuję się tam bezpiecznie i dobrze. Tajwan jest doskonale zorganizowany jako państwo. Uważam, że wielu polityków, którzy podróżują po świecie, również decydentów lokalnych, realizujących podróże w ramach wymian z różnymi miastami, powinno odwiedzić Tajwan, żeby zobaczyć, jak można zorganizować funkcjonowanie państwa w sposób niemal modelowy. Od służby zdrowia – przypominam, że tajwańska służba zdrowia jest jedną z najlepszych na świecie – przez transport, który jest wygodny i punktualny, aż po stworzenie warunków do życia, żeby ludzie czuli się dobrze i bezpiecznie.

Tajwan jest obecnie jednym z tych krajów, które dla społeczności nomadycznych, ludzi przenoszących się z miejsca na miejsce, bywa wskazywany jako jedno z najlepszych miejsc do życia i pracy na świecie. Potwierdzają to też rankingi.

Zatem Tajwan jest miejscem, do którego zawsze chętnie wracam. Dlatego też ubiegam się o możliwość realizowania kolejnych projektów, bo to pozwala mi przez parę miesięcy mieszkać na wyspie i łączyć pracę z wypoczynkiem.

Paweł Konczewski

HUMANISTYKA TO ZA MAŁO | ODC. 19



Archeologia nie polega na szukaniu skarbów. Archeologia jest o wiele szerszą nauką: to odkrywanie, badanie ludzkich czynów, myśli, czasami też emocji, które towarzyszą nam od zawsze.

Doktor habilitowany Paweł Konczewski

Tym razem nasza podróż wyglądała inaczej niż zwykle. Nie jechaliśmy ani do domu, ani do kawiarni, ani nawet na uczelnię, tylko prosto do lasu, do Borów Dolnośląskich.

Profesor Paweł Konczewski przestał nam dawać dokładne wskazówki, gdzie znajduje się leśny parking. Droga nie należała do najłatwiejszych. Błotnista, nierówna, z każdym kilometrem coraz bardziej dzika. Przez chwilę nie mieliśmy pewności, czy w ogóle zmierzamy we właściwym kierunku.

W końcu dojrzeliliśmy niewielki, ogrodzony drewnianym płotem fragment zielonego terenu, a na nim zaparkowany samochód profesora. Parking był skromny.

Kilka tablic informacyjnych o lokalnej faunie i florze, a w jednym z rogów ciężka drewniana ławka ze stolikiem. To tam rozłożyliśmy sprzęt, w nadziei, że deszcz, który zapowiadały wiszące nad nami chmury, nie popsuje naszych planów.

Profesor Konczewski obiecał, że po rozmowie szybko oprowadzi nas po terenie, który bada wraz ze swoim zespołem. Dlatego zanim mogliśmy ruszyć w las, usiedliśmy do rozmowy, która miała przygotować nas do dalszej wycieczki i przybliżyć sens archeologii.

Czy ja się kiedyś przestraszyłem wyników swoich badań? Na pewno wielokrotnie się nimi kłopotalem. Na pewno wielokrotnie prowadziły u mnie do bezsenności, a wręcz do rozmaitych problemów natury, powiedziałbym, osobowościowej. I wydaje mi się, że byłem już gdzieś na granicy chęci rzucenia tego wszystkiego, bo pracowałem czasami w miejscach ekstremalnych. Chociażby na miejscu katastrofy samolotu prezydenckiego w Smoleńsku. Byłem jednym z naukowców, ekspertów rządu polskiego, wysłanych tam do powtórnych oględzin miejsca katastrofy.

Z czysto naukowego punktu widzenia to nie było trudne. To są rzeczy, które robimy od dawna: ta nasza „archeologia lotnicza”. Badałem dotychczas kilkanaście wraków samolotowych czy też miejsc katastrof lotniczych – oczywiście z okresu II wojny światowej. To są miejsca upadków samolotów podczas działań wojennych, które toczyły się na ziemiach polskich. I z uwagi na to doświadczenie poszukiwania i eksploracji takich rozbitych samolotów, zostałem wysłany do Smoleńska razem ze świetną ekipą archeologów z Poznania i z Warszawy. Ale to było ogromnie obciążające psychicznie.

Tak samo, pracując na Powązkach Wojskowych w Warszawie, w centrum wielkiego miasta, kiedy szukaliśmy grobów ofiar stalinizmu – tam też widziałem i odczuwałem ogromną presję, żeby pomóc, żeby znaleźć. Przychodzili ludzie, którzy czasami wręcz płakali: „czy znajdziecie mojego tatę?”, „czy znajdziecie mojego brata?”, „czy to się w końcu skończy – ten koszmar, że ja nie wiem, gdzie jest ich ciało, że ja nie wiem, czy oni na pewno nie żyją?”. Więc to było bardzo trudne. Ale z czasem to przechodzi. Organizm się uspokaja, myśli też się uspokajają. I wracam do trybu „optymista”.

Jesteśmy teraz w terenie. Jak sobie wczoraj uświadomiłem – z czego śmialiśmy się z panem nadleśniczym Kobielskim z Ruszowa – to już jedenaście lat, odkąd

im tu „rozgrzebuje” lasy. Początek był właśnie w Nadleśnictwie Ruszów. A teraz pracujemy w obszarze pięciu nadleśnictw, w wielkim kompleksie lasów, który nazywa się Borami Dolnośląskimi.

To jest archeologiczne Eldorado. Jakimkolwiek okresem, jakąkolwiek epoką dziejową, jakimkolwiek obszarem dawnej działalności ludzkiej interesujecie się Państwo – to tutaj to wszystko można znaleźć. Na początku mamy pozostałości obozowisk łowców-zbieraczy jeszcze ze schyłku paleolitu, tej starszej epoki kamiennej (potem jest środkowa epoka kamienna, młodsza epoka kamienna, epoki brązu, żelaza, późna starożytność, średniowiecze i współczesność).

Kiedy się bliżej przyjrzymy ekosystemom, środowiskom, zbiorowiskom leśnym, które tutaj widzimy, to praktycznie wszędzie widać ingerencję ludzką – oczywiście w różnej skali i o różnym ukierunkowaniu. Czasami jest to tylko pozostałość jakiegoś dawnego obozowiska: garść węgla drzewnych z ogniska, rozsypane wokół, zapomniane albo wyrzucone fragmenty narzędzi kamiennych. A czasami jest to wręcz całe opuszczone miasto, jak pobliskie Brzezie, czy, jak w naszym przypadku, opuszczona osada. Jesteśmy tutaj w obszarze zanikłej wsi Kaczmarka, przed 1945 rokiem nazywanej Kretschamberg. To nie była duża wieś, raczej przysiółek, natomiast w latach trzydziestych zbudowano tu ogromną bazę magazynową i produkcyjną amunicji dla niemieckich sił powietrznych, dla Luftwaffe.

Ta budowa przebiegała z wykorzystaniem robotników z Niemiec, ale również robotników przymusowych, jeńców wojennych, a także więźniów obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Istniała tu jedna z filii tego obozu. Jak mówią źródła historyczne, w 1944 roku zamknięto tam od 1800 do 2500 więźniów, głównie narodowości żydowskiej, z różnych krajów europejskich: Żydów z Węgier, z Polski, ale również z Belgii, z Niderlandów, z Niemiec i z Austrii.

Cała miejscowość zanikała. Zanikała stopniowo, bo baza i miejscowość zostały zajęte przez Armię Czerwoną w 1945 roku, potem były użytkowane do końca obecności wojsk radzieckich w Polsce, do 1991 roku, a później zostały porzucone: częściowo rozebrane, częściowo zarosły, częściowo zostały zalesione. I dlatego dzisiaj, chcąc poznać historię zarówno tej wsi, jak i funkcjonującego tu obozu koncentracyjnego oraz kontekst jego istnienia – czyli magazyny uzbrojenia i amunicji obsługiwane przez ludzi zmuszonych do niewolniczej pracy na rzecz III Rzeszy – musimy sięgać po narzędzia, które pozwalają tę przeszłość „wydobyć” z krajobrazu. Bo to jest historia prawie zupełnie zapomniana.

Oczywiście, ona gdzieś tam funkcjonuje w obiegu: historycy o niej wiedzą, lokalni miłośnicy historii interesują się tym miejscem, ale nikt nie potrafił na

przykład powiedzieć, gdzie dokładnie znajdował się ten obóz koncentracyjny – a minęło przecież raptem osiemdziesiąt lat. Więc uznaliśmy, że to jest idealna sytuacja, żeby zastosować sposób myślenia, narzędzia i metodologię pracy archeologów. Skoro potrafimy znaleźć obozowiska sprzed wielu tysięcy lat, to i taki obóz koncentracyjny prędzej czy później znajdziemy, prawda?

I *summa summarum* tak się stało. Odnaleźliśmy szpiegowskie zdjęcia lotnicze z 1944 roku, wykonane przez aliantów. One są dosyć wyraźne, bo akurat był to czas, kiedy teren był pokryty śniegiem, więc zabudowa obozu koncentracyjnego i otaczającej go bazy Luftwaffe była dobrze widoczna. To pozwoliło nam potwierdzić nasze hipotezy. My dwa lata wcześniej rozpoczęliśmy już prace terenowe i w zasadzie byliśmy pewni lokalizacji obozu, ale potrzebowaliśmy twardego potwierdzenia poprzez źródła – najlepiej historyczne, bo świadków nie ma. Żaden z więźniów tego obozu już nie żyje. Nawet jeśli kilkuset przeżyło II wojnę światową, to nie było osoby, która mogłaby tutaj przyjechać i powiedzieć: „tu był obóz”. Zresztą sądzę, że i tak byłoby to dziś bardzo trudne, bo krajobraz zmienił się diametralnie. Nie ma wsi, nie ma bazy, wszystko jest porośnięte lasem.

Tu nie ma też w promieniu dziesiątków kilometrów żadnej uczelni wyższej. Ba, nawet szkoły średniej nie ma w promieniu około kilkunastu kilometrów. To jest taka przestrzeń, w której ludzie czują się trochę oddaleni, opuszczeni, ale jednocześnie są ciekawi tego, co mamy im do powiedzenia o przeszłości regionu, w którym mieszkają. Mówię tu o mezoregionie Borów Dolnośląskich.

Zajmuję się bowiem archeologią regionalną, którą odkrywamy w porozumieniu, we współpracy i przy bezpośrednim udziale mieszkańców regionu, w którym pracujemy. Organizujemy wiele różnych działań: nie tylko spotkania informacyjne, nie tylko edukację, ale wręcz działania społeczne. To się nazywa archeologia publiczna lub archeologia społeczna. Czyli praca na rzecz lokalnych społeczności i we współpracy z nimi.

A to, o czym Państwu opowiadałem, czyli badania archeologiczno-sądowe, to jest już wręcz praca na rzecz konkretnych osób, konkretnych rodzin. Rodzin, które nie są archeologami, ale mogą skorzystać z naszej wiedzy, doświadczenia i umiejętności w wyszukiwaniu, w tym wypadku, dawnych mogił.

I to też ma swój początek tutaj, w tej naszej historii sprzed lat. Jedenaście lat temu, pracując nad Nysą Łużycką w leśnictwie Zabłocie, leśniczym był (i jest nadal) pan leśniczy Grzegorz Polus. Osoba bardzo miła, kompetentna, a przy

tym ciekawa nie tylko środowiska, w którym żyje, ale też przeszłości. I Grzegorz mówi: „No dobrze, kulturę łużycką na Łużycach to my znamy. Ale wiecie, że tu były obozy koncentracyjne, że były marsze śmierci, że są groby, mogiły ofiar II wojny światowej?”. Ja mówię: „No nie, nie bardzo. A pokaże Pan nam te miejsca?”. A on: „No, pokażę”.

Minęło dziesięć lat. On pewnie już zapomniał, że chciał tym zainteresować archeologów, ale ja miałem to w pamięci. I w jednym z kolejnych projektów badawczych, na którym teraz głównie się skupiamy, wróciliśmy do tego. Zadzwońiłem do niego i powiedziałem: „Panie Grzegorzu, teraz nadszedł czas. Zajmiemy się tymi obozami i mogiłami, o których wspominał Pan dziesięć lat temu”.

Zdobyliśmy wszystkie formalne zgody i we wsi Sanice zaczęliśmy prowadzić wykopaliska. Codziennie mieliśmy gości. Mieliśmy też dużo telefonów od byłych mieszkańców Sanic. Oni nam pomagali w pracach terenowych. Na koniec zorganizowaliśmy piknik archeologiczny.

Wioska liczy trzysta mieszkańców, a na pikniku było siedemdziesiąt osób. Czyli praktycznie jedna trzecia dorosłych mieszkańców przyszła posłuchać podsumowania prac, które prowadziliśmy przez kilka tygodni. I znowu spotkało się to z ogromnym entuzjazmem z drugiej strony. „Strażacy mają namioty, to rozstawiają, przygotowują, a my nagotujemy grochówki. A co wolicie? Może nie chcecie grochówki, tylko może chcecie żurek?”. Więc to od razu zmobilizowało lokalną społeczność. Pani wójt gminy Przewóz też się włączyła – powiedziała, że zajmie się sprawami logistycznymi, że my mamy przyjechać „na gotowe” i opowiadać, prowadzić warsztaty, dzielić się wiedzą z mieszkańcami tych puszcząskich wiosek.

Oczywiście archeolog kojarzy się najbardziej z łopatą, pędzelkiem, grabkami – że cierpliwie grzebie w ziemi. I tak, to jest część naszej pracy. Ale proszę sobie wyobrazić: ta przestrzeń, o której mówimy, to są setki hektarów. Setki hektarów porośnięte lasem. Wykopanie tego łopatą jest niemożliwe. Zajęłoby to wiele pokoleń i pochłonęłoby ogromne pieniądze. A poza tym Lasy Państwowe by nas stąd pogoniły, gdybyśmy chcieli im wycinać pod wykopaliska taki obszar.

Dlatego do obserwacji krajobrazowych, wielkoprzestrzennych archeolodzy od dawna, co najmniej od stulecia, stosują szereg metod nieinwazyjnych, czy też niedestrukcyjnych. I pamiętajmy: akt rozkopania stanowiska przez archeologa wiąże się z destrukcją. To znaczy, że jeśli raz wykopimy warstwy, w których

znajdują się artefakty, jeśli raz wykopimy mogiłę albo rozkopimy pozostałości dawnej osady, to tego się nie da później odwrócić. Nie da się „zrekonstruować” sytuacji w sposób całkowity. Więc jest to zawsze niszczące dla materialnych reliktyw przeszłości.

I po to, żeby ograniczyć niszczenie, a jednocześnie móc spojrzeć szerzej, zaczęto stosować metody archeologii nieinwazyjnej. To jest chociażby archeologia lotnicza, czyli latanie różnego rodzaju statkami powietrznymi i obserwowanie powierzchni gruntu pod kątem obecności dawnych reliktyw działań ludzkich.

Współcześnie mamy też lotniczy skaning laserowy. W ogóle lasery i możliwość skanowania powierzchni gruntu, to jest ogromna rewolucja ostatniego dwudziestolecia – w archeologii. Dzięki temu odkrywamy całe zapomniane krajobrazy, nie tylko u nas w Polsce oczywiście..

Są też analizy geofizyczne: narzędzia zapożyczone od geologów jak georadary, magnetometri czy metody elektrooporowe. To jest, krótko mówiąc, archeologia bez rozkopywania gruntu. Analizujemy różnice, anomalie, chociażby w natężeniu ziemskiego pola magnetycznego. Te różnice mogą wynikać z obecności dawnych fundamentów, tuneli, struktur ukrytych pod ziemią, ale też pochówków. I udaje nam się je odnaleźć bez kopania.

Co dalej? Obserwacja zieleni. Współpracują z nami archeobotanicy, botanicy, ekolodzy lasu, dendrolodzy. Przyroda szybko i w zróżnicowany sposób odpowiada na ludzkie działania. To, że gdzieś dawniej były pola orne, manifestuje się dzisiaj w składzie zbiorowiska leśnego. Te bory świeże, które widzimy wokół siebie, porastają właśnie tereny porolnicze.

Jeśli chodzi o współczesne odkrycia archeologiczne, to powiedziałbym, że przenika się tu stary i nowy sposób myślenia o archeologii. Oczywiście są te najbardziej medialne „skarby”, bo one istniały i są odnajdywane. Często nie przez archeologów albo nie tylko przez nich, ale przez różnych amatorów badania przeszłości: grupy miłośników wykorzystujących detektory metali, szukających artefaktów. Tyle że w moim przekonaniu współczesne odkrycia archeologiczne dzieją się przede wszystkim w laboratoriach. W laboratoriach genetycznych, biochemicznych, fizykochemicznych. Tam zachodzi na przykład rewolucja w datowaniu odnajdywanych przez nas materialnych śladów przeszłości.

Wykorzystujemy matematykę, statystykę, algorytmy, komputery – i to jest dla mnie fascynująca część dzisiejszej archeologii.

Prowadząc badania na zapleczu jednej ze średniowiecznych kamienic, znaleźliśmy zakopaną głęboko pod ziemią, zmurszałą skrzynkę wypełnioną groszami praskimi. Było tam ponad czterysta srebrnych monet średniowiecznych, które dziś można oglądać w Oleśnickim Domu Spotkań z Historią na specjalnej wystawie poświęconej temu odkryciu. Skarby są, oczywiście. Ale ja, kiedy zaczynam zajęcia ze studentami pierwszego roku biologii człowieka, którzy mają wprowadzający fakultet do archeologii, powtarzam, że archeologia nie polega na szukaniu skarbów. Archeologia jest o wiele szerszą nauką: to odkrywanie, badanie ludzkich czynów, myśli, czasem też emocji, które towarzyszą nam od zawsze.

Często archeolodzy, zgodnie z regułami obowiązującymi w nauce, kiedy dokonują odkrycia, proponują dla niego najprostsze wyjaśnienie. Kilka lat temu, prowadząc wykopaliska w północnych Czechach, w obszarze zanikłej wsi Libkowitz, badaliśmy cmentarz parafialny, istniejący od XIII wieku i użytkowany do XIX wieku. Wśród ponad tysiąca „zwykłych” grobów chrześcijańskich, katolickich, znaleźliśmy też kilka dziwnych, nieoczywistych pochówków.

Były tam groby podwójne i jeden grób poczwórny. To od razu sugerowało, że z jakiejś przyczyny ci ludzie zmarli w podobnym czasie i zostali pochowani wspólnie. Pojawia się mnóstwo pytań: czy byli spokrewnieni, czy to jedna rodzina? Kiedy znajdujemy grób, w którym pochowana jest dwójka noworodków, interpretacja narzuca się sama: bliźnięta urodziły się, zmarły, pochowano je razem.

Tylko że teraz interpretację trzeba udowodnić. To jest hipoteza. A archeolog w pewnym momencie dochodzi do ściany, bo nie ma narzędzi, żeby taką hipotezę rozstrzygnąć. Żeby przebić ścianę, trzeba poprosić o pomoc biologów – w tym wypadku genetyków.

Udało nam się z tego podwójnego pochówku niemowląt wydobyć materiał genetyczny i przekazać go do badań. Pani doktor Joanna Bonczarowska, dziś pracująca na Uniwersytecie Yale, podjęła się tych analiz. Zrobiła porównanie haplogrup, „kodu genetycznego” dwójki noworodków i okazało się, że nie – oni w ogóle nie byli ze sobą spokrewnieni. Czyli zmarła dwójka dzieci we wsi, być może w efekcie jakiejś epidemii i z powodów sanitarnych pochowano je razem.

Tuż obok był grób czwórki dzieci w wieku od kilku miesięcy do trzech, czterech lat. I znowu narzuca się myśl: „pewnie jedna rodzina, pewnie epidemia, szybki pochówek”. No i znowu – to trzeba sprawdzić. Efekt badań był taki, że

udało nam się stwierdzić, iż na pewno leży tam rodzeństwo: chłopiec i dziewczynka. Drugi chłopiec był ich dalszym krewnym, kuzynem. Z czwartego szkieletu nie udało się wydobyć tyle materiału genetycznego, żeby coś pewnego powiedzieć o relacjach.

I pojawia się kolejne pytanie: dobrze, choroba zakaźna, ale jaka? I to, co zrobiła doktor Bonczarowska, uważam za mistrzostwo świata. Ona znalazła nie tylko genom tych dzieci, ale także genom patogenów chorobowych krążących w ich krwioobiegu w chwili śmierci. Znalazła pozostałości pałeczki dżumy. Czyli, krótko mówiąc, najlepsza hipoteza, jaką dziś mamy, jest taka, że ta czwórka dzieci, a może też inni mieszkańcy Libkowic, zmarła podczas epidemii dżumy. Konteksty archeologiczne pozwalają nam umiejscowić to gdzieś na koniec średniowiecza, XIV–XV wiek. A z drugiej strony wiemy ze źródeł historycznych i kronik przechowywanych w sąsiednim klasztorze, że to były czasy, kiedy dżuma szalała w Europie. Więc wszystko się składa: z jednej strony informacje historyczne, z drugiej strony biologiczne, wsparte statystyką i analizą – i dostajemy w miarę pełny obraz przeszłości sprzed, w tym przypadku, około sześciuset lat.

Czy to ma wymiar praktyczny dla społeczeństwa „tu i teraz”? Ma. Jak już mówiłem, wyspecjalizowałem się w poszukiwaniu i badaniu grobów, we współpracy z antropologami, archeogenetykami, biologami; pracuję również jako biegły sądowy. Poszukuję na zlecenie wymiaru sprawiedliwości (kiedyś częściej) dawnych grobów związanych z przestępstwami przeciwko prawom człowieka: zbrodniami wojennymi, ludobójstwem, zbrodniami komunistycznymi. Część z tych zbrodni kończyła się śmiercią ofiar, a później śmierć próbowano ukryć. Ukrywano ją między innymi w taki sposób, że zwłoki chowano w lasach albo na cmentarzach w nieoznaczonych mogiłach.

Dziesiątki tysięcy ludzi w Polsce – jeśli nie setki tysięcy – przechowuje w rodzinnych opowieściach historię o dziadku czy babci, którzy poszli na wojnę i nigdy nie wrócili: nie wiadomo, co się z nimi stało, albo wiadomo, co się stało, ale nie wiadomo, gdzie jest grób. I to powoduje traumę przechodzącą z pokolenia na pokolenie. To powoduje, że żałoba się nie zamyka. Ona się nie kończy. Nie ma grobu.

Proszę pomyśleć, jak czują się ludzie, którzy od dziesięcioleci szukają swoich ojców. W okolicach Święta Zmarłych mogą pójść pod pomnik i symbolicznie zapalić świeczkę, ale nie mogą pójść na grób swojego krewnego. A dzięki naszej

pracy w końcu mogą. Współpracując kiedyś z Instytutem Pamięci Narodowej, uczestniczyłem w poszukiwaniach i ekshumacjach, w wyniku których odnaleźliśmy setki takich osób. Potem szczątki trafiały do badań antropologicznych i genetycznych. Na końcu jest imienna identyfikacja i przekazanie szczątków rodzinom do pochówku. I wtedy kończy się okres traumy wojennej oraz żałoby wydłużonej na kilka pokoleń.

Jak ludzie reagują na informację, że mają obok siebie relikty trudnej przeszłości, albo relikty archeologiczne? Oczywiście reakcje nie są wyłącznie pozytywne. Niektórzy wołają wyprzeć to ze świadomości – bo to są trudne rzeczy. Ja o tym nie mówiłem, ale to jest obciążające także dla nas. My też niesiemy w sobie różne osobiste traumy związane z pracą na obozach koncentracyjnych czy badaniem zbrodni totalitaryzmów XX wieku.

Bywa też tak, że ludziom się wydaje, iż będziemy im utrudniać życie – że nie będą mogli wybudować domu, bo przyjdą archeolodzy, przez lata będą „grzebać” i jeszcze będą chcieli pieniądze. Oczywiście, bywa różnie, przeróżnie, ale generalnie my nie jesteśmy od nakładania zakazów. Spotkaliśmy się z taką opinią: „zrobicie mi tu stanowisko archeologiczne i nie będę mógł wypasać krów”. „Będzie Pan mógł wypasać krowy – pastwisko to jedna z najlepszych opcji dla stanowiska archeologicznego, bo nie powoduje ingerencji w jego strukturę podziemną”. W praktyce jednak los stanowiska archeologicznego nie jest zależny od nas. My nie jesteśmy służbami konserwatorskimi. My zdobywamy wiedzę o przeszłości, ale nie decydujemy, co dalej będzie się działo z tą materią po dawnych społecznościach.

Tak, negatywne nastawienie się zdarza. Ale mam poczucie, że jest w mniejszości. I bardzo ważne jest też nasze nastawienie: trzeba podejść do ludzi otwarcie, optymistycznie, pokazać korzyści, dać coś od siebie. Bo jeśli dajemy, to zwykle dostajemy z powrotem przychylność.

Niektórzy koledzy i koleżanki z pracy mówią: „Ty nieustannie masz wakacje, bo ciągle jeździsz na wykopaliska, nie siedzisz na uczelni. My ślęczymy w laboratoriach, uczymy studentów, a ty jesteś gdzieś tam w lesie”. Ja odpowiadam: „No to jedźcie ze mną”. I jeżdżą.

To jest na pewno dodatkowy atut: trzeba lubić swoją pracę i pracować w środowisku, które człowiekowi odpowiada. A mi odpowiada środowisko

lasu. I myślę, że jeszcze przez następnych kilka lat będę próbował rozwiązywać zagadki przeszłości, które są ukryte w lasach Borów Dolnośląskich. A co dalej? Zobaczymy.

Czy ja mam jakieś archeologiczne marzenia, takie naukowe? Chyba już nie bardzo. Bo jestem trochę przytłoczony tym, co już wiem, a nie mam czasu się tym podzielić szerzej. Potem trzeba przecież usiąść, w miesiącach mniej sprzyjających pracy terenowej, i to wszystko opisać.

A bytność na uczelni wiąże się i z dydaktyką, i z administracją. I na pracę pisarską zostaje niewiele czasu. Mam rozgrzebane książki, których nie mogę skończyć. I wydaje mi się, że chciałbym – może to zabrzmieć banalnie – mieć więcej czasu na pisanie. Nie na nowe odkrycia w tej chwili. To może się zmienić, ale teraz chciałbym mieć więcej czasu, żeby to, co mam w głowie, przenieść na kartki artykułów i książek.

Myślę, że w kontekście humanistyki, humanistyka to za mało. To, że koncentrujemy się na człowieku, jest naturalne – jesteśmy ludźmi, więc najbardziej interesujemy się sobą. Ale przez taki humanistyczny antropocentryzm zatraciliśmy trochę świadomość więzi z otaczającym nas światem. A widać, że powinniśmy mieć większą świadomość tego, że funkcjonujemy w środowisku naturalnym.

Powinno być więcej uczenia nauk przyrodniczych. Dzisiaj mamy więcej historii, religii, języka polskiego – proszę zobaczyć, ile przedmiotów humanistycznych uczymy młodzież – a trochę za mało uczymy matematyki, chemii, biologii, albo szerzej: ekologii czy przyrody. A to wszystko jest ze sobą w niezliczonych powiązaniach. To jest nierozzerwalne uniwersum – my i otaczający nas świat. Bez rozumienia tego uniwersum będziemy popełniać błędy. Błędy, które prowadzą chociażby do katastrof ekologicznych.

Jaka będzie przyszłość? Z racji zawodu myślę o niej, mając w głowie perspektywę przeszłości: dziesiątków i setek tysięcy minionych lat. Wojny były zawsze. Ludzie zawsze walczyli o zasoby. Zawsze niszczyli środowisko, w którym żyli. Zawsze śmiecili – my w archeologii w dużej mierze pracujemy na śmieciach zostawionych przez poprzednie pokolenia. Ale ludzie zawsze też potrafili

współpracować. I potrafili się dostosowywać do zmieniających się warunków: politycznych, środowiskowych, klimatycznych.

Więc myślę, że w tej szerszej perspektywie będziemy dalej trwać, dalej funkcjonować. Natomiast będzie się to wiązało – dla poszczególnych osób, dla całych społeczności, a czasem nawet dla narodów – z ogromnymi kosztami. Bo jesteśmy w okresie dynamicznie zachodzących zmian klimatycznych i środowiskowych.

Dziesiątki milionów ludzi muszą dzisiaj opuszczać swoje domy, bo nie da się tam zwyczajnie żyć z uwagi na zmiany klimatyczne. To będzie powodowało przeróżne perturbacje i w naszym życiu, tu w Polsce i Europie. Ale kiedyś to wszystko się uspokoi. Jestem tego pewien. Tylko czy zawiedzie nas ku temu bardziej ścieżka konfliktu czy międzyludzkiej współpracy?

Arleta Galant

*ZAZWYCZAJ KOŃCZY SIĘ NA ZDUMIENIACH
I ZACHWYTACH | ODC. 20*



W gruncie rzeczy humanistyka, a na pewno literaturoznawstwo, ponieważ nie chcę mówić o wszystkich językach humanistycznych, wymaga czasu. Systemowo robi się wszystko, żeby nam ten czas odebrać, czyli żeby odebrać sposób naszego funkcjonowania. Myśl humanistyczna powinna być „domysłana” do końca, a nie zaprogramowana na wypełnienie jakiejś tabeli.

O ile myślę, że sama humanistyka jest w świetnej kondycji, dobrze sobie radzi w kryzysach i jest „samoodnawiającym” się, samowzbudnym, inspirującym, przetwarzającym rozmaite kryzysy obszarem badań, o tyle boję się o kondycję fizyczną i cielesną humanistów. Po prostu nie nadążamy.

Doktor habilitowana Arleta Galant

Do Szczecina przyjechaliśmy porannym pociągiem. Zaraz po zejściu z peronu zobaczyliśmy rozległą wodę i usłyszeliśmy mewy, co tworzyło ten niepowtarzalny klimat, który mają tylko portowe miasta. Niestety nie mieliśmy czasu na dłuższe podziwianie widoków, bo od naszego miejsca docelowego dzieliło nas kilkanaście minut pieszej wędrówki.

Budynki Uniwersytetu Szczecińskiego znajdowały się względnie niedaleko dworca. Pani profesor wysłała nam dokładne wskazówki, żebyśmy się nie zgubili, jednak i tak udało nam się kilka razy skręcić nie tam, gdzie trzeba.

Ostatecznie na horyzoncie ujrzeliśmy pierwsze budynki z charakterystycznej czerwonej cegły. Pierwszy wydział, do którego weszliśmy, okazał się być nie tym, którego szukaliśmy. Nasze błędzenie rozpoczęło się więc na nowo.

Na szczęście portierzy i wykładowcy spotkani na korytarzach pomogli nam znaleźć właściwą salę. Z ulgą zapukaliśmy do drzwi i szczerze ucieszyliśmy się na widok sympatycznego uśmiechu pani profesor Arlety Galant.

Przez duże przeszklone okno wpadało słońce oświetlające porozkładane w różnych zakątkach pomieszczenia książki i stojący na środku gabinetu stół. Specjalnie dla nas pani profesor ustawiła na nim wazon ze świeżymi tulipanami, wodę, soki, drożdżówki i serusie.

By nie tracić czasu, zadaliśmy pierwsze pytanie, ale nie wiedzieliśmy jeszcze, jak inspirująca i wyjątkowa będzie to dla nas rozmowa.

Jak doświadczenie przedostaje się do tekstu? Fascynuje mnie to bezustannie. I choć oczywiście pojawiają się serie rozczarowań, zazwyczaj kończy się na zdumieniach i zachwytach. Można więc powiedzieć, że idzie o szukanie. Tyle że nie chodzi o szukanie abstrakcyjnych kwestii i prawd – chodzi raczej o prawdę emocji, prawdę społeczną, prawdę doświadczenia.

To wszystko mieści się w wielofunkcyjnym literaturoznawstwie. Nie uważam, żeby literaturoznawstwo było zamknięte. Jego znakomitość polega na tym, że to otwarta opowieść, którą można snuć na rozmaite sposoby.

Jestem historyczką literatury, a już prawie nie jestem krytyczką literacką. Lubię mówić o sobie, że jestem krytyczką literacką niepraktykującą – od czasu do czasu biorę udział w spotkaniach, czasem nawet je organizuję. Natomiast recenzji już nie piszę, nie pracuję już w trybie krytycznoliterackim z różnych powodów, między innymi dlatego, że rynek czasopism wygaś.

Nie interesowało mnie pisanie online, bo bywało sformatowane, uproszczone, nie dawało mi takiej frajdy jak pisanie do czasopism. Oprócz tego krytycznoliterackiego, wygasłego pasma aktywności, pozostają historyczką literatury, która czasem lubi poteoretyzować. Wynika to pewnie z faktu, że moją teoretyczną Alma Mater jest krytyka feministyczna. Obszar badań, który otwierał refleksję nie tylko o przeszłości literatury i zadawał tej przeszłości inne pytania, ale też wiązał się z różnymi koncepcjami tekstu i pisania – głównie autobiograficznego, choć nie tylko.

Sama literatura jest wielofunkcyjna, o czym współcześnie zbyt łatwo zapominamy, ponieważ wolimy myśleć, że to rozrywka. Nie mam nic przeciwko myśleniu o literaturze w kontekście rozrywki, ale pamiętajmy, że literatura może spełniać rozmaite funkcje. Może być diagnostyczna, krytyczna, terapeutyczna, może być spotkaniem z umarłymi, zwłaszcza kiedy mówimy o historii literatury.

Pierwszy impuls zajmowania się historią literatury wynika wybrzmiewa z myślenia o tym, co jeszcze – w perspektywie umiejscowienia genderowego – można powiedzieć inaczej o twórczości, o procesie twórczym, o takich kategoriach jak arcydzielność i niearcydzielność. Następnie pojawia się pytanie: czy historia literatury może być opowiedziana w inny sposób, jeśli zapytamy o doświadczenie nieuniwersalne?

Najpierw w obszarze mojego zainteresowania była literatura autobiograficzna. Dzienniki, intymistyka, biografie, autobiografie. Pamiętam, że ciekawiło mnie, w jaki sposób konstruowane są opowieści o sobie i własnej biografii.

Warto to jednak uhistorycznić – moje studia polonistyczne przypadają na połowę lat dziewięćdziesiątych. To ważny kontekst, bo wówczas ważne było myślenie o literaturze poza kontekstem narodowym. W tamtym czasie krytyka feministyczna zadawała najciekawsze pytania literaturze, a przy okazji dostarczała mnóstwo koncepcji, teorii i punktów widzenia na temat pisania autobiograficznego. W mojej pracy długo utrzymywał się sojusz badań nad autobiograficznością i krytyką feministyczną. W późniejszym okresie zawędrowałam badawczo w inne rejony.

W latach dziewięćdziesiątych zaczęłam również pisać pierwsze teksty krytyczne. Ostrożniej zaczęłam pisać recenzje. Także wtedy debiutowałam jako uczestniczka konferencji literaturoznawczych. Chciałam robić coś innego niż tylko studiować polonistykę. Jednocześnie nie mogę powiedzieć, że była to aktywność zaplanowana.

Szczerze mówiąc, plan był taki, że miałam być mistrzynią Polski – co najmniej Polski – w biegu na sto metrów. Mój zwrot ku humanistyce wydarzył się zaskakująco. Nie był do końca przemyślany. Nie mam źródłowej biografii literaturoznawczej, która zaczyna się od słów „zawsze chciałam pisać, czytać i badać literaturę polską”. Nie. Miałam być mistrzynią biegów. Prędko okazało się, że są lepsi ode mnie, ale przez pewien czas byłam w pierwszych trójkach. Później śledziłam sportowe losy moich koleżanek, oglądałam w telewizji ich starty. Bieganie na mistrzowskim poziomie było możliwe, tyle że nie dla mnie.

Podstawą mojej pracy jako literaturoznawczyni jest zachwyt. Ma on dobre i złe strony – wiele tematów potrafi mnie zachwycić, łatwo się zapalam do rozmaitych tekstów i pomysłów, lecz często też łatwo je porzucam. Niemniej zachwyt zostaje. Sądzę, że w niełatwych warunkach akademickich bez zachwyty, bez impulsywnego wejścia w fascynacje byłoby mi trudno utrzymać literaturoznawczą aktywność.

Powiedziałabym, że to jest bardzo prostoduszne. Nie ma w tym żadnej teorii. Lubię tę prostoduszność, tak jak lubię impulsywność i reaktywność w badaniach historycznoliterackich. W tej chwili pracuję nad czymś, co roboczo nazywam „projektem krytyki impulsywnej”. Na tym etapie jeszcze nie potrafię tego zobaczyć w całości. W zamyśle ten projekt miałby stanowić krytyczne rozwinięcie tego, o czym pisałam w książce *Zwroty krytyczne*, czyli rozwinięcie koncepcji czytania i zaczepiania. Dodatkowo krytyka impulsywna, o której myślę, dużo zawdzięczałaby studiom o niepełnosprawności. Z tego obszaru badań wywodzą się naprawdę bardzo ciekawe i ważne rozpoznania. Akcentuje się myślenie nie tylko o tym, jakim językiem i dlaczego akurat takim językiem mówimy o ciałach, ale także o tym, co wynika z relacji pomiędzy pismem a naszymi ciałami i zmysłami. Nie mogę wszystkiego zdradzić... Jeśli zdołam zrealizować mój impulsywny pomysł, będzie to, jak sądzą, najważniejsze przedsięwzięcie w moim dorobku. [*Przyczynek do projektu krytyki impulsywnej* ukaze się w 2026 roku w drugim numerze „Wielogłosu”].

Według mnie – i nie jest to stanowisko ekscentryczne we współczesnym literaturoznawstwie – literatura nie jest samozwrotna, nie jest sama dla siebie, jest zbiorem opowieści, które żeby żyć, muszą cyrkulować.

Literatura stanowi ważną część historii społecznej. Można podawać różne odpowiedzi na pytanie, co to znaczy, niemniej myślę, że warto zastanowić się nad tym, jak zmienia się ta historia, kiedy uwzględnimy w badaniach

literaturoznawczych doświadczenia różnych mniejszości, doświadczenia jeszcze nieuważnione, niedopowiedziane, nieoczywiste.

Fakt, że obecnie coraz mniej osób należy do grupy czytających literaturę, oczywiście napawa smutkiem. Niczego nowego w tej sprawie nie powiem – wolałabym, żeby było inaczej. Ale czy wtedy, kiedy studiowaliśmy, literatura była ważniejsza? Trzeba zadać to pytanie, a następnie zastanowić się, czy dwie dekady wstecz znaczenie literatury nie było związane z życzeniowym myśleniem o nowym otwarciu, z tym, że można ją wykorzystać do budowania relacji wolnościowych, w tym także rynkowych.

A zatem ważność literatury była raczej pomysłem niż faktem. Później, głównie za sprawą turbokapitalistycznych sposobów organizowania rzeczywistości (także literackiej), wszystko się skomplikowało. Dziś widzimy ówczesną rzeczywistość inaczej, ponieważ wiemy to, czego nie wiedzieliśmy wtedy. Niezależnie od tej wiedzy, nie sądziłabym z całą pewnością, że obecnie literatura jest w ogóle nieważna. Owszem, coraz mniej osób czyta, ale wciąż są młodzi ludzie, którzy przychodzą na studia polonistyczne – a mamy także świetne studia pisarskie – i stawiają bardzo poważne pytania literaturze. Skąd płynie teza o nieważności literatury? Funkcjonując w świecie offline, wysuwam przeciwne wnioski – że literatura nie należy do zjawisk zupełnie nieistotnych.

Krytyka feministyczna jest tym obszarem, z którego wyrastają studia genderowe. Z kolei z genderowych – badania queerowe. Widzę te relacje w sojuszu. Oczywiście, w ramach tych sojuszy jest sporo napięć, ale kiedy wychodzimy z krytyki feministycznej w stronę krytyki genderowej, to po pierwsze nie tylko kategoria kobiecości staje się podejrzana (jako społecznie konstruowana), ale także kategoria męskości; co więcej, relacje pomiędzy nimi również okazują się niejednoznaczne. I w tym sensie krytyka genderowa poszerza konteksty namysłu nad kulturowymi tożsamościami płci. Bez krytyki feministycznej nie byłoby studiów genderowych. To ważna podstawa.

Krytyką feministyczną zaczynałam się zajmować w czasie, kiedy starsze koleżanki badaczki wykonały już ogromną pracę. Sytuacje wyśmiewania czy unieważniania krytyki feministycznej nie należą do mojej biografii literaturoznawczej. Pionierki zapewne powiedziałyby o swoim doświadczeniu coś innego, ja jednak jako później urodzona byłam w lepszym położeniu. Owszem,

w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych i na początku dwutysięcznych ktoś jeszcze czasem z tego zaśmiewał, ale robił to już raczej po kątach. Już wtedy krytyka feministyczna okazuje się jednym z najważniejszych sposobów mówienia o literaturze.

Trudno mi odnieść się do całej historii moich wyborów metodologicznych. Sądzę, że teraz moją pracę pod względem metodologicznym można określić jako *patchwork*. Nie pracuję jednonurtowo. Czerpię z krytyki feministycznej, ale też krytycznie ją przerabiam. Sięgam po genderowe kategorie i narzędzia wypracowane w obrębie studiów genderowych, ale nie wykorzystuję ich ortodoksyjnie, tylko uznaję za pewną ramę refleksji o historii literatury. W związku z tym powiedziałabym, że nie mam jednej metody pracy – jest raczej rodzaj bezustannej pracy myśli, wyborów, unieważnień i przekroczeń.

Kiedy myślałam o naszej rozmowie, przyszło mi do głowy, że gdybym miała powiedzieć coś wiążącego o swojej pracy, powiedziałabym, że jestem literaturoznawczynią impulsywną i programowo prowincjonalną. Programowo prowincjonalną w tym sensie, że ważne są dla mnie kwestie lokalne – napisałam *Prowincje literatury* (książka historycznoliteracka), interesuje mnie to, co jest najbliższe mojemu umiejscowieniu badawczemu, a nawet – powiem poważnie – egzystencjalnemu. Humanistyka to praca, której nie da się oddzielić od krwi i ciała. W ogóle uważam, że humaniści i humanistki powinni składać się najpierw z krwi i ciała, a dopiero później z myśli. Być może warto byłoby zobaczyć kondycję humanistyki właśnie w takim kontekście.

Czy systematyczny trening sportowy i dyscyplina związana z trenowaniem pomagały mi w pracy literaturoznawczej? Pomagały, ale to już nie jest aktualne. Na początku pracowałam w trybie od ósmej do czternastej, potem wykonywałam codzienne obowiązki, a wieczorem siadałam do lektury. Wprawdzie pisanie wymaga samodyscypliny, ale w moim przypadku działała ona przez pierwszą dekadę pracy; dyscyplina się rozmyła, stałam się w pracy bardziej impulsywna i bardziej nieregularna. Wydaje mi się, że odkąd odeszłam od ścisłej dyscypliny, to teksty, które piszę, mają lepszy puls – więcej się w nich dzieje.

Podkreślam, że jestem humanistką prowincjonalną, więc interesują mnie teksty i doświadczenia najbliższe mojej literaturoznawczej skórce. Poza tym nie rezygnuję z tego, co wydaje mi się ważnym zobowiązaniem jako polonistki: dzielę się swoją wiedzą z młodszymi od siebie. To żmudna, ale bardzo ciekawa praca codzienności, którą lubię.

O rewolucyjnej zmianie świata, szczerze mówiąc, nigdy nie myślałam. Wydawało mi się, że ciekawsze są zmiany prozaiczne, że małe przekroczenia nigdy nie są małe – być może tak dzieją się prawdziwe rewolucje. Stosunku do swojej pracy też specjalnie nie zmieniałam: jest prowincjonalna, lokalna i dochodzi do niej wątek czy kondycja impulsywności (co zostaje przeze mnie szerzej objaśnione w artykule, który wkrótce zostanie opublikowany). Wszystko się świetnie składa. Miewam dużą frajdę z pracy.

Nie czuję się humanistką niespełnioną, nie czuję się też humanistką sfrustrowaną. Moja rola polega na wykonywaniu obowiązków bez wyzwań, które wymagałyby niewiarygodnych przekroczeń na skalę dla mnie nieosiągalną.

Niektórzy marzą o stworzeniu olbrzymiego projektu teoretycznego albo historycznoliterackiego. Ja nigdy nie byłam olbrzymką. Zawsze wydawało mi się, że pracuję na fragmentach, czasem takich, które do siebie nie pasują. A jednak – proszę mi wierzyć – ostatecznie mają one ze sobą nieprzygodny związek, tylko trzeba poszukać pomiędzy nimi innych połączeń. Z jednej strony zajmuję się tekstami autobiograficznym, studiami genderowymi, historią literatury, a z drugiej strony wciąż narracjami miejskimi i eseistyką. (Wydaje mi się, że bez kontekstu badań nad przestrzenią i literaturą, nie zrealizowałabym wstępnego projektu krytyki impulsywnej). Ciekawią mnie też eksperymenty pisarskie, lokalne, autobiograficzne, estetyczne. W gruncie rzeczy składa się to na pewien może nie doskonały, ale nieprzypadkowy zbiór lektur i interpretacji. Zależy mi na tym, żeby czerpać z różnych dziedzin, realizować różne tematy. To prawdopodobnie zapewnia mi samorozwój na małą skalę. Właściwie dlaczego miałyby być wielka? Kto powiedział, że ma być wielka?

Chciałabym powiedzieć o czymś, co jest dla mnie ważne, chociaż w różnym stopniu aktualne. Przez bardzo długi okres odskocznią od pracy była dla mnie jazda na rowerze. Do tej pory jestem zapaloną rowerzystką. Podróżuję też dalej niż do parku.

Wcześniej jeździłam na rowerze wysiłkowo i kompulsywnie, co nie wykluczało przyjemności. Od niedawna ruch na rowerze stał się dla mnie rodzajem

medytacji. Nie potrafię wchodzić w klasyczne formy medytacji, chociaż czasem się udawało – mimo że większość bliskich w to nie wierzyła. Mnóstwo emocji i myśli w trakcie jazdy się reguluje. A ponieważ dużo się reguluje, to dużo się też dzieje – w takich przemieszczeniach przychodzą mi do głowy najlepsze pomysły interpretacyjne.

Mogłabym długo mówić o wyprawach rowerowych, dlatego że zmieniła się ich dynamika. Najpierw było wysiłkowo i kompulsywnie. Odbyłam kilka zagranicznych podróży z psem w przyczepce rowerowej. Bornholm, trochę Polski, trochę Niemiec, na przykład Rugia. Niemcy są bardzo dobrym miejscem do rowerowania. Jeździłam też z przyjaciółmi. To były szalone wyprawy. Czas spędzony na rowerze był dobrym okresem mojego życia

Natomiast teraz zmieniło się to o tyle, że uprawiam się na rower z premedytacją na samotne wycieczki. Inaczej rozumiem tę formę przemieszczania. Potrzebuję wyciszenia, spokoju, regulowania. Niedawno byłam na wyprawie urodzinowej nad Bałtykiem. Pogoda niestety nie dopisała, ale jestem bardzo zadowolona, ponieważ zrealizowałam zamiar nie tyle „wyrobienia kilometrów”, ile „wewnętrznych pięćdziesiątek”. Zbliżyłam się do pięćdziesiątki, więc przez pięć dni miałam codziennie przejechać pięćdziesiąt kilometrów. I udało się. Bardzo mnie to cieszy.

Kiedyś nie wychodziłam z pracy. Dzisiaj staram się z niej wychodzić, także głową. I to nie jest tylko rower; to także ogród – od niedawna jestem działkowcem (celowo nie używam feminatywu).

Moja mama uprawiała i nadal uprawia ogród, więc można powiedzieć, że działka jest moim dziedzictwem. Wszłam w to doświadczenie sceptycznie, zaczęłam od czytania na ten temat. Mama zajmuje się tym od pięćdziesięciu lat, pod jej opieką wszystko rośnie jak szalone, jakby ktoś zaczarował te rośliny. Mnie zdarza się to rzadko, bo najpierw czytam. Kiedy obserwuję mamę w ogrodzie – mama oczywiście szanuje, że mówię, co wyczytałam – przekonuję się, że w bardzo dużym stopniu praca z roślinami podlega intuicji. Niekiedy wydaje mi się, że moja praca dydaktyczna i naukowa wiąże się z podobną intuicją. Nie wszystko można wyczytać, zaś intuicja pozwala inaczej myśleć o czasie.

Kiedy zabieram się do pisania, to natychmiast zaczynam odkurzać mieszkanie. Nie piszę, bo odkurzam. Wchodzenie w pisanie jest dla mnie bardzo żmudnym procesem. Zdarza mi się nawet myć okna, choć nie lubię tego robić,

ale tak – dużo musi się wydarzyć w drodze do pisania. Te aktywności, odruchy wycofywania, wahania składają się już na pisanie, nie są przeszkodami. One muszą się odbyć, żebym mogła bezkarnie „wpaść” w pracę nad artykułem czy książką.

Myślę, że humanistyka nie jest *viralem* i nie może nim być. Nie jesteśmy sensacyjni, bywamy nudni, czepiamy się, krytykujemy, dzielimy włos na czworo, ośmioro, bywamy niesympatyczni, ponieważ komplikujemy sprawy. Mnie się wydaje, że rola humanistyki polega dziś właśnie na rozplątywaniu skomplikowanych spraw, na tłumaczeniu rzeczywistości, nie na „wydawaniu” wiedzy, prawdy i autorytetu.

Satysfakcji nie mierzy się ilościowo, a nawet na pewno się tak nie robi. Główny nerw humanistyki tkwi nie w spektakularności i nie w popularności. Badań humanistycznych, w moim przekonaniu, nie przeprowadza się „sensacyjnie”.

Jako dziecko lat dziewięćdziesiątych uznawałam, że nie jest możliwe wejście w rolę autorytetu z pozycji nauk humanistycznych (choć było wielu chętnych), ponieważ świat (uczestniczki i uczestnicy ówczesnej rzeczywistości społeczno-ekonomicznej) tego nie potrzebował. Dorastanie w latach dziewięćdziesiątych uzmysłowiło mi, że choć można było mieć pragnienia zajmowania miejsca opinotwórczego, rewolucyjnego, spektakularnego, dostrzegać atrakcyjność głosów humanistów po 1989 roku, którzy tłumaczyli nową rzeczywistość literacką, to nie sposób nie widzieć, że po prostu nie jesteśmy już wspólnotą, która potrzebuje humanistycznych autorytetów. Nie mam zatem złudzeń – i to nie jest kwestia skromności czy pokory – co do tego, że moje zadanie, jeśli ma mieć sens, musi polegać na innym sposobie uczenia i czytania. Określam się jako dziecko lat dziewięćdziesiątych w kontekście początków literaturoznawczych. Ciekawe, co badacze i badaczki z mojego pokolenia myślą o latach dziewięćdziesiątych jako czasie formującym ich biografię naukowe. Wydaje mi się, że to jest rzecz do przegadania pokoleniowo. Tamte początki nie są neutralne dla naszego rozwoju i myślenia o tym, kim jesteśmy teraz w kontekście literaturoznawstwa czy humanistyki w ogóle.

Myśląc o mojej pracy, po pierwsze odchodzę od języka „sukcesu” i „porażki”. Wołałabym raczej mówić o osiągnięciach i niepowodzeniach. Jestem przekonana, że podejście do swoich osiągnięć według zasady: „bardzo fajnie, że wyszedł

mi akapit, że udało się w nim napisać coś wiążącego”, to wystarczająca rama dla charakterystyki mojego dorobku.

Lubię swoje książki, ale bez złudzeń, że czyta je szerokie grono odbiorców i odbiorczyń. Lubię je i wydaje mi się, że udało mi się zawrzeć w nich kilka istotnych kwestii. Mam do moich książek mnóstwo uwag, zdarza mi się myśleć krytycznie o nich i o sobie jako ich autorce, ale uważam je za sensowne osiągnięcia.

Empatyczne czytanie nie jest prostym zadaniem ani zagadnieniem. Problematyka empatii i czytania wymagałaby miniwykładu. Dlatego że czytanie empatyczne nie jest wcale oczywiste. Ta nieoczywistość ciekawie i według mnie przekonująco wybrzmiewa i komplikuje się w studiach o niepełnosprawności. Jasne, empatia jako postawa szlachetna i współczująca – ale jednocześnie zamykająca na możliwości i nowe rozwiązania. Zajmując pozycję empatyczną, można znaleźć się w pułapce. Na przykład: empatyzuję kimś, nawet współodczuwam jego ból, co jest ważne, ale nie przychodzi mi do głowy myśl, że ta sama osoba zamiast współodczuwania i troski potrzebuje wsparcia. Z troski często nie wychodzi nic dobrego, zwłaszcza kiedy wyklucza ona inne formy możliwości, aktywności, realizacji. Empatia może więc być narzędziem niesprawiedliwości, jeśli ktoś się za bardzo postara. Dlatego myślenie o empatii jako o (mówiąc w dużym skrócie) zbiorze możliwości jest mi od pewnego czasu bliższe niż myślenie o niej jako imperatywie współcierpienia.

Między innymi z tych powodów uważam, że warto się wczytać w studia o niepełnosprawności. W polskim literaturoznawstwie to nowy obszar badań. Oczywiście problematyka niepełnosprawności była do tej pory szerzej obecna w pedagogice czy socjologii. Jeśli chodzi o literaturoznawstwo, to sądzę, że w obrębie *disability studies* znajduje się niemało wskazówek dotyczących nieoczywistości tego, co dotąd wydawało się nazbyt oczywiste. Jedną z takich nieoczywistości jest empatia. Projekt krytyki impulsywnej, o którym wspominałam, w pewnym sensie jest projektem przeciw empatii.

Małgorzata Bieńkowska

*METOD JAKOŚCIOWYCH JEST TYLE, ILE W LUDZIACH
KREATYWNOŚCI | ODC. 21*



Poza wywiadami miałam także bardzo wartościowe rozmowy z osobami zainteresowanymi moimi badaniami z osobami transpłciowymi. Co ciekawe były to głównie osoby ze społeczności wiejskich. Obawiałam się ostrej krytyki a było zupełnie inaczej. Nie było tam sztywności w rozmowie, po prostu padały pytania kierowane zwykłą ludzką ciekawością. Z czasem przestałam się bać takich rozmów.

Doktor habilitowana Małgorzata Bieńkowska

Do Białegostoku dotarliśmy pociągiem.

Czyste niebo i intensywne słońce sprawiały, że trawniki w mieście wyglądały wyjątkowo zielono. Pod dworzec zamówiliśmy taksówkę. Minąwszy po drodze między

innymi Pomnik Bohaterów Ziemi Białostockiej i charakterystyczny budynek Społeczeństwa, dotarliśmy na miejsce.

Kampus uczelni był ogromny, ale my od razu skierowaliśmy się w stronę Wydziału Socjologii. Już sam gmach wydziału robił wrażenie swoją architekturą. Masywne mury i ciężkie kolumny zdobiły jego wejście.

Wewnątrz panował klimat dawnych lat. Marmurowe posadzki, drewniane elementy, masywne meble. Pod tablicą informacyjną znalazło się niewielkie miejsce do odpoczynku. Stolik i dwa tradycyjnie obite krzesła.

Korytarz prowadził nas dalej, obok okienek z szyldami w tradycyjnym foncie, na których napisane było „ksero”, „bindowanie”, „oprawy”. Nawet klatka schodowa przywoływała na myśl dawne czasy swoją przestrzennością i solidną, drewnianą balustradą.

Gabinet pani profesor Małgorzaty Bienkowskiej miał własny, wyraźny charakter. Na ścianach wisiała ilustracja Białegostoku, abstrakcyjny portret i gobelin z godłem uniwersytetu. Na dużej przeszklonej szafie pełnej książek stały nagrody, w tym statuetka dla najlepszego wykładowcy wydziału z roku akademickiego 2005–2006. Pod oknem wyróżniała się kolekcja bujnych roślin doniczkowych, które dodawały pomieszczeniu ciepła i życia. Biurko pani profesor ustawione było przy dłuższym stole, przy którym rozłożyliśmy nasz sprzęt. Obok dokumentów i przyborów do pisania znalazła się też osobista pamiątka – ramka z dziecięcym rysunkiem serca.

Pani profesor podała nam kawę, a my wyjęliśmy notatki i zaczęliśmy zadawać pytania.

Obecnie wróciłam do badań związanych z granicą i pograniczem i mam wrażenie, że bardzo ciężko jest dziś pozyskać osoby do badania, które chciałyby powiedzieć, jak wygląda rzeczywistość na granicy polsko-białoruskiej. W tym temacie występuje ogromna nieufność i zamknięcie. Spotykam się z bardzo dużą liczbą odmów, choć mogłoby się wydawać, że nie ma tu aż tak silnie wrażliwych tematów, że nie jest to grupa wrażliwa według klasycznej definicji czy narażona na zranienie – w porównaniu na przykład do osób transpłciowych. A jednak nieufność wobec rozmowy o tym, co się dzieje, jest bardzo duża.

Wydaje mi się, że przede wszystkim ważne jest to, że badania dotyczące pograniczy i granic są stale aktualne. Ciągłe okazuje się, że wydarza się coś nowego, co rzutuje na sposób, w jaki te obszary postrzegamy. I stąd bierze się istota badań akademickich dotyczących pograniczy i granic.

Podzielię się też doświadczeniem, które kiedyś bardzo mocno mnie irytowało, mówiąc subtelnie. Przeczytałam recenzję ekspercką dotyczącą pisma, które wydawaliśmy w Białymstoku, zatytułowanego „Pogranicze. Studia Społeczne”. Ekspert, oceniający pismo, stwierdził, że ma ono niski potencjał do umiędzynarodowienia, że to właściwie są tylko jakieś regionalne studia, które nie mają znaczenia. To nie jest dosłowny cytat, ale oddaje sens jego wypowiedzi. Strasznie mnie to zbulwersowało i pomyślałam wtedy, że albo ktoś był kompletnym ignorantem albo ignorantką, albo zupełnie nie wiedział, o czym pisze. Studia nad pograniczami mają przecież bardzo mocne ugruntowanie międzynarodowe. Jestem członkinią Association for Borderlands Studies, gdzie właściwie co roku spotykamy się na kilku konferencjach w różnych częściach świata, by porównywać to, co dzieje się na świecie.

Pandemia pokazała, jak bardzo wiele może się zadziać, jeśli chodzi o granice, i jak silny wpływ mają decyzje strategiczne (powiedzmy: polityczne) w czasie pandemii na funkcjonowanie społeczności na pograniczach.

Od dobrych kilkunastu lat uczestniczę w transdyscyplinarnych sympozjach badań jakościowych. To inicjatywa rozpoczęta przez badaczy zajmujących się tymi metodami w Polsce. Środowisko stale się rozrasta, pojawiają się nowe twarze. Zbudowaliśmy też taką sieć łączącą badaczy i badaczki, którzy i które w praktyce zajmują się badaniami jakościowymi. Inspirujące jest również to, jak z biegiem lat pojawiają się nowe metody i nowe opowieści o badaniach. Nieśamowicie ostatnio ujął mnie młody doktorant ze Szczecina, który opowiadał o relacjach między człowiekiem a gołębiami i pokazywał całą swoją niesamowitą metodologię. To jeden z przykładów. Same metody oczywiście się zmieniają, rozwijają, doskonalą i nie ośmieliłabym się dzisiaj określić, ile ich jest. Powiedziałabym raczej, że niektóre stały się bardziej klasyczne z racji ich długiego trwania, ale one też są przecież zmieniane i rozbudowywane. Mamy różnego rodzaju wywiady, które wiążą się z określoną dyscypliną realizacji badań. Są badania uczestniczące, obserwacje, ale też wciąż rozwijają się nowe sposoby opowiadania o rzeczywistościach. Choćby autoetnografia, w której nie ma tej granicy między badaczem a badanym światem, tylko narracja z perspektywy „ja”. To pojawia się nawet w obrębie *border studies*. Ciekawią mnie także badania poprzez sztukę, badania angażujące.

Powiedziałabym więc, że idziemy w stronę interdyscyplinarną: łączenia dyscyplin i łączenia metod, które w tych dyscyplinach się pojawiają. A na Wydziale Socjologii Uniwersytetu w Białymstoku pracuję też z bardzo ciekawym zespołem ludzi. Jedną z naszych koleżanek, doktor Katarzyna Niziołek, od lat prowadzi badania związane ze sztuką społeczną poprzez metodę, którą wypracowała i określiła teatrem partycypacyjnym. Ludzie wchodzi, odgrywa spektakle, a później analizowany jest zebrany materiał: zapisy tworzenia spektakli, samego spektaklu, refleksje. To unikatowy sposób badań. Zresztą metod badawczych jest bardzo wiele i widać tu niesamowitą kreatywność ludzi.

Ujęła mnie też opowieść o badaniach nad rękodziełem podlaskim, gdzie badaczka doktor Ewa Kępa realizuje swoje badania poprzez tkanie. Mówimy o tkaninie dwuosnowowej (jeśli dobrze wymawiam nazwę). Ale obok tkactwa pojawia się zainteresowanie ziołami, przygotowywanie różnych mieszanek, mikstur ziołowych i w ogóle patrzenie na to, jak kultura ludowa przekazuje sobie wiedzę na ten temat. To są badania wykraczające poza sztywne schematy naukowe – wchodzące w relację z badanym światem przez uczestniczenie wprost w tworzeniu tego, wokół czego zbudowane jest wytwarzanie ludowej czy społecznej wiedzy. Powiedziałabym, że metod jakościowych jest tyle, ile jest w ludziach kreatywności.

Nauka sama w sobie jest przede wszystkim procesem. Nie jest też tak, że można sobie wymyślić dowolną rzecz, bo każde badanie wymaga konfrontacji ze środowiskiem naukowym i umiejętności przekazania tego, o co chodzi: pomysłu, sposobu realizacji, rezultatów. Dopiero w konfrontacji z innymi – kiedy potrafi się opisać proces badawczy, przekonać inne osoby w środowisku naukowym – można mówić o tym, że tworzy się metodę, którą da się w pewnym sensie odtworzyć. Jeśli zainspiruje się inną osobę, która będzie w stanie tę metodę zastosować, stosując określone reguły i procedury.

Wszystkie badania jakościowe są obarczone subiektywizmem. I to nie jest żaden błąd, tylko po prostu specyfika tych badań. Oczywiście natychmiast pojawia się pytanie o obiektywność i subiektywność badań. To nieustająca dyskusja w naukach społecznych. Odniosę się do socjologii: czy w ogóle możemy być

obiektywni? Czy poznajemy rzeczywistość, która jest obiektywna? Bo choćbyśmy się bardzo wysilali, nie da się jej zważyć i zmierzyć tak, jak można założyć, że dzieje się to w obrębie nauk przyrodniczych czy nauk ścisłych. Zawsze, niezależnie od tego, jakich metod będziemy używać, mamy do czynienia z ludźmi. Ludźmi, którzy w badaniach są wobec nas szczerzy w różnym stopniu, którzy jednego dnia udzielą określonej odpowiedzi, a za jakiś czas zupełnie inaczej odniosą się do poruszonych w badaniu wątków. Oczywiście istnieje też takie silne przekonanie, że kiedy posługujemy się metodami ilościowymi i robimy badania statystyczne na dużych próbach, to działa „magia liczb” i wydaje nam się, że to wszystko jest bardzo obiektywne. Nie chcę się tu nikomu narażać – szanuję ten głos obiektywizmu, ale osobiście bardzo cenię badania jakościowe, bo dają zupełnie inną głębię poznania rzeczywistości, wejście w jej głąb. I zawsze wraca dyskusja o to, czy są to badania obarczone „błędem” subiektywizmu. Oczywiście, że są, ale w pewien sposób to też ich urok – poznajemy rzeczywistość z perspektywy konkretnych jednostek.

A do tego dochodzi jeszcze kolejny etap, czyli pisanie naukowe z perspektywy „ja”. W momencie, kiedy nie ma dystansu autora czy autorki badań do świata badanego, jest to niezwykle trudne, ale to też są określone metody badawcze, którymi ludzie posługują się w autonarracjach lub etnografiach i z takiej perspektywy piszą w określony sposób. Myślę, że to jest bardzo ważne, bo poszerza naszą rzeczywistość.

Kiedy skaluję to doświadczenie i wracam do lat dziewięćdziesiątych albo nawet do roku 2000 czy 2010, widzę pewną zmianę jakościową, idącą w stronę większej liberalizacji, a za nią zmianę aprobaty albo tolerancji (dla mnie to są jednak dwa różne pojęcia). To nie znaczy, że jest dobrze, bo co jakiś czas jako społeczeństwo dajemy się porwać różnym negatywnym emocjom. W sondażach widać, jak zmienia się stosunek do osób, które w jakiś sposób są naznaczone etykietką „innego”.

Nie ma co ukrywać, duży wpływ ma tu niewątpliwie narracja polityczna. Łatwo budować kapitał polityczny, po prostu wskazując na kogoś, kogo się atakuje. Jakąś grupę, wokół której można budować określone emocje – im bardziej negatywne, tym łatwiej trafią do potencjalnych odbiorców.

To zawsze mnie zastanawia, że często powtarza się stereotyp, że ludzie na wsi są nietolerancyjni albo, może inaczej, bardziej konserwatywni. Realizując badania, spotykałam się z różnymi osobami i wiele z nich zadawało pytania

o moją działalność. Poza wywiadami miałam także bardzo wartościowe rozmowy z osobami zainteresowanymi moimi badaniami z osobami transpłciowymi. Co ciekawe były to głównie osoby ze społeczności wiejskich. Obawiałam się ostrej krytyki a było zupełnie inaczej. Nie było tam sztywności w rozmowie, po prostu padały pytania kierowane zwykłą ludzką ciekawością.

Z czasem przestałam się bać takich rozmów. Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy ktoś zaczął mnie pytać, zastanawiałam się, do czego ta rozmowa nas doprowadzi, w którą stronę pójdzie. A okazało się, że to było zwyczajne pytanie z ciekawości. Po jednym pytaniu pojawiało się kolejne i to było niesamowicie ciekawe doświadczenie. Pokazywało mi, że kiedy mówi się o konkretnych osobach – nie z imienia i nazwiska, tylko opisując, że żyją w społeczeństwie, są gdzieś wśród nas, funkcjonują w określony sposób, mają swoje problemy – rozmówców można przekonać do tego, że takie osoby mają swoje prawa. O tym przecież ciągle dyskutujemy w przestrzeni publicznej.

Pytanie o to, czym się zajmuję, jest chyba dla mnie dosyć trudne, ale nieustannie muszę się z nim zmagać i odpowiadać na nie w różnych kontekstach, różnym osobom. Może nie chodzi o same osoby, tylko o kontekst, w jakim to pytanie się pojawia. Gdybym miała powiedzieć najprościej, powiedziała bym, że jestem naukowczynią, socjolożką i zajmuję się czymś, co ma dość dużą rozbieżność. Z jednej strony zajmuję się *gender studies*, a właściwie badaniami nad transpłciowością; drugim krańcem zainteresowań są *border studies*, czyli studia nad pograniczami i granicami, od których pierwotnie zaczynałam pracę naukową.

W trakcie pisania doktoratu – w trakcie przerwy, kiedy siedziałam nad tekstem i analizą danych – rozmawiałam ze znajomą. Piłyśmy kawę, plotkowałyśmy o bieżących sprawach, a koleżanka podzieliła się refleksją z pracy w archiwum i ze spotkania z osobą, która przyszła w sprawie dokumentów. Była to osoba transpłciowa. Koleżanka opowiadała właściwie o szoku, który trochę przeżyła, bo była to pierwsza osoba po korekcie płci, z którą się zetknęła. I to mnie na tyle zastanowiło, że stało się motywacją, żeby skończyć doktorat o stosunkach etnicznych na pograniczu i zająć się tematem, który wtedy był w Polsce (szczególnie w naukach społecznych) zupełnie nierozpoznany. Stąd wziął się cały pomysł na badania.

Gdybym miała to jakoś połączyć, powiedziała bym, że najbardziej interesuje mnie kategoria „innego” i to, jak osoby postrzegane jako inne są definiowane

w społeczeństwie, jak kształtują się relacje z nimi oraz jak działa dyskurs, czyli w jaki sposób wyznacza się kategorię osób „innych”.

Mogę o sobie mówić, że jestem wychowanką profesora Janusza Muchy. Jego refleksje naukowe niezmiennie cenię i mam poczucie, że mocno mnie ugruntowały w tym, jak postrzegam rzeczywistość społeczną.

Janusz Mucha w swoich publikacjach pisał o kulturze dominującej i zdefiniował ją jako kulturę grupy dominującej. Idąc tym tropem, określił, że grupę dominującą w Polsce stanowią biali mężczyźni w średnim wieku, ze średnim wykształceniem, wyznania rzymskokatolickiego, narodowości polskiej, pełnosprawni fizycznie i psychicznie. To dosyć specyficzny opis, ale natychmiast stawia pewne ramy i pokazuje, kto wyznacza prawomocny dyskurs, czyli co jest „normalne”, a co jest odstępstwem. „Inny” jest kimś, kto nie wpisuje się w tę kategorię kultury dominującej. Kimś, o kim z perspektywy kultury dominującej można powiedzieć, że jest inny, że stanowi mniejszość, że może być dyskryminowany, traktowany w odmienny sposób niż osoby postrzegane jako „swoje”. Każde społeczeństwo tworzy podział na „my” i „oni”, czyli podział na tych, z którymi się identyfikujemy, i tych, których od własnej grupy oddzielamy.

Tak jak wspomniałam, później „przeskoczyłam” do badań nad transpłciowością. I pojawiła się zagwozdzka: jak wejść w świat osób transpłciowych, jak zrealizować badania, jak poznać to, jak wygląda polskie społeczeństwo z ich perspektywy, jak te osoby się tu czują. Największym wyzwaniem było dotarcie do osób transpłciowych. Zakładałam, że to będzie grupa bardzo trudna i zamknięta. A jednak metodą kuli śnieżnej, od osoby do osoby, budując zaufanie, także w środowiskach działających w grupach wsparcia, docierałam do kolejnych osób.

Dzisiaj, z perspektywy innych badań mam wrażenie, że tamte badania realizowało się stosunkowo łatwo, jeśli chodzi o dotarcie do osób. Okazało się, że w społeczności osób transpłciowych panuje duża chęć opowiedzenia o sobie, swoich przeżyciach, podzielenia się tym. Osoby, które wyrażały zgodę i zgłaszały chęć uczestnictwa, zapraszałam do badań jakościowych, do wywiadów. Miały one charakter może nie do końca biograficzny, bo pozwalałam sobie na zadawanie pytań bardziej ustrukturyzowanych. To się oczywiście w trakcie badań zmieniało, bo prowadziłam je przez kilka lat i czasem wracałam do osób, z którymi wcześniej rozmawiałam.

Kiedy realizowałam badania z osobami transpłciowymi, pełniłam funkcję prodziekana do spraw studenckich. Miałam dyżury, na które przychodzili studenci i studentki. I kilka razy zdarzyła się sytuacja, że ktoś przyszedł do gabinetu, a ja miałam świadomość, że tej osoby nie kojarzyłam (jestem wzrokowcem, więc dość łatwo odróżniam osoby funkcjonujące na wydziale, nawet jeśli nie mam z nimi zajęć). Okazywało się, że przychodziły osoby, które nie są studentami wydziału – osoby transpłciowe, które dowiedziały się o badaniach i chciały podzielić się historią, albo rodzice, którzy podejrzewali, że ich dzieci mogą być transpłciowe.

To były rozmowy niesamowicie ciekawe, ale też czasem bardzo trudne. Pamiętam osobę, która przyszła i powiedziała wprost, że ma skierowanie do szpitala psychiatrycznego, ale nie jest pewna, czy to właściwa decyzja, bo czuje, że jest osobą transpłciową, a jest podejrzewana o schizofrenię.

Słyszałam różne historie. Wówczas bardzo intensywnie myślałam nad tym, co zrobić. Nie mogę nikogo diagnozować. Jako socjolożka nie mam do tego narzędzi. Mogę komuś zrobić krzywdę jakąkolwiek sugestią – tym bardziej, że zdarzały się spotkania z osobami w kryzysie, jeśli chodzi o ich kondycję w danym momencie. To też było niesamowicie trudne.

Zresztą, wracając do badań jakościowych: często prowadzimy ożywione dyskusje na temat tego, dlaczego my, socjolożki i socjolodzy, nie mamy superwizji po powrocie z badań. Dlaczego nie ma wsparcia, kiedy przychodzimy z emocjami, które niosą ze sobą badania jakościowe wraz z wejściem w świat osób badanych.

Etyka jest narzędziem, które chroni zarówno osoby badane, jak i badaczy. Ale etyka nie zniweluje braku wsparcia dla badaczy, kiedy wychodzą z badań. A to jest często sytuacja bardzo trudna.

Pamiętam też, że kiedy umawiałam się na pierwsze wywiady z osobami transpłciowymi, zrobiłam to bardzo nieostrożnie, według moich dzisiejszych standardów – umówiłam się z trzema osobami jednego dnia. Oczywiście podzieliłam to na pory dnia, zostawiłam zapas czasu na każde spotkanie i czas dla siebie pomiędzy nimi. A jednak wróciłam z tych badań wypalona. Byłam tak zmęczona, że interesowało mnie tylko to, żeby się wyciszyć, набrać dystansu i odpocząć. Tyle że to nie jest coś, co wydarza się w ciągu jednego czy dwóch dni, bo ładunek emocji, który usłyszałam w tych trzech wywiadach, był ogromny.

Oczywiście kiedy realizuje się badania, chce się je zrobić. Kiedy wyjeżdża się w teren, próbuje się umówić jak najwięcej osób w krótkim odstępie czasu. I to jest ogromny błąd, podyktowany logistyką, organizacją badań, a zupełnie pomijający troskę o dobrostan badacza czy badaczki.

Nie ma narzędzia takiego jak superwizje dla socjolożek i socjologów. Mamy co najwyżej własne grupy wsparcia, więc gdy pracuje się w zespole, można dyskutować. Ale gdy pracuje się indywidualnie nad jakimś tematem, obowiązują zasady, które nie pozwalają opowiadać o tym, co działo się w trakcie wywiadów i co nas poruszyło. Można mówić tylko o tym, co się czuje, ale to nie zawsze pomaga poradzić sobie z tym, czego się doświadcza.

To jest chyba pytanie, z którym każdy w którymś momencie się spotyka: jaki jest sens naszej pracy i kiedy czuje się satysfakcję. Satysfakcję czuję co jakiś czas. Oczywiście, co jakiś czas przeżywam też kryzysy dotyczące tego, jaki sens ma to, co robię.

Kiedy spotykam osoby, które uczyłam albo z którymi pracowałam, kiedy studiowały, i widzę, jak czerpią z wiedzy, którą im przekazałam, albo słyszę to od nich wprost, niesamowicie mnie to buduje. Pracuję już blisko trzydzieści lat, więc w gronie osób, z którymi pracowałam, są osoby będące doktorami habilitowanymi. To jest taki błysk w oku – czuję dumę, że dołożyłam jakąś małą cegiełkę do ich drogi naukowej.

Mam też poczucie, szczególnie w odniesieniu do badań nad transpłciowością, że wniosłam istotny wkład, by to środowisko było widoczne w naukach społecznych, i że przełamalam jakieś tabu w środowisku socjologicznym. Nawet chyba bez „może”. Kiedy pracowałam nad tym tematem (to była podstawa mojej dysertacji habilitacyjnej) kilka razy spotkałam się z „dobrymi radami” starszych kolegów (rzadziej koleżanek) – że temat jest ciekawy, umiem o nim świetnie opowiadać, ale „to się nie nadaje na habilitację, nie ryzykuj”. Bo „za sam temat możesz mieć nieprzyjemności”. A ponieważ jestem osobą upartą, wysłuchałam tych rad i powiedziałam: „potrafię przekonać ludzi, że to są ważne badania dla socjologii”.

Odpoczywam, kiedy uciekam na długi spacer do lasu. Mam to szczęście, że mieszkam blisko Puszczy Knyszyńskiej, więc wyjście do lasu to pięć minut i nagle wchodzi się w zupełnie inną przestrzeń. Być może odpoczywam, bo

idę i nie spotykam ludzi. Choć lubię towarzystwo, to las jest przestrzenią do wytchnienia.

Miejszem i czynnością, które dają mi wytchnienie, jest ogród i zajmowanie się nim. Kiedyś powiedziałam, że prace w ziemi – dłubanie, przesadzanie, patrzanie, jak rośliny rosną, pielęgnowanie ich – są dla mnie praktyką zen, bo „czyści mi się mózg”. Wchodzę w stan relaksacyjny. To jest chyba najlepsza przestrzeń. I niesamowicie odpoczywam też wtedy, kiedy wyjadę daleko od domu; daje mi to dystans do bieżących spraw.

Nie da się wyjść z roli naukowca, nie da się wyjść z roli socjolożki. Jest się nieustannie gdzieś w świecie swojej wiedzy i się z niej korzysta. Być może doświadczenie albo umiejętność wyjścia z zawodowej roli i przestania nieustannie obserwować, co dzieje się dookoła, daje jakiś dystans, ale nie zawsze.

Podzielię się prywatną opowieścią. Na jednej z randek byłam w kawiarni przy Starym Rynku w Bydgoszczy. Kolega, z którym się spotkałam, powiedział mi, że ma już dosyć tego spotkania, bo zamiast patrzeć mu w oczy, nieustannie patrzę na ludzi wokół i analizuję, co się między nimi dzieje. Rzeczywiście mnie na tym przyłapał, choć robiłam to zupełnie mimowolnie.

Żartobliwie na studiach nazywaliśmy to „zboczeniem socjologicznym”. Nie wiem, jak to działa dziś – może już nie zawsze tak jest. Czasem człowiek potrafi się z tego wyłączyć. Ale obserwowaliśmy też w gronie kolegów i koleżanek moment bardzo specyficzny. Gdy zostawialiśmy rodzicami, okazywało się, jak mocno – w symbolicznym interakcjonizmie – wszystko się zgadzało. Relacje, wchodzenie w rolę, socjalizacja, jażnie: wszystko przerabialiśmy sobie empirycznie na własnych dzieciach, widząc, że to faktycznie działa. To bywało czasem zabawne. Dyskutowaliśmy o tym i mówiliśmy sobie: „Dobra, ale wyjdźmy z pracy, kiedy wychowujemy swoje dzieci”.

Maria Mendel

*JAKO BADACZKA NIE MAM POJĘCIA, CO Z TEGO
WYNIKNIĘ | ODC. 22*



Powiem szczerze, że nie do wytrzymania są powtarzane po raz kolejny raporty i akademicko przepisywane sprawozdania, które mówią o tym, że jest źle i będzie jeszcze gorzej. Głos akademików musi płynąć mocniej, wyraziściej i mieć inną, performatywną strukturę. On nie może być głosem sobie a mu-zom, czyli czymś, co głoszone *ex cathedra* wisi nad tą katedrą i nie przekłada się na działania.

Profesor doktor habilitowana Maria Mendel

Nie był to pierwszy raz, kiedy jechaliśmy w długą podróż, dlatego wyprawa do Gdańska wydawała nam się po prostu kolejnym przystankiem na mapie naszego projektu. W pociągu mieliśmy tym razem spędzić ponad pięć godzin. Nie przewieziliśmy jednak przymusowego postoju i ewakuacji już po niecałej godzinie jazdy.

Przez dłuższą chwilę zastanawialiśmy się, czy w ogóle uda nam się dotrzeć tego dnia do celu. Grafik profesor Marii Mendel był napięty. Tuż po naszym wywiadzie czekała na nią doktorantka. Na szczęście nasza gościni zgodziła się przesunąć spotkanie i przyjąć nas trochę później.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do Gdańska, przywitało nas słońce i bezchmurne niebo. Taksówką podjechaliśmy pod Uniwersytet Gdański – nowoczesny, przeszklony kompleks budynków, za którym rozciągały się zielone wzgórza.

Skierowaliśmy się do wejścia Wydziału Nauk Społecznych. Zarówno z zewnątrz, jak i w środku budynek był starannie udekorowany ze względu na odbywający się tam właśnie Kongres Młodej Nauki.

Profesor Mendel wyszła nam naprzeciw i zaprowadziła do windy. Na jednym z wyższych pięter czekał na nas jej gabinet. Przestronny, z ogromnymi oknami i widokiem na skąpane w słońcu wzgórza.

W środku zaproponowała nam herbatę z ziaren gryki. Wnętrze gabinetu było pełne obrazów, plakatów i książek. Jak pani profesor wyjaśniła z wyraźną dumą, współtworzyli je także studenci i doktoranci. Z wyjątkową herbatą usiedliśmy do rozmowy i staraliśmy zmieścić się w czasie, nim przyjdzie umówiona z panią profesor doktorantka.

Nie spodziewaliśmy się jednak, że ona także zechce powiedzieć do mikrofonu kilka słów.

Zacznę od anegdoty. Kiedy zrodził się pomysł na te badania, poszłam do nieżyjącego już prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Bywał u nas na Wydziale Nauk Społecznych nie raz, bo był takim człowiekiem, który naprawdę interesował się tym, co dzieje się w sprawach społecznych, także pedagogicznych. Czasem uczestniczył w naszych seminariach, wprost zadawał pytania, wchodził w dyskusje. W każdym razie przyszedł do niego z pytaniem: „co by pan prezydent powiedział na takie badania, które nie przysporzą Gdańskowi dobrej sławy, bo będą mówić o złych wydarzeniach w Gdańsku, których Gdańczanie nie chcą pamiętać?”.

Kiedy usłyszał szczegóły pomysłu, odpowiedział tak, jakby był rasowym pedagogiem miejsca: „miejsca nie są tworzone tylko przez ładne i miłe historie”. Żywość, „krwistość” miejsca, a w szczególności miasta, to także jego ciemne strony i trudne historie.

Pedagogika miejsca w centrum zainteresowania stawia właśnie miejsca. Wielokrotnie pedagodzy miejsca pod szyldem „miejsce” rozumieją miasto. Miasto z jego submiejscami: podwórkami, zaułkami, ulicami i tak dalej. Dla mnie, czyli właśnie pedagożki miejsca, bardzo istotnym, najbliższym i ukochanym miejscem, bo rodzinnym, jest Gdańsk.

Pierwszy raz badania nad miejscem, jakim jest Gdańsk, a tym samym badania nad lokalną tożsamością (tożsamość Gdańska jako miejsca) realizowałam wiele lat temu, bo w latach 2009–2011. W każdym razie były to badania bardzo trudne. Trudne także w sensie odbioru wyników przez lokalną społeczność, przez Gdańszczan.

Było to badanie, które skupiało się na tożsamości lokalnej Gdańszczan, ale jako punkt wyjścia wzięło opowieść o wydarzeniu, jakim była egzekucja oprawców nazistowskich z obozu Stutthof na początku lipca 1946 roku.

To historia niezwykle trudna, bo cały ówczesny Gdańsk uczestniczył w tej egzekucji. Zdarzenie to przez ówczesnych „speców od politycznego marketingu” – bo Gdańsk był wtedy pod zarządem sowieckim, złożonym między innymi z oficerów i propagandystów – zostało wyreżyserowane jako działanie mające wymazać poprzednie tożsamości miejsca i stworzyć puste pole, na które nałoży się tożsamość nowego, PRL-owskiego Gdańska.

Spektakl skupił cały ówczesny Gdańsk. Najpierw mówiliśmy o 200 tysiącach gapiów, ale historyczka z naszego zespołu, doktor Sylwia Bykowska, zweryfikowała te dane: ówczesny Gdańsk liczył trochę ponad 70 tysięcy mieszkańców. W każdym razie komuniści zrobili z tego spektakl, więc dzień roboczy zamienili w dzień wolny. O siedemnastej była piękna pogoda i stał tłum gapiów, patrzących się na ludzi wiszących na drzewach dookoła placu, gdzie dokonano tej egzekucji w sposób demonstracyjny, spektakularny.

I zgodnie z teorią rytuału, jak to bywało w takich sytuacjach od zawsze, tłum, który widział w akcie egzekucji rodzaj zadośćuczynienia i zemsty, rzucił się na tych jedenastu powieszonych ludzi. A później zaistniała trauma związana z tym, co się stało i było obecne w pamięci, częściowo podtrzymywanej przez rytualne „pamiątki” z wydarzenia – schowane w domach kawałeczki ubrań, sznura, coś, co można było zabrać ze sobą.

To miejsce, czyli gdańska Pohulanka, zarastało krzakami przez lata. Tak samo jak pamięć zarastała metaforycznie tymi bujnymi krzaczorami, bo ludzie

zasypywali złe wspomnienia. Nietrudno wyobrazić sobie, jak mogli się czuć po powrocie do domu z tego wydarzenia, z kawałkami ubrań powieszonych ludzi.

Badania skupiały się na narracjach osób, które w tym uczestniczyły, ale też osób, które o tym słyszały bądź pamiętały. Pamiętały również to, że w ich domach te pochowane w szufladach rzeczy, guziki, kawałki sznura były owiane tajemnicą. Nasi narratorzy opowiadali na przykład: „Pytaliśmy jako dzieci: co to jest? po co ten guzik? czemu on jest w specjalnym pudełeczku? Nie dowiadaliśmy się, dlaczego. Ale bawiliśmy się w wisielców na Pohulance”.

Pamięć wydobywała się – można by powiedzieć, odwołując się do teorii pamięci – w postpamięciowy sposób. W każdym razie tworzyła aurę, w której rozwijała się trauma. Wtedy, w 2009 roku najwyraźniej przyszedł czas, by z prezydentem miasta na pokładzie ruszyć z projektem i się z tej traumy otrząść.

Z projektem *Tożsamość gdańszczan. Budowanie na (nie)pamięci* wiąże się jeszcze jedna bardzo ciekawa historia. Tego typu badania zawsze realizuję w zespołach. Przyjmujemy w nich zwykle zasadę, że spotykamy się przynajmniej raz w miesiącu, żeby relacjonować, do czego doszliśmy – zespół bywa duży, więc trzeba dzielić się robotą i konfrontować wyniki.

W każdym razie, na któreś z naszych seminariów pod koniec projektu przyszedł student Akademii Sztuk Pięknych, który przygotowywał dyplom. Podczas spotkania, a także w naszej korespondencji mailowej zadał bardzo ważne pytanie: co zrobić z pamięcią – z taką pamięcią? Nie mógł się pogodzić z sytuacją, w której po prostu „wiemy” i na tym koniec. I coś z tym zrobił. Jego projekt dyplomowy polegał na tym, że pojawił się na częściowo zamieszkanym, ale stale budowanym osiedlu na dawnym placu Pohulanka – tam, gdzie miała miejsce egzekucja. Przyszedł z własnoręcznie wykonaną szubienicą i fotografował się z nią na tle nowych bloków. Zdjęcia z napisem „Pocztówka z Pohulanki” miały znaleźć się w skrzynkach pocztowych mieszkańców.

Niestety kontakt z nim potem się urwał. Natomiast my w zespole badawczym, szczególnie pedagodzy, szeroko dyskutowaliśmy, co się wydarzyło w związku z tym performansem czy happeningiem, który artysta przeprowadził w związku z naszym badaniem. Mieliśmy poczucie, że potrzebna tam była nie tylko akcja artystyczna, ale również animacyjna i edukacyjna – że nie można tego po prostu tak zostawić.

Pięć lat później zainicjowałam badanie „Miasto jak wspólny pokój. Gdańskie *modi co-vivendi*”. Zaczynem była fascynacja koncepcją relacyjnej przestrzeni Jacques’a Rancière’a: przestrzeni budowanej jak siateczka powiązań, misterna konstrukcja, w której czasem coś uwiera i męczy, ale jednak jedna deseczka podtrzymuje drugą. Na okładkę swojej książki – nie tej, w której raportuję badania o wspólnym pokoju, ale następnej – wzięłam instalację *Miasto* gdańskiej artystki Katarzyny Józefowicz. To budowla z deseczek, deszczuleczek i rozbiórkowych pozostałości po różnych meblach, złożonych w konstrukcję, gdzie każda część trzyma następną i wszystko razem „trzyma się kupy”. To jest dla mnie reprezentacja graficzna tego, co mam na myśli, kiedy interpretuję Rancière’a i jego relacyjną przestrzeń: trzymamy się razem w sieci relacji, a poruszając się w takiej przestrzeni – symbolicznie i fizycznie – relacje te zmieniamy. Kiedy są opresyjne, kiedy rujną jako stan akceptacji danego ładu, na przykład demokratyczną wspólność, próbujemy je przerwać, zmienić układ, wprowadzić inny, lepszy porządek. „Interrupcja”, czyli przerwanie, czy „*disruption*”, czyli zakłócenie, to nośne pojęcia tej koncepcji.

Polski tłumacz Rancière’a użył metafory „wspólny pokój”. Zafascynowała mnie i pod tym szyldem do dziś rozwijam koncepcję etyczno-onto-epistemologicznego współbycia, współzamieszkiwania świata, wyrażającego ideę równości, wypracowywanej w nieustannym ruchu dzielenia przestrzeni z zachowaniem wrażliwości na inne byty. Nie chodzi o tradycyjne rozumienie równości i sprawiedliwości – że oto trzeba dzielić wszystko po równo, każdemu tyle samo. Możemy dzielić się, poruszając się we wspólnej przestrzeni, ustępując miejsca, robiąc je dla tych, którzy potrzebują go w danej chwili. Dokładnie tak, jak to jest, kiedy współzamieszkujemy z kimś pokój. Nie budujemy wtedy osobnych łazienek dla każdego, tylko „przesuwamy się” i zwalniamy łazienkę czy fotel z lampą do czytania. Wzajemnie reagujemy na potrzeby, ustępujemy, robimy miejsce – teraz ty, później ja; teraz ja, później ty. To jest bycie razem, tworzące równy świat, w którym stajemy się sobą i pozostajemy wrażliwymi na innych, tworzymy swoje tożsamości i wiedzę, ucząc się z innymi oraz od innych; to etyczno-onto-epistemologiczny ruch w przestrzeni relacji.

Zauważcie, że to przestrzeń relacji, w których biorą udział nie tylko ludzie. Ta łazienka, ten fotel i ta lampa też tutaj gra. Rzeczy i miejsca mają znaczenie. Generalnie, materia ma znaczenie. W różnych swoich formach coś umożliwia czy, przeciwnie, ogranicza albo imituje – po prostu ma podmiotową rolę w relacji.

Projekt „Wspólny Pokój Gdańsk. Gdańskie *modi co-vivendi*”, czyli sposoby układania się i współbycia w przestrzeni, realizowaliśmy w zespole jak na nasze warunki gigantycznym: było to dwadzieścia osiem osób z Uniwersytetu Gdańskiego, Akademii Sztuk Pięknych oraz organizacji pozarządowych. Historycy, pedagodzy, filozofowie, artyści – niesamowita badawcza menażeria, że tak się wyrażę. Zadaniem było opisywanie tych *modi co-vivendi* przy założeniu, że ludziom udaje się mieszkać w mieście jak we wspólnym pokoju i że znajdziemy w toku badania takie społeczności i miejsca.

To projekt, który nie kończy się zgrabnymi konkluzjami w stylu: „oto uchwyciliśmy warunki, w których da się osiągać *co-vivendi*”. Jego ważnym rezultatem jest empirycznie ugruntowane wskazanie, w jakich warunkach naprawdę udaje się osiągać takie wspólnopokojowe *modi co-vivendi*. Pokazaliśmy, jak ludzie potrafią się dogadywać, przesuwać, robić sobie miejsce, żyć w myśl zasad wspólnego pokoju w mieście.

Udawało się to również w bardzo trudnych latach po wojnie. Jedną z badaczek, Dorota Rancew-Sikora, opisywała charakterystyczne dla pierwszego powojnia (lata 1945–1950) zajmowanie wolnych, opuszczonych domów i mieszkań oraz „wyrywanie” sobie jak największej powierzchni. A potem analizowała plany mieszkań w starych kamienicach wystawianych na sprzedaż. W pewnym momencie zaczęto tworzyć miejsca wspólne: korytarzyki, hole, przestrzenie, gdzie można się spotkać, wymienić, gdzie jest społecznie, a nie tylko prywatnie, „bo to moje”.

Nikt z nas bez miejsca nie może wyrazić siebie i nie może siebie opowiedzieć. Nieustanne referencje do miejsca pojawiają się w każdej narracji tożsamościowej, a to pokazuje, że stajemy się sobą z udziałem miejsca, z jego nie(tylko) ludzkimi elementami.

A skoro uruchomiłam perspektywę nie tylko antropocentryczną, warto tu silnie zaakcentować, że miejsca współtworzymy z ludźmi i z innymi bytami. Zajmuję się pedagogiką miejsca, która – jako pole w obrębie szeroko otwartej pedagogiki społecznej – nawiązuje do myśli antropologicznej, ale też tej rozumianej „po nowemu”. Krótko mówiąc, pedagogika społeczna jako pedagogika miejsca jest głęboko zanurzona we współczesnej humanistyce i naukach społecznych, które – tak jak podmiot – też się stają. To wszystko dzieje się w sposób „gorący”, zwłaszcza w kontekstach kryzysowych, w których żyjemy.

Rolą pedagogiki jest zaangażowanie. Trudno wyobrazić sobie myśl pedagogiczną wolną od myśli o jej praktycznych odsłonach i wymiarach, które odsyłają do relacji. Relacja, dziejąc się, staje się takim *modus operandi* refleksji.

Zaangażowanie oznacza uważność w zanurzeniu w rzeczywistości, którą współtworzymy. Mogę być częścią świata, który współtworzę razem z innymi bytami. I mogę być zaangażowana tylko wtedy, kiedy ten świat odczuję, a co za tym idzie, zrozumieć jako mój świat, który mnie współtworzy i przez to jest dla mnie ważny. Bez niego nie ma mnie. Z nim – stale się zmieniając – jestem sprawcza i podmiotowa. Na tym polega istota zaangażowania: na odczytywaniu świata, którego jestem częścią i w którym jestem zanurzona, jako świata współtworzonego na koniunktywnej zasadzie, że jest mój i jednocześnie twój, i jeszcze twój, i nasz, i jako taki jest uważnie, czule percypowany.

Zobowiązanie społeczne pedagogiki w kontekście tak rozwijanej opowieści jest gigantyczne. To ona powinna aktywnie wspierać „splatanie na nowo tego, co społeczne” (mówiąc językiem Bruno Latoura) przez rekonceptualizację, które są coraz pilniejsze w obliczu postępującej katastrofy klimatycznej i pogłębiających się kryzysów oraz kształtują widzenie człowieka poza centrum, bez uprzywilejowanej pozycji, ale równoważnego we wspólnotocie życia. To zobowiązanie tworzy też teoretyczną samowiedzę pedagogiki, która nie jest dana raz na zawsze i której „naturą” jest zmiana. Pedagogiki nie ma bez nieustannie dokonywanych odkryć, bez zaangażowanego bycia w świecie i przerywania – poprzez wychowanie – przestrzeni relacji, które ten świat tworzą.

Pod koniec badania w obrębie obszaru, który mnie interesuje, bardzo trudno o satysfakcję. Satysfakcja kojarzy się z czymś zamkniętym: można powiedzieć „tak” albo „nie”, udało się albo się nie udało. Tymczasem w obszarze, w którym działałam badawczo, rezultaty przychodzą z czasem. Opowieść o artyście, który *post factum*, bo po zakończonych już badaniach zrealizował własny zamysł w przestrzeni objętej projektem, może być jednym z przykładów.

To, co spowodują badania i co potoczy się w ich skutek jak lawina, jest głęboko niedeterministyczne. Trudno więc o satysfakcję rozumianą jako odpowiedź: „udało się” lub „nie udało się”. Jako badaczka, przepraszam, ale nie mam błędnego pojęcia, co z tego wyniknie. Co zrobią z tym inni, w odniesieniu do badań miejskich czy gdańskich; co zrobią z tym Gdańszczanie, jak to przeczytają – czy na przykład nie stawia się jakieś bojkoty pod uniwersytetem i nie będą uragać, że tu „zabija się polskość”? Nie wiadomo. Ta niemożność przewidywania

skutków własnych badań sprawia, że trudno mówić o porażkach albo o tym, czy badania się „udały”. Metodologicznie wszystko mogło być świetnie, natomiast ten typ badań – wnikający głęboko w relacje między ludźmi, w ich tożsamości – jest dynamiczny i zmienia się w nieprzewidywalnych kierunkach już po wyczerpaniu zamiarów badawczych ujętych w projekcie.

Aktualnie współorganizuję konferencję, która w kontekście tego, co chcę powiedzieć, ma znaczący tytuł: *DOBRY KLIMAT. Środowiska akademickie solidarnie na rzecz ekowspólności*. Punktem wyjścia jest tu wypowiedź Ewy Bińczyk, znanej filozofki antropocenu, która w aurze intensywnego poszukiwania odpowiedzi na pytanie „co z tym zrobić”, stwierdziła, że „nie czas już na akademicki żargon, trzeba działać”. Głęboko się z tym zgadzam. Powiem szczerze, że nie do wytrzymania są dla mnie powtarzane po raz kolejny raporty i akademicko przepisywane sprawozdania, które mówią, że jest źle i będzie jeszcze gorzej. Głos akademików musi płynąć mocniej, wyraziście i mieć inną, performatywną strukturę. On nie może być głosem sobie a muzom, czyli czymś, co głoszone *ex cathedra* wisi nad tą katedrą i nie przekłada się na działania.

Mam nadzieję, że razem z artystami, z którymi przygotowujemy konferencję, zrobimy spore zamieszanie, szukając konkretnych sposobów przekładania wyników badań na działania i rozwiązania. Mam na myśli między innymi rozwiązania polityczne. Postawimy jasno pytanie: jak zrobić polityczny użytek z badań? Jak przekształcić je nie tylko w postulat polityczny, ale także w prawo, które idzie za ugruntowanym w badaniach głosem?

Przywołuję tę konferencję, żeby na jej przykładzie pokazać, że najwyższy czas, aby zmieniała się formuła bycia akademikem w świecie. Jeśli uczona lub uczony ma coś do powiedzenia, bo zrobiła lub zrobił sensowne badanie, trzeba to przekładać na praktykę, choćby przez kontakty z politykami czy organizacjami pozarządowymi. Mówiąc ogólnie, przez aktywność polegającą na przekładaniu badań na czyny. Dyskurs akademicki trzeba wiązać z innymi, nowymi podmiotowymi reprezentacjami i formami artykulacji, realnie istnieć w świecie praktyki.

O tym zresztą nie raz rozmawiamy z moją doktorantką, panią Staśką Retmarniak, która tkwi w tym praktycznym działaniu i pokazuje, że działanie ugruntowane w badaniach oraz refleksji naukowej naprawdę bywa skuteczne.

[Staśka Retmianiak]: Już wcześniej miałam okazję panią profesor poznać od strony wykładowczyni i osoby dzielącej się wiedzą, zaangażowanej w to, co dzieje się pomiędzy studentami i wykładowcami. Dlatego mój wybór padł na Uniwersytet Gdański. Czuję bardzo dużo wsparcia, zrozumienia, zaangażowania i poczucia ważności tego, co robię oraz jak to może pomóc innym osobom. Taka uważność, żeby to nie był kolejny raport czy tak zwany „półkownik”, tylko praca, która przysłuży się więcej niż wydziałowi, uniwersytetowi czy światu nauki.

Jestem praktyczką. Od dwudziestu lat pracuję w społecznościach lokalnych. W pewnym momencie poczułam, że metoda animacji społecznej, mocno we mnie zakorzeniona, przestała działać. Doszliśmy do ściany, która nie tyle nie robi zmiany, ile wspiera, a nawet betonuje stan, który mamy. Wytraciłam sens tej pracy. Pojawiła się refleksja: co mogę zrobić, żeby nie porzucając metody, która jest mi bliska, jednak robić zmianę, a przynajmniej nie podpisywać się pod betonowaniem?

Teraz przy dużym wsparciu pani profesor pracuję nad zaprojektowaniem badań. Myślałam nad tym, co te badania przyniosą. Nomenklatura bywa niezrozumiała dla ludzi, którzy na co dzień nie poruszają się w tej rzeczywistości, chociażby kryzysu klimatycznego. Co zrobić, żeby moje badania były praktyczne i naprawdę przyniosły zmianę – nie tylko dla mnie, ale też dla animatorów i animatorek, z którymi współpracuję?

[Maria Mendel]: W naszej współpracy ważne jest to, że obie jesteśmy bardzo zaangażowane w tę problematykę. To nas obie kręci, żyjemy tematami, które obrabiamy. Niby to są różne tematy doktoratów, ale nie mogłabym promować pracy doktorskiej i współpracować z doktorantem, doktorantką, gdyby praca dotyczyła czegoś zupełnie mi obcego. To naturalne, że jesteśmy zanurzone w nowej animacji razem. Pani robi w tym temacie więcej – bo to pani projekt – ale ja jestem go ciekawa i nim zafascynowana, siedzimy w tym obie.

Jedną z egzemplifikacji takiej wspólnej roboty jest książka *Eduwidma. Rzeczy i miejsca nawiedzone*. Powstała jako wynik seminaryjnej i badawczej pracy doktorantów, doktorantek oraz zaproszonych gości, takich jak Andrzej Marzec czy Maksymilian Chutorąński. Nauczyliśmy się dzięki temu przedsięwzięciu, że w efekcie współmyślenia i badania powstaje znacznie więcej niż tylko raport. Z mocą dotarła do nas istotność kategorii puszcanych w świat (na przykład podczas jednego z seminariów dowiedzieliśmy się, że „wstydownina” Martyny Pilas jest wykorzystywana w terapii DDA). Kategorie mają głęboki sens, jeżeli są nośne w praktyce i można za ich pomocą coś zrobić. Dlatego mają potencjał animacyjny i edukacyjny.

Zaczynałam pracę jako nauczycielka – bez kwalifikacji, bo trafiłam do szkoły zaraz po liceum plastycznym, kiedy z powodu braku miejsc nie przyjęto mnie na historię sztuki w Poznaniu. Pracując w szkole (z naciskiem na „bez kwalifikacji”), stale wymyślałam sposoby, jak się w tej szkolnej przestrzeni odnaleźć – było trochę tak, jakbym wpadła w gęstą dżunglę. I chyba coś z tego we mnie zostało. Mam to do dziś, że stale coś sobie wymyślam, tworzę miejsce albo raczej siebie w miejscu, a wtedy ono i ja się jakoś zgodnie zmieniamy.

Jako nauczycielka nauczyłam się – i wcieliłam to w życie, prowadząc od 1989 roku jedną z pierwszych niepublicznych szkół w Polsce – że system klasowo-lekcyjny z czterdziestopięciominutowymi lekcjami i dziesięcioma czy piętnastoma minutami przerwy nie ma sensu. Przerwa to po prostu inna aktywność. Warto myśleć o tym, co robimy w szkole jako o dniu pracy i aktywności. Szylł „dzień pracy i aktywności” wzięłam od mojego promotora doktoratu, świętej pamięci profesora Ryszarda Więckowskiego. W tej niepublicznej szkole wdroyłam to zupełnie nieformalnie, bo jak wiadomo, w 1989 roku mocno tkwiliśmy w tradycyjnych rozwiązaniach. Udało się, bo minister Samsonowicz, czyli minister edukacji w pierwszym wolnym rządzie premiera Mazowieckiego, był bardzo wyrozumiały. Proszę sobie wyobrazić – jest rok szkolny 1989/1990, a ja w przedstawionej mu koncepcji edukacyjnej szkoły piszę, że zamiast systemu klasowo-lekcyjnego wprowadzamy „dzień pracy i aktywności”, bo pracujemy i podejmujemy różne aktywności przez cały dzień szkolny i w dodatku robimy to razem – nie tylko uczniowie z nauczycielami, ale też z rodzicami i dziadkami. Na przykład mieliśmy rozwiązanie polegające na włączaniu babć i dziadków do czytania lektur. Przychodzili na dwadzieścia minut czytania kolejnego odcinka książki, a w tym czasie nauczyciele szli na kawę. Do tego ocena opisowa zamiast ocen wyrażanych stopniami – coś, co później weszło na stałe do kanonu rozwiązań polskiej edukacji wczesnoszkolnej. Minister Samsonowicz wysłuchał tego wszystkiego, a ponieważ wiedział, że jesteśmy w płynnym czasie transformacji, kiedy nie ma jeszcze ustawy o systemie oświaty regulującej cokolwiek, napisał na moim podaniu: „Życzę wszelkiej pomyślności!”. I z tym papierem – jak z tablicami mojęszowymi – tłumaczyłam innowacje wizytatorom, mówiąc, że „Pan minister wyraził zgodę”. Oczywiście, było to trudne jako coś prawnie dopuszczalnego, ale w tamtym absolutnie wyjątkowym, niesamowitym czasie transformacji było faktem.

Sformułowałam już postulat – gorący apel do środowiska nie tylko akademickiego, żeby inaczej podchodzić do badań naukowych i przekazu płynącego z akademii. W kontekście katastrofy klimatycznej ten komunikat wybrzmiewa często tak: „jak powiedzieli uczeni...” i dalej idą interpretacje, które nijak się mają do rozwiązań animacyjnych i edukacyjnych. Trzeba ożywiać nowe sposoby tworzenia siebie i to inne współzamieszkiwanie świata, który naprawdę współtworzymy. Trzeba wymyślić człowieka na nowo w relacji z innymi bytami. Trzeba naprawdę inaczej być na tej planecie. Wydaje się, że cała ta gorąca formuła apelu spełni na niczym, jeśli nie będzie konkretnych, dobrych przykładów. Chciałabym, żeby konferencja *DOBRY KLIMAT. Środowiska akademickie solidarnie na rzecz ekowspólności* i inne inicjatywy pokazywały, że tak, jak w projekcie o gdańskich *modi co-vivendi*, jakkolwiek jest trudno, to jednak czasem naprawdę udaje się zmienić dyskurs za pomocą badawczego akcentowania uwarunkowań w osiąganiu dobra wspólnego. Akademik naprawdę może, nie musi być tylko gadającą głową, zaproszoną do programu, żeby powiedzieć swoje i żeby potem dziennikarze i inni zrobili z tym, co zechcą. Potrzebne jest inne akademickie, powiem kolokwialnie, gadanie – takie, które samo w sobie będzie głęboko animacyjne i edukacyjne, a więc sprawcze i performatywne.

Dla mnie, jako dla pasjonatki miejsca, miejsca są oczywiście bardzo ważne. Żyję – może to zabrzmie dziwnie – „szeroko”. Żyjemy szeroko, to znaczy w Gdańsku i poza nim, oddychamy Trójmiastem, Pomorzem. Każdy tydzień dzielimy z mężem i naszymi zwierzakami pomiędzy miejskie mieszkanie i domek na Kaszubach. I my, i zwierzaki potrzebujemy oddechu związanego z wejściem w kaszubski krajobraz, z poczuciem innej aury, także do pracy intelektualnej. A jednocześnie bardzo potrzebujemy biegu, gęstości, tego wszystkiego, co charakteryzuje życie w mieście. Jakoś tak mocno naprawdę czujemy, że współtworzymy jedno życie i drugie, i jednocześnie trzecie, i czwarte, i piąte. Żyjąc nad morzem i sporo podróżując, żyje się w realnym otwarciu na świat.

Lubię bycie w tych różnych miejscach, to życie „szeroko”. Lubię je również rękami – i niech tu przemówi ze mnie absolwentka liceum plastycznego – bo nadal fajnie jest dla mnie manualnie przełożyć to, co widzę, czuję i wiem, na jakąś formę: ulepioną z gliny, wymalowaną na desce czy płótnie. Nie zawsze mam ku temu możliwości. Szkoda, ale wiem, że wina leży głównie po mojej stronie. Niestety na przykład okazuje się, że z domku na wsi zrobiłam coś na kształt pracowni, ale kojarzącej się bardziej z komputerem niż pędzlem czy

kawaletem do rzeźbienia. Ostatnio skonstatowałam z przykrością, że najwięcej czasu na wsi spędzam przed komputerem. Muszę to zmienić.

I w tym kontekście chcę jeszcze powiedzieć, adresując to jako postulat do koleżanek i kolegów akademików: nie wolno tak dać się pochłonać pracy, by polegała ona na nieustannym klepaniu w klawisze, ciągłym akademickim pisaniu. Ile mogą znieść te i tak już gigantyczne, biblioteczne zbiory? Jezuu. Nie piszmy tak dużo. Może więcej rozmawiajmy, róbmy rzeczy w relacjach bezpośrednich, bądźmy ciekawi siebie, a nie tylko swoich publikacji. Nie potrzeba aż tak wielu artykułów, nie potrzeba aż tak wielu książek.

Uniwersytet Gdański jest moim akademickim domem. Mam poczucie, że my, którzy współtworzymy tę uczelnię, naprawdę jesteśmy sobie bliscy. Wpływając na siebie wzajemnie, stajemy się sobą we wzorze unikatowego Uniwersytetu w fenomenalnym Gdańsku. O tym, że nosimy tego ślad w sobie i swoich dokonaniach, często mówią odwiedzający nas uczestnicy konferencji, czy programu Erasmus+, profesorowie wizytujący, inni. Nie byłabym sobą bez studentów, doktorantów, bez pracowników UG – tych najbliższych, ale i tych spotykanych rzadziej i niekoniecznie osobiście poznanych, choć dla mnie ogromnie znaczących. Mam szczęście „pochodzić z UG” i cieszyć się z innymi tym miejscem dobrym i rozwijającym, *bonus locus educandi*.

Bartosz Bartosiewicz

*JESTEM W MIEJSCU, W KTÓRYM CHCĘ BYĆ, I ROBIĘ TO,
CO CHCĘ ROBIĆ | ODC. 23*



Jeżeli pracownik uczelni bądź instytucji badawczej rozliczany jest ze swoich publikacji naukowych i zdobytych grantów, a nie z upowszechniania wyników i wdrażania ich w życie społeczno-gospodarcze, trudno oczekiwać, że będzie do takiej współpracy dążył.

Doktor habilitowany Bartosz Bartosiewicz

Do Łodzi wybraliśmy się samochodem. Tym razem było to szybsze i wygodniejsze rozwiązanie niż pociąg. Pogoda za oknem była piękna, a my byliśmy w bardzo dobrym humorze, więc droga minęła spokojnie i bez problemu dotarliśmy pod bramę Uniwersytetu Łódzkiego.

Na portierni pokrótce wyjaśniliśmy cel wizyty i chwilę później wpuszczono nas na teren kampusu. Kierując się do wejścia, mijaliśmy plakaty wskazujące przyszłym studentom drogę do rekrutacji.

Otoczenie industrialnego budynku Wydziału Nauk Geograficznych łagodziła zielen, rozległe trawniki, drzewa i krzewy, a wśród nich ławeczki. Tuż obok wejścia stał marmurowy globus, duży kamień z nazwą wydziału i prosty karmnik dla ptaków.

Natomiast w środku dominowało szkło. Przeszklone ściany i sufity sprawiały, że czuliśmy się jak w ogromnej szklarni. Po drodze do gabinetu naszego gościa minęliśmy strefę studentów, pełną roślin i leżaków.

Wyszliśmy jeszcze na chwilę przed główne wejście, aby przyjrzeć się nietypowej konstrukcji budynku Uniwersytetu. Nad drzwiami widniał napis „Collegium Geographicum”.

Na jednym z wyższych pięter czekał już na nas profesor Bartosz Bartosiewicz, który przywitał nas spokojnie i pewnym gestem zaprosił do swojego gabinetu.

Pomieszczenie było świeżo po remoncie, niemal puste i pozbawione osobistych akcentów. Dwa stanowiska komputerowe, niewielki stół i ogromne okno zajmujące całość jednej ze ścian. Jak wyjaśnił gospodarz, dopiero się tu urządza, co naturalnie skierowało rozmowę na temat samego budynku, a następnie geografii.

W szczególności interesują nas najbardziej dwa zagadnienia. Pierwsze to dostępność mieszkań i przestrzenne zróżnicowanie tej dostępności. Drugie – również ciekawe, a może nawet bardziej niepokojące – to obserwowane nierówności mieszkaniowe.

Tym dwóm zagadnieniom przyglądamy się bardzo uważnie. Są ze sobą silnie powiązane, więc trudno mówić o nich całkiem oddzielnie. Warto jednak na chwilę zatrzymać się przy tym drugim wątku, bo w ramach międzynarodowego projektu finansowanego przez Komisję Europejską w programie Horyzont wraz z partnerami z ośmiu krajów europejskich próbujemy odpowiedzieć na pytanie, które interesuje Komisję Europejską: w jaki sposób rozwój terenów zielonych w miastach może sprzyjać wzrostowi nierówności mieszkaniowych? To jest temat naprawdę ciekawy i bardzo istotny, a jednocześnie mam wrażenie, że nie do końca zdajemy sobie sprawę, jak poważne ma konsekwencje.

Żyjemy w czasach, w których miasta adaptują się do zmian klimatu. Szukamy rozwiązań poprawiających jakość życia mieszkańców. I udowodniono już, że wzrost udziału terenów zielonych, (zielone dachy, sadzenie drzew, parki, czyli szeroko rozumiana infrastruktura niebiesko-zielona), będzie poprawiała

warunki życia w miastach i w pewien sposób zabezpieczała przed negatywnymi skutkami zmian klimatycznych.

To wszystko wiemy. Natomiast często nie myślimy o tym w taki sposób, że jeśli zwiększymy udział zieleni w jakiejś dzielnicy czy na osiedlu jako władza publiczna, (bo to ona odpowiada za adaptację miasta do zmian klimatycznych), jednocześnie uruchamiamy mechanizm wzrostu atrakcyjności miejsca. A skoro rośnie atrakcyjność, to rosną ceny mieszkań najmu. To prowadzi do sytuacji, w której osoby uboższe są z takich terenów wypierane, a pojawiają się osoby bogatsze, czyli zachodzi proces gentryfikacji. W tym przypadku mówimy o zielonej gentryfikacji, wywołanej właśnie pojawieniem się lub rozbudową terenów zielonych.

Naszym zadaniem jest teraz zidentyfikowanie, na ile ten proces występuje w przestrzeni wybranych miast europejskich. Wnioski płynące z takiego badania mogą wpłynąć na działania Komisji Europejskiej, która w idealnym scenariuszu miałyby ograniczać ten negatywny efekt uboczny.

Przykładów nie trzeba szukać daleko. W Polsce właściwie wszyscy słyszeli o łódzkim woonerfie, czyli o pewnym sposobie przekształcania ulicy z intensywnym ruchem w ulicę uspokojoną – z zielenią, ławkami, przestrzenią sprzyjającą rozwiązaniom prozielonym i proekologicznym.

Najczęściej takie ulice przekształcone w woonerfy znajdują się w centrum Łodzi, w dzielnicach z dużym udziałem kamienic. Te kamienice są w różnym stanie technicznym i zamieszkują je bardzo różne grupy społeczne pod względem statusu ekonomicznego. Pojawienie się woonerfów wpływa na ceny mieszkań przy tych ulicach. A jeśli ceny idą do góry, mieszkańcy o niższych dochodach są wypierani, czyli uruchamia się proces gentryfikacji.

Z punktu widzenia funkcjonowania miasta nie jest to dobre. Jednolitość w przestrzeni miejskiej rzadko bywa dobrym rozwiązaniem. Raczej dąży się do zachowania różnorodności, również w sensie statusu społeczno-ekonomicznego ludności zamieszkującej dany obszar. Tymczasem rosnące koszty zamieszkania powodują wypieranie osób, które nie są w stanie pozwolić sobie na mieszkanie w danym miejscu. Zielona gentryfikacja staje się więc czynnikiem wpływającym na powstawanie i pogłębianie nierówności mieszkaniowych.

Bardzo często w naukach społecznych – geografia jest tu świetnym przykładem – dostarcza się rezultatów, które mogą stanowić podstawę podejmowania decyzji na różnych szczeblach administracji: od europejskiego po lokalny.

Problem współczesnej geografii polega jednak na tym, że jest źle rozumiana i źle definiowana. Moim zdaniem to fundament, który wbrew pozorom bardzo negatywnie wpływa na postrzeganie geografów i geografii. W Polsce właściwie nie ma czegoś takiego jak zawód „geograf”, który jest utożsamiany jednoznacznie i wyłącznie z zawodem nauczyciela geografii.

Kiedy rozmawiam z kolegami z innych krajów, widzę, że zupełnie inaczej to wygląda chociażby w Stanach Zjednoczonych. Tam geograf jako niezależny zawód ma, moim zdaniem, bardzo wysoką pozycję. Jest postrzegany jako specjalista, który potrafi łączyć dane ilościowe i jakościowe, pochodzące z różnych dyscyplin, na przykład ekonomii czy socjologii, i analizować je w przestrzeni. Potrafi szukać prawidłowości życia społeczno-gospodarczego w przestrzeni i wyciągać z nich wnioski użyteczne z punktu widzenia zarządzania i kształtowania rozwoju w szerokim znaczeniu tego słowa. Mówię tu o geografii społeczno-ekonomicznej, bo trzeba pamiętać, że geografia jest dyscypliną bardzo szeroką.

Dyscyplina, którą reprezentuję, w nomenklaturze ministerialnej nazywa się „geografia społeczno-ekonomiczna i gospodarka przestrzenna”. Oczywiście istnieje też całość geografii fizycznej, obejmująca szereg specjalizacji: od hydrologii, przez geomorfologię, po meteorologię i klimatologię.

Wiedza dostarczana przez geografę jest niezbędna z punktu widzenia planowania przestrzennego i kształtowania przestrzeni, w której żyjemy. Geografia uwzględnia różne uwarunkowania decydujące o tym, czy przestrzeń będzie urządzana w taki czy inny sposób. Łączy uwarunkowania społeczno-demograficzne i ekonomiczne z podbudową przyrodniczą. Pomaga w rozumieniu procesów, które oddziałują na siebie w tych trzech obszarach. Dopiero po wykonaniu tych czynności można znaleźć rozwiązania sprzyjające takiemu kształtowaniu przestrzeni, które będzie możliwie najlepsze dla jej użytkowników, czyli dla nas.

Od pewnego czasu zajmujemy się tym, jak zmieniają się obszary zurbanizowane. Do tej pory na miasta i regiony miejskie patrzyliśmy pod kątem suburbanizacji, rozlewania się miast. Zidentyfikowano tu mnóstwo problemów, często wynikających z niedoskonałości systemu planowania przestrzennego w Polsce – o ile w ogóle można było mówić o jego istnieniu w ostatnich dwóch dekadach, choć nowa ustawa trochę to zmienia. Natomiast nas nie do końca interesowało to zagadnienie jako takie. Patrzyliśmy na miasto i region miejski jak na żywy

organizm, kształtowany przez sieć powiązań pomiędzy poszczególnymi elementami regionu miejskiego.

Powiązania można rozumieć na wiele sposobów. Dla nas to przede wszystkim powiązania funkcjonalne, świetnie oddawane na przykład przez codzienne dojazdy do pracy. Pokazują one związki w przestrzeni i pozwalają wychwycić prawidłowości w funkcjonowaniu organizmu.

Często, kiedy rozmawiam ze studentami i próbuję im wyjaśnić obszar badań, unikam słowa „miasto”, bo miasto ma swoje granice administracyjne. A w praktyce, kiedy staje się na granicy, nie widać różnicy pomiędzy jedną a drugą stroną. Mamy organizm, który nie mieści się w granicach administracyjnych – organizm powiązanych interesów. Jednym z najbardziej wyraźnych interesów są powiązania związane z dojazdami z miejsca zamieszkania do miejsca pracy.

Skala, kierunek i natężenie tych powiązań kształtują zurbanizowane struktury przestrzenne. Interesuje nas, po pierwsze, jak te struktury wyglądają, jak się kształtują i czy można wyróżnić typy takich struktur. Po drugie, w jakim kierunku ewoluują. I po trzecie, które z nich są najbardziej pożądane z punktu widzenia poprawnego funkcjonowania organizmu, jakim jest region miejski.

Wciąż wracam do porównania regionu miejskiego do organizmu: drogi jako układ krwionośny, jednostki osadnicze jako narządy, codzienny przepływ ludności jako krew płynąca w żyłach. I my, mieszkańcy, jesteśmy elementem całego układu.

W Europie Zachodniej, ale też w Chinach i w Stanach Zjednoczonych, już wiele lat temu pojawiały się prace pokazujące, że dla poprawności funkcjonowania obszarów zurbanizowanych warto iść w kierunku rozwoju policentrycznego. Czyli takiego, który w miarę równomiernie rozkłada w przestrzeni miejsca pracy i miejsca zamieszkania – tak, aby ludzie mieli relatywnie blisko do pracy, a miejsce zamieszkania zapewniało dostęp do usług.

Co ciekawe, w Polsce można znaleźć regiony miejskie, które w tym kierunku idą. Tylko że przyczyna bywa inna, niż się spodziewamy. Zwykle zakłada się, że rozwój policentryczny jest efektem planowania albo „zdrowych” procesów rozwojowych, że subcentra przejmują pewne funkcje centrum.

Weźmy Warszawę i miasta satelickie. W przeszłości pełniły one w dużej mierze funkcję „mieszkalną”, ale obecnie rozwijają rynki pracy, usługi i stają się atrakcyjne nie tylko jako „sypialnie”, ale też jako miejsca do życia.

Ale okazało się też, że w wielu regionach miejskich w Polsce, zwłaszcza w miastach średnich, rozwój policentryczny jest skutkiem upadku miasta centralnego. Czyli pożądaný kierunek zmian nie jest wynikiem pozytywnego procesu, tylko efektem zamykania miejsc pracy, spadku funkcji centrum. Ludzie przestają przyjeżdżać do centrum po pracę czy usługi i zaczynają szukać tego gdzie indziej. Jeśli centrum upada i przestaje „ściągać” otoczenie, to również może uruchomić proces policentryzacji, tylko w zupełnie innym sensie, niż byśmy chcieli.

Od kiedy korzystamy w badaniach z *big data*, czyli dużych zbiorów danych? Od kiedy są dostępne i od kiedy mamy, a raczej poznaliśmy narzędzia, które pozwalają sensownie korzystać z tych zbiorów.

I tu dygresja ogólna, nie tylko geograficzna: postęp w cyfryzacji, digitalizacji i dostępności danych w Polsce jest ogromny. Mam poczucie, że pod tym względem jesteśmy w europejskiej awangardzie, bo przeskoczyliśmy etap, przez który przechodziło wiele krajów. Dostępność danych jest dziś naprawdę duża. Problem polega na tym, że nie potrafimy w pełni z nich korzystać, bo danych jest bardzo dużo, a osób, które potrafią je przetwarzać, wciąż brakuje. Zwłaszcza brakuje takich kompetencji w instytucjach publicznych. Oczywiście digitalizacja następowała w dużej mierze dzięki środkom unijnym i budowie zunifikowanych systemów, które umożliwiają digitalizowanie.

Geografia dostarcza narzędzi, które umożliwiają pracę na takich danych. Mam na myśli geograficzne systemy informacyjne jak GIS, czyli narzędzie dedykowane badaniom geograficznym i dużym zbiorom danych.

Bardzo dobrym przykładem jest rozwiązanie, do którego mamy dziś dostęp i które w Polsce funkcjonuje jako „Stanowisko Naukowiec” przygotowywane przez Główny Urząd Statystyczny. Można wykupić dostęp do danych spisów powszechnych, gdzie jedna osoba to jedna linijka. Czyli można mieć spisy od 1988 do 2021 roku. W każdej bazie jest około 36 milionów wierszy, bo każdy wiersz odpowiada jednej osobie. Możliwości są właściwie nieskończone. Da się robić bardzo różne rzeczy i dzięki narzędziom, które wykorzystujemy do pracy z takimi danymi, to jest wykonalne.

Pracuję akurat w języku R, czyli języku programowania, który świetnie wspiera pracę z *big data*. Programowania nauczyłem się po czterdziestce, bo bez tego praca z *big data* jest bardzo trudna. To jest też kierunek: jeśli chce się ogarniać tak ogromne zasoby danych, trzeba umieć „programować” bazy

danych. Albo znaleźć osobę, która to zrobi, ale najlepiej rozumieć to samemu. To duże wyzwanie, ale ogromna szansa.

Wykorzystujemy to w badaniach nad strukturą regionów miejskich. Ale równolegle, w innym projekcie, mamy już informacje o transakcjach wszystkich mieszkań w pięciu największych miastach w Polsce z ostatnich 20 lat. To daje niesamowite narzędzie do analizowania, po pierwsze, jak zmienia się dostępność cenowa mieszkań, a po drugie, co wpływa na to, że ceny mieszkań są przestrzennie zróżnicowane.

Mamy też pomysł (na razie niezrealizowany), żeby dla konkretnej transakcji, konkretnego mieszkania, z Google Street View pobierać obraz o widoczności 360 stopni. Następnie sztuczna inteligencja identyfikowałaby, ile w tym obrazie jest zieleni, czyli ile widzi koloru zielonego. I wtedy można by sprawdzać, czy większy udział zieleni w bezpośrednim otoczeniu wpływa na cenę mieszkania: czy cena rośnie czy niekoniecznie. Bo sąsiedztwo ma ogromne znaczenie. Każdy mówi „blisko parku” lub „blisko przystanku”, tylko że to trzeba udowodnić. Łatwo jest powiedzieć „wydaje mi się”, ale w badaniach nie zawsze wychodzi tak, jak podpowiada intuicja.

Jest też bardzo dużo źródeł internetowych. Nigdy nie myślałem, że zajmę się czymś takim jak *scraping*, czyli tworzeniem programu, który imituje naszą pracę za pomocą wchodzenia na stronę internetową, pobierania danych i zapisywania ich w pliku.

Stworzyliśmy takie narzędzie, które chodzi po portalach z ogłoszeniami mieszkaniowymi. Interesuje nas przede wszystkim rynek wynajmu, bo właściwie nie ma dobrych baz dotyczących tego zjawiska. Nasze narzędzie codziennie wchodzi i ściąga wszystkie oferty najmu mieszkań. Robi to od 2018 roku dla dziesięciu największych miast w Polsce, bez naszego udziału.

Tworzymy więc ogromną bazę. I kiedy do niej wejdziemy, możemy zobaczyć, jak COVID i wojna w Ukrainie wpłynęły na przekształcenia rynku nieruchomości w polskich miastach. W tej skali – według naszej wiedzy – nikt w Polsce tego nie robił. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby ktokolwiek zrobił to w Europie.

Trudno dziś mówić, że cokolwiek jest „jednej osoby”; trudno mówić o odkryciach jednoosobowych. Zacznijmy od tego, że w moim przekonaniu nie ma dziś jednoosobowych badań, które mogłyby stać się powszechnie znanym efektem. Może w jakiejś fizyce teoretycznej byłoby to możliwe, ale na pewno nie w naukach społecznych. W humanistyce też wydaje się to trudne.

Łatwiej byłoby więc mówić o tym, czym zajmujemy się jako zespół. Tworzymy zespoły badawcze skupione na konkretnych problemach. I są to zagadnienia istotne również z punktu widzenia tak zwanego otoczenia nauki. W naukach społecznych nie prowadzi się badań po to, żeby „coś sobie wymyślić”, tylko żeby wyniki miały użyteczne przełożenie. Wnioski z badań mogą być wykorzystywane w zarządzaniu czy podejmowaniu decyzji w otoczeniu społeczno-gospodarczym.

Może łatwiej będzie, jeśli powiem też o zagadnieniach, które są dziś nie tylko u nas „na topie”. Jak w każdej dyscyplinie, również w nauce jak geografia, istnieją mody. Tego nie da się całkiem uniknąć. Jednym z najciekawszych zagadnień, którym obecnie się zajmujemy, jest szeroko rozumiana problematyka mieszkalnictwa.

Nie zawsze badania o charakterze globalnym odpowiadają na procesy zachodzące w lokalnej skali. Nie ma tu uniwersalności, bo kontekst lokalny potrafi odgrywać kluczową rolę w zrozumieniu procesów. To specyfika nauk społecznych i humanistycznych.

W naukach ścisłych nie ma znaczenia, gdzie leczy się ludzi, ponieważ globalne wyniki dają się łatwo przekładać i są weryfikowalne. W naukach społecznych, a w geografii szczególnie, kontekst lokalny uwarunkowań (często przestrzennych) może mieć diametralne znaczenie, bo zjawiska kształtują się inaczej.

Wielokrotnie miałem możliwość współpracy z administracją publiczną. Współtworzyłem strategię rozwoju dla łódzkiego obszaru metropolitalnego. Działiałem przy okazji powstawania ustawy o związkach metropolitalnych w Polsce. Współpracuję z biurami planowania przestrzennego województw. Jestem też w zarządzie Towarzystwa Urbanistów Polskich, gdzie również mamy częsty kontakt z instytucjami publicznymi podejmującymi decyzje.

Problem jest wielowątkowy. Nie chcę go za bardzo rozwijać, ale niestety nasze wyniki bywają traktowane incydentalnie. Mam wrażenie, że decydenci bardzo często dopasowują wyniki do tezy, a nie tezę do wyniku. To jeden z największych problemów. Ale nie chciałbym zrzucać winy wyłącznie na decydentów, bo jest i druga strona medalu: my też nie jesteśmy do tej współpracy przygotowani. Nie mamy do niej warunków.

Jeżeli pracownik uczelni bądź instytucji badawczej rozliczany jest ze swoich publikacji naukowych i zdobytych grantów, a nie z upowszechniania wyników i wdrażania ich w życie społeczno-gospodarcze, trudno oczekiwać, że będzie

do takiej współpracy dążył. Widzę więc problemy po obu stronach mentalne i instytucjonalne.

Bardzo bym chciał, żeby wiele projektów, które realizujemy, pokazywało wyniki badań w sposób możliwie użyteczny. Ale problem jest globalny i nie dotyczy tylko geografii, a wielu dziedzin, gdzie głos badaczy nadal bywa traktowany wybiórczo. Takie mam doświadczenia.

Nie wiem, czy chciałbym, żeby badania „zmieniały Łódź”. Chyba nigdy nie postrzegałem tego wprost w takich kategoriach. Na pewno chciałbym, żeby moje miasto się zmieniało i rozwijało, dlatego zawsze staram się, żeby w prowadzonych przeze mnie badaniach Łódź była uwzględniona. Nie zawsze jest to możliwe, ale staram się angażować przedstawicieli różnych instytucji miejskich i pokazywać im wyniki badań.

Czy dotychczas udało się współtworzyć zmiany? Myślę, że raz to się udało. To było jakieś siedem, osiem lat temu. Przy różnych okazjach trafiliśmy do zespołu przygotowującego zmiany w organizacji transportu publicznego w naszym mieście. Przygotowywaliśmy analizy dotyczące dostępności przystanków transportu zbiorowego, dzięki czemu powstało kilka nowych przystanków. Były też pomysły nowych linii autobusowych. Pamiętam, że na kanwie naszych wyników robiono nawet „eksperymenty”: kierowcy z przedstawicielami urzędu miasta wsiadali do autobusu i jeździli, żeby sprawdzić prowadzenie autobusu po osiedlu.

Czy praca kiedyś ze mnie „wychodzi”? Chyba nie. Jest we mnie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet jeśli się nie pracuje, człowiek o pracy myśli.

Należę, niestety czy stety, do osób, które nie potrafią pracować w domu. Wielu kolegów dziś nie ma w pracy, mimo że nie są na urlopie. A ja w domu nie potrafię, z wielu powodów. Po pierwsze, mam trójkę dzieci. Po drugie, żona prowadzi firmę produkcyjną zatrudniającą ponad pięćdziesiąt osób. W domu zawsze znalazłbym wiele innych czynności do zrobienia niż praca naukowa. Oczywiście jest biurko i komputer, ale nie potrafię się skoncentrować.

Czy geograf podróżuje inaczej niż „zwykły człowiek”? Myślę, że tak. I nie tylko z własnego doświadczenia – wśród kolegów z tego budynku chyba nie

znalazłbym nikogo, kto był na wakacjach *all inclusive*. Tak mi się wydaje, choć mogę się mylić.

Podróżowanie jest dla mnie bardzo ważnym elementem, nawet pracy. Jako naukowcy mamy tę możliwość, że jeździmy na konferencje w różne miejsca. Bardzo często staram się prywatnie przedłużyć pobyt, żeby móc pozwiedzać.

W ciągu ostatnich pięciu lat za kierownicą przejechałem w Stanach Zjednoczonych około 10 tysięcy mil. Moi koledzy ze Stanów śmieją się, że zwiedziłem więcej Stanów niż oni przez całe życie.

I nie chodzi tylko o „turystykę konferencyjną”. Z rodziną nie spędzamy urlopu stacjonarnie. Dwa lata z rzędu po prostu wsiedliśmy w samochód, przejechaliśmy około 5 tysięcy kilometrów po Europie i zwiedzaliśmy z miejsca na miejsce. Dzieci się do tego przyzwyczajają i widzą w tym odskocznnię od codzienności.

Lubię zwiedzać miejsca nieoczywiste. Pociągają mnie przestrzenie, które na pierwszy rzut oka nie są „turystyczne”. Na przykład w tym roku powiedziałem dzieciom, że będziemy zwiedzać województwo śląskie, ale nie mam na myśli gór. Dla wielu osób wakacje na Górnym Śląsku nie brzmią jak „normalny” pomysł, a jest tam mnóstwo miejsc, które warto zobaczyć.

Czy wyłączam aparat badawczy w czasie zwiedzania? Jestem geografem ilościowym, więc w badaniach posługuję się przede wszystkim metodami ilościowymi i czerpię wiedzę z danych. Oczywiście zdobyta wiedza sprawia, że postrzegam przestrzeń inaczej niż inne osoby. Widzę procesy, których inni pewnie nie widzą. Trudno więc ten aparat badawczy wyłączyć.

To bywa męczące dla współtowarzyszy podróży, bo zwracam uwagę na inne elementy przestrzeni niż oni. Ktoś patrzy na plażę, na ładny zabytek, a czasem za tym zabytkiem jest coś ciekawszego. I to nie jest tylko moja domena, tylko zawodowego spojrzenia, przez które człowiek widzi „trochę inaczej”.

Uwielbiam zwiedzać miasta, tylko też postrzegam je inaczej. W Stanach Zjednoczonych często wcale nie zwiedzamy centrum czy *downtown*, tylko jeździmy w dzielnice, które pozwalają zobaczyć coś, czego w Europie nie zobaczymy.

Mój kolega, z którym najbliżej współpracuję, przez lata zajmował się segregacją przestrzenną ludności. Stany Zjednoczone są tego świetnym przykładem.

Nigdzie nie widać tego tak wyraźnie jak tam, że idzie się ulicą i po prawej są „tylko czarnoskórzy”, a po lewej „tylko biali”. To rzeczy, których turyści często nie widzą, bo nie wiedzą, że można to znaleźć.

Ktoś, kto odwiedza Nowy Jork, zwykle nie interesuje się tym, że znajduje się tam pierwszy na świecie park kieszonkowy (*pocket park*), pomimo że teraz wszyscy chcą robić *pocket parks* w polskich miastach. Albo że jest tam pierwsze osiedle będące efektem zamierzonej suburbanizacji z lat trzydziestych, kiedy zaczęto budować osiedla poza miastem.

Po babci mam działkę na wsi. To ciekawa historia: babcia była młynarzem i miała młyn, który spłonął, ale dom nad małą rzeczką w południowej Wielkopolsce został. Tam odpoczywam fizycznie. Przy takiej pracy porządne zmęczenie fizyczne jest podstawą „odskoczni”. Kiedy jest sezon i jestem na działce, robię prace ogrodowe i różne inne prace, co mnie naprawdę regeneruje.

No i książka – dobra książka – zawsze jest formą odpoczynku. Choć nie ukrywam, że ilość czytanej „makulatury” w pracy sprawia, że w ostatnim czasie mniej czytam, a częściej słucham audiobooków. To o tyle wygodne, że da się słuchać w samochodzie, pracując w ogrodzie, idąc z psem. Stałem się więc fanem audiobooków i właściwie nie rozstaję się ze słuchawkami. Nie wiem, czy zostawiłem je w aucie czy leżą na biurku, ale gdzieś na pewno są. To też jest dla mnie forma odpoczynku.

Powiem jeszcze jedną ważną rzecz: ktoś, dla kogo praca jest hobby, nie potrzebuje odpoczywać tak, jak osoba, która w pracy się męczy. I to uważam za kluczowe. Zawsze powtarzam – mówię to również dzieciom – że w życiu trzeba robić to, co się lubi. A jeśli to, co się lubi, daje możliwość zarabiania na życie, to lepsze rozwiązanie trudno sobie wyobrazić.

I jeszcze jedna postawa, która według mnie pozwala funkcjonować w społeczeństwie: postępowanie zgodnie z własnymi przekonaniem, staranie się być wobec innych sprawiedliwym i trzymanie się zasad etycznych. Uczciwość jest ważna, żeby nikt na starość nie miał do nas żalu i pretensji.

Paulina Polko

*PAŃSTWO NIE MOŻE BYĆ W PERMANENTNYM STANEM
NADZWYCZAJNYM | ODC. 24*



Staram się wykorzystywać momenty medialne, żeby wytłumaczyć pewne mechanizmy. Oczywiście jest ryzyko, czy zostanie to dobrze przedstawione, czy jakieś sformułowanie nie zostanie „wyostrzone”, ale mimo wszystko uważam, że należy podejmować ryzyko. W naukach społecznych musimy mówić o swoich badaniach nie tylko na konferencjach naukowych i w periodykach.

Doktor habilitowana Paulina Polko

Nasza jesienna podróż do Tych odbyła się autem.

Na mijanych po drodze drzewach utrzymywały się jeszcze ostatnie liście, a krajobraz mienił się odcieniami brązu, czerwieni i złota. Choć powietrze było już chłodniejsze, zza chmur nadal od czasu do czasu wyglądało słońce. W samochodzie panował mieszany nastrój.

Odczuwaliśmy wielką radość i ekscytację przed spotkaniem z naszą bohaterką, ale też lekki, sentymentalny smutek, bo wiedzieliśmy, że to już ostatnie nagranie w ramach Głosów Humanistyki. Dotarliśmy na miejsce i weszliśmy do wskazanego przez panią profesor mieszkania. Naszą uwagę przyciągnął przede wszystkim duży, kolorowy, geometryczny obraz przedstawiający czworo ludzi przy winie, namalowany w stylu przypominającym kubizm.

Wnętrze pełniło funkcję biura i miejsca spotkań z mediami. Biel, szarości i drewniane elementy wystroju przełamane zostały szmaragdowymi akcentami, walutową kanapą, fotelem, podkładką pod myszkę i ozdobną ceramiką. Za solidnym drewnianym biurkiem znajdował się regał, również w kolorze szmaragdowym, pełen książek – także tych autorstwa pani profesor.

W rogu pokoju ustawiony był kolejny, na którym poza książkami mieściły się kolorowe kwiaty złożone z klocków Lego. Dostaliśmy kawę w jasnoturkusowych filiżankach ze złoceniami i usiedliśmy na wygodnej kanapie, wśród poduszek wzorem i kolorami nawiązujących do obrazu na ścianie. Za znajdującymi się naprzeciw nas dużymi oknami widać było niczym nieprzestonięte Beskidy. Jak wyjaśniła pani profesor, ten widok jest jej częstym towarzyszem podczas wykonywania pracy naukowej i rozmyślań nad zagadnieniem sekurytyzacji.

Sekurytyzacja to dla mnie takie słowo-klucz, czasem wręcz „trigger”, wokół którego obracają się moje badania. Jestem z wykształcenia politolożką i w poszukiwaniach własnego obszaru, do którego zawiodło mnie życie, przez lata bardzo się broniłam przed „bezpieczeństwem”. A jednak finalnie zawsze łączyłam interdyscyplinarnie trzy pola: nauki o polityce, nauki o bezpieczeństwie i stosunki międzynarodowe. To są obszary, w których funkcjonowałam właściwie przez całe życie.

W badaniach zajmuję się sekurytyzacją, czyli tym, jak wyznaczamy granice bezpieczeństwa – w jakich sytuacjach uznajemy, że wolno sięgnąć po środki nadzwyczajne, żeby to bezpieczeństwo zapewnić, i czy robimy to sensownie. Interesuje mnie granica między sekurytyzacją uzasadnioną, czyli sprawiedliwą, gdy rzeczywiście mamy do czynienia z realnym zagrożeniem egzystencjalnym, a sekurytyzacją, która jest po prostu decyzją polityczną. Czasem podszytą populizmem, stereotypami, wykluczeniem i krótkoterminową korzyścią.

Samo pojęcie sekurytyzacji powstało w ramach krytycznych studiów nad bezpieczeństwem. Najczęściej łączy się je ze szkołą kopenhaską i z takimi nazwiskami jak Barry Buzan czy Ole Wæver, którzy – w duchu konstruktywizmu – mniej

więcej od lat osiemdziesiątych XX wieku zaczęli opisywać, jak „robi się” bezpieczeństwo w polityce i w społeczeństwie.

Badacze uznali wtedy, że bezpieczeństwo przestaje być wyłącznie domeną sfery militarnej, czyli wojska, i domeną państw, rozumianą jako relacje między państwami. Innymi słowy, państwo przestaje być jedynym aktorem, a bezpieczeństwo przestaje być tylko „sprawą armii”. W ich ujęciu kluczowy jest proces sekurytyzacji oparty na akcie mowy, czyli nazwaniu czegoś zagrożeniem egzystencjalnym i skłonieniu odbiorców, a więc pewnej widowni (*audience*), którą może być szeroka opinia publiczna albo węższe grono decydentów, na przykład parlamentarzysty, do stwierdzenia: „tak, to jest egzystencjalne zagrożenie, więc wolno sięgnąć po nadzwyczajne środki”.

Gdybym dziś przekonała znaczącą liczbę osób, że największym zagrożeniem dla świata jest atak z kosmosu, a potem ktoś powiedział „dobrze, w takim razie nie kupujemy czołgów, nie produkujemy amunicji i nie budujemy dronów, tylko inwestujemy w systemy obrony kosmicznej”, to w tym momencie mamy proces sekurytyzacji, bo nowe „zagrożenie” ustawia hierarchię priorytetów i uzasadnia nadzwyczajność działań, jednocześnie odsuwając pozostałe na bok.

Twórcom szkoły kopenhaskiej chodziło też o to, żeby zwrócić uwagę na zagrożenia, z którymi zmagają się ludzie jako jednostki i grupy społeczne. AIDS jest tu często podawany jako przykład sekurytyzacji, która – niezależnie od kontekstu politycznego – przyniosła realny skutek, ponieważ świat uruchomił mechanizmy walki z chorobą. Oczywiście, w dużej mierze po to, by chronić Zachód przed epidemią rozwijającą się wówczas szczególnie silnie w Afryce, ale mechanizmy rzeczywiście zaczęły działać.

Podobnie sekurytyzowane bywają kwestie klimatyczne i środowiskowe. Sięgnięcie po środki nadzwyczajne, takie jak Europejski Zielony Ład czy Fit for 55, czyli ambitne, kosztowne cele wymagające ogromnego wysiłku, ma swoją logikę sekurytyzacyjną. Uzasadnienie brzmi tak: „to jest zagrożenie egzystencjalne, więc musimy działać”. Nawet jeśli później weryfikujemy cele, terminy i realność tych planów, sam mechanizm pozostaje ten sam.

Problem zaczyna się wtedy, gdy próbujemy odróżnić „prawdziwą” sekurytyzację od zwykłego populizmu. Bo w zasadzie każdą sytuację można nazwać zagrożeniem – wystarczy, że odpowiednio ułoży się narrację i zdobędzie poparcie. A w czasach dezinformacji to jest wyjątkowo proste. Manipulujemy częścią opinii publicznej, ta wpływa na polityków i decyzje zmieniają się błyskawicznie. Nie ma jednej prostej odpowiedzi na to, jak to rozstrzygnąć, dlatego to badamy.

W świecie funkcjonuje kilka ciekawych podejść, które staram się przenosić do polskich realiów. Jednym z nich jest teoria sprawiedliwej (uzasadnionej) sekurytyzacji – *just securitization*. Jej autorką jest brytyjska badaczka Rita Floyd, która wzięła na warsztat wojnę z terroryzmem. Pokazywała, że zastosowane środki (biliony dolarów wydanych na działania w Iraku i Afganistanie, powołanie wielkich instytucji, ogromne ograniczenia praw człowieka, z czym nadal mierzymy się choćby na lotniskach, przechodząc przez *security*) były nieproporcjonalne do realnego zagrożenia. Innymi słowy, w jej ocenie były „*unjust*”. Bin Ladena ostatecznie znaleziono w Pakistanie, nie w Afganistanie. A jego realny poziom zagrożenia dla USA nie był taki, jak ludziom wmówiono. Wykorzystano spektakularność 11 września, żeby uruchomić środki, które poszły dużo dalej, niż wynikałoby to z chłodnej oceny ryzyka.

Dziś badamy różne analogiczne sytuacje. Wielu moich kolegów z uczelni na świecie bada na przykład, na ile w pandemii daliśmy się „zsekurytyzować”. Na ile jako społeczeństwa i jako rządy zaakceptowaliśmy bardzo restrykcyjne zasady, o których dziś wiemy, że nie wszystkie były potrzebne. Zakaz chodzenia do parków raczej niczemu nie służył, a zamknięcie w domach miało skutki uboczne – od wzrostu przemocy domowej po kryzysy psychiczne. Dziś to wiemy, ale wtedy byliśmy gotowi uznawać te środki za rzeczywiste zapewnianie bezpieczeństwa. To pokazuje, że procesy sekurytyzacyjne są dynamiczne i zmieniają się w czasie.

Moje bieżące badania koncentrują się głównie na migracjach – zarówno w polskim kontekście, jak i porównawczo. Zakończyliśmy projekt o sekurytyzacji migracji w odniesieniu do migrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej oraz uchodźców z Ukrainy w takich krajach jak Polska, Litwa, Łotwa i Czechy. Patrzyliśmy na to, jak zmieniają się narracje i dyskursy: gdzie sekurytyzacja jest wprowadzana, w jaki sposób, jak działa w praktyce. I – żeby to było jasne – dziś uważam, że sekurytyzacja migracji jest często przesadzona, nie jest uzasadniona i nie jest „*just*”.

Wiele problemów da się rozwiązać w ramach normalnych polityk i standardowych procesów decyzyjnych. Nie trzeba tu wdrażać „środków szczególnych” ani tolerować sytuacji, w których ktoś samowolnie biega z kosą po granicy i udaje, że pilnuje bezpieczeństwa. Państwo ma narzędzia do rozwiązywania kryzysów i nie za każdym razem musi sięgać po środki nadzwyczajne.

Trzeba pamiętać, że świat, którego bronimy, to nie tylko fizyczny kawałek ziemi, nie tylko „ojczyzna” rozumiana etnicznie i kulturowo. To również

formuła obywatelska, czyli styl życia, wartości, prawa i możliwości. Na przykład możliwość powiedzenia głośno „nie podoba mi się polityka mojego rządu” ze świadomością, że kolejnego dnia nikt nie zapuka do drzwi, żeby mnie za to zamknąć.

I tu dotykam jeszcze jednego wątku, bardziej osobistego, ale ważnego. Jednym z moich ciekawszych doświadczeń był moment, kiedy z powodu pewnej paszportowej sytuacji koleżanki, z którą leciałyśmy, w USA trafiłam do pokoju z napisem „*immigration*” i nagle przestało być miło. Znałyśmy biegle angielski, miałyśmy paszporty UE, więc i tak byłyśmy w grupie uprzywilejowanej. A mimo to poczułam przedsmak tego, co może czuć migrant, kiedy trafia w miejsce, które momentalnie staje się „niesympatyczne”, podejrzliwe, proceduralne – nie może zadzwonić, nie może się z nikim skontaktować, nie bardzo ma jak wyjaśnić, że jest na zaproszenie, tylko w paszporcie biometrycznym „coś nie zagrało”. Od tamtego czasu mam zawsze przy paszporcie wizytówkę, bo okazało się, że sam tytuł profesora zrobił wrażenie i nagle uznano, że raczej nie przyjechałyśmy zagrażać bezpieczeństwu USA. Mówię o tym nie po to, żeby się chwalić, tylko żeby pokazać, że czasem trzeba czegoś doświadczyć, żeby zrozumieć.

Badania migracyjne są trudne również dlatego, że prowadząc je, trzeba pamiętać o jednym: ludzie się boją. Nawet jeśli mają legalny status, nawet jeśli wszystko wygląda „w porządku”, zawsze może wydarzyć się coś, co zmieni sytuację. Tego lęku nie da się pominąć. Dodatkowo – dla migrantów z wielu regionów świata naukowcy reprezentują rząd kraju, do którego przybywają – a więc system, który może ich w każdej chwili odesłać. Nasze deklaracje o swobodzie prowadzenia badań są dla nich niezrozumiałe, bo często w krajach ich pochodzenia jest inaczej. I takie doświadczenia przypominają, że każdy żyje w swojej bańce kultury, z której pochodzi.

Mam też drugi duży obszar badań. Z dwoma kolegami – profesorami Tomaszem Safjańskim i Pawłem Lubiewskim z mojej uczelni – analizujemy przestępczość wśród migrantów. Chcemy zrozumieć, na ile zjawisko odbiega od tego, co obserwujemy w populacji ogólnej. Wszyscy wiemy, że zawsze jakaś część społeczeństwa popełnia przestępstwa, ale nasze pytanie brzmi, jak to wygląda w poszczególnych grupach migranckich.

Niedawno skończyliśmy badania dotyczące obywateli Gruzji. I tu pojawiają się niepokojące trendy. O ile Ukraińców jest w Polsce ponad milion i statystyki

w ich przypadku są poniżej średniej krajowej, o tyle przy Gruzinach obserwujemy pewną „specjalizację” w zakresie przestępczości zorganizowanej.

Polska społeczność gruzińska składa się w prawie 80% z mężczyzn. Udział kobiet jest niski, co jest wyjątkowe, bo na przykład w przypadku Białorusinów, a więc drugiej licznej grupy, proporcje są mniej więcej pół na pół. To wpływa na zachowania i wzory migracji: jeśli jest pół na pół, częściej przyjeżdżają rodziny; jeśli dominuje grupa mężczyzn, częściej mamy mobilność stricte zarobkową albo tranzytową. I kiedy widzimy, że przy około 30 tysiącach obywateli Gruzji przebywających w Polsce w ubiegłym roku, około 3 tysiące z nich jest zarejestrowanych jako sprawcy przestępstw – i nie mówię tu o wykroczeniach typu jazda po alkoholu, tylko o wymuszeniach, rozbojach, zabójstwach, przestępstwach kryminalnych – to jest sygnał, że coś się dzieje.

Tylko sedno nie polega na tym, żeby krzyknąć „Gruzini popełniają przestępstwa”, jak robią media. Sedno polega na tym, żeby zrozumieć szerszy kontekst. Polska jest krajem tranzytowym między Wschodem a Zachodem. Jesteśmy blisko kraju ogarniętego wojną, a wojna – jakkolwiek to brutalnie brzmi – zawsze tworzy przestrzeń dla nielegalnych rynków: handlu bronią, handlu ludźmi, przepływu narkotyków. Na wojnie pierwsze zarabiają koncerny zbrojeniowe, zaraz potem przestępcy, a czasem te światy się wręcz mieszają. I my próbujemy to opisać tak, żeby nie zostać na poziomie medialnego skrótu, tylko pokazać mechanizmy.

W naukach społecznych nigdy nie mamy stuprocentowej pewności, bo badamy świat dynamiczny. I widać to nawet w doborze tematów – kiedy projektowaliśmy badania o przestępczości cudzoziemców, myśleliśmy o Ukrainie, Białorusi, Gruzji, czyli o trzech największych grupach, resztą mieliśmy się nie zajmować. A potem spojrzeliśmy na dane GUS sprzed tygodnia czy dwóch i okazało się, że najbardziej dynamicznie rosnące grupy cudzoziemców to migranci z Wenezueli, Chile, ogólnie Ameryki Południowej i z wybranych regionów Azji. I już wiadomo, że trzeba temu się przyjrzeć – nie dlatego, że media coś „wyciągnęły”, tylko dlatego, że sama dynamika pokazuje, że będzie się działo.

To jest wyzwanie także dlatego, że Polska dopiero od około dekady jest krajem migracyjnym netto. Przez wcześniejsze dziesięciolecia byliśmy przede wszystkim krajem emigracji. Zresztą, kiedy mówi się o przestępczości migrantów w Polsce, warto pamiętać, że wystarczy spojrzeć na dane policji niemieckiej, według których Polacy są jedną z liczniejszych grup popełniających przestępstwa w Niemczech. Czy to trzeba nadinterpretować? Niekoniecznie. Po prostu

jest nas tam od lat bardzo dużo. I to jest właśnie ta lekcja: nie wolno bić na alarm na podstawie samej „suchej” statystyki. Statystyki trzeba czytać w kontekście. Kontekst społeczny jest w naukach społecznych kluczowy.

Sekurytyzacja bywa zresztą oskarżana o różne skrzywienia: o rasizm, seksizm, westernizm, europocentryzm, zachodocentryzm. I jest w tym prawda, bo patrzymy na świat przez własny krąg kulturowy. Na przykład przez pryzmat państwa jako podstawowego decydenta. Tylko że są regiony świata, w których państwo jest słabe, fikcyjne albo działa w sposób iluzoryczny. W Afganistanie realne decyzje podejmuje władze państwowe czy przywódcy klanów? A w niektórych krajach afrykańskich, gdzie są dwa ośrodki władzy zwalczające się nawzajem, czy w ogóle da się mówić o „państwie” jako stabilnym decydencie? To w Europie bywa trudne do zrozumienia, bo mamy inne doświadczenie instytucjonalne. A jednak trzeba próbować wyjść poza tę ramę. Po to właśnie to badam – żeby pokazać, gdzie sekurytyzacja jest uzasadniona, a gdzie jest nadużyciem. Bo jeśli będzie za dużo nieuzasadnionych przypadków, w pewnym momencie stracimy to, co rzekomo chcieliśmy chronić – wolności, prawa, wartości, państwo prawa. Fundament naszego życia.

I tu dochodzę do pytania, które mnie osobiście stale męczy: gdzie jest granica między przesadą i nadużyciem a uzasadnioną mobilizacją do ochrony podstawowych wartości? Jak daleko można pójść? Czy można użyć każdego środka, nawet „nieczystego”, żeby chronić wartości, które uznajemy za czyste?

Ten dylemat widać dziś choćby w podejściu do obronności. NATO jest sojuszem obronnym – w założeniu. Ale teoria mówi o obronie ofensywnej i defensywnej. No i pytanie brzmi: jak bardzo można być ofensywnym, pozostając w logice obrony?

Wojna dronowa świetnie to pokazuje. Drony są tanie w produkcji, można je wysyłać setki czy tysiące, zawsze któryś trafi. Ich zwalczanie jest bardzo drogie, bo często używa się do tego środków znacznie droższych niż sam dron. My mówimy: „budujemy tarcze, zestrzeliwujemy drony”. Ukraińcy mówią: „dajcie nam możliwość uderzania w miejsca produkcji”. Wojskowo to brzmi racjonalnie, bo niszczy się źródło i logistykę wroga. Tylko że moralnie i politycznie pojawia się pytanie, czy to jeszcze obrona czy już wyjście poza nią? I tu znów widać, że nawet w technicznych tematach jest miejsce dla humanistyki i nauk społecznych, bo to nie jest tylko spór o sprzęt, ale o zasady.

Często naiwnie wierzymy, że decyzje polityczne są oparte na wieloetapowych analizach i raportach, że istnieją ciała doradcze, które wszystko ważą i liczą. Jestem politolożką, więc znam proces decyzyjny i wiem, że w większości przypadków decyzje są wypadkową interesów i bywają chaotyczne. Czasem wygrywa opcja, która jeszcze chwilę wcześniej wydawała się najmniej realna. Ktoś przyszedł ostatni, ktoś zadzwonił, skończył się czas, pojawiły się szybkie terminy wydatkowania pieniędzy i „robimy tak albo tak”.

Mimo to mam nadzieję, że z moich badań da się wyprowadzić prostą naukę – państwo nie może funkcjonować w permanentnym stanie nadzwyczajnym. Nie można każdej sytuacji rozwiązywać środkami nadzwyczajnymi. Te środki powinny być zarezerwowane dla sytuacji wyjątkowych, których nie dało się przewidzieć i ująć w normalnych politykach oraz procedurach. I używane wyłącznie do memonetu rozwiązania problemu bądź wypracowania rozwiązań systemowych w ramach „normalnej” polityki.

I w kontekście sekurytyzacji mam też postulat, żeby słowem „bezpieczeństwo” szafować ostrożnie. Dziś „bezpieczeństwo” działa jak metapojęcie: wszystko można nim nazwać i kiedy się je „przyklei”, łatwiej uzasadnić nawet niepopularne decyzje. Tylko że żyjemy w trudnych czasach. Jeśli za często będziemy krzyczyć „zagrożenie!”, to skończymy jak w bajce o pasterzu i wilku – za siódmym czy ósmym razem nikt już nie zareaguje, nawet jeśli wilk rzeczywiście przyjdzie.

Dla porządku – efektem naszego ostatniego projektu dotyczącego narracji o migracjach religijnych i niereligijnych była sesja w Parlamencie Europejskim na początku października. Prezentowaliśmy strategię reagowania na narracje zawierające mowę nienawiści, elementy dehumanizacji, segregacji. Mówiliśmy też o tym, jak wspierać migrantów w utrzymywaniu tożsamości i praktykowaniu jej elementów. Wiemy, że raport przygotowany dla Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego ma być jednym z dokumentów wykorzystywanych przy kolejnych przeglądach polityk migracyjnych i rekomendacjach; była tam też sekcja dotycząca szkół i edukacji. Więc gdzieś mamy nadzieję, że dokładamy małe cegiełki i ktoś z nich korzysta.

Staram się też być aktywna w mediach. Nie dlatego, że to uwielbiam, tylko dlatego, że uważam, że badań nie wolno zamykać wyłącznie w prestiżowych czasopismach i we własnym obiegu naukowym. W naukach społecznych mamy

trudniej niż w medycynie. Jeśli lekarz wymyśli lek na raka, wszyscy od razu rozumieją wagę przełomu. A jeśli badacz nauk społecznych precyzyjnie opíše procesy i pokaże, do czego mogą prowadzić, ta ścieżka wpływu jest mniej oczywista. Tym bardziej trzeba umieć o tym mówić.

Z danymi bywa różnie. Były okresy, kiedy instytucje w Polsce niechętnie je udostępniały, mimo ustawy o dostępie do informacji publicznej. Ale często można korzystać z poziomu UE, ONZ, Europolu, Interpolu, bo tam państwa i tak raportują. Był na przykład moment, kiedy ABW przestała publicznie raportować pewne statystyki, które kiedyś były publikowane. A ja i tak te dane mogłam pozyskać z raportów europejskich, bo Polska figurowała w nich w zbiorczych zestawieniach. Czasem trzeba więc krążyć okrężnie i najpierw znaleźć, gdzie dane istnieją, potem „wydrzeć” je z instytucji, a kiedy już się je zdobędzie, zrozumieć, co właściwie mówią.

I wtedy zaczyna się kolejny etap, a mianowicie rozmowy z ludźmi. Na przykład z policjantami od przestępczości zorganizowanej. Pytam: „dlaczego tu nie ma danych o handlu ludźmi?”. Słyszę: „Masz rację, to niemożliwe, że tego nie ma”. „No to dlaczego?”. „Bo ściganie jest trudne, jesteśmy krajem tranzytu”. To nie jest stuprocentowa odpowiedź, ale pozwala opisać zjawisko najlepiej, jak się da.

Coraz częściej myślę o aplikacyjności nauki, ale nie w sensie parametryzacji, punktów, slotów i tych wszystkich narzędzi oceny, bo uważam, że pracy naukowca nie da się sensownie ocenić „na bieżąco”, a już na pewno nie w czteroletnich cyklach. Chodzi raczej o zbudowanie w społeczeństwie zrozumienia, dlaczego ważne jest badanie człowieka w kontekście społecznym. I o to, żeby badacz potrafił w dwóch, trzech zdaniach powiedzieć, co bada, dlaczego to ważne i co z tego wynika.

Kiedy mówię o sekurytyzacji, pierwsze zdanie jest teoretyczne, ale drugie powinno być praktyczne – po co to badam i do czego mi to służy. Staram się wykorzystywać momenty medialne, żeby wytłumaczyć pewne mechanizmy. Oczywiście jest ryzyko, czy zostanie to dobrze przedstawione, czy jakieś sformułowanie nie zostanie „wyostrzone”, ale mimo wszystko uważam, że należy podejmować ryzyko. W naukach społecznych musimy mówić o swoich badaniach nie tylko na konferencjach naukowych i w periodykach.

W jakimś sensie utrzymuje nas społeczeństwo, nawet jeśli pracujemy na uczelniach niepublicznych, więc społeczeństwo ma prawo pytać, co robimy z tymi pieniędzmi. Po co komu socjologia, politologia, po co to studiować, po co nad tym pracować, jeśli nie potrafimy wytłumaczyć, czym się zajmujemy?

W kontaktach z bliskimi spoza nauki często widzę jedną trudność: niechęć do przyjęcia, że sprawy są skomplikowane, nie ma jednej prostej odpowiedzi, a świat nie jest czarno-biały. Teoretycznie wszyscy to wiedzą, ale kiedy wchodzi w temat spoza własnych kompetencji, oczekują, żebym powiedziała, czy jest tak czy tak. A przecież nawet lekarz przy chorobie terminalnej nie powie, czy ktoś będzie żył miesiąc, rok czy dwa tygodnie. Migracje są szczególnie trudne, bo każdy ma na ich mocno upolityczniony temat własny pogląd. I wtedy naukowe mierzenie sekurytyzacji – a zwłaszcza pytanie o jej uzasadnienie, „justyfikację” – bywa odbierane jak zabieranie głosu „po którejś stronie”.

Kiedyś mnie to irytowało, dziś częściej stosuję autoironię. Mówię, że „siedzę, grzebię i nic z tego nie wynika” – trochę żartuję z siebie, żeby nie zniechęcać ludzi do rozmowy. Paradoksalnie czasem łatwiej rozmawia się z dziećmi niż ze znajomymi. Cóрка ma kontakt ze statystyką naukową i nagle te wszystkie *p-value*, testy, istotności zaczynają mieć sens, bo widzi je w praktyce. Potrafi przyjąć, zapytać, podyskutować o tym, jak odrzucamy dane lub jakie mamy kryteria.

Mam też specyficzną sytuację domową, ponieważ mój mąż jest generałem. Staramy się nie rozmawiać w domu o pracy, ale to się nie udaje. Kiedy wybuchła wojna w Ukrainie, zobaczyliśmy, jak mocno reagują nasze dzieci. Wydało się, że nastolatki nie słuchają rodziców, a jednak widzieliśmy, że wojna je porusza. W szkołach też dużo o tym mówiono, ukraińskie dzieci pojawiły się w klasach. Uznaliśmy więc, że nie będziemy udawać, że świata nie ma, ale też nie ma sensu bombardować ich tym tematem cały czas. Dlatego mamy też osobne biuro do pracy – żeby móc wyjść z domu, a nie musieć „owijać” go pajęczą siecią pracy, jeśli trzeba rozmawiać z mediami albo intensywnie pracować. To był świadomy wybór: rytuał przejścia, wyjścia.

Powiem jeszcze jedną rzecz – bardzo lubię kontakt z młodym pokoleniem. Nie rozumiem tego powszechnego narzekania (może żyję w bańce), ale czasem bardziej wstyd mi za niektórych nauczycieli niż za uczniów, bo jednak jesteśmy dorośli i mamy być odpowiedzialni za kształcenie. Są momenty i przedmioty,

w których nauczyciel wydaje się „zbędny”, ale moim zdaniem bez pierwiastka humanistycznego i społecznego nie da się zrozumieć świata. Jesteśmy istotami społecznymi, więc decyzje są motywowane funkcjonowaniem we wspólnocie albo w kontrze do niej. A z drugiej strony każdy jest jednostką wyjątkową. Nierozumienie tej ludzkiej natury prędzej czy później prowadzi do błędów. Zresztą parę lat temu rozumiały to też firmy technologiczne i zaczęły zatrudniać filozofów.

Niezależnie od tego, jak zaawansowane technologicznie rzeczy wymyślimy, wciąż potrzebny jest ktoś, kto potrafi wyjść poza pudełko. Komputer wygrał z człowiekiem w szachy, ale pytanie brzmi: czy potrafi wymyślić nowe szachy? Nauka jest ogromna i jest w niej miejsce dla wszystkich. I tak, nauka nie polega na konflikcie, ale na dyskursie – a ten oznacza ścieranie się argumentów, a nie dwie równoległe bańki, które nawet ze sobą nie rozmawiają. W polityce dziś często nie ma dyskursu, tylko równoległe narracje. Wystarczy być w jednej bańce, żeby o wielu rzeczach w ogóle nie usłyszeć.

My, naukowcy, mamy też swoje skrzywienie – patrzymy analitycznie. Chcemy zrozumieć: po co, dlaczego, jak. Czasem nawet stojąc w kolejce w dyskoncie, obserwuję zwykłe ludzkie zachowania i zastanawiam się nad ich typowością, nad interpretacją. I trudno tu o klasyczny *work-life balance*. Jak mówi moja koleżanka od zarządzania, w akademii mamy raczej *work-life blended*, ponieważ wszystko się miesza. Coś w tym jest, bo olśnienia przychodzą z bardzo różnych miejsc.

Patrzeć na Beskidy z okna biura jest dla mnie odskocznią. Jedni wychodzą na papierosa, inni wychodzą popatrzeć na góry. Lubię miejsce, w którym mieszkam. Z Warszawy uciekliśmy piętnaście lat temu i nie żałuję. Jeżdżę do stolicy od czasu do czasu, ale wsiadanie rano do pociągu i wracanie wieczorem jest przyjemne.

Im jestem starsza, tym bardziej doceniam naturę, spokój, ciszę, mniejszą liczbę bodźców. Lubię proste rzeczy. Ktoś powie „starość”, ja wolę to nazwać „doświadczeniem”.

Odpuzczam też, czytając książki inne niż naukowe. Jestem z pokolenia, w którym książka jest nadal kluczowym źródłem wiedzy, nie tylko podręcznikowej, ale też tej o świecie. Czytam bardzo różne rzeczy. Teraz na przykład *Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet*. Świetna książka. Zainteresowała mnie ludowa historia Polski i patrzeć na procesy historyczne

z perspektywy warstw nieelitarnych, tych dotąd „niewidzialnych”. *Chłopki* i tego typu pozycje pozwalają wejść w obszary, w których nie jestem ekspertką, ale które mnie poruszają. Jako dziecko słuchałam opowieści babć – obie były chłopkami – więc odnajduję w tych historiach coś swojego. Rozumiem ten świat, choć on w dużej mierze zaniknął.

Mam jeszcze jedną prywatną pasję: kocham Lego i puzzle. Kiedyś miałam sporo puzzli papierowych, dziś idę na kompromis i układam je na tablecie. Lego, które mam w biurze, układały dzieci. Zamiłowanie do klocków zdecydowanie odziedziczyły po mnie. Ostatnio w domu mieliśmy małą awarię, która skończyła się dużą dziurą w ścianie, więc był pretekst, żeby kupić *Słoneczniki* van Gogha z Lego, ułożyć je i powiesić.

No i jest jeszcze kot – nasz rodzinny, a precyzyjniej, kot córki. To jest istota, która towarzyszy mi w pracy naukowej. Jeśli tylko może, leży za komputerem albo na nim i nadzoruje tempo pracy, bo saszety muszą się pojawić w misce o odpowiedniej porze. Jako dziecko nie miałam zwierząt, mieszkanie było małe, wtedy też w blokach nie było takiego zwyczaju. Zawsze kochałam koty i zawsze chciałam mieć kota. To już drugi kot, który z nami mieszka i jest członkiem rodziny.

Oczywiście rozgraniczam zwierzę i człowieka, ale mam niepokój, kiedy kota długo nie ma w pobliżu. Koty mają w sobie taki estetyczny spokój – przekonanie, że co by się nie działo, za chwilę problem się rozwiąże, więc lepiej się położyć i przeczekać. To w kotach lubię. Lubię też ich autonomię i dystans: nawet jeśli chce być blisko, to siądzie metr dalej. Jeśli nie chce głaskania, jasno to komunikuje. I zwyczajnie przyjemnie się na kota patrzy – są fajne.

Czy sensem nauk społecznych i humanistycznych jest teoria, bo tylko ona ostatecznie ma znaczenie? A co z punktami, wdrożeniami, badaniami empirycznymi i zmienianiem świata?

Szukając odpowiedzi na te pytania:

- odbyliśmy kilkanaście podróży do różnych miast Polski, różnymi środkami lokomocji;
- odwiedziliśmy różnorodne miejsca: prywatne mieszkania, uczelnie, gabinety, biura, lasy i kawiarnie;
- spotkaliśmy 24 wybitnych gości: przedstawicielki i przedstawicieli nauk społecznych oraz humanistycznych;
- nagraliśmy niemal 40 godzin materiału dźwiękowego;
- stworzyliśmy 24 podcasty i 24 artykuły o naszych bohaterkach i bohaterach.

Ale odpowiedzi nie znaleźliśmy. Zyskaliśmy za to coś znacznie bardziej cennego: 24 Osoby, które – może nieco patetycznie – nazwaliśmy bohaterkami i bohaterami humanistyki (oraz nauk społecznych). Badaczki i badacze, gotowych poświęcić nam czas i podzielić się nie tylko (zawsze fascynującą) opowieścią o swojej aktualnej pracy, ale także przemyśleniami, jak postrzegają sens tego, co robią, jakie rzeczy są dla nich źródłem satysfakcji, a co ich frustruje i zniechęca. No i w ogóle – po co to wszystko?

Karina Stasiuk-Krajewska

